

Robert Graves

N a Olimpiadzie ^{złoty medal} obtoczonym ^{cały wspaniałe wyścigi, wspaniałe!} ~~obtoczonym~~

Badawczych był skoczny, nie
Duma przy czynu, nie zaś brak talentu,

Zet mi nie więcej dystynkcji nie uważy.

Na niezmiernym stopie humanisty

zadane nie posiada dzień i noc, jany.

T Twój dekady lot iury

Knocny w woj, zotwieszam Proty
leca emy w krajie Tiozje Rich

(Brr!! Kocio w zytach się sciśnie!!).

Lece mógł wrzabie i nizej

Uoaci biedny chłopczyka...

Wszystkiemu
do widzenia!

(good-bye!)



Robert Graves

Wszystkiemu
do widzenia!

Z języka angielskiego przełożył
Tomasz Wyżyński



Książka i Wiedza

Prolog

Książkę tę napisałem, a po części podyktowałem dwadzieścia osiem lat temu w okresie powikłanych waśni domowych, mając bardzo mało czasu na poprawki. Stanowiła gorzkie pożegnanie z Anglią, gdzie złamałem uprzednio wiele norm. Zerwałem z większością przyjaciół, a reszta odwróciła się ode mnie. Dręczony przez policję pod zarzutem usiłowania morderstwa, przestałem się troszczyć, co myślą o mnie inni.

Przeczytawszy *Wszystkiemu do widzenia* po raz wtóry, pierwszy raz od tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku, nie mogę się nadziwić, jakim cudem uniknąłem procesu o zniesławienie.

Ważnie rodzinne pochłaniają zawsze sporo grosza, lecz dzięki książce, która pomimo pierwszych oznak wielkiego kryzysu sprzedawała się dobrze zarówno w Anglii, jak Stanach Zjednoczonych, mogłem spłacić długi i osiedlić się na Majorce, nie troszcząc się o najbliższą przyszłość. Tytułowi, który stał się głośny, zawdzięczam honor ujrzenia swego nazwiska w *Księdze sławnych cytatów* Bartletta.

Wprowadziłem do tekstu wiele zmian. Usunąłem liczne fragmenty nieciekawe albo niedorzeczne i dodałem kilka anegdot pominiętych w pierwszym wydaniu. Rozdział o Thomasie Edwardzie Lawrensie zastąpiłem dłuższym, napisanym w pięć lat później. Poprawiłem błędy rzeczowe, wygładziłem nieco styl i przywróciłem pierwotne brzmienie niektórych nazwisk, gdy nie było już potrzeby ukrywania ich pod pseudonimami.

Jeżeli po tylu latach książka obraża nadal czyjeś uczucia, proszę o wybaczenie.

Robert Graves
Deya, Majorca, Hiszpania, 1957

I

Prawidłom autobiografii uchybiać nie zamierzam, rozpocznę tedy od dwu najwcześniejszych wspomnień dzieciństwa. Pierwsze to olśniewająca kawalkada ekwipaży i karoc, na którą patrzyłem z okna podczas Brylantowego Jubileuszu Panowania Królowej Wiktorii w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku (działo się to w Wimbledonie, gdzie przyszedłem na świat dwudziestego czwartego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku). Drugie to szczególnie ponura zgroza na widok szafy w pokoju dziecinnym, przez przypadek otwartej i wypchanej od góry do dołu Szekspirem *in octavo*. Ojciec założył koło miłośników Szekspira. Przeznaczenie szafy pojąłem dopiero po wielu latach, ale awersję do życia salonowego musiałem widać czuć już jako berbeć. I gdy przez dom przewijali się luminarze - uczoney szekspirolog sir Sidney Lee, lord Ashbourne (wówczas jeszcze nie par), wygłaszający tyrady o niezawisłej Irlandii i odziany w narodową spódniczkę barwy szafranu, czy pan Eustace Miles, mistrz Anglii w tenisie, jarosz i pasjonat egzotycznych orzeszków - dobrze wiedziałem, co o nich myśleć.

Nie żywiłem także złudzeń co do Algernona Charlesa Swinburne'a, który przystawał często koło mego wózka w Alei Piastunek na skraju Błoni Wimbledonskich, gładził mnie po główce i całował: zatrzymywał wózki, gładził i całował niemowlęta nałogowo. Aleja leżała w połowie drogi między willą Pod Piniami w Putney, gdzie mieszkał z Wattsem-Duntonem, a oberżą Pod Różą i Koroną, dokąd chadzał co dzień na półkwartek piwa (Watts-Dunton wyliczał mu na nie równo dwa pency). Nie wiedziałem, iż Swinburne jest poetą, lecz od razu spostrzegłem, że to niebezpieczny mąciwoda. Swinburne, nawiasem mówiąc, udał się we wczesnej młodości do Waltera Savage'a Landora, wówczas u schyłku życia, i uzyskał odeń błogosławieństwo poetyckie, Landora zaś pogładził w kołysce po główce doktor Samuel Johnson, Johnsona zaś zabrano w dzieciństwie do Londynu przed oblicze królowej Anny, która nakładaniem rąk uleczyła go ze skroful, królową Annę zaś...

Wspominałem o kole miłośników Szekspira. Miało długi żywot. Przyjaciele rodziców urządzali czytane inscenizacje dramatów, a w wieku szesnastu lat poszedłem w końcu z ciekawości na jedno ze spotkań. Grano *Poskromienie złośnicy*. Matka, osoba o gołęmbim sercu, docinała jako Katarzyna ojcu, zacnemu Petrycemu.- Wielką popularnością wśród członków koła cieszyli się państwo Hillowie. *Poskromienie* przeczytałem samodzielnie dopiero w kilka lat później, gdy Maurice Hill przywdział togę sędziego. Pamiętam szklanki lemoniady, kanapki z ogórkiem, ptifurki, salonowe fidrygałki i półkole foteli klubowych przy kominku. Maurice Hill w roli Hortensjusza pouczył ojca łagodnym tonem: „Idź, ugłaskałeś cięą skutnicę!” Przedstawienie zakończyłem sam jako Lucencjusz: „To cud tak babę wywrócić na nice!”^[1] Muszę odwiedzić kiedyś Trybunał Rozwodowy i posłuchać Hilla w roli prawodawcy: jego pouczenia stały się sławne.

Po najwcześniejszych wspomnieniach dzieciństwa wypada przytoczyć i skomentować swoją charakterystykę paszportową. Data urodzenia. Miejsce urodzenia. Już je wymieniłem. Zawód. Paszport głosi, że jestem profesorem uniwersytetu. Tak było wygodnie w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku, gdy wystąpiłem o paszport. Zamyślałem podać się za pisarza, ale słowo to budzi w policjantach mieszane uczucia. Natomiast ujrawszy w kwestionariuszu tytuł profesorski, chylą czoło z tępowym respektem. Żadnych pytań. Podobnie reagują na szarżę kapitana piechoty (w rezerwie).

Wedle rysopisu mam sześć stóp dwa cale wzrostu, szare oczy i czarne włosy. Nie tylko czarne, lecz także gęste i kręcone. To nieprawda, że nie posiadam znaków szczególnych. Czymże bowiem jest mój wielki nos, ongiś orli, który zламаłem w Charterhouse grając nieopatrznie z piłkarzami w rugby (ja również zламаłem wtenczas czyjś nos)? To go nadwerężyło, a pięściarstwo zwichrowało do reszty. Zoperowany w końcu przez nieudolnego chirurga wojskowego przestał pełnić rolę pionowej linii demarkacyjnej między połowami mej twarzy, z natury asymetrycznymi: oczy, brwi i uszy wyraźnie się od siebie różnią, a dość wysokie kości policzkowe są osadzone krzywo. Kiedy się uśmiecham, moje wydatne wargi pozostają zaciśnięte, bo wstydzę się szczyrby po dwu siekaczach, które straciłem w wieku trzynastu lat. Dłonie i stopy mam wielkie. Ważę sto siedemdziesiąt dwa funty. Moja najpociesznieszka cecha to nieszkodliwa choroba zwana trzeszczącym biodrem: siedząc na stole, mogę chrobotać niczym duch na seansie sióstr Fox. Skutkiem postrzału w płuco jedno ramię mam znacznie niższe od drugiego. Zegarka nie noszę, bo mój fluid magnesuje sprężynę. Kiedy na froncie wydano oficerom rozkaz noszenia zegarków i codziennego ich synchronizowania, musiałem kupować dwa na miesiąc. Fizycznie trzymam się nieźle.

[1] Przekład J. Paszkowskiego. (Wszystkie przypisy nieautorskie pochodzą od tłumacza.)

Z paszportu wynika, że jestem poddanym brytyjskim. Mógłbym się tu pokusić o trawestację Marka Aureliusza, rozpoczynającego *Rozmyślenia* galerią przodków i krewnych, po których odziedziczył cnoty godne cesarza rzymskiego - co by wytłumaczyło, dlaczego nie jestem imperatorem, a nawet, chyba że sporadycznie, angielskim dżentelmenem. Przodkowie ojca matki, von Rankowie, to wiejscy pastory z Saksonii, uszlachceni w niezbyt odległych czasach. Von dostawił mój stryjeczny dziadek, Leopold von Ranke, znakomity dziewiętnastowieczny historyograf. Co nieco mu zawdzięczam. Ku zgorszeniu współczesnych pisał: „Pierwej jestem dziejopisem, potem dopiero kapłanem. Celem mym zgłębić, jak się sprawy miały”. A o francuskim historyku Michelecie: „Obraz dziejów kreślił stylem, którym prawdy rzecz niepodobna”. To, że go Thomas Carlyle nazwał „suchym jak pieprz”, nie przynosi ujmy. Dziadkowi, Heinrichowi von Ranke, zawdzięczam słuszny wzrost, niezgrabną postawę, upór, energię, stateczność i gęste włosy. W młodości był buntowniczym duchem, a nawet ateuszem. Podczas Wiosny Ludów, studiując medycynę na uniwersytecie w Prusach, wystąpił z kolegami w obronie Karola Marksa sądanego za zdradę stanu. Wszyscy poszli z Marksem na wygnanie. Dziadek przybył do Londynu, gdzie ukończył studia. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym roku popłynął z Brytyjczykami na Krym jako lekarz wojskowy. Pamiętam jego uwagę rzuconą do mnie, gdy byłem mały: „Rosłe ciało wcale nie daje krzepy. Widziałem pod Sewastopolem pleczystych angielskich grenadierów, co wątleli i marli w okopach jak muchy, gdy tymczasem saperzy, choć postury nikczemnej, trzymali się dziarsko”. Mimo to rosłe ciało służyło dziadkowi dobrze.

W Londynie poślubił moją babkę, filigranową, bogobojną i strachliwą Dunkę rodem ze Szlezewiku, córkę Tiarksa, astronoma z Greenwich. Zanim jej ojciec został astronomem, wśród Tiarksów panował stary duński obyczaj - wcale niezły - zmieniania profesji co pokolenie. Ojcowie byli druciarzami, synowie pastorami. Od babki wywodzą się dobrotliwe cechy mego charakteru. Miała dziesięcioro dzieci, a najstarsza była moja matka, która przysłała na świat w Londynie. Ateizm i wolnomyślicielstwo wywietrzały dziadkowi z głowy. Wrócił w końcu do Niemiec, gdzie wyrobił sobie w Monachium dobrą markę jako pediatra, jeden z pierwszych lekarzy europejskich żądających karmienia małych pacjentów czystym mlekiem. Kiedy się przekonał, że dla szpitali nie da się w żaden sposób zdobyć czystego mleka, sam założył wzorcową farmę mleczarską. Babkę, pobożną luterankę, smucił jego agnostycyzm. Nigdy nie przestała się zań modlić, lecz skupiła wysiłki na ratowaniu dusz dzieci.

Dziadek nie umarł jako zupełny niedowiarek: jego ostatnie słowa to „Boże mych ojców, otom znowu Twój”. Co przez to rozumiał, nie wiem, ale wyznanie to nie dziwi w ustach gniewliwego patriarchy rodu, bawarskiego notabla o tytule *Herr Geheimrat Ritter von Ranke*^[2] i lojalnego poddanego kajzera, z którym parę razy jeździł strzelać jelenie. W praktyce wszystko sprowadzało się do tego, że uważał się za dobrego liberała w polityce i religii, a babcia mogła spać spokojnie. W swoich niemieckich przodkach podziwiam wzniosłe zasady, prostotę obejścia, szeroki gest i stateczność. Mężczyźni bili się w pojedynkach nie o błahe sprawy honorowe, lecz w interesie publicznym, bo potępiali gorszące wybryki starszych rangą oficerów czy urzędników. Jeden z von Ranków, dyplomata niemiecki, nie zezwolił na wykorzystywanie konsulatu w Londynie do celów szpiegowskich, za co został zdegradowany. Nie byli także pijanicami. Za młodu, uczestnicząc w regularnych bibach studenckich, dziadek miał zwyczaj wylewać nieznacznie nadmiar piwa do cholew swoich botfortów. Nauczył dzieci angielskiego i uważał Anglię za kolebkę kultury i postępu. Kobiety były szlachetne i wyrozumiałe, a na spacerach trzymały oczy wbite w ziemię.

Matka przybyła do Anglii w osiemnastym roku życia jako dama do towarzystwa samotnej starej panny nazwiskiem Britain, która w swoim czasie przygarnęła babkę po śmierci Tiarksa. Pielęgnowała staruszkę przez siedemnaście lat. Miss Britain zmarła w sklerotycznym przeświadczeniu, że nic po sobie nie zostawi, a matka, jedyna spadkobierczyni, dostała w końcu sto tysięcy funtów. Charakterystyczne, że podzieliła się schedą z czterema młodszymi siostrami, zatrzymując jedynie piątą część. Zamierzała ukończyć krótki kurs medycyny i popłynąć do Indii jako siostra miłosierdzia. Owe ambitne plany pokrzyżowało poznanie ojca, wdowca z pięciorgiem dzieci. Stało się jasne, że siostrą miłosierdzia można zostać i w kraju.

Protoplastą Gravesów jest francuski rycerz, który w tysiąc czterysta osiemdziesiątym piątym roku zszedł na ląd z Henrykiem Siódmym w Milford Haven. Irlandzką gałąź rodu założył ponoć Graves Wygolony Łeb, pułkownik armii Cromwella. Pozostawiono go rannego i nieprzytomnego wśród poległych na rynku w Thame, później trzymał straż nad Karolem Pierwszym na zamku Carisbrooke, wreszcie przeszedł na stronę rojalistów. Gravesowie irlandzcy skupili się wokół Limericku.

[2] Herr Geheimrat... (niem.) - tajny radca rycerz von Ranke.

Nieliczni oficerowie i medycy należą z reguły do linii bocznych: mężczyźni przodkowie w linii prostej to ciąg pastorów, kanoników i biskupów, z wyjątkiem pradziadka, Johna Crosbie'ego Gravesa, prezesa sądu policyjnego Dublina. Gravesowie z Limericku pozbawieni są zdolności manualnych, ale słyną jako gawędziarze. U krewnych o najsilniej wykształconych cechach rodzinnych gadulstwo ma charakter nerwicowy. Nie mówią źle - zazwyczaj ciekawie, a niekiedy dowcipnie - lecz nie mogą się zatrzymać. Von Rankom także brakuje zręczności w palcach. Szkoda, że urodziwszy się w erze silnika spalinowego i prądnicy elektrycznej, czuję się wobec nich bezradny: rower, prymus i karabin to wszystko, z czym sobie dają radę.

Dziadek ze strony ojca, protestancki biskup Limericku, miał ośmioro dzieci. Był błyskotliwym matematykiem (opracował nawet jakąś teorię stożkowych sferycznych) oraz wybitnym znawcą irlandzkiego prawa brehonów i pisma ogamicznego. Wieść niesie jednak, że rozrzutnością się nie odznaczał. Z biskupem katolickim O'Connell'em żył na przyjacielskiej stopie. Zaśmiewali się z łacińskich dykteryjek, roztrząsali zawile problemy teologiczne i nie przywiązywali wagi do różnic doktrynalnych.

Kiedy w dziewiętnaście lat po śmierci dziadka stacjonowałem w Limericku jako oficer, wśród mieszkańców nadal krążyły o nim anegdotki. Biskup O'Connell zakpił raz z liczebności jego potomstwa, na co dziadek odciął się dobrodusznym wersem biblijnym o błogosławionym mężu, który napelnił swój kołczan strzałami^[3]. O'Connell odparł krótko: „Żydzi poprzestawali na sześciu strzałach”. Kondukt pogrzebowy dziadka był ponoć najdłuższy w dziejach miasta - ciągnął się od katedry przez O'Connell Street aż za most Sarfield i sam już nie wiem, ile mil dalej. Dziadek pobłogosławił mnie w dzieciństwie, choć tego nie pamiętam.

O matce ojca, z rodu Cheyne'ów z Aberdeen, zdołałem się dowiedzieć tylko tyle, że była bardzo piękną córką naczelnego lekarza armii brytyjskiej w Irlandii. Dochodzę przeto do wniosku, że wszystko, co powiedziała i zrobiła, przeszło nie zauważone wśród gawędziarskich popisów krewniaków. Nieskazitelną genealogię Cheyne'ów rozpoczyna sir Reginald Cheyne, marszałek dworu szkockiego w tysiąc dwieście sześćdziesiątym siódmym roku. Jednakże ojciec pracuje w tej chwili nad autobiografią i bez wątpienia opisze to wszystko dokładnie.

Ojciec poznał matkę na początku lat dziewięćdziesiątych. Jego pierwsza żona pochodziła z irlandzkiej gałęzi Cooperów z Coopers Hill pod Limerickiem. Cooperowie prześcigają w irlandzkości nawet Gravesów. Legenda głosi, że podczas pacyfikacji kraju przez Cromwella przybyła doń pewnego dnia Moira O'Brien, ostatnia z potężnego klanu O'Brienów władającego ziemiami wokół Limericku. Rzeka: „Mości generale, wysiekłeś mi stryjów i braci, zabiłeś ojca i męża. Samam ostała na włościach mego rodu. Zali chcesz mi je wydrzeć?” Cromwell, pełen podziwu dla jej królewskiej urody, odparł, że istotnie ma taki zamiar, lecz może ona zachować swoje włości, a raczej drobny ich skrawek, jeśli poślubi jego podkomendnego, chorążego Coopera. Jane Cooper, żona ojca, zmarła na suchoty.

Gravesowie to ród wąskonosy i kostyczny, ale wolny od perwersji, okrucieństwa czy hysterii. Wielu chwyciło za pióro: Richard, rymopis zaprzyjaźniony z Shenstone'em, John Thomas, matematyk, współtwórca teorii kwaternionów, Richard, duchowny, grezysta i profesor filologii klasycznej, James, archeolog, Robert, wynalazca choroby Gravesa-Basedowa i przyjaciel Turnera, Robert, łacinnik, teolog i przyjaciel Wordswortha, Richard, duchowny, Robert, duchowny, rozliczni Robertowie, Jamesowie, Thomasowie i Richardowie, Clarissa, znana piękność irlandzka, która poślubiła (w Windermere) Leopolda von Rankę, skoligacając Gravesów z von Rankami dwa pokolenia przed małżeństwem rodziców (osiemnasto-i dziewiętnastowieczne dokonania literackie Gravesów omawia *Katalog Muzeum Brytyjskiego*).

Ojciec, starszy od matki o dziewięć lat, poznał ją właśnie dzięki związkowi Clarissy z Leopoldem. Matka od razu mu wyznała, że lubi *Ojczulka O'Flynna*, piosenkę stanowiącą jego główny tytuł do nieśmiertelności. Napisał słowa do ludowej gigi *Gościńcem do Corku*, którą pamiętał z dzieciństwa. Sir Charles Stanford dodał kilka taktów melodii. Ojciec sprzedał prawa autorskie za gwineę. Boosey, wydawca, zarobił tysiące. Sir Charles Stanford, otrzymujący tantiemy jako kompozytor, także zebrał krocie. Ojciec dostał ostatnio parę funtów za płytę gramofonową. Nie jest rozgoryczony, ale często upomina mnie solennie, bym się przenigdy nie wyzbywał praw autorskich do żadnego płodu mego ducha.

[3] *Księga psalmów*, CXXVII. 4. Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z: *Biblia, to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Nowy przekład z języków hebrajskiego i greckiego opracowany przez Komisję Przekładu Pisma Świętego*. Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1975.

Ojciec jest poetą, dzięki czemu nie żywię przesadnej czci dla poetów. Jestem wręcz uszczęśliwiony, gdy spotykam ludzi, co słyszeli o nim, a o mnie nie. Jego ballady nucę zmywając talerze, łuskając groch czy w trakcie innych podobnych czynności. Nie próbował mnie nigdy uczyć pisać ani nie objawiał zainteresowania moimi ambitniejszymi wierszami, natomiast bardzo chętnie rozmawiał o własnych. Nie starał się mnie także odwozić od literatury. Najlepsze są jego krotochwilne rymowanki z lat młodości. Na przykład *Wynalazek wina*, rozpoczynający się tak:

Na Olimpie obłocznym Bachus brzdącem był skocznym,
Gdy wtem wyrwał się niani I bęc! zsunął się z grani!
Trwał dekadę lot chyży (Brr! Krew w żyłach się ścina!),
Lecz mógł wszakże i niżej Upaść biedny chłopczyzna...

Poślubiwszy matkę i stawszy się abstynentem, stracił ponoć nieco na figlarności.

Ojciec oparł się pokusie pójścia w ślady dziadka i przyjęcia święceń, mimo że odprawia nabożeństwa jako osoba świecka. Zerwał także związki z Irlandią, czego nie mogę mu darować. Chociaż niechętnie zadaję się z krewnymi i osądzam ich z reguły surowiej niż obcych, rodziców podziwiam - ojca za prostotę i upór, matkę za stateczność i hart ducha. Oboje za szeroki gest. Nie tyranizowali mnie nigdy, a moje zerwanie z Kościołem raczej ich zasmuciło, niż rozgniewało. W mej konstytucji fizycznej i charakterze przeważają cechy matki, mam jednak wiele dziwaczych nawyków językowych i ruchowych Gravesów. Trudno mi na przykład iść prosto ulicą, przy posiłkach lepiej gałki z chleba, trąc często wątek i milknę w pół zdania, zakładam w swoisty sposób ręce do tyłu oraz miewam nagłe i nadzwyczaj ambarasujące zaniki pamięci. Zdarzają się bez widomej przyczyny i prowadzą do nierzetelności w obcowaniu z ludźmi: czuję się niekiedy jak głuchy, który słyszy w towarzystwie strzępy rozmów i ratuje się błagą. Napady te nasilają się szczególnie podczas mrozów. Obecnie nie mówię zbyt wiele, chyba że piję lub spotykam kolegę z frontu zachodniego. Gravesowie zdają celująco egzaminy, klecą zgrabne wiersze łacińskie, z łatwością wypełniają formularze i rozwiązują krzyżówki (zapraszani w dzieciństwie na kinderbale, w zgadywankach i grach umysłowych zawsze byliśmy pierwsi). Mają dobre oko do strzelania bramek i wdzięczny styl. Odziedzyczyłem oko, ale nie styl - krewni matki zupełnie nie czują stylu. W siodle trzymam się pewnie, choć brzydtko. Jest w Gravesach pewien chłód uczuciowy, wręcz cyniczna bezdusność pozwalająca mi brać w karby przyrodzoną dobroć serca po matce. Nie popełnię chyba błędu pisząc, że Gravesowie, aczkolwiek wierni zasadom brytyjskiej klasy rządzącej, do której należą, są jednak indywidualistami, gdy tymczasem von Rankowie uważają przynależność do elity Niemiec za rodzaj kapłaństwa obligującego do służby rodzajowi ludzkiemu. Kiedy jeden z von Ranków obrał niedawno karierę aktora filmowego, rodzina poczuła się zhańbiona.

Po przodkach ojca - Cheyne'ach raczej niż Gravesach - odziedzyczyłem pewien wartościowy, choć niebezpieczny dar. Udaje mi się zawsze pozować na dżentelmena wobec urzędników instytucji publicznych, od których próbuję wyłudzić pilnie strzeżone przywileje. Nie ubieram się wprawdzie jak na dżentelmena przystało, lecz nie wydaję się także artystą ani niewieściuchem, a ponieważ akcent i maniery mam bez zarzutu, przeto ludzie biorą mnie zwykle za księcia krwi incognito, którego dziwactwa wynikają z niezmaconego przekonania o własnej wyższości. Brzmi to paradoksalnie, ale mój starszy brat, długoletni konsul brytyjski na Bliskim Wschodzie, uchodzi przy mnie wręcz za nuworysza. Ubiera się aż nazbyt nieskazitelnie i nie stać go na to, by z pseudoarystokratyczną swobodą obracać się wśród ludzi podejrzanego konduity i bez ogródek mówić, co myśli.

A co do wyłudzenia przywilejów - robiono ze mnie dżentelmena przez czternaście lat i zapłaciłem za to taką cenę, że mam chyba prawo dostać od czasu do czasu coś w zamian.

II

Matka wyszła za ojca, by pomóc mu w wychowaniu pięciorga dzieci z pierwszego małżeństwa. O własnych raczej nie myślała. Ale już wkrótce urodziła dziewczynkę, a zaraz potem drugą, co ją, rzecz prosta, uszczęśliwiło, lecz także nieco rozczarowało, należała bowiem do pokolenia przywiązującego szczególną wagę do potomka płci męskiej. Wreszcie pojawiłem się ja -zdrowe, krzepkie niemowlę. Wydała mnie na świat w czterdziestym roku życia. Po czterech latach powiła kolejnego syna, a po kolejnych czterech jeszcze jednego. Wśród potomstwa zapanowała pożądana przewaga chłopców nad dziewczynkami, a dwie piątki dały dziesiątkę. To, że rodzice są ode mnie tyle starsi, okazało się raczej korzystne. Dzieci rzadko kłócą się z dziadkami, rodziców zaś mogą sobie wyobrazić w roli dziadków. Dziesięcioro dzieci oznacza także pewne rozwodnienie miłości rodzicielskiej: jednostka gubi się w ciżbie. Często wołano do mnie: „Filipku, Rysiu, Karolku... bodajby to!... Robercie...”

Ojciec, człowiek zapracowany, kurator szkolny w londyńskiej dzielnicy Southwark, widywał się z nami w zasadzie tylko w święta. Zachowywał się wówczas bardzo dobrotliwie i opowiadał bajki zaczynające się zawsze tak samo-nie „dawno, dawno temu”, tylko „wysiłekawszy nos w amarantową chusteczkę, dziadziuś ogrodnik rzekł...” Niekiedy się z nami bawił, ale chwile wolne od pracy poświęcał głównie na pisanie wierszy i przewodniczenie organizacjom literackim lub przeciwalkoholowym. Matka, zaprzęgnięta domem i różnorodnymi obowiązkami towarzyskimi u boku ojca, widywała nas rzadziej, niżby chciała, chyba że w niedzielę lub gdy któreś z nas było chore. Mieliśmy bonę i to nam wystarczało. Ojciec pilnował, byśmy mówili czystą angielszczyzną, wymawiali słowa poprawnie i nie klepli. Był to jego główny wkład w naszą edukację. Naukę religii pozostawił w rękach matki, choć co rano odmawiał przed śniadaniem modlitwę dla rodziny i służby. Za drobne przewinienia matka stawiała nas do kąta lub posyłała wcześniej spać, a sprawy poważniejsze przekazywała ojcu, którego kary cielesne nigdy nie były srogie - wymierzał je papuciem. Wpojono nam surowe zasady moralne i poświęciliśmy wiele czasu rachunkom sumienia i samodoskonaleniu się. Moja siostra Rosaleen wypisała sobie wielkimi literami nad łóżeczkiem (mógłbym to zrobić i ja): „Nie wolno mówić «siusmajtek» i «limo», bo to brzydko”.

Dostawaliśmy niewielkie kieszonkowe: pensa tygodniowo z podwyżką do dwóch w wieku dwunastu lat. Dodatkowe wpływy, pochodzące od stryjów i znajomych, radzono nam oddawać doktorowi Barnardowi Holmesowi i żebrakom. Przy Wimbledon Hill Road siadywał na trotuarze ociemniały żebrak czytający na głos Biblię w alfabecie Braille’a. W istocie nie był ślepy, lecz umiał zwracać źrenice ku górze i zakrywać tęczołki półprzymkniętymi powiekami, sztucznie zaognionymi. Często go wspomagaliśmy. Umarł jako bogacz, a syna posłał na uniwersytet.

Pierwszym koryfeuszem literatury, jakiego spotkałem po Swinburnie, był Pelham Grenville Wodehouse, przyjaciel mego brata Percevala. Wodehouse miał wówczas dwadzieścia kilka lat, pracował w redakcji *The Glob* i pisywał opowiadania dla chłopców do magazynu *The Captain*. Dał mi raz pensa na ptasie mleczko. Chociaż się speszyłem i zapomniałem podziękować, od owego czasu nie wyrażam się krytycznie o jego dziełach.

Odnaczałem się żarliwą pobożnością, która zanikła dopiero po confirmacji w szesnastym roku życia. Pamiętam, z jaką niewiarą przyjąłem wiadomość o istnieniu ludzi ochrzczonych w kościele anglikańskim i kwestionujących boskość Chrystusa. Ateista wydałby mi się dziwołogiem.

Pytałem wielu swoich znajomych, kiedy się w nich wykształciła świadomość klasowa, i żaden nie potrafił odpowiedzieć zadowolająco. Pamiętam, jak było ze mną. Gdy miałem cztery i pół roku, nabawiłem się szkarlatyny, a ponieważ dopiero co przyszedł na świat mój młodszy braciszek, nie mogłem kurować się w domu i rodzice umieścili mnie w szpitalu zakaźnym. W sali leżało dwudziestu chłopców z rodzin robotniczych i jeden burżuj taki jak ja. Nie zauważyłem, by odnoszono się do mnie inaczej niż do pozostałych pacjentów: chuchano na mnie i dmuchano, lecz przyjąłem to bez zdziwienia, bo byłem przyzwyczajony. Ale zaskoczył mnie szacunek czy wręcz cześć dla drugiego chłopca, synka pastora. „No, no - wzdychały pielęgniarki po jego odejściu - w tym białym spencerku, który mu przynieśli rodzice, wyglądał jak istne książętko!” A młodzi proletariusze wtórowali: „Oj, galancie z Maciusia panisko!” Kiedy wróciłem po dwóch miesiącach do domu, dowiedziałem się, że kaleczę język, a chłopcy ze szpitala to ordynusy. Słowa tego nie znałem i musiano mi je tłumaczyć.

W rok później spotkałem Arthura, dziewięciolatka, który leżał ze mną na oddziale i nauczył mnie grać w krykieta, gdyśmy wracali do zdrowia. Okazał się obdartym chłopcem na posyłki. W lecznicy ubrano nas w jednakowe koszule nocne i nie spostrzegłem, że jesteśmy z innej gliny. Aż nagle, czując pierwszy rozkoszny dreszczyk pańskości, zdałem sobie sprawę z istnienia dwóch rodzajów chrześcijan - nas i ludzi prostych. Nawet gdy byliśmy mali, służbie kazano tytułować nas paniczami i panienkami. Nie brałem tego

za oznakę szacunku. Sądziłem po prostu, że tak się przywołuje dzieci. I raptem pojąłem, że służba to klasy niższe, a my - to my.

Podziały społeczne zaakceptowałem równie łatwo jak dogmaty religijne. Odrzuciłem je dopiero w dwadzieścia lat później. Rodzice nie byli nigdy zagorzałymi konserwatystami, tylko liberałami, a ściśle mówiąc, zwolennikami Partii Liberalno-Unionistycznej. Jako chrześcijanie uznawali służbę za bliźnich, lecz różnice społeczne były rzeczą oczywistą. Sankcjonował je zbiór hymnów kościelnych:

Stwórca Najświętszy nazaczył
Miejsce każdemu na ziemi...

Doskonale pamiętam ton głosu matki, gdy oznajmiała pokojówkom, że mogą się poczęstować resztkami puddingu, lub strofowała kucharkę za opieszałość. Był wówczas nienaturalnie szorstki, a zarazem pełen zakłopotania. Sądzę, że matka, kochająca ciepło domowe, chętnie by się pozbyła służących, gdyby mogła. Wydawały się intruzami. Przypominam sobie ich sypialnie. Mieściły się na poddaszu, w najciemniejszym kącie domu, i zgodnie ze zwyczajami epoki miały podłogi z nagich desek. Umebłowanie stanowiły surowe, odstręczające łóża i ściennie bieliźniarki z zasłonami ze spłowiałego perkalu zamiast drzwiczek. W naszych pokojach stały serwantki, a na podłodze leżały dywany lub przynajmniej linoleum. Obskurność owych pomieszczeń kazała mi myśleć o służących jako o istotach tylko na poły ludzkich. Zresztą pracowały u nas panny kategorii raczej podrzędnej, gdyby bowiem miały referencje z prawdziwego zdarzenia, toby się nie starały o miejsce przy dziesięciorgu dzieciach. A ponieważ dom był wielki i prawie nikt po sobie nie sprzątał, ustawicznie się zwalniały. Za dużo roboty, mówiły.

Ogniwo pośrednie między nami a służącymi stanowiła bona. Natychmiast po przyjeździe przedstawiła się tak: Albion moją ojczyzną, Emily Dykes mym imieniem, Netheravon kolebką, Jezus Chrystus zbawieniem". Nazywała nas wprawdzie paniczami i panienkami, lecz często podnosiła głos. W sensie praktycznym Emily była nam bliższa niż matka. Zacząłem nią gardzić dopiero w dwunastym roku życia - niańczyła wówczas mych dwóch młodszych braci - kiedy spostrzegłem, że góruję nad nią wykształceniem, a próbując się wyrwać podcinam jej z łatwością nogi i nabijam sińce. Była na dodatek baptystką, wtedy zaś już wiedziałem, że baptyści, metodyści i kongregacjoniści stoją na drabinie społecznej niżej niż anglikanie.

Matka zaszczepiła mi odrazę do papizmu, którą zachowałem przez długie lata. W istocie rzeczy zerwałem z Kościołem nie dlatego, że wyrosłem z etyki protestanckiej, ale z powodu odrazy do katolickich naleciałości anglikanizmu. Nauka religii rozwinęła we mnie ogromną zdolność odczuwania lęku - śnił mi się po nocach ogień piekielny - drobiazgową uczciwość oraz zahamowania w sferze seksualnej, od których uwolniłem się z wielkim trudem.

Kiedy protestanci tracą wiarę, najtrudniej wyzbywają się przekonania, że Chrystus to ideał człowieka. Długo w to wierzyłem. W wieku osiemnastu lat spłodziłem rymowankę pod tytułem *Na pustyni*, o spotkaniu Jezusa ze zbłąkanym kozłem ofiarnym - co jest oczywistym absurdem, gdyż lewicy spychali zawsze kozły w przepaść. Wiersz ukazał się już co najmniej w siedemdziesięciu antologiach, a ja otrzymuję od czytelników tuziny listów z podziękowaniami za otuchę, jaką wlałem w ich serca.

III

Edukację szkolną rozpocząłem w wieku lat sześciu. Najpierw chodziłem do kilku zakładów wstępnych. Pierwszy, mieszczący się w Wimbletonie, prowadziła czcigodna starsza dama, ale ojciec, ekspert w dziedzinie oświaty, szybko mnie stamtąd zabrał. Pewnego dnia zastał mnie chlipiącego bezradnie nad tabliczką mnożenia o boku dwadzieścia trzy, nie podobał mu się także podręcznik dziejów ojczystych w formie katechizmu rozpoczynający się tak:

Pytanie: Jakoż się miano Albionu tłumaczy?

Odpowiedź: Kraj albatrosów, królewskich skrzydlaczy.

Kazano mi także mnożyć i dzielić w pamięci w takt metronomu, a podczas owej katuszy zsiusiałem się raz ze strachu. Ojciec przeniósł mnie tedy do Kolegium Królewskiego w Wimbletonie. Miałem siedem lat i byłem najmłodszym uczniem, naukę zaś kończyło się tam w dziewiętnastym roku życia. Ojciec wypisał mnie po dwóch trymestrach, gdy usłyszał, jak klnę. Oprócz tego nie rozumiałem lekcji. Zaczęto mnie uczyć łaciny, ale nie wyjaśniono, co to jest, deklinacje i koniugacje wydawały mi się tedy magicznymi zaklęciami. Wiązanki przekleństw zresztą też. Wszystko mnie tam przerażało: ogromny refektarz, duzi chłopcy, nieopisany harmider w korytarzach i obowiązkowa gra w rugby, której reguł mi nie wyjaśniono. Przez następne trzy lata chodziłem do Szkoły Rokeby, również w Wimbletonie. Zacząłem tam grywać na serio w piłkę, zrobiłem się zadziorny, chępliwy i apodyktyczny, zdobywałem nagrody i nabrałem zamiłowania do kolekcjonerstwa. Różniłem się od kolegów tym, że nie zbierałem znaczków, tylko monety. Wartość monet wydawała mi się mniej iluzoryczna. Dyrektor oćwiczył mnie różgą jedynie raz, gdy zapomniałem przynieść obuwie gimnastyczne. Później poprzesztawał na dwóch uderzeniach linijką w nadstawioną dłoń. Nawet dzisiaj jednak wszystko się we mnie gotuje na samo wspomnienie. To tam zaczęto robić ze mnie džentelmena.

Zdaje się, że pominąłem jedną szkołę - w Penrallt, w sercu gór walijskich na wschód od Llanbedr. Byłem w Penrallt tylko semestr, dla zdrowia. Dostałem tam swoje pierwsze lanie. Dyrektor, pastor wiejski, złożył mi tyłek różgą, bo któregoś niedzieli nauczyłem się przez pomyłkę modlitwy na inny dzień. Nigdy mnie przedtem nie zmuszano do nauki religii. W szkole prowadzonej przez czcigodną starszą damę też uczyliśmy się modlitw, lecz nie karano nas za błędy. Współzawodniczyliśmy o nagrody: kaligraficzne cytaty z Biblii, któreśmy zabierali do domu i wieszali sobie nad łózkami. W Penrallt mieszkał chłopiec imieniem Ronny, największy zuch, jakiego znam. Zbudował sobie domek na czubku niebotycznej sosny, podwędził komuś kosę i zrobił z ostrza maczetę, a żywił się gołębiami, które zabijał z procy, piekł i zjadał na szczycie drzewa. Ronny odnosił się do mnie życzliwie. Wcielono go później do marynarki wojennej, ale podczas pierwszego rejsu zdezerterował i słuch o nim, jak mówiono, zaginął. Miał zwyczaj jeździć na oklep na koniach i krowach z pastwisk. W Penrallt wpadły mi w ręce *Stara ballada o łowach w Czewiocie* i *Sir Andrew Burton*. Jeszcze nigdy nie czytałem równie dobrej poezji. Od razu się na niej poznałem. Lecz był tam także basen na wolnym powietrzu, gdzie wszyscy chłopcy kąpali się nago. Ich widok mnie przeraził. Pewien dziewiętnastolatek był cały, ale to calusienki, porośnięty włosami - gęstymi, ryżymi, typowo irlandzkimi. Dotychczas myślałem, że włosy rosną tylko na głowie. Oprócz tego pociełem się ze strachu na myśl o kolejnym spotkaniu z córeczką dyrektora i jej przyjaciółką. Nie miały braciszków i któregoś dnia, gdy kopałyśmy w ogródku rzepniki, próbowały poznać męską anatomię wsadzając mi rączki za kołnierzyk i przesuwając coraz niżej.

Inne straszliwe przeżycie z tego okresu. W wieku dziesięciu lat musiałem raz odwiedzić Wimbledońskie Gimnazjum Żeńskie, do którego chodziły moje siostry. Mieliśmy iść razem do fotografa. Czekałem na nie kwadrans w rogu szatni. Mijały mnie setki dziewcząt, a wszystkie zerkały, chichotały i szeptały coś sobie na ucho. Czuję, że mnie nie cierpią, bo jestem chłopcem siedzącym w szatni szkoły żeńskiej. Kiedy siostry wreszcie nadeszły, zdawały się mnie wstydzić i były zupełnie inne niż w domu. Wstąpiłem nieopatrznie w krainę tajemnic i jeszcze długo, długo potem miewałem koszmarne sny, w których pojawiał się obraz owej szkoły, rojącej się zawsze od nadmuchanych kolorowych baloników. „To pachnie Freudem”, jak się dziś mówi. Skutkiem owych dwóch przeżyć moje naturalne skłonności rozwinęły się z wieloletnim opóźnieniem. W tysiąc dziewięćset dwunastym roku spędzaliśmy gwiazdkę w Brukseli. Pewna młodzianka Irlandka z naszego pensjonatu zalecała się do mnie w sposób, który dziś wydaje mi się bardzo miły. Tak się przeraziłem, że mógłbym ją zadusić.

W szkołach angielskich amory mają z konieczności charakter homoseksualny. Płeć przeciwna budzi pogardę i wstręt. Wielu uczniów zostaje zбочeńcami na całe życie. Na każdego homoseksualistę z

urodzenia przypada co najmniej dziesięciu pozornym, których ukształtował system edukacyjny. Dziewięciu spośród owych dziesięciu to homoseksualiści równie szlachetni, sentymentalni i platoniczni jak nigdyś ja.

Ojciec wypisał mnie ze szkoły dziennej w Wimbledonie, doszedł bowiem do przekonania, że poziom jest zbyt niski, bym zdał egzamin do gimnazjum. Wysłał mnie do szkoły podstawowej w Rugby, gdzie żona dyrektora była siostrą starego przyjaciela i kolegi po piórze. Żle się tam czułem. Z osobą dyrektora wiązała się tajemnica znana części starszych uczniów - tajemnica raczej mroczna. Nikt mnie do niej nigdy nie przypuścił, ale pewnego dnia dyrektor wpadł z płaczem do klasy, rwąc włosy z głowy i zawodząc: „Boże, co ja zrobiłem!... Boże, co ja zrobiłem!...” W tydzień później ojciec nagle mnie stamtąd zabrał. Dyrektor, otrzymawszy dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie kraju, zniknął, a na jego miejsce przyszedł zacny jegomość, który nauczył mnie pisać po angielsku - wykreślać wyrażenia zbędne, a przymiotniki i przysłowki zastępować w miarę możliwości rzeczownikami i czasownikami. I gdzie zaczynać nowy akapit, i czym się różni „nasłuchiwanie” od „nadsluchiwanie”. Pan Lush był bardzo gruby i miał zwyczaj stać na katedrze oparty na rozczapierzonych palcach. W dwa tygodnie po objęciu stanowiska zabił się, wypadłszy z pociągu na głowę. Szkoła jednak istnieje nadal. Absolwenci proszą mnie od czasu do czasu o datki, gdy chcą ufundować pamiątkowy witraż, strzelnicę sportową czy coś w tym stylu.

Poznałem tam prawidła rugby. Najbardziej mnie w tej szkole zdumiał dwunastolatek, który otrzymał depeszę z wiadomością, że rodzice zmarli w Indiach na cholera. Zerkaliśmy nań ze współczuciem przez długie tygodnie, spodziewając się, że umrze z żalu, poczernieje na twarzy lub popełni jakiś szaleńczy czyn. Zachowywał się jednak całkiem zwyczajnie, a ponieważ nikt nie ośmielał się przypomnieć mu o śmierci rodziców, odnosiło się wrażenie, że o niej nie wie. Figlował i swawolił jak dotychczas. Uzналиśmy to za szkaradziństwo. Ale nie widział rodziców od dwóch lat, a uczniowie angielskich szkół podstawowych żyją w odrębnym świecie, nie mającym nic wspólnego z domem. Mówią innym językiem, wyznają inną moralność, zmienia im się nawet głos. Przyjechawszy po wakacjach do szkoły, przedzierzgają się w uczniów niemalże w jednej chwili, natomiast powrót do wcielenia domowego zajmuje zwykle co najmniej dwa tygodnie. Uczeń angielskiej szkoły podstawowej, spytany o coś zniecka, odpowie matce: „Tak, psze pani”, a krewnych i przyjaciół rodziców tytułuje zawsze *sir*, jak nauczycieli. Sam to robiłem. Szkoła staje się rzeczywistością, dom iluzją. W Anglii dzieci klas wyższych tracą około ósmego roku życia wszelki kontakt uczuciowy z rodzicami i nie cierpią prób przemycania domowych serdeczności na teren szkoły.

Później pojechałem do Cophorne, normalnego i porządnego internatu w hrabstwie Sussex. Dyrektor wahał się, czy mnie przyjąć, bo byłem jeszcze malcem, a na dodatek wychowankiem szkoły, która okryła się niedawno taką hańbą. Koneksje literackie ojca załatwiły jednak sprawę, dyrektor zaś spostrzegł, że mam szansę zdać do gimnazjum, jeśli się za mnie weźmie. Kiedy przybyłem do Cophorne, natychmiast opuścił mnie ponury nastrój. Wkrótce zjawiał się tam także mój młodszy brat Charles, którego ojciec wypisał ze szkoły dziennej w Wimbledonie. Jeszcze później przyjechał tam prosto z domu mój najmłodszy brat John. Jaka normalna i porządna była owa szkoła, widać na przykładzie Johna, normalnego i porządnego człowieka, który, jak powiedziałem, przyjechał tam prosto z domu. Spędził w Cophorne około sześciu lat, grał w szkolnej drużynie krykieta, zdał celująco do gimnazjum, mianowano go starostą, odznaczył się w sporcie, zdał egzamin do Oksfordu i znów się odznaczył w sporcie, uzyskał dyplom z wyróżnieniem, a potem, cóż zrobił?! Jako normalny i porządny człowiek został naturalnie nauczycielem w swojej normalnej i porządnej szkole podstawowej. Obecnie, po kilku latach, gdy poczuł potrzebę zmiany, złożył podanie o posadę w dawnym gimnazjum. Jeżeli ją otrzyma, awansuje zapewne po jakimś czasie na inspektora bursy, później na dyrektora, aż wreszcie skończy jako dziekan macierzystego kolegium w Oksfordzie. Taka to była normalna i porządna szkoła.

Nauczyłem się tam trzymać prosto kij do krykieta i mieć szczytne ideały, a także opanowałem piątą z kolei wymowę łaciny i szóstą metodę mnożenia w pamięci. Byłem jednym z pierwszych uczniów i zdałem do gimnazjum najlepiej w swoim roczniku. Do Charterhouse, dawnego konwiktów kartuzjańskiego. Dlaczego właśnie do Charterhouse? Z powodu *histemi* oraz *hiemi*^[4]. We wszystkich innych gimnazjach na egzaminie wstępnym obowiązywał test z gramatyki greckiej, a chociaż nieźle tłumaczyłem z greki i radziłem sobie nawet z wypracowaniami, *histemi* i *hiemi* nie potrafiłem odmieniać w powszechnie przyjęty sposób. Gdyby nie owe dwa czasowniki, poszedłbym z pewnością do Winchesteru, gdzie panowała zupełnie inna atmosfera.

[4] *Histemi*, *hiemi* (*gr.*) - stawiam, rzucam.

IV

Między drugim a dwunastym rokiem życia wyjeżdżałem pięciokrotnie z matką i rodzeństwem do dziadka w Niemczech. Podróże ustały po jego śmierci. Był właścicielem wielkiego starego dworu w Diesenhofen, dziesięć mil od Monachium, noszącego nazwę Laufzorn, czyli „Precz, gniewie!” Wakacje letnie w Niemczech to z pewnością najszcześniejsze chwile mego dzieciństwa. Bory sosnowe, słoneczny skwar, jelenie, czarne i rude wiewiórki, hektary borówek i poziomek, kilkanaście gatunków grzybów, które zbieraliśmy w lasach, niezwykle kwiaty na łąkach - Monachium leży wysoko i gdzieś tam widuje się kępy kwiatów alpejskich. W majątku Diesenhofen trzymano wszystkie zwierzęta gospodarskie oprócz owiec my zaś jeździliśmy brekiem dziadka zaprzężonym w siwki i kąpaliśmy się w Izarze pod wodospadem. Jasnozielona Izara jest podobno najszybszą rzeką Europy. Kilka mil dalej znajdował się majątek wujostwa, które hodowało na skalę przemysłową pawie, a nad brzegami jeziora Tegern, gdzie wszyscy mieli czupryny jasne niczym rozkwitłe jaskry, mieszkał prastryj, etnolog Johannes von Rankę. Od czasu do czasu odwiedzaliśmy także ciotkę Agnes, *Freifrau Baronin*^[5] von Aufsess, panią na zamku Aufsess, położonym o kilka godzin jazdy koleją, wysoko w Alpach Bawarskich.

Zamczysko, pochodzące z dziewiątego wieku, stało w miejscu tak niedostępnym, że nie padło nigdy łupem najeźdźców. Aufsessowie władali nim od zarania. Najstarszą część stanowiła czatownia, do której wchodziło się w połowie wysokości po drabinie przystawionej do muru. Później wokół wieży wzniesiono średniowieczną fortecę. Były tam przebogate zbiory nakryć stołowych i broni. Wujek Siegfried zaprowadził nas do kaplicy, gdzie wisiały emaliowane tarcze herbowe wszystkich kolejnych baronów von Aufsess, przełamane herbami ich małżonek. Wuj wskazał kamień w podłodze podnoszony żelaznym kółkiem i rzekł: „Owoż krypta rodowa, gdzie się szczątki doczesne każdego von Aufseessa składa. Ja też się tam znajduję, gdy zemrę”. Wykrzywił się komicznie (jednakże poległ na wojnie i jako oficer niemieckiego Sztabu Generalnego, jego ciała zaś, o ile wiem, nigdy nie odnaleziono). Wuj Siegfried miał szczególne poczucie humoru, j Pewnego dnia zobaczyliśmy go chrupiącego kamyki na ścieżce w ogrodzie. Kazał nam odejść, ale rzecz prosta zostaliśmy, usiedliśmy i też próbowaliśmy jeść żwir, a wtedy oznajmił z namaszczeniem, że dzieci nie powinny jeść I kamyków, bo połamią sobie ząbki. Spróbowałszy kilku, przyznaliśmy mu | rację, on zaś wybrał dla każdego z nas kamyk, który wyglądał dokładnie j tak samo jak inne, lecz dawał się łatwo schrupać i miał środek z czekolady. Wręczył je nam pod warunkiem, że odejdziemy i pozwolimy mu zaspokoić i głód. Wróciwszy później do ogrodu, znajdowaliśmy tylko zwykłe twarde kamienie, choć przeszukaliśmy prawie całą ścieżkę. Wuj nie zdradził nam igdy tajemnicy żadnego ze swoich kawałów. j

W skarbcu zamkowym przechowywano koronkowy czepek niemowlęcy tkany przez dwa lata i kieliszek do wina znaleziony przez ojca wuja podczas I wojny francusko-pruskiej na środku zrównanej z ziemią wsi we Francji. Kiedyśmy przybyli do Aufsess, na obiad podano olbrzymie pstrągi. Ojciec, j wytrawny wędkarz, spytał wuja ze zdumieniem, skąd pochodzą. Ten wyjaśnił, że opodal zamczyska wypływa na powierzchnię rzeka podziemna, a ryby w niej łowione, zupełnie białe od mroku, są niezmiernie wielkie j i ślepe jak krety.

Poczęstowano nas także dżemem z owoców dzikiej róży zwanym *Helchi-Petch* i pokazano żelazną skrzynię w małej pobielanej komnacie na szczycie czatowni - skrzynię ogromną, dwukrotnie większą od drzwi i zmontowaną najwyraźniej wewnątrz komnaty, w której grubych ścianach były tylko wąskie strzelnice. Skrzynia, pochodząca z dwunastego czy j trzynastego wieku, miała dwa zamki. Tradycja głosiła, że wolno ją otworzyć, gdyby nad twierdzą zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeden j klucz przechowywał baron, drugi marszałek dworu. Skrzynię dawało się odemknąć tylko obydwoma kluczami naraz i nikt nie wiedział, co jest w środku. Uważano, że samo snucie domysłów przynosi nieszczęście. Ma się rozumieć, snuliśmy domysły. Mogło tam być złoto albo zapasy zboża w zalakowanych dzbanach, a nawet jakiś rodzaj broni - na przykład ogień grecki. O ile znam baronów von Aufsess i ich marszałków, trudno przypuścić, by ulegli kiedykolwiek pokusie zajrzenia do środka. Na zamku pojawiał się duch barona zwanego Czerwonym Rycerzem, którego przeraźliwy portret wisiał na klatce schodowej wiodącej na szczyt baszty, gdzie się mieściła nasza sypialnia. Pierwszy raz w życiu spaliśmy w puchowej pościeli.

[5] Freifrau Baronin (*niem.*) - Jaśnie Pani Baronowa.

Laufzorn, zakupiony przez dziadka w ruinie i odrestaurowany, nie dorównywał starożytnością zamkowi Aufsess, choć był przez pewien czas pałacem myśliwskim królów Bawarii. Mimo to straszły tam dwie zjawy widywane często przez parobków. Jedną z nich była karetka bez cugantów, pędząca szaleńczo gościńcem. Budziła ona zgrozę, gdyż działo się to przed erą automobili. Sali balowej nie widziałem od dzieciństwa, trudno mi tedy ocenić jej prawdziwe rozmiary. Wydawała się ogromna niczym katedra. W oknach lśniły witraże z herbami rodowymi, podłogę pokrywały nagie deski, a w kątach umieszczono stoły i krzesła, jedyne wysepki umeblowania. Pod sufitem ulepiły sobie gniazda jaskółki. Pamiętam kręgi barwnych świateł koło witraży, rosochate łby jeleni (trofea łowieckie dziadka), jaskółcze łajno pod ścianami i niewielką fisharmonię w rogu, gdzie śpiewaliśmy niemieckie pieśni. Oto moje najważniejsze wspomnienia z Laufzornu. Parter stanowił część zabudowań gospodarczych. Pośrodku znajdował się obszerny kryty dziedziniec, na który w epoce wojen feudalnych spędzano bydło. Przy podjeździe stała oficyna rządcy, a po drugiej stronie kuchnia i czworaki. Dziadek mieszkał z rodziną na piętrze. Na poddaszu mieścił się strych, gdzie składowano zboże, jabłka i inne płody rolne. To właśnie tam kuzyn Wilhelm, zastrzelony później w pojedynku powietrznym przez mego szkolnego kolegę, godzinami czatował z wiatrówką na myszy.

Po powrocie do kraju brakowało nam zawsze kuchni bawarskiej, która była wyszukana i pikantna. Lubiliśmy chleb żytni, ciemny miód sosnowy, wielkie mrożone budynie ze świeżym sokiem z malin i śniegiem z lodowni, dziczyznę upolowaną przez dziadka, pasztety, a zwłaszcza różne sosy grzybowe. A także precele, marchew na słodko oraz puddingi z borówek i żurawin. W sadzie koło domu opychaliśmy się do woli jabłkami, gruszkami i renklodami. W ogrodzie rosły prócz tego krzaki czarnej porzeczki i agrestu. Dziadek był wprawdzie liberałem i zwolennikiem nowoczesnej agronomii, lecz majątek należał doń od niedawna i miał nadal charakter feudalny. Przerażali nas ubodzy, spoceni parobcy, wyglądali jak troglodyci i mówili niezrozumiałym dialektem. Na drabinie społecznej stali niżej niż służba w Anglii. Pół mili od dworu znajdowała się kolonia Włochów sprowadzonych przez dziadka jako tania siła robocza do cegielni. Kojarzyli nam się z „leśnymi Cyganami” z piosenki. Zabrawszy nas tam pewnego dnia, dziadek dał mi do spróbowania kawałek włoskiej *polenty*^[6]. Kiedyśmy się później skarżyli, że pudding mleczny podano do stołu przypalony, matka mawiała: „A ci biedni Włosi z cegielni dziadziusia przypalali sobie polentę specjalnie, żeby zmieniła smak”.

Na tyłach Laufzornu leżał duży, okolony kosaćcami staw, gdzie hodowano karpie, które dziadek odławiał co parę lat niewodem. Przyglądaliśmy się raz owej czynności, krzycząc radośnie na widok sieci wyciąganej na mieliznę. Wiło się w niej mnóstwo karpia, między którymi rzucał się wielki szczupak. Wszedłem do wody, aby pomóc, i przyssało mi się do nóg sześć pijawek przypominających czarne rurki z gumy. Puściły dopiero posypane solą. Parobków ogarnęło szalone podniecenie: jeden wypatroszył rybę kciukiem i pożarł na surowo. Pamiętam również ślepy tor kolejowy między cegielnią a stacją dwie mile dalej. Cegielnia leżała ciut wyżej, toteż załadowawszy wagony, Włosi pchali je hurmem po szynach przez kilkadziesiąt jardów, one zaś toczyły się same na dół.

Pozwalano nam wspinać się na krokwie wielkiej stodoły i skakać na miękkie siano. Zwiększaliśmy stopniowo wysokość i cieszyło nas, że nasze trzewia stają się nieważkie w chwili lotu. Pewnego razu zwiedziliśmy piwnicę w Laufzornie, nie zwykłą piwnicę na piwo, ale inną, do której wchodziło się z dziedzińca. Była zupełnie ciemna, bo oświetlona tylko wąskim lufcikiem. Na podłodze leżała ogromna sterta kartofli, które wypuściły ku oknu skręconą masę długich białych pędów. W jednym z kątów ziała okratowana czarna dziura. Było to podobno tajemne przejście do ruin klasztoru w odległości mili. Wujowie ongiś tam zeszli, lecz w korytarzu panował taki zaduch, że musieli zawrócić. Kratę wstawiono, by nikt nie zginął próbując ich naśladować. Mam dziś wrażenie, że nabijano nas w butelkę, a dziura prowadziła w istocie do *garde-robe*, jak zwano eufemistycznie w średniowieczu podziemne wychodki.

Kiedy jechaliśmy brekiem, notable mijanych wiosek pozdrawiali dziadka słowami: *Griiss Gott, Herr Professor*^[7]. W każdym siole stała wielka karczma z nieforemną kręgielnią i wysoki pał pomalowany spiralnie na biało-niebiesko. Były to bawarskie barwy narodowe, przy słupie zaś odbywał się co roku festyn majowy.

[6] Polenta (*wł.*) - potrawa z kukurydzy popularna w północnych Włoszech.

[7] “Griiss Gott... (*niem.*) - Szczęść Boże, panie profesorze!

Zdumiewało nas, że nikt nie pilnuje jabłoni i grusz rosnących wzdłuż gościńców. Nie rozumieliśmy, dlaczego są na nich owoce. Na Błoniach Wimbledońskich, mimo wysiłków żwawego dozorcę, dewastowano kijami i kamieniami nawet kasztany. Najmniej podobały nam się w Bawarii przydrożne krzyże z broczącymi krwią ranami Chrystusa oraz dewocyjne wizerunki czyścica, gdzie wśród wysokich żółtoczerwonych płomieni szczyrzyły z bólu zęby nagie dusze. Choć nauczono nas wierzyć w piekło, nie lubiliśmy, gdy nam o nim przypominano.

Monachium wydało nam się okropne: wstrętny odór piwa i dymu z cygar na ulicach, głośny brzęk sztućców dochodzący z restauracji, nieprzejednani urzędnicy, hordy ciepło ubranych, spasionych mieszczuchów w omnibusach i pociągach. Była tam także przerażająca kostnica, gdzie nie wpuszczano dzieci. Jak się dowiedzieliśmy, po śmierci przywożono do niej miejskich notabli, których sadzano na parę dni w fotelach. Generałów ubierano w mundury, a burmistrzowe w klejnoty i jedwabie. Na wypadek gdyby w zmarłych kołatało się jeszcze życie, do palców przywiązywano im sznurki, których najmniejsze poruszenie powodowało bicie wielkiego dzwonu. Nie wiem, czy owe opowieści są prawdziwe, ale święcie w nie wierzyłem. Kiedy w rok po naszej ostatniej wizycie dziadek umarł, wyobraziłem go sobie w kostnicy: szopa siwych włosów, surdut, spodnie w prążki, ordery i stetoskop. A może także, myślałem, kapelusz z jedwabiu, rękawiczki i laseczka na stoliku obok. Dręczył go koszmarny sen - próbował ożyć, choć wiedział, że jest martwy.

Dyrektor Szkoły Rokeby, który oćwiczył mnie różgą, gdy zapomniałem przynieść buty gimnastyczne, był miłośnikiem kultury niemieckiej. Wywarło to znaczny wpływ na charakter szkoły, tak że znajomość niemieckiego i podróże po Niemczech dały mi fory nad innymi uczniami. W pozostałych internatach związki z Niemcami uważano za wybaczone, a może nawet interesujące. Uchodziły za występki jedynie w Charterhouse. Historia mojego życia od ukończenia czternastu lat, kiedy wstąpiłem do gimnazjum, aż do schyłkowego okresu wojny, gdy zacząłem myśleć samodzielnie, to dzieje wyparcia się niemieckiej części własnej natury - pod przymusem. Zarzekałem się gniewnie, iż jestem Irlandczykiem, i broniłem owej tezy naciągany argumentem, że liczy się tylko narodowość ojca. Ma się rozumieć, akceptowałem także patriarchalny ustrój rodziny i wierzyłem w naturalną wyższość mężczyzny nad kobietą. Matka brała dosłownie rotę przysięgi małżeńskiej, mówiącą o miłości, wierności i posłuszeństwie, a siostry wychowano tak, że wolały być chłopcami, wpadały w trwogę na myśl o emancypacji kobiet i nie liczyły na tak kosztowne wykształcenie jak bracia. Ostatnie słowo we wszystkich sprawach domowych miał zawsze ojciec. Matka mawiała: „Jak się jedzie we dwoje, jedno musi jechać z tyłu”. My, dzieci, nie mówiliśmy dobrze po niemiecku. Myliliśmy rodzają i przyimki oraz nigdy nie nauczyliśmy się alfabetu gotyckiego. Mieliśmy jednak tak głębokie poczucie ducha niemieckiej, iż mam dzisiaj wrażenie, jakbym znał niemiecki znacznie lepiej niż francuski, choć po francusku, czytam prawie tak szybko jak po angielsku, po niemiecku zaś bardzo powoli i z wielkim mozolem, nie mogąc się obyć bez słownika. Do każdego; z obu języków używam innej części umysłu. Francuski to powierzchowny nabytek i gdybym nie musiał się nim od czasu do czasu posługiwać,; błyskawicznie bym go zapomniał.

V

Większą część wczesnego dzieciństwa spędziłem w Wimbledonie. Przestronny dom opodal błoni sprzedaliśmy dopiero po wojnie, nie przypominam sobie jednak ważniejszych wydarzeń z nim związanych. Co prawda od jedenastego roku życia mieszkałem stale w internatach, a ferie wiosenne i letnie spędzaliśmy na wsi, tak że widywałem dom tylko na gwiazdkę i na samym początku wakacji. Londyn leżał o pół godziny drogi, lecz odwiedzałem go rzadko. Do teatru nie zabierano nas nigdy, nawet na żywe obrazy, i do połowy wojny byłem w teatrze jedynie na dwóch spektaklach dla dzieci, na które zawiozła nas uprzejma ciotka. Matka wychowywała nas na ludzi poważnych, którzy mają przynosić społeczeństwu pożytek, ale ukrywała przed nami brud, intrygi i zepsucie świata. Wierzyła, że najpewniej chroni przed nimi niewinność. Starannie cenzurowała nasze lektury. Chciała, bym został człowiekiem „jeśli nie wielkim, to przynajmniej dobrym”. Wycieczki poza Wimbledon miały zawsze cel edukacyjny albo estetyczny: jeździliśmy do Kew Gardens, Hampton Court, zoo, Muzeum Brytyjskiego i Muzeum Historii Naturalnej. Pamiętam, jak w sali z biżuterią w Muzeum Brytyjskim matka oznajmiła nam z błyszczącymi oczami, że owe wspaniałe precjoza należą do nas. Spojrzeliśmy na nią ze zdumieniem. Odrzekła: „A tak, do nas jako członków społeczeństwa. Możemy je podziwiać i badać, ile tylko dusza zapagnie. Gdybyśmy je trzymali w domu, nic byśmy nie zyskali, a mogłyby paść łupem złodziei”.

Czytaliśmy więcej książek niż inne dzieci. Biblioteka domowa liczyła około pięciu tysięcy tomów. Były to przestarzałe dzieła naukowe zapisane ojcu przez mego imiennika (którego nazwałem przyjacielem Wordswortha, ale którego łączyła także tkliwa zażyłość z Felicją Hemans), własne książki ojca, głównie poezje i literatura anglo-irlandzka w osobnej szafce, dzieła religijne należące do matki, podręczniki przesłane ojcu przez wydawców w nadziei, że zaleci je do szkół państwowych, oraz książki przygodowe i powieści zakupione dla starszego rodzeństwa.

Matka opowiadała nam o wynalazcach i lekarzach, którzy złożyli życie w ofierze cierpiącym, o ubogich chłopcach, co doszli ciężką pracą na sam szczyt, i o świątobliwych mężach dających przykład innym. Poznaliśmy także bajkę o królu, który oddał swój przepiękny ogród poddanym. Weszło tam dwóch uczniów - pierwszy, o którym matka mówiła tonem z lekka szyderczym, dostrzegał chwasty wśród tulipanów, drugi zaś (w tym momencie się rozpromieniała) nawet na wysypiskach śmieci znajdował piękne kwiaty. Unikała w miarę możliwości tematów związanych z wojnami, bo nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego Bóg na nie pozwala. Na moim wczesnym dzieciństwie legł ponury cień wojny burskiej. Mój najstarszy brat Philip (podający się za fenianina) uważał się za zwolennika Burów i toczył przy śniadaniach spory z ojcem, którego poglądy polityczne nie były nigdy skrajne.

Sprzedaż domu w Wimbledonie rozwiązała wiele problemów. Matka nie znosiła wyrzucania czegokolwiek, co mogło się w jej mniemaniu przydać, toteż przez dwadzieścia pięć lat nazbierało się mnóstwo rupieci. Najciekawszym miejscem domu była szafka na leki. Trudno ją nazwać nieporządną: wszystkie buteleczki miały korki, lecz stały w takiej ciasnocie, że tylko matka, obdarzona dobrą pamięcią, wiedziała, co zawierają te z tyłu. Niewątpliwie co parę lat dokonywała ich przeglądu. Do wszystkich niepewnych fiolek przylepiała karteluszek: „Stara maść na odciski Arthura?”, „Strychnina?” Nie wyrzucała nawet specyfików na szkarlatynę i koklusz, na wypadek nawrotu choroby. Jako miłośniczka oznaczeń, na jednej z moich nagród szkolnych zanotowała: „Robert Rankę Graves otrzymał tę książkę w nagrodę za najlepsze stopnie w klasie i drugie miejsce na egzaminach. Przyznano mu także specjalną nagrodę z religii, choć był najmłodszym uczniem. Napisała to jego kochająca matka, Amy Graves. Lato 1908 roku”. Dzemy domowej roboty podawano zawsze do stołu wraz ze świadectwem pochodzenia. Na jednym ze słoczków widniał napis: „Agrest, cytryna i rabarbar z dodatkiem niewielkiej ilości agrestu ze sklepu. Przetworzyła Nelly”.

Trzy powiedzonka i ulubiona opowieść matki:

Dzieci, nakazuję wam jako matka nie kręcić niczym w dłoniach. Król Hanoweru wydłubał sobie oko machając sakiewką obszytą perłami.

Dzieci, nakazuję wam jako matka zachowywać ostrożność, gdy idziecie schodami ze świecą w ręku. Świeca to miseczka roztopionego wosku.

Pewien Francuz umarł z żalu, że nie może zostać matką.

Bajkę opowiadała nam przy świecach:

W Szlezewiku-Holsztynie, gdzie wszyscy mają krzywe uszta, żyła raz na wsi rodzina. Któregoś wieczoru trzeba było zdmuchnąć świecę. Ojciec miał usta skrzywione w lewo. Chciał zdmuchnąć świecę, lecz był zbyt dumny, by stanąć gdziekolwiek indziej niż na wprost płomienia, dmuchał więc i dmuchał, lecz nie mógł go zgasić. Potem próbowała matka, mająca usta skrzywione w prawo, lecz była zbyt dumna,

by stanąć gdziekolwiek indziej niż na wprost płomienia, dmuchała więc i dmuchała, ale nie mogła go zgasić. Był także braoiizek o ustach wykrzywionych do góry i siostrzyczka o ustach wykrzywionych na dół. Próbowali po kolei wszyscy, nawet przyglupie niemowlę z ustami wykrzywionymi wiecznym uśmiechem, aż w końcu tłuząca, piękna panna z Kopenhagi mająca prześliczne usta, zgasiła Świeof pantofelkiem. Szast-prast!

Od razu widać, ile zawdzięczam matce jako pisarz. Nauczyła mnie także „mówić prawdę i zawstydząć diabła”. Jej ulubiony cytat biblijny brzmiał: „Synu, na co natknie się twoja ręka, abyś to zrobili to i rób Według swojej możliwości”^[8].

Wimbledon uważałem zawsze za miejsce dziwne; ni to miasto, ni to wieś.

Najgorzej było w środy, gdy matka przyjmowała gości. Schodziliśmy do salonu w odświeżonych ubraniach, jedliśmy ciasteczka i grzecznie się zachowywaliśmy. Całowały nas ciotki, siostry zaś musiały recytować wiersze. W okresie gwiazdki, obchodzonej w stylu niemieckim, odbywał się z tuzin kinderballi, a nas ogarniała gorączka podniecenia. Nie lubię myśleć o Wimbledonie.

Jeśli nie wyjeżdżaliśmy do Niemiec albo do Francji, gdzie raz byliśmy, wiosną i lato spędzaliśmy w Harlech w północnej Walii. Matka zbudowała tam dom. Zanim na walijskich wybrzeżach Atlantyku pojawiły się samochody, Harlech było miejscowością bardzo spokojną, prawie wcale nie znaną, nawet jako ośrodek golfowy. Składało się z trzech części. Przede wszystkim z samej wioski leżącej na paśmie stromych wzgórz o wysokości pięciuset stóp. Stały tam granitowe domy z brzydkimi oknami i szczytami kryte czerwoną dachówką, kościołki kilku sekt, sklepy stanowiące centrum handlowe dla okolicznych siół oraz zamek, ulubione miejsce naszych zabaw. Nad oceanem znajdowała się Morfa, piaszczysta równina zalana niegdyś przez morze: część wchodziła w skład pól golfowych, lecz na północy leżało dzikie pustkowie, gdzie wiosną szukaliśmy jaj siewek. Za golfowiskiem ciągnęła się milami plaża pokryta dobrym, twardym piaskiem. Można się tam było bezpiecznie kąpać i bawić w chowanego na wydmach.

Trzecią część Harlech, nigdy nie odwiedzaną przez golfistów i nielicznych letników, a rzadko przez samych wieśniaków, stanowiły bezludne, skaliste wzgórza za wioską. Z biegiem lat coraz mniej czasu spędzaliśmy na plaży i polach golfowych, a coraz więcej w górach. Gdzieniedzie stały gospodarstwa i zagrody, ale można było przejść kilkanaście mil nie widząc śladów ręki ludzkiej. Początkowo nasze wyprawy miały cel praktyczny. Były nim borówki ze wzgórz koło Maes-y-garnedd, żurawiny z Gwllwllyn i gliniane szczątki starożytnych hypokaustów (pokryte odciskami kciuków garncarzy) w ruinach willi rzymskich koło Castell Tomen-y-mur. W górnym biegu rzeki Artro rosły pełniki europejskie, a pod Rhinog Fawr, najwyższym szczytem w następnym paśmie górskim, można było zobaczyć kozice. Zbieraliśmy maliny w matecznikach koło jeziora Cwmbychan i białe wrzosey na bezimiennym wzgórzu na północ od kamienistej drogi zwanej Schodami Rzymskimi. Po jakimś czasie jednak zaczęliśmy chodzić w góry po prostu dlatego, że dobrze się tam spacerowało. Brząy gór walijskich podobały się nam nawet bardziej niż srebrzystość Alp Bawarskich.

Rosaleen, moja siostra i najlepsza w owym czasie przyjaciółka, była ode mnie rok starsza.

Kraj ten, zupełnie niepodobny do innych, zdawał się nie zależeć od natury. Prawie nie zauważało się zmian pór roku. Karłowatą trawę stale owiewał wiatr, a ciemne strumienie pędzące po czarnych głazach były zawsze chłodne i czyste. Nieokielznane owce górskie potrafiły przeleźć przez kamienny mur wysokości sześciu stóp (w przeciwieństwie do powolnych, ciężkich sausaunów o brudnej sierści, które pasły się na polach pod Wimbledonem), w spoczynku zaś przypominały do złudzenia omszałe granitowe głazy walające się wszędzie dokoła. Drzewa - leszczyny, jarzębiny, karłowate dęby i cierniste głogi - rosły jedynie w dolinach. Zimy były łagodne, toteż wiosną spod śniegu wyglądały spłowiałe paprocie i wrzosey z zeszłego roku. Ptaków prawieśmy nie widywali, z wyjątkiem myszołowów i kulików kołujących na widnokręgu. Gdziekolwiek się poszło, kamienne szkielety gór zdawały się tkwić zaledwie kilka cali pod warstwą gleby.

Nie mając w żyłach walijskiej krwi, nie czuliśmy pokusy uczenia się walijskiego ani tym bardziej udawania, że jesteśmy Walijszykami. Traktowaliśmy Walię niczym krainę z baśni. Każdy zbłąkany owczarz wydawał się intruzem naruszającym nasz spokój. Clarissa, Rosaleen i ja poszliśmy raz na daleką wycieczkę w góry i nie spotkaliśmy przez cały dzień żywej duszy. Doszedłszy w końcu do wodospadu, dostrzegliśmy na brzegu dwa pstrągi. Dziesięć jardów dalej stał wędkarz wypłutujący żyłkę z krzaka głogu. Nie zauważył nas, podczołgałem się więc cichutko do ryb i wsadziłem każdej do pyska gałązkę białego wrzosu zebranego owego popołudnia.

[8] *Księga Kaznodziei Salomona*, IX. 10.

Ukryliśmy się pospiesznie. Spytałem: „Popatrzemy?“, ale Clarissa odrzekła: „Nie, nie psujmy zabawy“. Wróciliśmy do domu i nigdy więcej o tym nie wspominaliśmy, nawet między sobą, tak że nie wiem, jaki był dalszy ciąg.

W Irlandii uczylibyśmy się zapewne języka gaelickiego i miejscowych legend, lecz pojechaliśmy tam tylko raz, gdy byłem dzieckiem na rękę. Poznaliśmy za to Walię w sposób czystszy, jako krainę o dziejach zbyt starożytnych, by przetrwały w podaniach. Wędrując po górach, tworzyliśmy własne baśnie. O tym, kogo pochowano pod Maczuga Skalna i kto mieszkał w warownym obozie prehistorycznym czy w jaskiniach w dolinie, gdzie rosły ogromne jarzębiny. Przebywając w Niemczech, w zwykły ludzki sposób czułem się jak u siebie w domu, a w górach Harlech odnalazłem spokój wewnętrzny niezależny od czynników historyczno-geograficznych. Pierwszy wiersz, jaki napisałem we własnym imieniu, dotyczył właśnie owych gór (pierwszy wiersz, jaki napisałem jako Graves, był zgrabnym tłumaczonkiem Katullusa).

Nasz zapracowany i roztargniony ojciec nigdy się o nas nie martwił, ale matka bardzo. Mimo to pozwalała nam wyruszać w góry tuż po śniadaniu i nie skarżyła się zbyt, gdy wracaliśmy po kolacji. Chociaż cierpiała na lęk wysokości, nie zabraniała nam wchodzić na niebezpieczne urwiska, a nam nigdy się nic nie stało. Ja także miałem lęk wysokości i z trudem nauczyłem się go przewycięzać. Wspinaliśmy się na szczyty baszt i wieżyc zamku w Harlech. Ciężko pracowałem nad sobą, by zrozumieć i rozwiązać swoje obawy. Na początku przewyciężyłem zwykły strach przed upadkiem.

W ogrodzie naszego domu w Harlech stała ściana skalna służąca jako kamieniołom. Można się było na nią łatwo wdrapać, lecz znajdowałem stopniowo coraz trudniejsze drogi na szczyt. Po każdym kolejnym sukcesie leżałem na łączce na górze, wstrząsany nerwowymi tikami. Pewnego dnia obsunęła mi się noga i omal się nie zabiłem, ale jakimś cudem udało mi się znaleźć oparcie dla stopy i podbić do góry. Kiedy oglądałem później owo miejsce, przypomniało mi się kuszenie Jezusa: chęć rzucenia się w dół w objęcia aniołów. Podczas wspinaczek zdarzają się niekiedy takie cuda. Mój przyjaciel George Mallory, który zaginął później w szczytowych partiach Mount Everestu, przeżył ongiś niezwykłą przygodę podczas wyprawy na Snowdon. Zlazł na skróty po fajkę zostawioną na półce skalnej w połowie jednej z zerw Lliweddu i wgramolił się pod górę tą samą drogą. Nikt nie widział ściany, którą się wspinał, ale gdy rano przybyto na miejsce, by oficjalnie odnotować przejście, okazało się, że ściana jest niemal w całości przewieszona. Wedle reguł Klubu Alpejskiego drogi wspinaczkowe nazywane są zawsze od naturalnych cech rzeźby skalnej nigdy zaś od nazwisk odkrywców, ale w tym wypadku uczyniono wyjątek. Opisano ją następująco: „*Fajka Mallory'ego*, warianttjdrogi numer dwa (por. mapka obok). Przewieszkę tę, prawie niemożliwą do pokonania, przeszedł raz o zmroku G. H. L. Mallory”.

VI

Opis gimnazjum Charterhouse pozwolę sobie rozpocząć od ostatniego dnia w szkole, tydzień przed wybuchem wojny. Dzieliłem się wrażeniami z ówczesnym starostą, Nevillem Barbourem. Przede wszystkim zgodziliśmy się, że niektóre gimnazja prywatne są z pewnością jeszcze gorsze, choć trudno to sobie wyobrazić. Następnie, że reformy nie wchodzą w rachubę, ponieważ tradycja jest tak silna, że szkołę należałoby rozwiązać, personel zwolnić i zacząć wszystko od początku. Ale i to by nie wystarczyło, albowiem same mury są do tego stopnia przeniknięte duchem gimnazjów prywatnych, stanowiącym źródło wszelkiego zła, że budynki trzeba by zburzyć i odbudować w innym miejscu pod inną nazwą. W końcu stwierdziliśmy, że żałujemy jedynie, iż opuszczamy miejsce, gdzie przez ostatni rok, jako uczniowie klasy szóstej, mogliśmy robić mniej więcej to, co chcemy. Mielśmy obaj wstąpić do Kolegium Świętego Jana w Oksfordzie, które zapowiadało się na hałaśliwą replikę Charterhouse. Będziemy znowu fuksami, lecz nie okazemy się rzecz prosta morowi i nie przejawimy ducha właściwego pierwszorocznikom, toteż czeka nas konflikt z bandą idiotów. Nasze rzeczy zostaną wyrzucone do góry nogami, a my wpadniemy w furję i damy komuś w mordę, za co sami dostaniemy w mordę. Spokój zapanuje dopiero na trzecim roku, gdy znajdziemy się w takiej samej sytuacji jak obecnie i w ostatniej klasie szkoły podstawowej.

- Ta bzdura - stwierdził Nevill - skończy się oficjalnie w tysiąc dziewięćset siedemnastym. Dostaniemy dyplomy i przeżyjemy wszystko od nowa w jakiejś okropnej pracy.

- Dokładnie tak - odrzekłem.

- Boże mój - zwrócił się do mnie nagle - na samą myśl aż mnie skręca! Nie mogę iść od razu do Oksfordu. Muszę spędzić za granicą przynajmniej całe wakacje.

Uważałem, że trzy miesiące to stanowczo za mało. Snułem plany ucieczki na morze.

- Czy zdajesz sobie sprawę - spytał Nevill - że ślęczeliśmy czternaście lat nad łaciną i greką, wykładanymi zresztą dość niedołąźnie, a teraz czekają nas jeszcze trzy?!

Kiedy omawialiśmy najgorsze strony Charterhouse, jeden z nas - nie pamiętam już który - powiedział:

- Problem polega oczywiście na tym, że w danym momencie da się zawsze znaleźć przynajmniej dwóch naprawdę przyzwoitych nauczycieli i dziesięciu naprawdę przyzwoitych uczniów. Tych będziemy zawsze pamiętać, czując się jak Pan Bóg, który nie chciał potępić Sodomy przez wzgląd na dziesięciu sprawiedliwych. A za dwadzieścia lat, zapomniawszy o tej rozmowie, dojdziemy do wniosku, żeśmy się mylili i że wszyscy, oprócz kilku czarnych owiec, byli zapewne przeciętnymi przyzwoitymi ludźmi. Powiemy sobie: „Byłem wtedy głupim szczeniakiem”, i przez sentyment pošlemy synów do Charterhouse, a oni przejdą przez to samo co my.

Powyższe uwagi, których nie należy brać za napaść na moje gimnazjum, stanowią jedynie zapis naszych ówczesnych nastrojów. Bez wątpienia nie byłem w stanie docenić twardej szkoły charakteru, jaką daje pobyt w prywatnym internacie. Pewien wychowanek Charterhouse powiedział mi niedawno: „Od owych czasów poziom moralny szkoły wybitnie się podniósł”. No tak - ale czyż nie podnosił się zawsze?

W istocie poszedłem do Oksfordu dopiero w pięć lat później, w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym, kiedy mój brat Charles, młodszy ode mnie o cztery lata, był już studentem. Zanim w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku uzyskałem dyplom, na uniwersytet zdążył wstąpić mój brat John, młodszy o lat osiem.

W Charterhouse od pierwszych chwil gnębiło mnie przytłaczające uczucie, które wspominam niechętnie. Czulem się trochę jak kartofel w chłodnej piwnicy w Laufzornie, ale kartofel różny od innych. Szkoła liczyła około sześciuset uczniów, interesujących się głównie sportem i amorami. Nauką gardzili wszyscy, a prymusów nie zakwaterowano razem jak w Winchesterze czy Etonie, lecz ulokowano w dziesięciu bursach i przezywano kujonami. Jeśli nie byli dobrzy w grze w piłkę, jeśli nie potrafili udawać, że gardzą książkami jeszcze bardziej niż inni, i jeśli na każde żądanie nie chcieli pomagać w nauce starszym - nie mieli łatwego życia. Byłem pilnym uczniem, szczerze lubiącym naukę, toteż zdumiała mnie i rozczarowała apatia panująca na lekcjach. W pierwszym trymestrze zostawiono mnie w spokoju, było bowiem regułą, iż wstępniaków nie wolno ani rozzuchwalać, ani dręczyć.

Starsi koledzy odzywali się do mnie w zasadzie tylko wtedy, gdy wyprawiali mnie na posyłki albo chłodno wytykali mi naruszenie norm życia szkolnego.

Kłopoty zaczęły się w drugim trymestrze. Na moją niepopularność złożyło się kilka czynników. Byłem uczniem dobrym i nie wyróżniającym się w sporcie, a na domiar złego ustawicznie brakowało mi kieszonkowego. Ponieważ nie mogłem fundować kolegom słodczy w sklepiu szkolnym, przeto nie godziło mi się przyjmować poczęstunków. Moje ubrania, choć na pozór zgodne z regulaminem, pochodziły ze sklepów z konfekcją i nie były uszyte z najlepszego sukna jak marynarki pozostałych chłopców. Nie

umiałem zresztą ładnie nosić ubrań. Matka i ojciec nie mieli głowy do subtelnych prawideł mody, a moi starsi bracia przebywali podówczas za granicą. Prawie wszyscy uczniowie zakwaterowani w mojej bursie, z wyjątkiem pięciu prymusów, byli synami przemysłowców i należeli do sfery, której zainteresowań i uprzedzeń nie znałem, mając dotychczas do czynienia wyłącznie z dziećmi ludzi wolnych zawodów. Byłem ponadto zbyt gadatliwy jak na gust kolegów. Na domiar złego, zgodnie z założeniami matki, pozostawałem nadal pruderyjnie niewinny. Nic nie wiedziałem o zwykłych przejawach życia płciowego, a cóż dopiero o jego wielu perwersyjnych odmianach, o jakich mówiło się nieustannie w szkole. Na rozmowy takie reagowałem zgrozą i chęcią ucieczki.

Najgorsze było to, że figurowałem w dzienniku jako Robert von Ranke Graves. Dotychczas sądziłem, że Ranke jest imieniem, i *von*, odkryte w metryce urodzenia, wzbudziło we mnie niepokój. Wychowankowie Charterhouse trzymali swoje drugie imiona w sekrecie i zazwyczaj udawało im się ukryć imiona niezwykle. Rankę bez *von* uznano by niewątpliwie za jednosylabowe imię angielskie, ale *von Ranke* rzucało się w oczy. W owym czasie młodzież ze sfer przemysłowych toczyła gorące debaty na temat groźby czy wręcz konieczności wojny celnej z Rzeszą Niemiecką. Niemiec znaczyło wówczas tyle, co niemiecka Świnia. Niemcy kojarzyły się z tanimi bublami podkopującymi nasz wspañy przemysł, militarystką, prusactwem, jałową filozofią, pedanterią w nauce, sentymentalnymi pieśniami ipobrzękiwaniem szabelką. Drugiego chłopca o niemieckim nazwisku mieszkającego ze mną w bursie traktowano podobnie, mimo że był Anglikiem, z krwi i kości. Natomiast uczeń pochodzenia francuskiego cieszył się powszechną sympatią, chociaż słabo grał w piłkę. Król Edward Siódmy gruntownie wcielił w życie *Entente cordiale*^[9]. Moją sytuację pogarszał rozpowszechniony antysemityzm: ktoś puścił plotkę, że jestem nie tylko Niemcem, ale niemieckim Żydem.

Ma się rozumieć, podawałem się zawsze za Irlandczyka, lecz nie podobało się to młodemu Irlandczykowi, który mieszkał w bursie półtora roku dłużej ode mnie. Bez przerwy mi dokuczał, plamiąc mi kajety atramentem, chowając kostium gimnastyczny, napadając znieacka zza węgla, polewając w nocy wodą i zmuszając nieustannie do wysłuchiwania tłustych dowcipasów, które przyjmowałem z niesmakiem, co skłaniało wszystkich do naśmiewania się z mojej pruderii. Wymyślił także szyderczą opowieść o mojej obłudzie i skrytej perwersyjności. Etyka uczniowska nie pozwalała mi donieść o swoich kłopotach inspektorowi bursy. Uczniowie będący asystentami inspektora, chociaż mieli utrzymywać porządek i strzec moralności, nigdy nie interweniowali w przypadku tyranizowania młodszych. Próbowałem bronić się pięściami, ale ponieważ byłem znacznie słabszy, prowokowałem tylko nowe szykany. Znacznie mądrzejszą polityką byłby zapewne bierny opór. Do sprośnych żartów przyzwyczałem się w ciągu dwu ostatnich lat nauki, na zniewagi zaś nauczyłem się odpowiadać tą samą monetą dopiero w wojsku, gdzie nabrałem hartu.

G. H. Rendall, ówczesny dyrektor Charterhouse, oświadczył podobno w najlepszej wierze na konferencji dyrektorów gimnazjów: „Uczniowie moi kochliwego są usposobienia, lecz stronią od spraw cielesnych”. I rzeczywiście - dowiedział się o niewielu sprawach cielesnych między uczniami. Podczas mego pobytu w Charterhouse doszło zaledwie do kilku wielkich skandali, a wydalenia ze szkoły zdarzały się rzadko. Inspektorzy burs nie mieli pojęcia, co się dzieje, sypiali bowiem poza internatem. Zgadzałem się jednak z Rendallem, że kochliwe usposobienie (przez co rozumiał platoniczny afekt do młodszego kolegi) należy odróżnić od spraw cielesnych czy przejawów młodzieńczego pożądania. Intymne stosunki, zdarzające się często, rzadko łączyły starszego i młodszego chłopca - zepsułoby to iluzję romantyczności - ale prawie zawsze uczniów w równym wieku, którzy wykorzystywali się na chłodno do zaspokajania żądy. Panowała tedy w szkole ciężka atmosfera wczesnowiktoriańskiego romansu, skażona cynizmem i wyuzdaniem.

[9] *Entente cordiale (franc.)* - „Serdeczne porozumienie” między Anglią a Francją zawarte w 1904 roku.

VII

W połowie drugiego roku napisałem do rodziców, że muszą mnie odebrać, bo nie mogę już dłużej wytrzymać: bursa dała mi wyraźnie do zrozumienia, że jestem parszywą owcą. Chcąc ich przekonać, podałem w sekrecie szczegóły, okazali się jednak niegodni zaufania, uznając za swoją powinność religijną donieść inspektorowi o treści listu. Nie ostrzegli mnie nawet, poprzestawszy na odwiedzinach i wygłoszeniu kazania o potędze wiary i modlitwy. Muszę znosić wszystko cierpliwie w imię... Nie pamiętam już dokładnie, w imię czego - może kariery? Powstrzymałem się na szczęście od opisu nocnego życia internatu, toteż inspektor zadowolił się wygłoszeniem wieczornej pogadanki, w której ogólnikowo potępił bicie słabszych. Stwierdził, iż wpłynęła skarga rodziców pewnego ucznia, lecz zaznaczył jednocześnie, że bardzo nie lubi donosicielstwa i wtrącania się obcych w sprawy bursy. Moje nazwisko nie padło, ale wizyta rodziców w dzień nieświęteczny wzbudziła komentarze. Musiałem tedy pozostać w szkole z opinią szpicla. Byłem wtenczas prymusem i miałem własny pokój, którego jednak nie dawało się zamknąć, i moje rzeczy nieustannie wywracano do góry nogami. Nie mogłem nawet korzystać z szatni, toteż w strój gimnastyczny przebierałem się pod nieczynnymi prysznicami. Potem stwierdzono u mnie wadę serca i lekarz szkolny zabronił mi gry w piłkę nożną. Za ostatnią deskę ratunku uznałem symulację obłędu, co przyniosło efekty nadspodziewanie dobre. W krótkim czasie zaczęto mnie unikać jak zarazy. Pomysł podsunęła mi lektura *Pierwszej Księgi Samuelowej*, gdzie Dawid „bije pięściami w odrzwia bramy i obślinia swoją brodę”^[10].

Nie oskarżam rodziców o zdradę. Ich uczciwość jest bez zarzutu. W następnym trymestrze pojechałem do Charterhouse specjalnym pociągiem szkolnym, ale przybyłem na dworzec Waterloo za późno i nie zdążyłem kupić biletu. Ponieważ kolej nie zadbała o dostateczną liczbę wagonów, musiałem stać przez całą drogę. W Godalmingu porwał mnie tłum uczniów pędzących hurmem na postój taksówek. Minąłem w ścisiku konduktorów odbierających bilety i tym sposobem uniknąłem płacenia za bardzo niewygodną podróż. Wspomniałem o tym w następnym liście do rodziców - ot, żeby po prostu coś napisać - i w odpowiedzi otrzymałem od ojca list z wymówkami. Stwierdził, że pojechał specjalnie na dworzec Waterloo, kupił bilet do Godalmingu i podarł go. Matka bywała jeszcze skrupulatniejsza. W Wimbledonie stanęło raz na noc młode małżeństwo w podróży poślubnej. Zostawili w domu zawiniątko z kanapkami, z których dwie były nadgryzione. Matka odesłała je pocztą.

Pozostawiony samemu sobie, zacząłem pisać wiersze, co uznano za jeszcze pewniejszy dowód szaleństwa niż gesty w rodzaju obśliniania własnej brody. Kiedy jeden z moich utworów wydrukowało czasopismo szkolne, *The Carthusian*, zaproponowano mi wstąpienie do klubu poetów - dziwoląga jak na Charterhouse. Koło liczyło siedmiu członków. Spotkania, na których czytano i omawiano poezje, odbywały się raz w miesiącu w domu Guya Kendalla, jednego z wychowawców, a obecnie dyrektora University College School w Hampstead w Londynie. Do klubu należało czterech szóstoklasistów i dwóch uczniów starszych ode mnie o półtora roku. Żaden z nich nie pochodził z mojej bursy. Uczniowie mieszkający w różnych bursach albo będący w różnym wieku nie mogli utrzymywać kontaktów towarzyskich. Choćby w życiu pozaszkolnym byli krewniakami lub sąsiadami zza miedzy, spotykali się tylko na lekcjach i podczas meczów krykieta czy piłki nożnej. Gdyby zdarzyło im się rozegrać towarzyską partyjkę tenisa, plotkom nie byłoby wprost końca.

Toteż przyjaźń, jaką zawarłem z Raymondem Rodakowskim, jednym z dwu młodszych członków klubu, miała charakter wysoce niekonwencjonalny. Wracając do szkoły po jednym ze spotkań, opowiedziałem mu o życiu w bursie. Kilka tygodni wcześniej koledzy przewrócili mi pokój do góry nogami, znaleźli jeden z moich najosobistszych wierszy i powiesili go na tablicy ogłoszeń w świetlicy dla uczniów klas młodszych. Jako piątklasista nie miałem wstępu do świetlicy dla malców, nie mogłem przeto odzyskać wiersza. Raymond, pierwszy kolega z Charterhouse, z którym dało się porozmawiać jak z człowiekiem, wpadł w oburzenie i ujął mnie za ramię.

- A to dranie!

Powiedział, że powinienem wziąć się w garść i zrobić coś konstruktywnego, bo jestem dobrym poetą i dobrym człowiekiem. Polubiłem go za te słowa.

- Nie wolno ci grać w piłkę, więc dlaczego nie zaczniesz uprawiać boksu? - ciągnął. - Podobno pomaga na serce.

[10] *Pierwsza Księga Samuelowa*, XXI, 13.

Roześmiałem się i obiecałem spróbować.

- Pewnie się naśmiewają z twojego nazwiska? - spytał po chwili.

- Tak, nazywają mnie niemiecką świnią.

- Póki nie zacząłem się boksować - odrzekł - też miałem przykrości.

Matka Raymonda była Szkotką, a ojciec Polakiem z Galicji, założycielem toru wyścigów konnych w Brooklands.

Pięściarstwo uprawiało bardzo niewielu uczniów, a sala treningowa, położona nad sklepikiem ze słodyczami, okazała się dogodnym miejscem spotkań z Raymondem, którego inaczej widywałem tylko na zebraniach klubu poetów. Zacząłem uprawiać boks na serio i z pasją.

- Ci spece od krykieta i futbolu czują wręcz zabobonny lęk przed bokserami - powiedział Raymond. - Boją się, że zostaną oszpecceni: coroczny turniej pięściarski to takie krwawe jatki. Pamiętasz, co zrobili Mansfield, Waller i Taylor? Trzeba pielęgnować tę tradycję.

Oczywiście pamiętałem. Dwa trymestry wcześniej odbyło się słynne zebranie szkolnego klubu dyskusyjnego, któremu przewodniczyli uczniowie klasy szóstej. Chociaż debaty były raczej nudnawe, klub uosabiał wszystko, co w Charterhouse uchodziło za życie intelektualne. Drugim takim forum był *The Carthusian*, redagowany zawsze przez dwóch członków zarządu klubu. Obie instytucje były niezależne od nauczycieli. Pewnego sobotniego wieczoru poważną atmosferę debaty zakłócił tabun „niepokonanych”, zawodników reprezentacji szkoły w krykiecie i piłce nożnej, którzy wdarli się do sali posiedzeń. Niepokonani stanowili w Charterhouse klasę panującą: najmłodszy członek piłkarskiej jedenastki, choćby był uczniem klasy wstępnej, cieszył się znacznie większym prestiżem niż najlepszy uczeń klasy szóstej. Nawet starosta szkoły posiadał władzę tylko tytułarną. Jednakże pomiędzy intelektualistami z klas szóstych a niepokonanymi nie dochodziło nigdy do bójek. Sportsmeni nic by nie skorzystali na konfrontacji, intelektualści zaś dobrze się czuli pozostawieni sobie samym. Tak więc inwazja niepokonanych, którzy wrócili opici piwem ze zwycięskiego meczu przeciwko drużynie innej szkoły, bardzo zaambarasowała członków klubu. Niepokonani przerwali debatę wrzaskami i kocią muzyką, po czym zaczęli tłuc w stoły okładkami czasopism. Mansfield, przewodniczący klubu, przywoływał ich do porządku, a gdy dalej wyprawiali brewerie, zamknął posiedzenie.

Niepokonani uważali sprawę za zakończoną, ale się przeliczyli. W kilka dni później w *The Carthusian* ukazał się list otwarty, protestujący przeciwko złemu zachowaniu „rozkosznych bobasów z reprezentacji krykieta i piłki nożnej”, podpisany inicjałami Mansfielda, Wallera i Taylora. Szkoła, zdumiona samobójczą zuchwałością straceńców, czekała, aż ziemia rozewrze swoją czelusć i pochłonie Koracha, Datana i Abirama^[11].

Kapitan drużyny piłkarskiej poprzysiągł, iż wrzuci autorów do fontanny na dziedzińcu. Ale jakoś nie wrzucił. Problem polegał na tym, iż do incydentu doszło na początku trymestru jesiennego, a w reprezentacji krykieta i piłki nożnej pozostało poza nim tylko dwóch zawodników z ubiegłego roku. Nowe drużyny formowało się w trakcie sezonu rozgrywek. Reszta awanturników była niepokonana dopiero w załączku, tak więc sprawę musiało rozstrzygnąć trzech intelektualistów z klasy szóstej i trzech weteranów reprezentacji. Jednakże sportsmeni mieli nieprzyjemną świadomość, że Mansfield jest pięściarskim mistrzem Charterhouse w wadze ciężkiej, Waller dobrym bokserem w wadze średniej, Taylor zaś roslym chłopem, z którym należy się liczyć. Kiedy przemysłiwali, co też u licha zrobić, Mansfield postanowił przenieść działania wojenne na terytorium przeciwnika.

Reguły życia społecznego w Charterhouse opierały się na ścisłym podziale na kasty. Oznaki przynależności do danej kasty sprowadzały się do drobnych różnic w ubiorze. Wstępniak nie miał żadnych praw, w trymestrze drugim można było nosić krawat wielobarwny zamiast jednobarwnego, w klasie drugiej kolorowe skarpetki, a w trzecim roku zdobywało się większość przywilejów: wykładany kołnierzyk, kolorowe chustki do nosa, marynarkę z przedłużonymi wyłogami i temu podobne. W czwartym roku dochodziło kilka innych szczegółów, na przykład wywinięte mankiety, ale istniały też specjalne prerogatywy zastrzeżone dla niepokonanych. Mogli oni nosić jasnoszare flanelowe spodnie, kołnierzyki w kształcie skrzydeł motyla, marynarki rozcięte z tyłu, a także spacerować pod rękę.

[11] *Czwarta Księga Mojżeszowa*, XVI. 32.

Następnej niedzieli Mansfield, Waller i Taylor zdobyli się tedy na najzuchwalszy czyn w dziejach Charterhouse. Nabożeństwo zaczynało się o jedenastej rano, lecz uczniowie musieli przychodzić do kaplicy pięć minut wcześniej i czekać w ławkach. Za dwie jedenasta pojawiali się niepokonani, za półtorej jedenasta nauczyciele, za minutę jedenasta chórzyści w komżach, po czym przybywał dyrektor i dawał znak do rozpoczęcia ceremonii. Jeśli uczeń przypadkiem się spóźnił i wślizgnął do kaplicy między za pięć a za dwie jedenasta, śledziło go sześćset par oczu kolegów, którzy szeptali i chichotali, komentując szaleniczą nierozwagę udawania, że jest jednym z niepokonanych. Jednakże owej niedzieli, kiedy sportsmeni wmaszerowali buńczucznie do kaplicy, zdarzyła się rzecz niezwykła.

W stronę ołtarza ruszyło powoli trzech uczniów klasy szóstej. Mieli na sobie wspaniałe jasnoszare flanelowe spodnie, marynarki rozcięte z tyłu i koszule z kołnierzykami w kształcie skrzydeł motyla. Z butonierek sterczały czerwone goździki. Zdumieni i wstrząśnięci uczniowie zwrócili jak jeden mąż oczy na kapitana drużyny piłkarskiej, który pobrał jak chusta. Tymczasem nadeszli nauczyciele, a po nich zjawił się chór. Hymn, odśpiewany nierówno, zakończył się w napięciu. Po nabożeństwie uczniowie wychodzili z kaplicy w „porządku szkolnym”, to znaczy od klas starszych poczynając, a na młodszych kończąc. Klasa szósta wychodziła tedy jako pierwsza. Ponieważ niepokonani nie byli bynajmniej uczniami klas starszych, Mansfield, Waller i Taylor wyszli przed nimi. Istniał zwyczaj, że po nabożeństwie niedzielnym uczniowie zbierają się w bibliotece na ploteczki, toteż Mansfield, Waller i Taylor powędrowali do biblioteki. Zaczepili po drodze belfra-gadulę, powiedli ze sobą i rajcowali aż do obiadu. Gdyby niepokonani mieli czelność wszcząć jakieś gwałtowne kroki, powinni podjąć je natychmiast, ale awantura w obecności profesora była nie do pomyslenia. Mansfield, Waller i Taylor ruszyli na obiad do burs, gawędząc nadal z nauczycielem. Później w miejscach publicznych trzymali się zawsze razem, szkoła zaś, zwłaszcza klasy młodsze, którym reguły ubierania się dopiekły do żywego, uznała ich za bohaterów i zaczęła podrwiwać z zajęczego serca sportsmenów.

Kapitan piłkarzy poskarżył się na koniec Rendallowi, iż naruszono obyczaj szkolny, i poprosił o wyegzekwowanie praw niepokonanych środkami dyscyplinarnymi. Rendall, intelektualista niechętny tradycji gier zespołowych, odmówił. Stwierdził, że klasa szósta zasługuje na te same przywileje co drużyna piłkarska, i że ma w jego mniemaniu prawo do prerogatyw, jakie sobie wywalczyła. Prestiż niepokonanych znacznie podupadł.

Dzięki zachętom Raymonda wziąłem się w garść i w nowym roku szkolnym kłopoty znacznie się zmniejszyły. Mój główny prześladowca, Irlandczyk, odszedł, załamawszy się nerwowo. Przesłał mi list z historycznym żądaniem przebaczenia, pisząc jednocześnie, że jeśli odmówię, dostanę smary od jego przyjaciela z bursy. Pozostawiłem list bez odpowiedzi.

VIII

Przyjaciół miałem nadal tylko wśród młodszych uczniów i nie ukrywałem przed nimi niechęci do starszych. Młodzi koledzy wydawali mi się w większości sympatyczni. Pod koniec roku, podczas corocznych zawodów pięściarskich i lekkoatletycznych, stoczyłem trzyrundową walkę z Raymondem. Boks ma wiele cech miłości: zmaganie się dwu partnerów, wzajemność, ból fizyczny nie odczuwany jako ból. Żaden z nas nie chciał zranić ani pokonać drugiego, choć tłukliśmy się mocno.

Występ ów poprawił moją pozycję w bursie. Później lekarz pozwolił mi uprawiać znowu piłkę nożną i grałem zupełnie niezłe. Wkrótce jednak popadłem w nowe tarapaty. Zaczęło się od konfirmacji, do której przygotowywał mnie profesor gimnazjum, żarliwy anglikanin. Przez cały trymestr skupiałem myśli na religii w nadziei, że uroczystość okaże się kulminacją mojego życia duchowego, lecz kiedy Duch Święty nie zstąpił pod postacią gołębiczy, a ja nie zacząłem mówić obcymi językami ani nie zaszło nic szczególnego (oprócz tego, że chłopiec, którego błogosławił przy mnie biskup Zululandu, poślizgnął się na wąskim kłęczniku), poczułem dotkliwy zawód. Raymond nie przystąpił do konfirmacji i zdumiał mnie przyznając się do ateizmu, a nawet się nim chełpiąc. Przekonywałem go do Boga, Trójcy Świętej i boskości Chrystusa. Podczas rozmowy o Trójcy Raymond powiedział, iż każdy, kto przyjmuje za świętym Atanazym, że „ktokolwiek chce być zbawion, wyznać musi, iż nie Trzech Niepojętych, jeno Jeden”, stwierdza tym samym, że człowiek idzie do piekła, jeśli odrzuca coś, co jest z definicji niemożliwe do pojęcia. Szacunek dla samego siebie jako istoty rozumnej zabraniał Raymondowi wierzyć w takie rzeczy. Spytał mnie także: „Po cóż dusza, skoro ma się rozum? Jaka jest rola duszy? Czyż nie jest tylko pionkiem w grze?”

Ponieważ lubiłem i szanowałem Raymonda, czułem się zmuszony znaleźć odpowiedź na owe zatrważające pytania. Im dłużej się nad nimi zastanawiałem, tym mniej byłem pewien, że mam rację. Tak więc aby się nie narazić na utratę wiary (a wiarę i zbawienie przedkładałem nad przyjaźń doczesną), zerwałem z Raymondem wszelkie stosunki. Później zmiekle, lecz jako bezwzględny, zatwardziały ateista nie chciałem się ze mną spotykać, nawet kiedy proponowałem kompromis w duchu liberalnego anglikanizmu. Omijałem go z daleka przez resztę pobytu w Charterhouse, ale w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, kiedy służyłem w Irlandzkim Regimentzie Gwardii, wziąłem pewnego popołudnia konia i pojechałem do jego kwatery. Stałem się już wówczas kompletnym niedowiarkiem i było nam razem tak dobrze jak zawsze. Wkrótce potem poległ pod Cambrai.

Mój związek z Raymondem opierał się na przyjaźni, nie zaś miłości, ale w czwartej klasie zakochałem się w chłopcu młodszym o trzy lata, który był wyjątkowo inteligentny i szlachetny. Nazwijmy go Dickiem. Nie mieszkał w mojej bursie, lecz obaj wstąpiliśmy niedawno do chóru szkolnego, co dawało nam sposobność pogawędzenia od czasu do czasu po próbach. Nie czułem doń żadnego pociągu fizycznego i nie rozmawialiśmy nigdy na tematy osobiste. Owa niemoralna znajomość wywołała plotki, a jeden z profesorów, członek chóru, nakazał mi ją zerwać. Odparłem, że będę się przyjaźnić, z kim chcę. Stwierdziłem, że Dick interesuje się tym samym co ja, zwłaszcza literaturą, a choć dzieli nas niefortunna różnica wieku, niska inteligencja rówieśników zmusza mnie do szukania przyjaciół wszędzie, gdzie się da. W końcu wezwał mnie do siebie dyrektor. Wygłosiłem wzniosłą tyradę na temat zalet przyjaźni między chłopcami, przytaczając Platona, poetów greckich, Szekspira, Michała Anioła i innych autorów o poglądach zbieżnych z moimi. Dyrektor pozwolił mi odejść, nie podejmując żadnych działań.

W piątym roku przeszedłem do klasy szóstej i zostałem asystentem inspektora bursy. Było nas sześciu. Jeden z pozostałych asystentów, Jack Young, miły, niefrasobliwy jegomość i kapitan sportowy bursy, spytał mnie pewnego dnia:

- Słuchaj no, Graves, mam zrobić listę kandydatów do turnieju bokserskiego. Wpisać twoje nazwisko?

Po ochłodzeniu stosunków z Raymondem pięściarstwo przestało mnie interesować. Zacząłem grać w piłkę nożną i wszedłem do drużyny bursy.

- Nie uprawiam już boksu - odpowiedziałem.

- No cóż - rzekł Young - mały Alan startuje w wadze półciężkiej. Ma duże szanse. Dlaczego nie miałbyś się zapisać? Poharatasz kilku groźniejszych przeciwników i ułatwisz mu zwycięstwo.

Niezbyt uśmiechało mi się ułatwianie zwycięstwa Alanowi, ale rzecz jasna nie mogłem odmówić. Zdawałem sobie sprawę, że choć starcza mi kondycji do gry w piłkę nożną, nie wytrzymam ostrego tempa walki na ringu. Doszedłem tedy do przekonania, iż moje pojedynki muszą być krótkie. Służący przemycił dla mnie butelkę wiśniówki, która miała mi to ułatwić.

Nigdy dotąd nie piłem alkoholu. Kiedy miałem siedem lat, matka skłoniła mnie do podpisania przyrzeczenia, że dopóki pozostanę posiadaczem kartki z przysięgą, nie wezmę w imię Boże do ust

żadnego napoju wysokowego. Ale zabrała kartkę i zamknęła w skarbcu domowym wraz ze srebrami z epoki królowej Anny odziedziczonymi po babce z rodu Cheyne'ów, brylantowym pierścieniem biskupa Gravesa podarowanym przez królową Wiktorię, dla której wygłosił w Dublinie kazanie, kuflami upamiętniającymi nasz chrzest oraz masywną wczesnowiktoriańską biżuterią po pannie Britain. A 'ponieważ drogocенności nie opuszczały nigdy skarbczyka, uważałem się za zwolnionego z przysięgi. Wiśniówka bardzo mi smakowała.

Zawody rozpoczęły się w sobotę o pierwszej po południu i trwały do siódmej. W pierwszej walce moim przeciwnikiem został pechowo Alan. Chciał, bym się wycofał. Odparłem, że będzie to źle wyglądało. Poradziliśmy się Jacka Younga, który rzekł:

- Postąpicie jak prawdziwi sportmeni, jeśli stoczyć sparring i rozstrzygniecie go na punkty. Tylko się nie porańcie!

Wyszliśmy wobec tego na ring. Alan zaczął się popisywać przed przyjaciółmi, którzy siedzieli w pierwszym rzędzie. Wymamrotałem: „Przestań! Sparringujemy, a nie walczymy!”, ale w kilka sekund później znów zadał mi zbyt mocny cios. Wściekłem się i posłałem go na deski prawym swingiem w szyję. Pierwszy raz zwyciężyłem przez nokaut, a upojenie sukcesem znakomicie harmonizowało z nastrojem wywołanym przez wiśniówkę. Zdawałem sobie niejasno sprawę, że swingi nie stanowią w szkołach części treningu pięściarskiego. Ćwiczone lewe proste, lewe w korpus, prawe w szczękę oraz lewe i prawe sierpowe, lecz swingi jakoś zaniedbywano, może dlatego, że nie są dostatecznie ładne.

Poszedłem do szatni po ubranie, a trener bokserski, tęgi sierżant Harris, spytał:

- Niech no pan posłucha, panie Graves: czy nie chciałby się pan zapisać i do wagi półśredniej?

Radośnie się zgodziłem. Moja pierwsza walka w wadze półśredniej miała się odbyć za pół godziny. Wróciłem do bursy, gdzie wziąłem zimny prysznic i wypilem kapkę wiśniówki. Mój następny przeciwnik, ważący kilkanaście funtów więcej, lecz kiepski technicznie, ciskał mnie w pierwszej rundzie po całym ringu, aż zrozumiałem, że mnie zamęczy, jeśli natychmiast czegoś nie zrobię. W drugiej rundzie posłałem go na deski prawym swingiem, ale wstał. Byłem już nieco zdyszany i czym prędzej znokautowałem go ponownie. Powaliłem go jeszcze kilka razy, lecz nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Później odkryłem, że podobnie jak ja czuł na sobie wzrok Dicka. W końcu, gdy rzucił się kolejny raz w moją stronę, pomyślałem: „Jeśli cię tym razem nie załatwię, koniec ze mną”. Trąciłem go pięścią w odsłoniętą szczękę, całkiem lekko, ale to wystarczyło. Runął na ring i nie wstał. Drugi nokaut wywołał sporą sensację. W szkolnych turniejach bokserskich zwycięstwa przez k.o. zdarzały się dość rzadko. Wracając do bursy, by wziąć kolejny zimny natrysk i łyknąć wiśniówki, spostrzegłem, że koledzy patrzą na mnie z ciekawością graniczącą wręcz z podziwem.

Resztę turnieju pamiętam jak przez mgłę. Teraz obawiałem się już tylko Raymonda, cięższego ode mnie o kilkanaście funtów i uważanego za faworyta wagi średniej, ale on także zapisał się do dwóch kategorii, średniej i ciężkiej, i dopiero co stoczył morderczy pojedynek z późniejszym zwycięzcą w wadze ciężkiej. Nie był tedy w stanie walczyć i poddał się walkowerem. Myślę, że stanąłby do walki z kimkolwiek innym, ale chciał, bym wygrał, i wiedział, że w ten sposób pozwoli mi odpocząć. Później jeden z półfinalistów przegrał ze mną walkowerem w wadze półśredniej, tak że zostały mi tylko trzy walki. Ani jedna nie trwała dłużej niż rundę. Wygrałem dzięki swingowi obie wagi, za co otrzymałem dwa srebrne puchary. Lecz wywichnąłem sobie kciuki, bo nie podnosiłem łokci dość wysoko, a kiedy w kilka lat później, znalazłszy się w tarapatach finansowych, próbowałem sprzedać puchary, okazały się zaledwie posrebrzane.

Jeśli nie liczyć miłości do Dicka, najważniejszym przeżyciem w ciągu ostatnich dwu lat w Charterhouse było poznanie George'a Mallory'ego, około dwudziestosześcioletniego nauczyciela, który ukończył niedawno Cambridge i wyglądał tak młodo, że brano go często za ucznia. Traktował mnie od początku jak równego, a ja spędzałem u niego wolne chwile i spacerowałem z nim po okolicy. Dowiedziałem się odeń o istnieniu pisarzy współczesnych. Jedyne źródło wiedzy o literaturze stanowił dla mnie ojciec, dwa pokolenia starszy, tak że nigdy nie słyszałem o Bernardzie Shaw, Samuelu Butlerze, Rupercie Brooke'u, Fleckerze czy Masfieldzie. Ich utwory wzbudziły mój entuzjazm. To właśnie w bawialni Mallory'ego poznałem Edwarda Marsha (będącego wówczas sekretarzem premiera Herberta Asquitha), z którym wiązała mnie zawsze bliska przyjaźń. Chociaż rzadko się obecnie widzimy, nigdy nie zerwałem z nim stosunków jak z większością swoich przedwojennych przyjaciół. Marsh, któremu Mallory pokazał moje wiersze, pochwalił je, lecz zauważył, że posługuję się językiem poetyckim sprzed pół wieku, a chociaż nie musi to wcale umniejszać ich wartości, wielu czytelników może czuć awersję do utworów pisanych w tysiąc dziewięćset trzynastym roku stylem z tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego.

W lecie tysiąc dziewięćset trzynastego roku George Mallory, Cyril Hartmann, Raymond i ja wydaliśmy czasopismo zatytułowane *Green Chartreuse*. Miało ono z założenia tylko jeden numer, jako że

pierwszy numer nowego magazynu szkolnego przynosił zawsze zyski, drugi zaś poważne straty. Z *Green Chartreuse* przytaczam własne dzieło o znaczeniu autobiograficznym, napisane szkolnym żargonem:

Egzamin fuksa

Drugi tydzień roku szkolnego. Piątek wieczór. Kiedy o wpół do dziesiątej pogasły światła i ucichły lekkie kroki inspektora, rozpoczęła się zabawa.

Opiekun najmłodszych uczniów mianował się prokuratorem i katem. Wspomagała go dzielnie świta podejrzanych koleżków, wśród nich spece od mierzenia czasu i liczenia pytań. Byłem wówczas zależnionym fuksem i pocilem się ze strachu pod piżamą. Zanim inkwizytorzy zabrali się do mnie, przesłuchali i skazali trzech moich rówieśników.

- Kolej na Jonesa - oznajmił głos. - Ten kurdupel kopnął mnie dziś na boisku. Musimy wymyślić kilka chytrych pytań!

- Słuchaj no, ryfa, jakie jest godło inspektora bursy... To znaczy, jak się nazywa inspektor bursy, która ma czarno-białe godło? Raz, dwa, trzy...

- Pan Girdlestone - odezwałem się w mroku drżącym głosem.

- Najwyraźniej zna co łatwiejsze godła. Trzeba go skołować. Jakie są barwy klubu, do którego należą Błock Houses? Raz, dwa, trzy, cztery...

Do przesłuchania przygotowywałem się mozolnie przez cały tydzień, toteż zdążyłem wyrzucić z siebie odpowiedź.

- Dwa pytania bez błędu. Musimy się za niego wziąć - rozległ się inny głos.

- Powiedz no mi, Jones, jak się dostać z Weekties do Farncombe? Raz, dwa, trzy...

Zdążyłem dotrzeć tylko do mostu.

- Jeden błąd na trzy pytania. Wolno ci zrobić trzy błędy na dziesięć.

- Gdzie się mieści magazyn szkolny? Raz, dwa, trzy, cztery...

- Ma pan na myśli redakcję *The Carthusian*? - spytałem.

Wszyscy się roześmieli.

- Dwa błędy na cztery pytania. Wiesz co, Robinson? Stanowczo za dobrze odpowiada. Dajmy mu sera.

Dłuższe szepty.

- Ile lat ma koń, na którym jeżdżą knoty z bursy o zielonym godle? Raz, dwa, trzy...

- Sześć! - strzeliłem.

- Żle! Trzydzieści osiem. Trzy błędy na sześć pytań! I tak masz szczęście, żeśmy cię nie zapytali o rodowód.

- Jakie są barwy drużyny wioślarskiej? Raz, dwa, trzy, czte...

- Nie ma żadnych!

- Dostaniesz po tyłku za podnoszenie głosu, ale możesz to sobie zaliczyć. Trzy błędy. Jones?...

- Słucham, psze pana!

- Jak się nazywa dziewczyna, o której krążą plotki, że się w niej kocha na zabój zesłoroczny prezes klubu piłkarskiego? Raz, dwa, trzy, cztery...

- Daisy! - Imię wydawało się prawdopodobne.

- O, doprawdy? Cóż, tak się składa, że znam prezesa klubu piłkarskiego. Gdyby wiedział, że go obmawiasz, długo byś nie pożył. Zresztą i tak się mylisz. Cztery błędy na osiem pytań. Jutro rano stawisz się w moim pokoju o siódmej, zrozumiano? Dobrej nocy!

Przesunął nad świecą szczotkę do włosów i na suficie wyrósł monstualny cień.

Mniej więcej w owym czasie przestał istnieć klub poetów. Oto jak do tego doszło. Dwóch uczniów klasy szóstej odczytało na jednym ze spotkań nudnawe rymowanki o miłości i naturze. Nikogo nie zainteresowały, lecz po tygodniu wydrukował je *The Carthusian* i niebawem cała szkoła zatrzęsła się od plotek. Obydwa wiersze, podpisane pseudonimami, miały postać akrostychów, a pierwsze litery linijek tworzyły nazwiska „par”, Parami nazywano uczniów, których łączył romans. W obu wierszach imiona starszych chłopców należały do niepokonanych. Była to głupawa kontynuacja wojny podjazdowej między klasą szóstą a sportsmenami. Sprawa by ucichła, gdyby nie pewien członek klubu poetów, szóstoklasista, kochający się platonicznie w jednym z młodszych chłopców. Przejęty gniewem i zazdrością poszedł do dyrektora (Franka Fletchera, następcy Rendalla) i doniósł mu o akrostychach, które inaczej uszłyby uwadze profesorów. Udawał, że nie wie, kto napisał rymowanki, ale chociaż był nieobecny na spotkaniu klubu poetów, na którym je odczytano, łatwo mógł rozpoznać autorów po stylu. Tymczasem zdradziłem komuś nieopatrznie nazwiska, toteż wciągnięto mnie w awanturę w roli świadka.

Dyrektor podszedł do sprawy bardzo poważnie. Oba wierszokleci utracili stanowiska asystentów inspektora, a redaktor *The Carthusian*, który świadomie przyjął akrostychy do druku, musiał się podać do dymisji i zrezygnować z funkcji starosty gimnazjum. Oba stanowiska przejął po nim donosiciel, będący przypadkowo drugim uczniem szkoły. Nie spodziewał się takiego rozwoju wypadków, który nie przysporzył mu popularności. Na pociechę mógł sobie powiedzieć, że kierowała nim miłość i chęć zemsty za publiczną zniewagę wyrządzoną swojemu młodemu przyjacielowi. Klub poetów, okryty hańbą, na rozkaz dyrektora uległ rozwiązaniu. Pozostali profesorowie, niechętni poezji i kołom samokształceniowym, powtarzali: „A nie mówiłem?”, ale ja miałem ogromny dług wdzięczności wobec Kendalla (jednego z nielicznych nauczycieli traktujących uczniów lepiej, niż na to zasługują), gdyż spotkania klubu stanowiły dla mnie jedyną pociechę w najtrudniejszym okresie w szkole.

W ostatnim roku w Charterhouse wszelkimi siłami starałem się pokazać, jak niewielkim szacunkiem darzę tradycję. Zimą tysiąc dziewięćset trzynastego roku zdobyłem zasiłek dla łacinników w Kolegium Świętego Jana w Oksfordzie, dzięki czemu mogłem się w szkole nie przemęczać. Współ z Nevillem Barbourem redagowałem *The Carthusian*, co pochłaniało mnóstwo czasu. Nevill, który jako prymus doświadczył podobnych cierpień, podzielał moją niechęć do większości tradycji gimnazjalnych i uważał, że jedną z najgorszych jest obowiązkowy udział w grach zespołowych. Najkrytyczniej odnosił się do krykieta, zabierającego uczniom mnóstwo czasu w najpiękniejszej porze roku. Nevill zaproponował kampanię na rzecz tenisa ziemnego. Nie byliśmy prawdziwymi miłośnikami tenisa, lecz uznaliśmy go za poręczną broń przeciwko krykietowi - grze, w której, jak pisaliśmy, egoizm garstki gwiazdatorów nie usprawiedliwia nudy reszty. Tenis to gra szybka i żywiołowa. Do mistrzów tenisowych, którzy uczęszczali za młodu do Charterhouse, zaapelowaliśmy o listy do redakcji propagujące tenis jako sport bardziej męski i energiczny. Namówiliśmy do współpracy nawet mistrza świata, Anthony'ego Wildinga. Nauczycieli wychowania fizycznego, którzy uważali tenis za podbijanie piłeczki i grę dla pańienek, oburzył nasz atak na krykieta, a zwłaszcza szyderczy list jego rzekomego zwolennika, podpisany przeze mnie pseudonimem Judasz Iskariota. Jeden z profesorów przyszedł do Nevilla i zaprotestował przeciwko kontrowersyjnym publikacjom.

- Występuję tylko we własnym imieniu - zastrzegł.

- Doprawdy? - spytał Nevill. - A już myślałem, że nie tylko. W zeszłym roku wydelegowano pana do zarządu szkoły z prośbą o podwyżkę, sądziłem więc, że jest pan znów oficjalnie.

Rezultaty kampanii zdumiały nas samych. Kiedy wydobyliśmy na światło dzienne skandaliczny fakt, że klub krykietowy przywłaszcza sobie od paru lat dotacje na dwa zrujnowane korty na terenie gimnazjum, nie tylko podwoiliśmy nakład, ale utworzono dzięki nam fundusz na budowę kilku nowych i przekształcenie Charterhouse w kolebkę tenisa brytyjskiego. Korty owe rzeczywiście powstały, chociaż dopiero po wojnie. Widziałem je na własne oczy, przejeżdżając niedawno autem koło szkoły. Odnosiło się wrażenie, że jest ich mnóstwo. Ciekawe, czy są dziś w Charterhouse niepokonani w tenisie?...

Moje zainteresowania skupiały się nadal na poezji oraz Dicku. Współzycie z kolegami pełniącymi wraz ze mną funkcję asystentów było nieprzerwanym pasmem niesnasek. Miałem coś do zarzucenia wszystkim oprócz Jacka Younga i starosty. Young, jedyny niepokonany w bursie, spędzał większość czasu z kolegami z drużyny. Starostą był prymus, który miał wprawdzie szczytne zasady, ale zgorzkniał przez pierwsze trzy lata w szkole i stał się przeczulony na punkcie własnej godności. Słuchał prawie we wszystkim innych asystentów, mnie zaś mierzyła konieczność traktowania go na równi z resztą. Moja miłość do Dicka prowokowała ciągle kpinki, lecz żaden z kolegów nie ośmielał się posunąć za daleko. Pewnego razu przyłapałem jednego w ubikacji, gdy wydrapywał na ścianie dwa serca zwieńczone inicjałami moimi i Dicka. Wepchnąłem go pod prysznic i odkręciłem kurki. Następnego dnia wpadł mu w ręce mój szkicownik poetycki, który zostawiłem wraz z innymi kajetami w pokoju asystentów. Wszyscy z wyjątkiem Jacka Younga opatrzyli moje wiersze krytycznymi komentarzami niebieską kredką i podpisali się inicjałami. Jack nie chciał postępować nieelegancko. Kiedy odkryłem, co się stało, zażądałem przeprosin na piśmie. Zagroziłem, że jeśli nie otrzymam ich w ciągu pięciu minut, wybiorę na chybił trafił kozła ofiarnego. Miałem akurat zamiar wziąć zimny natrysk i obiecałem znokautować pierwszego asystenta spotkanego po wyjściu z łaźni.

Czy to przez przypadek, czy też myśląc, że stanowisko zapewni mu nietykalność, pierwszy pojawił się na korytarzu starosta. Była pora wieczornego odrabiania lekcji, od którego asystenci byli zwolnieni, ale krew zobaczył wysłany po coś młodszy uczeń i incydentu nie dało się zatuszować. Natychmiast wezwał mnie do siebie inspektor bursy. Był to pobudliwy starszawy jegomość, który w gniewie bryzgał dokoła śliną, wskutek czego zyskał sobie przydomek Ślinianka. Nazywał się Parry. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, kazał mi usiąść na krześle, po czym stanął nade mną, zacisnął pięści i zawołał falsetem:

- Czy zdaje sobie sprawę, że popełnił czyn brutalny?!

Ślina bryzgała na wszystkie strony. Zerwałem się na równe nogi, także zaciskając pięści, i oświadczyłem, że w ten sam sposób potraktowałbym każdego, kto by mi odmówił przeprosin, wypisawszy chamskie uwagi w moich papierach osobistych.

- Papierach osobistych?! Plugawych wierszydlach!!! - bryzgnął Ślinianka.

W rezultacie miałem kolejną przeprawę z dyrektorem. Byłem uczniem ostatniego trymestru, toteż pozwolił mi ukończyć szkołę i oszczędził hańby wilczego biletu. Zdziwiła go szczerość, z jaką przyznałem się do miłości do Dicka, kiedy wrócił do tego tematu. Nie dałem się przekonać, że powinienem się wstydzić, i słyszałem później, iż uznał sprawę za nader rzadki przypadek niewinnej przyjaźni chłopców w różnym wieku. Po kilku tygodniach Dick przysporzył mi straszliwych cierpień. Wpadłem w furję, gdy profesor śpiewający z nami w chórze zabronił mi zerkania na Dicka w kaplicy, ale kiedy jeden z chórzystów stwierdził, iż widział profesora całującego Dicka ukradkiem na pikniku, zupełnie oszalałem z wściekłości.

Nie pytając o szczegóły i nie szukając potwierdzenia informacji, poszedłem do nauczyciela i oznajmiłem, że jeśli się nie poda do dymisji, doniosę o wszystkim dyrektorowi. Całowanie uczniów pachniało kryminałem, a nauczyciel słychać w szkole z takich rzeczy. Nie ulega kwestii, że pod moim szlachetnym gniewem kryła się mordercza zazdrość. Kiedy profesor gwałtownie zaprzeczył, miałem wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg.

- Dobrze, proszę zatem iść ze mną do dyrektora i zaprzeczyć w jego obecności - odrzekłem.

- To Dick ci o tym powiedział? - spytał.

- Nie.

- No cóż, niech wobec tego przyjdzie i powie nam prawdę.

Posłano po Dicka, który przybył z bardzo wystraszoną miną. Nauczyciel spytał groźnie:

- Graves twierdzi, że cię kiedyś całowałem. Czy to prawda?

- Tak, panie prosorze! - odpowiedział Dick.

Dick odszedł, mnie ogarnęła niewymowna bolesć, nauczyciel zaś się rozplakał. Obiecał podać się do dymisji ze względów zdrowotnych wraz ze zbliżającym się końcem roku szkolnego. Podziękował mi nawet, że nie poszedłem prosto do dyrektora. Działo się to latem tysiąc dziewięćset czternastego roku; po wybuchu wojny zaciągnął się do armii i poległ. Dick wyznał mi później, że skłamał, zorientowawszy się, iż wpadłem w tarapaty, z czego wynika, że nauczyciel musiał całować innego chórzystę!

Jednym z moich ostatnich wspomnień z Charterhouse jest publiczna debata na temat obowiązkowej służby wojskowej. Popierał wniosek propagandzista przysłany przez Ligę Przyjaciół Żołnierza Brytyjskiego, na której czele stał marszałek polny Frederick Roberts, hrabia Kandaharu i kawaler Krzyża Wiktorii. Na stu dziewiętnastu uczestników debaty tylko sześciu głosowało przeciw. Byłem głównym rzecznikiem opozycji, zrezygnowawszy niedawno z przysposobienia oficerskiego na znak protestu przeciw doktrynie bezwzględnego posłuszeństwa rozkazom. A poprzedniego lata, podczas dwutygodniowego pobytu w oficerskim obozie ćwiczebnym pod Tidworth na równinie Salisbury, przeraził mnie specjalny pokaz najnowszych zdobyczy techniki wojennej: zasieków z drutu kolczastego, karabinów maszynowych i artylerii polowej w akcji. W Charterhouse przebywał syn ówczesnego generała, a dzisiejszego marszałka polnego sir Williama Robertsona, który odwiedził obóz i oznajmił, że za kilka lat wybuchnie niechybnie wojna z Niemcami i że musimy być przygotowani do wzięcia w niej udziału jako dowódcy nowych formacji, jakie z pewnością powoła się do życia. Spośród sześciu uczniów, którzy głosowali przeciw, przeżyłem wojnę tylko ja i Nevill Barbour.

Moim ostatnim wspomnieniem jest partyjska strzała dyrektora:

- Cóż, do widzenia, Graves, i pamiętaj, że twoim najlepszym przyjacielem jest kosz na śmieci.

Rada okazała się dobra, choć może w innym sensie, niż zakładał: mam wrażenie, że niewielu pisarzy dorównuje mi pod względem liczby brulionów.

Często się zastanawiałem, którzy z moich rówieśników zdobędą sławę po opuszczeniu szkoły. Domysły się nie sprawdziły, bo wojna postawiła wszystko na głowie. Wielu tępaków porobiło świetne kariery w wojsku, zwłaszcza w lotnictwie, awansując na dowódców kluczy i eskadr. „Misiek” McNair, starosta gimnazjum, zdobył Krzyż Wiktorii jako szeregowiec piechoty. Młody Sturgess, któremu pomagałem w lekcjach, odznaczył się w mniej fortunny sposób: oblatywał nowy model ciężkiego bombowca i zmyliwszy drogę nad kanałem La Manche wylądował pokazowo na lotnisku na tyłach pozycji niemieckich we Francji. W pierwszym roku w Charterhouse podziwiałem arystokratę Desmonda O’Briena. Był jedynym uczniem radośnie łamiącym wszelkie prawidła szkolne. Dorobiwszy sobie wytrychy do biblioteki, kaplicy i laboratoriów, wymykał się nocą z bursy i robił wszędzie bałagan. Miał także klucz do gabinetu dyrektora i pewnej nocy, wszedłszy do środka z latarką elektryczną, ściągnął z biurka notatkę: „Wylać O’Briena!” W ustronnym zagajniku na terenie gimnazjum przechowywał odbiornik radiowy i

odkrył przewód wentylacyjny, przez który mógł bezpiecznie pohukiwać do biblioteki jak puszczyk. Pewnego razu całej szkole groziła utrata połowy ferii, bo jeden z uczniów trafił z procy krowę, która zdechła, i nikt nie chciał się przyznać. O'Brien był wówczas poza internatem, otrzymawszy specjalny urlop na wesele siostry. Przyjaciel doniósł mu w liście o skróceniu ferii. O'Brien przesłał Rendallowi depeszę: ZABIŁEM KROWĘ STOP PRZEPRASZAM STOP WRACAM STOP O'BRIEN. Rendall wylał go w końcu za nie usprawiedliwioną nieobecność na lekcjach i nabożeństwach przez trzy dni z rzędu. O'Brien poległ na początku wojny, bombardując Bruges.

Co najmniej trzecia część moich kolegów szkolnych zginęła, wszyscy bowiem podjęli od razu służbę w armii, najczęściej w piechocie i Królewskim Korpusie Powietrznym. W pewnym okresie wojny subaltern piechoty walczył na froncie zachodnim zaledwie trzy miesiące, po czym ginął lub odnosił ranę. Na każdego zabitego przypadało około czterech rannych, jeden ciężko, pozostali mniej lub bardziej lekko. Lżej ranni wracali na front po kilku tygodniach czy miesiącach i wszystko zaczynało się od początku. Wśród lotników straty były jeszcze wyższe. Ponieważ wojna trwała cztery i pół roku, nietrudno zrozumieć, dlaczego większość ocalałych to kaleki albo weterani szpitali wojskowych.

Moimi rówieśnikami było dwu znanych sportsmenów: A. G. Bower, kapitan reprezentacji Anglii w piłce nożnej, w Charterhouse jednak gracz zaledwie przeciętny, oraz Woolf Barnato, krykieciarz z hrabstwa Surrey (a także kierowca wyścigowy i milioner), również przeciętniak. Chociaż Barnato mieszkał ze mną w bursie, przez cztery lata nie zamieniliśmy ani słowa. Sławę zdobyło jak dotąd pięciu prymusów: Richard Hughes jako dramaturg, Richard Goolden jako aktor grający role starców, Vincent Seligman jako autor propagandowej biografii Yenizelosa, Cyril Hartmann jako znawca skandali w historii Francji oraz mój brat Charles jako felietonista towarzyski ze środkowej strony *The Daily Mail*. Od czasu do czasu zauważam w prasie kilka innych nazwisk. M... zdobył rozgłos ucieczką z prywatnej kliniki psychiatrycznej. W Charterhouse zaproponował raz koledze dziesięć szylingów za to, żeby stał z podniesioną ręką podczas burzy, i często odgrażał się, że zwieje.

IX

George Mallory nie tylko pożyczał mi książki, ale zabierał w czasie ferii na wspinaczki na Snowdon, którego widok rozciągał się z okna mej sypialni w Harlech. Majestatyczny szczyt zwieńczony białą czapą śniegu nabierał wiosną sentymentalnego uroku. Kiedy pierwszy raz pojechałem z George'em w góry, stanęliśmy w schronisku Pod Snowdonem koło jeziora Qwellyn. Był styczeń i zbocza pokrywał śnieg. W skałę wspinaliśmy się niewiele, pokonaliśmy natomiast kilka ładnych dróg lodowych, uzbrojeni w czekany i liny. Pamiętam jedno wejście na wierzchołek. Stało tam schronisko, którego dach zerwała poprzedniej nocy wichura. Usiedliśmy obok kopczyka kamieni i zaczęliśmy jeść śliwki i kanapki z wątrobianką. W wyprawie uczestniczył Geoffrey Keynes, redaktor czasopisma *Nonesuch Blake*. Geoffrey i George, których po ukończeniu drogi ogarniała zwykle szaleńcza radość, brali z kopczyka kamienie i rzucali nimi w komin schroniska, aż się zawalił.

George'a uważa się nadal za jedną z czołowych postaci w dziejach alpinizmu. Nikt nie przypuszczał, że przeżyje swoją pierwszą spektakularną wyprawę w Alpy. Nie wyzywał się nigdy kawalerskiej brawury, chociaż świetnie znał techniki wspinaczkowe. Kiedy mnie asekurował, zawsze czułem się całkowicie bezpieczny. Podczas wojny służył w artylerii jako porucznik i na urloпах uprawiał wspinaczkę, by nie załamać się nerwowo.

Po demobilizacji jeszcze bardziej rozkochał się w górach. W pięć lat później zaginął w nie wyjaśnionych okolicznościach na stokach Everestu. Nie wiadomo, czy przeszedł z Irvingiem ostatnie pięćset metrów i dotarł na wierzchołek, czy też zawrócił, ale wszyscy, którzy kiedykolwiek z nim chodzili, wierzą, że zdobywszy szczyt, cieszył się sukcesem w zwykły sposób i zabrakło mu sił na zejście. W nekrologach prasowych przemilczano, że zaczął uprawiać wspinaczkę w Winchesterze, aby wzmocnić słabe serce. Mówił mi, że czuł się tam taki nieszczęśliwy, że pewnego dnia uciekł, zabierając tylko ulubione książki do matematyki. Jego drugi tytuł do chwały to autorstwo pierwszej współczesnej biografii Boswella.

Marnował się w Charterhouse, gdzie - przynajmniej za mojej kadencji - większość sztuby gardziła nim za brak silnej ręki i zainteresowania krykietem czy piłką nożną. Odnosił się po przyjacielsku do swojej klasy, co zdumiewało i drażniło uczniów, wyrosłych w tradycji wojny podjazdowej z belferią. Uważaliśmy, że profesorów można bezwstydnie oszukiwać, okłamywać i zwodzić, chociaż wobec kolegów postępowanie takie uchodziło za nikczemne. Nie chcąc uznać istnienia owego stanu wojny i fraternizując się z uczniami przy każdej sposobności, George narobił sobie wrogów także wśród nauczycieli. Kiedy dwaj inspektorzy burs, nastawieni doń nieprzychylnie, zmarli jeden po drugim, zażartował: „No i widzisz, Robercie - uciekają przede mną ci, którzy mnie nienawidzą”^[12]. Byłem z nim zawsze na ty, tak samo jak trzech czy czterech uczniów, z którymi się przyjaźnił. Większość chłopców i wszyscy profesorowie gardzili nim za ów przejaw braku godności. Niezręczna sytuacja odbiła się w końcu na jego nerwach, ale zawsze potrafił znaleźć czterech czy pięciu uczniów, którzy podobnie jak on czuli się w szkole obco. Zaprzyjaźniał się z nimi, czyniąc ich życie znośnym. Przed ostatnią wyprawą na Everest postanowił odejść z Charterhouse i zatrudnić się w Towarzystwie Szkół Robotniczych w Cambridge: znudziło mu się robienie dżentelmenów z dżentelmenów.

Wiosną tysiąc dziewięćset czterdnastego roku pojechałem z George'em i dużą grupą wspinaczy do schroniska na przełęczy Pen-y-Pas pod Snowdonem. Tym razem atakowaliśmy prawdziwe urwiska skalne, a ja miałem szczęście chodzić u boku George'a, Harolda Edwarda Portera (znanego ze sprawności technicznej), Kitty O'Brien i jej brata Conora, który wsławił się później samotnym rejssem dokoła świata w śmiesznie małej łódeczce. Conor twierdził, że wspinaczka koi mu nerwy. W trudniejszych miejscach ściany bardzo się ekscytował i krzyczał piskliwym głosem. Kitty strofowała go wówczas: „Oj, Conorze, Conorze, miejże trochę oleju w głowie!”, a Conor przeproszał. Zwyczajem żeglarzy wspinął się na bosaka. W ścianie trzeba niekiedy utrzymać ciężar całego ciała na dwóch palcach nóg - palcach uszytych przez obuwie. Conor twierdził, że nagie palce wchodzą w szczeliny głębiej niż buty.

Największą czią otaczano Geoffreya Younga, profesora gimnazjum z Eton i prezesa Klubu Alpejskiego. Stracił w górach czterech najbliższych przyjaciół, co tłumaczy jego niespotykaną ostrożność. Objawiała się nie tylko w trakcie przygotowań - w starannym oglądaniu każdego włókna długiej liny wspinaczkowej, w dbałości o podkute buty i równomierne rozmieszczenie ładunku w plecaku - lecz także w ścianie.

[12] Por. *Czwarta Księga Mojżeszowa*, X. 35

Zanim wykonał jakikolwiek ruch, analizował go cal po calu, jakby rozwiązywał problem szachowy. Jeśli chwyt znajdował się przypadkiem ciut za daleko albo stopień wydawał się bodaj trochę niebezpieczny, Young przystawał i myślał, jak obejść trudne miejsce. George tracił chwilami cierpliwość, ale Geoffrey nie dawał się popędzać. Skutkiem niskiego wzrostu miał niewielki zasięg ramion, lecz chociaż nie był tak małpio zręczny jak Porter, istny człowiek-guma, ani nie wspinał się z taką fantazją jak George, był i jest alpinistą doskonałym. I to pomimo utraty nogi w jednostce Czerwonego Krzyża na froncie włoskim. Chodzi po górach z protezą i opublikował niedawno jedyny godny zaufania podręcznik technik wspinaczki skalnej. Byłem wściekle dumny, że idę na tej samej linii co Geoffrey Young, a kiedy pewnego dnia stwierdził: „Robercie, masz najlepsze poczucie równowagi, jakie widziałem u wspinacza”, komplement ów sprawił mi więcej przyjemności, niż gdyby nadworny poeta powiedział, że mam najlepsze wycucie rytmu, jakie spotkał kiedykolwiek u młodego wierszoklety.

Poczucie równowagi miałem z pewnością dobre. W Szwajcarii uratowało mnie raz przed połamaniem nóg. Matka zabrała nas tam na święta tysiąc dziewięćset trzynastego roku, rzekomo dla sportów zimowych, a w istocie po to, by dać siostrze sposobność poznania miłych kawalerów z majątkiem. Mieszkaliśmy w Champery, lecz śnieg był tam za miękki, toteż trzeciego dnia poszedłem z deskami tysiąc stóp wyżej, do Morgins, gdzie śnieg do złudzenia przypominał cukier puder. Znalazłem tam lodowy tor saneczkowy. Zapomniawszy, że na lodzie nie można kierować nartami, pojechałem szusem w dół. Po kilku jardach nabrałem niebezpiecznej szybkości i z przerażeniem zdałem sobie sprawę, w co się wpakowałem. Tor miał kilka ostrych zakrętów obramowanych wysokimi nasypami i tylko poczucie równowagi pozwoliło mi je pokonać. Kiedy dotarłem na dół cały i zdrowy, struchlały pracownik klubu sportowego skłął mnie na czym świat stoi za narażenie życia w jego rewirze.

W eseju napisanym w owym czasie dowodziłem, iż żaden sport nie umywa się do alpinizmu. „Nowe drogi wspinaczkowe nie powstają w wyniku współzawodnictwa, ale dlatego, że dobrze jest dotrzeć tam, gdzie nie powstała dotąd ludzka stopa. Dobrze jest także przebywać w specjalnie dobranej grupie ludzi, którym można całkowicie zaufać. Jeżeli łamie się reguły, alpinizm jest sportem wyjątkowo karkołomnym. Jeśli się ich przestrzega, staje się względnie bezpieczny. Jeżeli wszyscy uczestnicy wyprawy są w dobrej kondycji fizycznej, jeżeli śledzi się uważnie warunki pogodowe, jeśli ekwipunek jest dobrze utrzymany, jeśli nikt się nie śpieszy, nie wpada w panikę ani nie próbuje uprawiać cyrkowej akrobacji, wspinaczka staje się znacznie bezpieczniejsza niż polowanie na lisa. W łowiectwie występują zawsze czynniki nie poddające się kontroli, jak na przykład kaprysy lub złośliwość rumaka, niewidoczne ogrodzenia druciane lub dziury, w które może się obsunąć kopyto. Alpinisci polegają wyłącznie na sobie: na własnych stopach, łydkach, ramionach i barkach, na własnym poczuciu równowagi i odległości”.

Moją pierwszą ścianą było Crib-y-ddysgel: test wspinaczkowy dla początkujących. Mniej więcej pięćdziesiąt stóp nad piarżyskiem u podnóża - a pięćdziesiąt stóp to wysokość bardziej przerażająca niż pięćset stóp, ponieważ śmierć wskutek upadku wydaje się prawie tak samo pewna i znacznie szybsza - znajdowała się pochyła płyta skalna o długości przeciętnego pokoju, którą należało przetrawersować z prawa na lewo. Płaszń owa, nachylona pod kątem ponad czterdziestu pięciu stopni i pozbawiona oparcia dla rąk i nóg, była zbyt stroma, by dało się na niej stanąć lub przejść ją na czworakach. Trzeba było przeschorować na brzuchu, przyłgnąwszy do skały całym ciałem. Znalazłszy się szczęśliwie po drugiej stronie, uwierzyłem, że reszta wspinaczki okaże się łatwa. Miejsce to nazywano Gambitem. W poprzednim sezonie zdawał tam egzamin poeta Robert Trevelyan, który nie miał szczęścia i odpadł. Zsunąwszy się zaledwie kilka stóp, zawisł na linie asekuracyjnej, lecz przeżycie to zniechęciło go do wspinaczki i spędził resztę pobytu w Pen-y-Pass na pieszych wycieczkach po okolicy.

Asekuracja polega na zapętleniu na występie skalnym liny obwiązanej wokół talii, tak że jeśli jeden z alpinistów odpadnie, nie pociąga za sobą innych. Lina wspinaczkowa pęka, gdy przeleci się ponad trzecią część jej długości. W danej chwili idzie tylko jeden członek zespołu, a pozostali czekają na stanowiskach, asekurując go. Zanim prowadzący znajdzie występ, wokół którego może okręcić linę, musi niekiedy podejść kilkadziesiąt stóp do góry, toteż gdyby odpadł i nie zdołał się zatrzymać, przeleciałby ponad dwie trzecie długości liny.

Tego samego dnia zabrano mnie na efektowne, choć niezbyt trudne wejście na Crib Goch. W pewnym miejscu przechodziliśmy trawersem przez żebro o kancie ostrym jak brzytwa. Koło krawędzi sterczała pionowa iglica odstająca od ściany. Wdrapaliśmy się na jej szczyt, skąd rozciągał się widok na dolinę leżącą pięćset stóp niżej. Każdy z uczestników wyprawy musiał stanąć wyprostowany na czubku iglicy, a następnie dać długi, ostrożny krok na listewkę w ścianie. Ponad listwą, na której mieścił się tylko czubek buta, znajdował się chwyt pozwalający łatwo podciągnąć się wyżej. Pamiętam, jak George zawołał do mnie z góry: „Uważaj na nogę, Robercie! Nie odłup krawędzi listwy, bo nikt już tędy nie przejdzie. Ten stopień musi przetrwać jeszcze co najmniej pięćset lat!”

W niebezpieczeństwie znalazłem się tylko raz. Porter zabrał mnie na wspinaczkę w ustronną partię góry. Drogą tą, zwaną Szlakiem Kokardki i Traversem Podwiązki, nie chodzono od dziesięciu lat. W połowie wysokości zaczął się komin. Komin to pionowe pęknięcie, w którym mieści się całe ciało, podczas gdy rysa to szczelina, gdzie można wsadzić jedynie but. W kominie należy się ustawić bokiem i posuwać do góry zapierając się plecami i ramionami, wzdłuż rysy zaś idzie się twarzą do ściany. Porter, wspinający się pięćdziesiąt stóp nade mną, zrobił gwałtowny ruch w górę, by dosięgnąć chwytu leżącego nieco za wysoko. Potrącił przy tym kilka kamieni zaklinowanych w kominie. Runęły z grzechotem w dół, a jeden, nieco większy od piłki do krykieta, pozbawił mnie przytomności. Byłem na szczęście dobrze ubezpieczony, Porter zaś zdołał się podciągnąć. Zawisłem na linie, a po kilku sekundach odzyskałem świadomość i mogłem wspinać się dalej.

Przed wyruszeniem rankiem ze schroniska w Pen-y-Pass zjadaliśmy bez pośpiechu śniadanie i wygrzewaliśmy się na słońcu z kufelkiem piwa. Snowdon to góra wymarzona do wspinaczki, ponieważ skała nie jest zwietrzała ani śliska. Najwyższe ściany wznoszą się na tysiąc stóp, lecz wszystkie dają się zdobyć, choć niekiedy z wielkim trudem, a po zakończeniu drogi zawsze jest jakaś łatwiutka ścieżka, którą można zbiec na dół. Wieczorem, po powrocie do schroniska, prażyliśmy się w saunie. Pamiętam, z jaką ciekawością przyglądałem się własnemu ciału: połamanym paznokciom, poobcieranym kolanom i gruzłowatemu mięśniowi, który zaczynał się formować nad podbiciem stopy i wydawał się piękny wskutek swojej celowości. Najgorsze chwile przeżyłem podczas wejścia na jedną z przepaścistych zerw Lliweddu. W miejscu, gdzie konieczne było całkowite skupienie, w pobliżu naszej grupy pojawił się kruk zataczający na nieboskłonie szerokie koła. W dziwny sposób zupełnie mnie to rozproszyło. Podczas wspinaczki człowiek porusza się tylko w dół, w górę i na boki, a ptak zdawał się sugerować inne możliwości ruchu, co rodziło pokusę puszczenia ściany.

X

Kiedy skończyłem gimnazjum i pojechałem na wakacje do Harlech, Anglia wypowiedziała Niemcom wojnę. W parę dni później postanowiłem wstąpić do armii. Chociaż gazety przepowiadały, że wojna zakończy się szybko (a już na pewno przed świętami), miałem nadzieję, że potrwa na tyle długo, by odwlec koszmarną perspektywę pójścia w październiku do Oksfordu. Nie rozważałem możliwości bezpośredniego udziału w działaniach wojennych, spodziewając się służby garnizonowej w kraju. Sądziłem, że na kontynencie będzie walczyła armia regularna. Oprócz tego oburzało mnie cyniczne pogwałcenie neutralności Belgii przez Niemców. Chociaż mniej więcej dwadzieścia procent gazetowych opisów niemieckich zbrodni wojennych odrzucałem jako propagandowy wymysł, wierzyłem jednak w pozostałe osiemdziesiąt procent. Widziałem niedawno wycinki prasowe z tamtych lat iłożone w porządku chronologicznym:

Wieść o zdobyciu Antwerpii powitano radosnym biciem w dzwony (to znaczy bito w dzwony w Kolonii i innych miastach niemieckich - R. G.). - *Kölnische Zeitung*.

Jak podaje *Kölnische Zeitung*, po zajęciu Antwerpii miejscowych duchownych zmuszono do bicia w dzwony na znak radości. - *Le Matin*.

Do londyńskiego *Timesa* dotarła via Paryż wiadomość z Kolonii, iż nieszczęsnych księży belgijskich, którzy po upadku Antwerpii odmówili bicia w dzwony na znak radości, skazano na ciężkie roboty. - *Corriere della Sera*.

Do *Corriere della Sera* dotarła via Londyn sprawdzona wiadomość z Kolonii, iż barbarzyńscy zdobywcy Antwerpii ukarali nieszczęsnych księży belgijskich, którzy heroicznie odmówili bicia w dzwony na znak radości, wieszając ich w dzwonach głowami w dół jako żywe serca. - *Le Matin*.

Traf chciał, że znalazłszy się po kilku miesiącach na froncie, służyłem w kompanii, w której czterech na pięciu subalternów miało matki Niemki albo ojców naturalizowanych w Wielkiej Brytanii. Jeden z kolegów powiedział:

- Wstąpiłem do wojska w samą porę. Gdybym zwlekał jeszcze miesiąc, uznano by mnie za szpiega. Stryja internowano w Alexandra Palace, a ojcu pozwolono zachować członkostwo klubu golfowego tylko dlatego, że ma na froncie dwóch synów.

- Cóż - odrzekłem - po tamtej stronie frontu służy moich czterech wujów i kilku kuzynów. Jeden z wujów jest generałem. Ale to bez znaczenia. Nie przechwalałem się nimi. Wspominam tylko o wuju Dicku Poore, admirale brytyjskim dowodzącym w Nore.

Pośród nieprzyjaciół był także mój brat cioteczny Conrad, jedyny syn niemieckiego konsula w Zurychu. W styczniu tysiąc dziewięćset czternastego roku poszedłem z nim na narty na lesiste wzgórze nad miastem. A pewnego dnia zjechaliśmy razem na saneczkach po Dolderstrasse w samym Zurychu, gdzie latarnie miały słupy osłonięte workami z piaskiem, a na wieloosobowe sanie konne, wpadające w poślizg na zakrętach, najeżdżały z trzaskiem ażurowe jednosiedzeniówki. Mnóstwo ludzi łamało przy tym ręce i nogi, lecz mieszkańcy uważali to za przedni kawał. Conrad przesłużył wojnę w bawarskiej piechocie szturmowej i zdobył niemiecki Order Zasługi, przyznawany jeszcze rządziej niż brytyjski Krzyż Wiktorii. Wkrótce po zakończeniu wojny wysłano go na rekwizycję do małej wioski nad Bałtykiem, gdzie zginął z rąk bandy bolszewików. Był człowiekiem łagodnym i dumnym. Interesował się głównie przyrodą i spędzał długie godziny w lasach, studiując obyczaje dzikich zwierząt, których zabijaniu ostro się sprzeciwiał.

Największymi osiągnięciami wojennymi może się poszczycić jeden z moich niemieckich wujów, powołany w wieku czterdziestu pięciu lat w randze porucznika do artylerii bawarskiej. Spotka wszy go kilka lat temu, mój brat John napomknął o planowanej podróży do Reims. Wuj trącił go łokciem:

- Nie zapomnij obejrzeć katedry. W czasie wojny wezwał mnie pewnego dnia generał dywizjoner. „Poruczniku von Rankę, zdaje się, że jest pan luteraninem, a nie katolikiem?...” Potwierdziłem. „Poruczniku, ciągnie komendant, mam dla pana bardzo nieprzyjemne zadanie. Ci przekłęci Francuzi wykorzystują wieżę jako punkt obserwacyjny. Myślą, że im to ujdzie na sucho, bo to katedra w Reims, ale nasze pozycje widać stamtąd jak na dłoni. Rozkazuję panu ich wykurzyć”. Wystrzeliłem tylko dwa pociski i wieża runęła razem z zabojadami. Bardzo piękny strzał. Byłem dumny, że ograniczyłem zniszczenia. Doprawdy, nie zapomnij obejrzeć katedry...

Myśl o zaciągnięciu się jako oficer, a nie szeregowy, podsunął mi sekretarz klubu golfowego w Harlech. Zadzwonił do najbliższego obozu rekruckiego - kadry Fizylierów Królewskich z Waliey^[13] - i powiedział adiutantowi, że uczęszczałem w Charterhouse na przysposobienie oficerskie. „Przysyłaj go natychmiast!” - odparł adiutant. Rozpocząłem szkolenie jedenastego sierpnia i od razu zostałem bohaterem. Matka zawołała: „Nasz ród postradał zmysły!” i uznała mój postępek za akt wiary w Boga, ojciec zaś pogratulował mi podjęcia słusznej decyzji. Odzyskałem nawet na jakiś czas szacunek stryja C. L. Gravesa, redaktora *Spectatora* i *Puncha*, z którym się niedawno pokłóciłem. Kiedy kilka miesięcy wcześniej podarował mi suwerena, wysłałem list z podziękowaniami i stwierdziłem, że nareszcie stać mnie na kupno dzieł Samuela Butlera - *Notatników*, *Drogi człowieczej* i obu części *Erewhona*. Stryj, prawomyślny wiktorianin, wpadł w pasję.

We Wrexham kandydatami na oficerów byli przeważnie chłopcy oblani niedawno na egzaminach wstępnych do Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst i usiłujący wślizgnąć się do armii regularnej jako ochotnicy. Tylko kilku zgłosiło się nie dla kariery, ale z pobudek patriotycznych. W kadrze było około dwunastu podchorążych uczących się zasad musztry. Wiedza zdobyta w oficerskim obozie ćwiczebnym okazała się pomocna, lecz nie miałem pojęcia o ceremoniale wojskowym i popełniałem z początku wszystkie najgorsze błędy: oddawałem honory kapelmistrzowi, nie poznawałem komendanta po cywilnemu, wychodziłem na miasto bez pasa i rozmawiałem w kasynie na tematy służbowe. Chociaż szybko się przystosowałem, najtrudniej przychodziło mi dowodzić plutonem z konieczną dozą pewności siebie. Wielu żołnierzy było weteranami, którzy ponownie się zaciągnęli, a mnie mierziło udawanie, że znam się na wojsku lepiej od nich. W sztabie kadry pracowało kilku bardzo wysłużonych szeregowych z medalami uczestnictwa w wojnie w Birmie w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku czy jeszcze wcześniejszych kampaniach. Większość miała także baretkę Medalu za Nienaganną Służbę, przyznawanego za „osiemnaście lat niekaralności”. O wiarusie nazwiskiem Jackie Barrett, postaci iście Kiplingowskiej, mówiono:

- Oto właśnie Jackie Barrett. Zdezerterował z kumplem w Kwecie i przeszedł na piechotę granicę północno-zachodnią. W trzy miesiące później zameldował się jako dezertor w konsulacie brytyjskim w Jerozolimie. Kumpla pochował po drodze.

Po zaledwie trzech tygodniach szkolenia w kadrze odkomenderowano mnie z oddziałem żołnierzy do Lancasteru, gdzie utworzono obóz dla internowanych obywateli państw nieprzyjacielskich. Obóz, otoczony wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, mieścił się w nieczynnej fabryce wagonów kolejowych nad rzeką. Było tam brudno, wietrznie, a wszędzie walał się dom. Do obozu przewieziono już przeszło trzy tysiące Niemców i codziennie przybywali nowi: marynarze aresztowani na statkach w porcie w Lijerpoolu, kelnerzy z wielkich hoteli w północnej Anglii, orkiestry niemieckie, nieszkodliwi domokrażcy i sklepikarze. Najbardziej nienawidzili przymusowej izolacji ojcowie rodzin, żyjący spokojnie od wielu lat w Anglii. Pocieszaliśmy ich, iż są w obozie bezpieczniejsi niż na wolności. Zapanowały gwałtowne nastroje antyniemieckie: wciąż demolowano sklepy niemieckich kupców i nawet kobietom dawano odczuć, że ponoszą osobistą odpowiedzialność za rzekome zbrodnie wojenne w Belgii. Poza tym, dodawaliśmy, w kraju wcielono by wszystkich do wojska. W owym czasie szczyliciliśmy się jeszcze posiadaniem armii ochotniczej, nie przeczuwając, że angielscy poborowi będą niebawem gorzko zazdrościć internowanym bezpieczeństwa do końca wojny.

W lecie tysiąc dziewięćset piętnastego roku londyński *Times* przedrukował z prasy niemieckiej relację niejakiego Wolffa, więzionego w Lancasterze w roku tysiąc dziewięćset czternastym i odesłanego do kraju w wyniku wymiany jeńców. Wolffa aresztowano w Manchesterze wraz z czterdziestoma kelnerami hotelu Midland i przewieziono do obozu specjalnym eszelonem pod strażą pięćdziesięciu policjantów zbrojnych w karabiny. Internowanym zakuto ręce i nogi w kajdany. *Times* naigrawał się z artykułu, wiem jednak, iż Wolff pisał prawdę, bo to mnie przekazał więźniów nadinspektor policji, wspaniała postać w mundurze z galonami. Pięknie zasalutował, wyraźnie dumny z dobrze spełnionego obowiązku. Podczas podróży wydarzył się tylko jeden nieszczęśliwy wypadek: przy zarzucaniu karabinów na ramię zbito dwie szyby w wagonie. Wolff podawał, że w obozie więziono nawet dzieci, co także jest prawdą. Internowano kilkunastu chłopców z orkiestr niemieckich, gdyż umieszczenie ich z przyjaciółmi wydawało się bardziej humanitarne niż zesłanie do domu pracy dla nieletnich. Jednakże niepokój o ich zdrowie moralne spędzał komendantowi sen z powiek.

[13] Archaiczna odmiana i pisownia słowa Walia. Por. str. 73.

Dowodziłem pięćdziesięcioma ochotnikami, służącymi przeważnie dopiero od sześciu tygodni. Byli to nieokrzescani Walijczycy z pogranicza, którzy zaciągnęli się tuż przed wybuchem wojny, by spędzić darmowe wakacje w obozie wyszkolenia. Kiedy po upływie przepisowych dwóch tygodni zmuszono ich do dalszej służby, wpadli w furję. Ustawicznie dezertowali i odstawiała ich żandarmeria, a ponadto bali się więźniów bardziej niż więźniowie ich. Nie znosiłem dokonywania inspekcji odwachów w bezkسیężycowe noce o drugiej czy trzeciej nad ranem. Wiatr bardzo często gasił latarnię i gdy próbowałem ją zapalić po ciemku, słyszałem przerażony okrzyk szyldwacha: „Stój! Kto idzie?!” Wiedziałem, że stoi z wycelowanym gwerem z pięcioma ostrymi ładunkami w komorze, ale zawsze udało mi się w porę podać hasło. Wartownicy często strzelali do cieni. Internowani, zwłaszcza marynarze, wszczynali mnóstwo bójek. Zauważywszy pewnego dnia więźnia odpluwającego krew i wybite zęby, spytałem, co się stało. „Oj, panie oficerze, zły kamerad dał mi w kły” - odpowiedział. Do komendatury przychodziły raz po raz deputacje ze skargami na monotonne jedzenie - żołnierskie racje żywnościowe. Jednakże po pewnym czasie więźniów ogarnęła apatia. Zajęli się potulnie swoimi hobby, przyjęciami, konkursami i planami ucieczki. Znacznie więcej kłopotów przysparzali Walijczycy, którzy wymykali się z koszar, choć pilnowałem wszystkich wyjść. W końcu odkryłem, że wyczołgują się przez kanał ściekowy. Pyszni się swoimi podbojami miłosnymi. Szeregowiec Kirby powiedział: „Wie pan, panie poruczniku? Po naszym przyjeździe w całym hrabstwie Lancaster pastory ostrzegali w niedzielę z ambon: «Matki, pilnujcie córek - do miasta przybyli Fizylierzy z Waliey»”.

W Lancasterze przydarzył mi się nieprzyjemny wypadek. W biurze, w którym sypiałem na rozkładanej kozetce, zainstalowano telefon. Pewnej nocy zadzwonił z Chester Bagażowy (kryptonim generalnego kwatermistrza przy sztabie Dowództwa Okręgu Zachodniego) z dyspozycjami dla komendanta. Dotyczyły racji żywnościowych dla kolejnych czterystu więźniów, skierowanych do obozu z Chester i północnej Walii. W trakcie rozmowy, którą utrudniała burza, moje rozespanie i zły humor Bagażowego, w linię telefoniczną strzelił piorun. Porażenie prądem wywołało u mnie konwulsje, tak że przez następne kilkanaście lat oblewałem się potem i jakałem ze strachu podczas każdej rozmowy przez telefon.

W wojnie, która weszła w październiku w decydującą fazę, nie chciałem pełnić niezbyt chwalebnej roli strażnika więziennego. Pragnąłem walczyć na froncie. Moje szkolenie uległo przerwaniu, toteż wiedziałem, że nawet jeśli otrzymam rozkaz powrotu do kadry, na translokację do Francji będę musiał czekać kilka miesięcy. Kiedy wróciłem, podpułkownik „Tibs” Crawshay, adiutant komendanta, sprężył się do służby stałej, zarzucił mi dwie rzeczy. Nie dość, że uszyłem sobie mundur u krawcy partacza, to jeszcze ordynans nie wyglansował mi należycie guzików i pasa. Ponieważ nie miałem nigdy służącego, nie wiedziałem, czego odeń wymagać. Crawshay wezwał mnie w końcu do adiutantury. Stwierdził, że nie wyśle mnie do Francji, dopóki nie doprowadzę do porządku umundurowania i nie zacznę zachowywać się, jak na oficera przystało - komendant kompanii wystawił mi opinię „rozlazłego zawałidrogiego”. Jednakże cała moja gaża szła na pokrycie rachunków z kasyna, a tuż po zapewnieniu, że niczego mi nie trzeba, nie mogłem prosić rodziców o pieniądze na nowy mundur. Crawshay ubrdał sobie także, iż jestem lichym sportsmenem, prawdopodobnie dlatego, że w dniu Wielkiej Narodowej, w której biegł jego koń, okazałem się jedynym młodszym oficerem nie proszącym o przepustkę. Pełniłem ochotniczo funkcję oficera służbowego w zastępstwie kogoś, kto chciał obejrzeć gonitwę.

Koleczy dostawali jeden po drugim przydziały do Francji, obejmując etaty poległych oficerów Pierwszego i Drugiego Batalionu, a ja tkwiłem w kadrze z nosem spuszczonej na kwintę. Ale znów pomogło mi pięściarstwo. Johnny Basham, sierżant naszego pułku, przygotowywał się właśnie do zwycięskiej walki z Boswellem o Nagrodę Lonsdale'a w wadze półciężkiej. Pewnego wieczoru odwiedziłem obóz szkoleniowy, Basham zaś obiecał stoczyć trzy rundy z każdym chętnym. Pierwszy nałożył rękawice młody subalterm, a Basham doprowadził publiczność do ryków śmiechu, uchylając się przed ciosami i robiąc zeń głupca. Spytałem trenera Bashama, czy mogę spróbować. Pożyczył mi spodenki i wyszedłem na ring. Udałem, że nie mam pojęcia o boksie, prowadziłem z prawej prostej i poruszałem się niezgrabnie. Basham wyczuł sposobność ośmieszenia kolejnego oficerka i opuściwszy gardę, zaczął tańczyć wokół mnie, by pokazać, że nie zdołam go trafić. Odchylił się w końcu, tracąc równowagę, a ja posłałem go mocnym ciosem na drugi koniec ringu. Doszedł do siebie i wściekle mnie zaatakował, lecz udało mi się utrzymać na nogach. Roześmiałem się, a on odpowiedział tym samym. Rozegraliśmy trzy bardzo szybkie rundy, Basham zaś kurtuazyjnie dostosował pracę nóg do mojego tempa i pozwolił mi wypaść na boksera znacznie lepszego niż w rzeczywistości. Kiedy Crawshay dowiedział się o walce, natychmiast zadzwonił do mojej kwatery i rzekł, że wieść o występie sprawiła mu przyjemność, że się pomylił co do moich umiejętności sportowych, że dobrze boksujący oficer podnosi morale żołnierzy i że wpisze mnie w nagrodę na listę uzupełnień do Francji w przyszłym tygodniu.

Kilku oficerów wysłanych przede mną zdążyło już polec lub odnieść rany. Wśród zabitych był W. G. Gladstone, poseł do parlamentu z ramienia Partii Liberalnej, przezywany w kadrze Żalotnisiem²⁴. Był to trzydziestokilkuletni wnuk starego Gladstone'a, którego nawet przypominał z wyglądu. Pełnił funkcję lorda namiestnika swojego hrabstwa. Kiedy wojna wisiała na włosku, zaprotestował przeciwko niej na forum publicznym, a zawstydzeni dzierżawcy z jego majątku w Hawarden zagrozili, że wrzucą go do stawu. Zdając sobie sprawę, że po wybuchu wojny dalsze sprzeciwy nie mają sensu, wstąpił do pułku w randze podporucznika. Nie zmienił przekonań politycznych, lecz jako człowiek honoru nie chciał przyjąć tyłowego etatu pułkownika sztabowego, jaki zaproponowało mu Ministerstwo Wojny. Wkrótce po rozpoczęciu służby liniowej w Pierwszym Batalionie zginął od kuli Strzelca wyborowego, niepotrzebnie wychyliwszy się z okopu. Generał French odesłał jego zwłoki do kraju. Pogrzeb odbył się w Hawarden, a ja uczestniczyłem w nim jako członek asysty honorowej.

Z okresu szkolenia we Wrexham pamiętam jeszcze kilka przypadkowych faktów. Gospodarz mojej kwatery, walijski kauzyperda, zdierał z nas niemiłosiernie skórę, choć zgrywał dobrego wujka. Nosił perukę, a ściślej mówiąc trzy peruki o coraz dłuższych włosach. Założywszy na parę dni perukę średniej długości, zastępował ją najdłuższą i mówił, że - mój ty Boże! - musi się wybrać do fryzjera. Później wychodził z domu i w szalecie czy przydrożnym zagajniku przywdziewał perukę o włosach najkrótszych, po czym w jakiś czas później znów nakładał średnią. Oszustwo wyszło na jaw, kiedy jeden z oficerów stojących ze mną na kwaterze wszedł po pijanemu do jego sypialni. Oficer ów, nazwiskiem Williams, był typowym przykładem podłego Walijszczyka z pogranicza. Upiwszy się, przyznawał się do potwornych rzeczy. Opowiadał mi o dziewczynie z Dublina, którą pozbawił cnoty, obiecawszy jej małżeństwo i ofiarowawszy pierścionek zaręczynowy z brylantem. „Tak naprawdę zwykle szkieleko!” - chełpił się. W przeddzień ślubu omnibus szynowy Dalkeya uciał bogdancę stopę, a Williams opuścił w te pędy Dublin. „Ale, wierz mi, Gravesiuniu, nim ją przejechało, była śliczną, ach, śliczną turkaweczką!...” Studiował przed wojną medycynę w dublińskim Kolegium Świętej Trójcy. Pojechawszy na kurwy do najbliższego miasta, Chester, nie tylko nie zostawiał im ani grosza, odwołując się do ich patriotyzmu, ale podawał się zawsze za mnie. Wiem o tym, bo otrzymywałem od nich listy z wyrzutami. W końcu powiedziałem mu w kasynie: „W przyszłości będę cię nazywał «świnią» Williamsem dla odróżnienia od innych Villiamsów w pułku”. Przewisko przyłgnęło. Udawało mu się zawsze wykręcić od służby liniowej. Spędził na froncie krótki okres w spokojnym sektorze i przeżył wojnę bez szwanku.

Szeregowy Probert pochodził z wyspy Anglesey i w czasie pokoju odbywał dla zdrowia ćwiczenia wojskowe. We wrześniu cały batalion zgłosił się na ochotnika na front, z wyjątkiem Proberta, który odmówił i nie dał się przekonać prośbą ani groźbą. Komendant, szczerze zdumiony jego uporem, wezwał go w końcu do raportu. Probert wyjaśniał: „Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że się nie stracham, ino nie chcę, żeby mnie utrupili. Mam doma babę i świniaki”. Batalion otrzymał akurat nowe ciemnoniebieskie mundury, które żołnierze mieli nosić do czasu wydania mundurów khaki, a komendant postanowił zawstydzić Proberta i rozkazał mu chodzić w mundurze czasu pokoju: szkarłatnej bluzie i niebieskich spodniach z czerwonym lampasem. W bardzo brudnej szkarłatnej bluzie, bo Probert służył w kuchni. Koledzy przezwali go gilem i śpiewali chórem na jego cześć popularną piosenkę:

Gilu, gilasku,
Czemu bieżysz do lasku?
Gil czerwona ma koszulę,
A na froncie świszczą kule!
Bum!
Po co walczyć mam ci niby?
Wolę w lesie zbierać grzyby!

Lecz Probert się nie przejmował:

Co z tego, że gilem mnie zwą?
Niech sobie śpiewają, co chcą!
Zostanę wolny jak ptak.

Właśnie tak! Właśnie tak! Właśnie tak!

W październiku zwolniono go z wojska ze względów zdrowotnych jako „niezdatnego do służby w siłach zbrojnych JKMości z powodu przyrodzonej tępoty”, po czym wrócił radośnie do baby i świń. Większość śpiewaków poległa pod Festubert w maju następnego roku, reszta zaś zginęła we wrześniu pod Loos.

Świeżo upieczeni oficerowie spędzali mnóstwo czasu w kancelarii kompanii i batalionu, ucząc się walczyć z występkiem. Nazywano tak każde naruszenie Regulaminów Wojennych JKMości, co zdarzało

się ustawicznie. W kancelarii batalionu wymierzano kary dyscyplinarne przez pięć godzin dziennie, a na jednego winowajcę przypadały trzy minuty. Pomniejszych wykroczeniami, niezmiernie licznymi, zajmowali się dowódcy kompanii. Na szczeblu batalionu karano żołnierzy oskarżonych o dezercję, odmowę wykonania rozkazu, spostonowanie podoficera, pijaństwo, bałaganiarstwo i kradzież mienia kolegi. W dniach wypłaty żołdu prawie żaden szeregowiec nie był trzeźwy, lecz patrzono na to przez palce, jeżeli w koszarach panowała cisza po wygaszeniu świateł i wieczornym obchodzie oficera dyżurnego. W dwa lata później liczba poważnych przestępstw zmniejszyła się do jednej dwudziestej, choć batalion liczył trzykrotnie więcej żołnierzy, a wiele wykroczeń karanych poprzednio przez dowódców kompanii zaczęło podlegać jurysdykcji komendanta. Pijaństwo prawie zniknęło.

W Lancasterze służył w mojej kompanii młody szeregowy nazwiskiem Taylor. Kupił mu pikolo, na którym grał podczas marszów etapowych, zmieniając melodię co mila. Tornister i karabin nieśli mu koledzy. W dniu wypłaty żołdu Taylor siadywał wieczorem na odwróconym kubku przed rejonem kompanii w koszarach przy stacji kolejowej we Wrexham i grał gigi, które tańczyli pijacy. Sam nie brał alkoholu do ust. Melodia była z początku powolna, lecz stopniowo przyspieszała, aż tancerze wpadali w istny szal. Taylor odwlekał apogeum do chwili mojego przybycia wraz z podoficerem służbowym. Kiedy sierżant otwierał drzwi i ryczał: „Kompania F, baaa-czność!!!”, Taylor przerywał grę, wsadzał pikolo pod koc i przyjmował postawę zasadniczą, a pijacy zastygali w bezruchu w samym środku łamańców, mrugając głupkowato oczami.

Kiedy pierwszy raz uczestniczyłem w raportach karnych w kancelarii batalionu, przedstawiono następującą sprawę:

STARSZY SIERŻANT (*zasceną*): Szeregowy Davies z kompanii F, czapkę zdejm! No mówię, ośle, czapkę zdejm! Dobrze. Eskorta i więzień, w pra-wo-zwrrrrt! Naa-przód-marrsz! (*na scenie*) W miejscu krok! Równaj krok! Eskorta i więzień, stój! W le-wo-zwrrrrt! Baa-czność!

KOMENDANT: Odczytajcie akt oskarżenia, sierżancie.

STARSZY SIERŻANT: Szeregowy William Davies z kompanii F. Zachowanie nie licujące z godnością żołnierza brytyjskiego. Defekacja na dziedzińcu koszar we Wrexham w dniu dwudziestego sierpnia. Świadkowie - sierżant Timmins, kapral Jones.

KOMENDANT: Co wiecie o sprawie, sierżancie Timmins?

SIERŻANT TIMMINS: Melduję posłusznie, panie pułkowniku, że tego dnia pełnił funkcję podoficera dyżurnego. Około godziny czternastej kapral Jones zameldował mi o kale na majdanie. Dokonałem lustracji gówna. Obywatelu pułkowniku, zrobił je oskarżony.

KOMENDANT: Co wiecie o sprawie, kapralu Jones?

KAPRAL JONES: Panie pułkowniku, melduję posłusznie, przechodziłem przez majdan i ujrzałem oskarżonego w pozycji kucznej. Wydzielał z siebie kał. Zapisałem nazwisko i zapodałem migiem podoficerowi dyżurnemu.

KOMENDANT: Szeregowy Davies, co możecie powiedzieć na swoją obronę?

SZEREGOWY DAVIES (*zawodząc ze zdenerwowania*): Obywatelu pułkowniku, melduję posłusznie, że mi się nagle w brzuchu zagotowało. Ciężmiem mnie sraczka męczy. Musiałem sobie ulżyć, jak miły Bóg!

KOMENDANT: Ale, słuchajcie no, szeregowy, przecież o parę kroków dalej jest higiena, nie?

SZEREGOWY DAVIES: Obywatelu pułkowniku, na naturę nie ma rady!

STARSZY SIERŻANT: Jak śmiesz odszczekiwać oficerowi?! Stul pysk, bydlaku!

(*Chwila milczenia.*)

SIERŻANT TIMMINS (*pokaszując*): Panie pułkowniku?...

KOMENDANT: Słucham, sierżancie.

SIERŻANT TIMMINS: Obywatelu pułkowniku, widziałem gówno na własne oczy. Było zrobione z wysiłkiem.

KOMENDANT: Czy przyznajecie się do winy, Davies?

SZEREGOWY DAVIES: Tak jest, panie pułkowniku.

KOMENDANT: Popelniliście czyn plugawy i zhańbiliście pułk i swoich towarzyszy. Ukarzę was przykładnie. Dziesięć dni ścisłego.

STARSZY SIERŻANT: Eskorta i więzień, w le-wo-zwrrrrt! Naprzód marsz! (*za sceną*) Eskorta i więzień, stój! Czapkę włoż! Odprowadzić więźnia na odwach. Przygotować następnego podsądnego.

Raporty karne w kancelarii peszyły mnie zawsze i przygnębiały. Nigdy do nich nie przywykłem, nawet ukarawszy osobiście tysiące żołnierzy. Po wprowadzeniu do armii żywołu cywilnego zaszła tylko jedna zmiana. Mniej więcej w połowie wojny Sztab Generalny wydał instrukcję, że komenda powinna brzmieć „eskorta i podejrzany, w prawo zwrot, naprzód marsz” zamiast „eskorta i więzień, w prawo zwrot, naprzód marsz” jak dotychczas. Interesujące sprawy zdarzały się rzadko. Nawet wyzwiska, przytaczane zawsze

dosłownie, powtarzały się do znudzenia i tylko raz, o ile pamiętam, szeregowiec oskarżony o obrazę podoficera nie posłużył się jednym ze znanych czteroliterowych wyrazów. Oznajmił on kapralowi Smithowi: „Panie kapralu, ludziom łatwiej się spotkać niż górą”. Kiedy komendant spytał, co to znaczy, Smith wyjaśnił, że chociaż góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze, czyli może się spotkać on i więzień, może się to zdarzyć w czasie pokoju, a więzień może go uderzyć. Chociaż groźba miała charakter wysoce hipotetyczny, szeregowego skazano na siedem dni paki. Monopol na humor językowy mieli górale walijscy, kiepsko znający angielski. Jeden z nich, oskarżony o nieobecność na paradzie i obrazę sierżanta, rozzłościł się w kancelarii i krzyknął do pułkownika: „Melduję posłusznie, panie komendancie, sierżant mówić, że, kurwa, warta, ja go prosić, że, kurwa, nie warta, a teraz ta kurwa znowu niewarta”.

O najcięższe zbrodnie oskarżono syna pułku Jonesa na rozprawie w Liverpoolu w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Po pierwsze zarzucono mu spostponowanie kapelmistrza (kapelmistrz, człowiek wstydlivy, zameldował o tym tak: „Panie pułkowniku, nazwał mnie, ten tego... pierdolonym chu... no wie pan pułkownik”). Ponadto, ucieczkę z odwachu, gdzie osadzono go za ów występki. Dalej, „dezercję z pułku aż do schwytania na linii Hindenburga we Francji”. Po czwarte, stawianie oporu eskorcie żandarmskiej. Po piątę, kradzież ekwipunku należącego do Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa Chester. Jones, mający zaledwie czternaście lat, a wyglądający na trzynaście, wyslizgnął się jak piskorz z celi przez okratowane okno, spakował w baraku manatki i poszedł na dworzec kolejowy w Liverpoolu, by upatrzeć sobie ofiarę, którą okazał się , szeregowiec Batalionu Liliputów Regimentu Piechoty Liniowej Hrabstwa Chester. Bataliony liliputów składały się z ochotników, których nie przyjęto do normalnych oddziałów ze względu na nikczemną posturę. Jones spoił liliputa, ukraść mu karabin, ryszczunek, odznaki pułkowe i dokumenty, po czym opuścił Liverpool. Przyplłynawszy do Francji, udał się do Regimentu z Hrabstwa Chester, ale nie czuł się tam dobrze. Wolał służyć w pułku macierzystym, toteż pożegnał liliputów, stojących na kwaterach na północ od Arras, i powędrował wzdłuż frontu na południe, przypięwszy z powrotem właściwe odznaki. Po dwóch dniach zameldował się w komendzie Drugiego Batalionu, lecz odesłano go natychmiast do kraju pod eskortą żandarmów, z którymi stoczył krwawą bitkę na przyfrontowej stacji kolejowej. Kara za owe potworne zbrodnie - dziesięć dni aresztu koszarowego i chłosta z rąk kapelmistrza - wydała nam się nadzwyczaj sprawiedliwa.

O najdziwniejsze przestępstwo oskarżono kaprała sprawującego pieczę nad maskotką pułku. Początkowo zarzucano mu obrazę majestatu, ale później poprzestano na obrazie oficera. Chodziło o to, że „sprostytuował we Wrexham Kozła JKMości, dar monarchy, tytularnego komendanta regimentu, użyczając wyżej wzmiankowanego kozła, pochodzącego z Trzód Królewskich w Windsorze, panu N..., farmerowi i hodowcy kozłów z Wrexham, za opłatą jako stadnika”. Chociaż opiekun maskotki (zwany w pułku kozłomistrzem) twierdził, iż zrobił to z sympatii do zwierzęcia, które darzył wielkim przywiązaniem, pułkownik zdegradował go na szeregowca i pozbawił funkcji.

Szarże regularnych batalionów pułku wywodziły się przed wojną przeważnie z walijskiego ziemiaństwa pochodzenia angielskiego, ale wśród żołnierzy było bardzo niewielu rdzennych Walijczyków. Większość rekrutów pochodziła z Birminghamu. Latem tysiąc dziewięćset czternastego roku do pułku wstąpiło tylko dwóch mieszkańców Harlech: ja i ordynans golfowy, który popadł tuż przed moim przybyciem w tarapaty w związku z kradzieżą kijów. Sekciarze walijscy uważali żołnierkę za grzech, a Kościół miał w hrabstwie Merioneth ostatnie słowo. Modlono się za mnie, lecz nie z powodu niebezpieczeństw, jakie czyhały we Francji, tylko z powodu brudu moralnego otaczającego mnie w koszarach. Jednakże kiedy w tysiąc dziewięćset piętnastym roku ministrem zbrojeń mianowano Lloyda George'a, udało mu się przekonać sekciarzy, że wojna to krucjata w obronie wiary, i do pułku zaciągnęło się nagle mnóstwo mieszkańców północnej Walii. Byli niekarnymi żołnierzami i szczególnie trudno przychodziło im słuchać wyzwisk podoficerów, stojąc spokojnie na baczność.

Podporuczników uczono we Wrexham dziejów pułku, musztry, strzelania, taktyki polowej z czasów wojny burskiej, regulaminów wojskowych, organizacji armii, sygnałów trąbką, obsługi karabinu maszynowego i godnego zachowania w chwilach uroczystych. Nie kopaliśmy rowów strzelniczych, nie rzucaliśmy granatami, a za najmniejszy związek taktyczny uważaliśmy kompanię, nie zaś pluton czy sekcję. W kadrze służyło w owym czasie tylko dwóch oficerów posiadających doświadczenie frontowe: obaj opuścili Drugi Batalion w trakcie odwrotu spod Mons. Żaden nie chciał wspominać swoich przeżyć. Pierwszy, „Emu” Jones, powiedział tylko tyle: „Kiedy przybyłem do Francji, zdziwił mnie widok trzech nągich kobiet wiszących głowami w dół na hakach u rzeźnika”. Drugi twierdził: „Niemieckie pociski dają żołnierzowi do wiwatu, szczególnie te wielkie i czarne. Istne piekło. Nie było żadnego pożytku z tego typka Emu. Ma słabe serce, więc mdlał codziennie na etapach i kazał się nieść swojemu zmordowanemu

plutonowi, uginającemu się pod ciężarem ekwipunku. Wszyscy byli pewni, że symuluje. Nie wiercie w to, co opowiada o odwrocie stary Emu”.

XI

Gratulowałem sobie w duchu, że ze wszystkich pułków armii wybrałem na chybił trafił akurat Fizylierów Królewskich z Waliey. „Wielki Boże! -myślałem. - Cóż by to było, gdybym w chwili wybuchu wojny mieszkał w hrabstwie Chester i próbował zdobyć szlify oficerskie w tamtejszym pułku piechoty?!” Spaliłbym się ze wstydu na wieść, że mój pułk - dawny Dwudziesty Drugi Regiment Piechoty Liniowej, ciut starszy rangą od Fizylierów Królewskich z Waliey, czyli Dwudziestego Trzeciego Regimentu Piechoty Liniowej - utracił zaszczytny przydomek królewskiego po przegraniu bitwy (było to oszczerstwo nie poparte faktami historycznymi, wszyscy jednak w nie wierzyli). Miałem także szczęście, że nie wstąpiłem do bedfordczyków, którzy okryli się wprawdzie chwałą podczas wojny, lecz z początku znani byli jako bojownicy o pokój, a ich dewizę pułkową przekręcano na „Nie zabijaj!”, albowiem posiadali zaledwie cztery odznaki bitewne, ostatnią z tysiąc siedemset jedenastego roku. Nawet Czarna Straż, czyli Królewski Regiment Piechoty Liniowej ze Szkocji Górzystej, miał na honorze plamę, o której wszyscy wiedzieli. Jeśli szeregowy innej formacji wchodził do karczmy, gdzie pili żołnierze Czarnej Straży, i chciał wszczać burdę, prosił oberżystę nie o „bździwo”, jak w żargonie koszarowym nazywano piwo, lecz o „czworobok w rozspyce”. Potem szły w ruch pięści.

Fizylierzy Królewscy z Waliey zdobyli dwadzieścia dziewięć odznak bitewnych i dorównywało im tylko kilka pułków dwubatalionowych. Ale i tutaj mieliśmy przewagę, nie były to bowiem pojedyncze formacje, lecz oddziały sformowane w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku z dwu jednostek o odrębnych dziejach. Pierwszy Batalion Fizylierów

Królewskich z Waliey szczylił się dwudziestoma sześcioma odznakami, a pozostałe trzy uzyskał Batalion Drugi w czasie swojej krótkiej i pełnej luk historii. Wszystkie emblematy wywalczono w krwawych zmaganiach i żaden nie upamiętniał akcji takiej jak ta, którą Regiment Górali Szkockich z Argyllu i Sutherlandu rozpoczął z dziewięciuset żołnierzami, a zakończył z dziewięciuset i jednym, bo chłopiec z kapeli pułkowej osiągnął pełnoletniość i awansował na szeregowego. Za wiele morderczych kampanii, jak na przykład Boyne, Aughrim czy zdobycie Lille, Fizylierów Królewskich z Waliey nie nagrodzono w ogóle. Formacja brała także udział w czterech bitwach, które sir John Fortesque nazywa najkrwawszymi zwycięstwami w dziejach oręża brytyjskiego. Jestem dziś trochę na bakier z historią pułku, lecz zdaje się, że chodzi o Malplaquet, Albuherę, Waterloo i Inkerman. Fizylierzy Królewscy byli ponadto jednym z sześciu regimentów piechoty, które dokonały pod Minden niesłychanego wyczynu, rozbijając w puch wielokrotnie silniejszy kontyngent jazdy. Nie uchodzi za hańbę nawet kapitulacja pod Yorktown podczas amerykańskiej wojny o niepodległość, jedyna klęska w dziejach pułku. Marynarka zawiodła wówczas piechotę, Fizylierzy zaś złożyli broń na warunkach honorowych, uzyskanych dzięki postawie pod Lexington i Guildford Court House oraz straceńczemu natarciu na Bunker Hill. Przysłowiowy Thomas Atkins służył pierwotnie w Ameryce w Fizylierach Królewskich z Waliey.

Z pierwszymi oznakami żywej tradycji pułkowej zetknąłem się już w kilka dni po przybyciu do kadry. Zacząłem przeglądać opasłe tomisko w skórkowej oprawie, które znalazłem w szafie w kasynie. Okazało się, że trzymam w ręku księgę rozkazów dziennych Pierwszego Batalionu podczas oblężenia Sewastopola. Otworzyłem ją na dyspozycji ataku na redan rosyjski. Jednej z kompanii polecono wystawić z ochotników oddział szturmowy pod komendą porucznika. Rozkaz zawierał dokładne dane o uzbrojeniu i rynsztunku żołnierzy (wraz z liczbą drabin, które powinni zabrać) oraz opis wsparcia ze strony pozostałych kompanii. Następowało wyliczenie racji żywnościowych i zapasów amunicji, na koniec zaś poważne „Szczęść Boże!” komendanta batalionu (na ścianie nad moją głową wisiał jego portret w czapce z nausznikami, gdy leżał chory w swoim namiocie w Skutari podczas srogich mrozów). Szturm zakończył się klęską, a następne strony dziennika zawierały dyspozycje dotyczące pogrzebu poległych, pochwałę za „waleczność na próżno okazaną” oraz wzmiankę, że rzeczy osobiste po dowódcy oddziału szturmowego pójdą nazajutrz pod młotek na aukcji polowej. Inny rozkaz dzienny zawierał chwalebny cytację sierżanta Luke’a O’Connora, odnanzonego za męstwo jednym z pierwszych Krzyży Wiktorii ustanowionych w tysiąc osiemset pięćdziesiątym szóstym roku. Bohater ów żył jeszcze: był to obecny komendant pułku, generał-porucznik sir Luke O’Connor.

Tradycją, z którą jako nowo kreowany oficer zetknąłem się najbliżej, była tak zwana błyskawica, czyli wachlarzowata wiązka pięciu czarnych wstążek szerokości dwóch cali, długości siedmiu i pół cala każda, mająca u góry kształt jaskółczego ogona. Kąt między wstążkami reguluje dokładnie etykieta pułkowa. Błyskawicę naszywa się na tylnej części kołnierza, a przywilej jej noszenia przysługuje wyłącznie Fizylierom Królewskim z Waliey. Legenda głosi, iż w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku pułk służył przez dłuższy czas za granicą i nie otrzymał instrukcji wodza naczelnego znoszącej w armii harcapy.

Po powrocie do Anglii odbyła się w Plymouth rewia, podczas której inspekcjonujący generał obsztorcował komendanta za nieprzepisowe fryzury żołnierzy. Dowódca, rozjuszony afrontem, pogalopował czym prędzej do Londynu i dzięki wstawiennictwu jednego z dworzaków wyjednał u króla Wilhelma Czwartego przyzwolenie na to, by szarże Fyzylarów Królewskich z Waliey nosiły wstążkę od harcapa, czyli właśnie błyskawicę, jako odznakę pułkową. W tysiąc dziewięćset drugim roku królowa Wiktorja przyznała ów przywilej również szeregowcom i podoficerom w nagrodę na wzorową służbę na wojnie burskiej.

Sztab Generalny, złożony głównie z generałów kawalerii, artylerii i gwardii, a prawie pozbawiony reprezentantów piechoty liniowej, nie popierał nigdy osobliwości pułkowych i nie był w stanie zapomnieć nieprzepisowego apelu do samego suwerena. Tak czy inaczej, nie wyrażono zgody na noszenie błyskawicy na nowym drelichu polowym koloru khaki. Mimo to oficerowie i podoficerowie pułku nadal ją nosili. W przedwojennej korespondencji ze Sztabem Generalnym sir Lukę O'Connor wskazał, iż błyskawica jest odznaką zdobytą w sposób honorowy, winno się ją tedy nosić na mundurze polowym, a nie tylko paradnym. Sztab odpisał, że błyskawica stanowi wyśmienity cel dla strzelców wyborowych i wystawia na szczególne niebezpieczeństwo kadrę dowódczą. Sir Lukę odciął się pytaniem, kiedyż to od czasu ewakuacji La Corufy, gdy pułk, sporządzony plany fortyfikacji miejskich, opuścił Hiszpanię jako ostatni, wrogowie JKMości widzieli plecy oficera Fyzylarów Królewskich z Waliey?! Przełożeni trwali przy swoim i sprawa pozostała otwarta do końca wojny. Kiedy oficer mojej kompanii pojechał w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku do Pałacu Buckingham na dekorację Krzyżem Wojennym, król Jerzy Piąty, tytularny komendant pułku, zainteresował się błyskawicą osobiście.

- Służycie w jednym z batalionów kadrowych? - spytał.

- Tak jest, Wasza Wysokość, w Batalionie Drugim.

- W tył zwrot! - zakomenderował monarcha, przyjrzał się błyskawicy i powtórzył: - W tył zwrot!

- Dobrze - powiedział. - Widzę, że ją ciągle nosicie. - Po czym teatralnym szeptem dodał: - Nie dajcie jej sobie odebrać!

Po wojnie, gdy czerwone mundury skasowano ze względu na koszty, Sztab Generalny przyznał oficerom, podoficerom i szeregowym regimentu prawo noszenia błyskawicy na mundurach polowych. Usankcjonowano także inną buntowniczą tradycję pułkową, archaiczną odmianę słowa Walia. Rozkaz w tej sprawie ogłoszono w specjalnej instrukcji Sztabu Generalnego z tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku. Gazeta *The Daily Herald* skomentowała to ignoranckim „Phi-ey!”, jakby rzecz nie miała znaczenia, lecz nam forma „Waliey” wydawała się równie istotna jak miniaturowy emblemat noszony z tyłu czapki przez żołnierzy Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa Gloucester na pamiątkę bitwy w Egipcie, podczas której walczyli oparci o siebie plecami. Widziałem na własne oczy, jak pewnego młodszego oficera odesłano precz z apelu batalionowego, bo miał na guzikach munduru napis Fyzylarzy Królewscy z Walii. „Waliey” kojarzyło się ze średniowieczną północną Walią Henryka Tudora, Owena Glendowera i Herberta lorda Cherbury, twórcy regimentu, i odróżniało nas od współczesnej północnej Walii sekciarzy, liberalizmu, ferm mleczarskich, przemysłu tekstylnego, kamieniołomów łupka oraz turystyki masowej.

W pułku obowiązywały ściśle określone wymiary błyskawicy. Kiedy sformowano nowe jednostki ochotnicze, po Wrexham zaczęła krążyć pogłoska, że oficerowie Osiemnastego Batalionu noszą błyskawice sięgające nieomal pasa. Zapanowała konsternacja. Do komendy Osiemnastego Batalionu, którym dowodził oficer przeniesiony z Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa York, adiutant kadry wysłał z misją specjalną jednego z najmłodszych subaltemów z parą nożyc krawieckich.

Jednakże oddziały ochotnicze starały się przestrzegać tradycji równie wiernie jak bataliony regularne. Major kadrowy Regimentu Fyzylarów JKMości wszedł pewnego dnia we Francji do kasyna Batalionu Liliputów (Dziewiętnastego) Fyzylarów Królewskich z Waliey. Pozdrowił obecnych słowami: „Czołem, moi panowie” i poprosił kasynowego o whisky. Pogwędziwszy chwilę, spytał najstarszego rangą oficera:

- Wiecie, dlaczego kazałem podać whisky?

- Ma się rozumieć, panie majorze. Chciał pan sprawdzić, czy pamiętamy wojnę w Hiszpanii.

Fyzylar JKMości skinął głową:

- Nasze kasyno jest tuż za lasem. My też pamiętamy.

Po zwycięskiej bitwie pod Albuherą niedobitki Fyzylarów Królewskich z Waliey i Fyzylarów JKMości spożyły razem posiłek na zdobytym wzgórzu i postanowiły, iż szarże obydwu regimentów będą odtąd po wsze czasy honorowymi gośćmi swoich kasyn. To samo dotyczyło kasyn podoficerskich.

Nie powinienem zapomnieć o Noccy Świętego Dawida: o surowych porach - godle narodowym Walii - zjadanych przy akompaniamencie werbli, z jedną nogą na krześle, a drugą na stole zastawionym łupami zdobytymi w tysiąc dziewięćsetnym roku w Cesarskim Pałacu Letnim w Pekinie, gdzie zawarliśmy wieczyste braterstwo broni z amerykańską piechotą morską (pory nie są wcale takie złe, wbrew dąsom Szekspira). Warto także wspomnieć o koźle pułkowym, który miał pozłacane rogi i przesadził raz stół w

kasynie z młodziutkim dobozem na grzbiecie. Był również toast na pamiątkę szczerozłotych ostróg majora Toby'ego Purcella, zdobytych nad Boyne i utraconych około tysiąc osiemset czterdziestego roku w katastrofie morskiej u wybrzeży Nowej Funlandii. I toast za zdrowie Shenkina ap Morgana, pierwszego dżentelmena Waliey. I hymn pułkowy *Grenadierzy brytyjscy* - bo w Wielkiej Brytanii grenadierzy to nie tylko, jak się zwykle sądzi, regimenty grenadierów gwardii, lecz wszystkie formacje, między innymi Fizylierzy Królewscy z Waliey, noszący na kołnierzach i czapkach odznakę w kształcie pękającej bomby na pamiątkę czasów, gdy były oddziałami szturmowymi zbrojnymi w granaty.

Podczas wojny Fizylierzy Królewscy z Waliey rozrosli się do tego stopnia, iż zaczęło to wystawiać na szwank pułkowy *esprit de corps*^[14]. Z początku mieliśmy dwa bataliony regularne i zakład kadrowy. Cztery bataliony obrony krajowej, nie noszące błyskawic, nie liczyły się, choć dowodzili nimi oficerowie zawodowi. Batalion zapasowy szkolony w kadrze był ubogim krewnym. Lecz teraz formowano z ochotników coraz to nowe jednostki: Batalion Dwudziesty Piąty popłynął w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku do Palestyny, gdzie okazał się równie dobry jak Ósmy. W miarę jak oddziały ochotnicze okazywały się godne służby w polu, starszozna obydwu batalionów regularnych uznawała je po kolei za Fizylierów Królewskich z Waliey. Honor ów nie spotkał nigdy batalionów obrony krajowej, przezywanych pogardliwie hyclami. I rzeczywiście, trzy z nich poniosły druzgocącą klęskę podczas lądowania w zatoce Suvla koło Gallipoli. Jeden wszczął bunt przeciwko oficerom, doprowadzając komendanta do samobójstwa i okrywając się hańbą, której nie zmazało nawet bohaterstwo okazane później pod Gazą. Ostatni batalion obrony krajowej, włączony na początku tysiąc dziewięćset piętnastego roku do Pierwszej Dywizji Piechoty we Francji, stracił niepotrzebnie pod Givenchy karabiny maszynowe. Broń maszynową uważano w tysiąc dziewięćset piętnastym roku bez mała za świętość. Oddanie jej nieprzyjacielowi przed wybiciem batalionu do nogi było taką samą hańbą jak utrata sztandaru pułkowego w siedemnastym wieku. Oficer dowodzący kulomiotami wymontował z nich chytrze zamki, co miało je uczynić bezużytecznymi, ale zapomniał o skrzynkach z częściami zapasowymi. W półtora roku później Drugi Batalion dokonał w tym samym sektorze wypadu i odbił jeden z karabinów, z którego strzelano do naszych linii od chwili jego zdobycia.

Kiedy przybyliśmy do kadry, uświadomiono nam, że urodziliśmy się w czepku: jeśli wojna potrwa dostatecznie długo, spotka nas zaszczyt służby w jednym z batalionów regularnych. W czasie pokoju kandydat na oficera musiał nie tylko zdać celująco egzaminy końcowe w Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst i uzyskać pozytywne rekomendacje dwu szarż regimentu, lecz mieć także prywatne źródło dochodu pozwalające na grę w polo, myślistwo i podtrzymywanie chlubnych tradycji pułku w sferze życia towarzyskiego. Nas wymagania te nie obowiązywały, ale winniśmy zdawać sobie sprawę, że nie jesteśmy prawdziwymi fizylierami. Możliwość służby w regimencie musi zaspokoić nasze najwyższe aspiracje wojskowe. Nie byliśmy oficerami czasu wojny jak szarże formacji ochotniczych, lecz mieliśmy stałe etaty oficerskie w batalionie zapasowym. fizylierzy Królewscy z Waliey nie uważali się za gorszych nawet od gwardii. Po wojnie burskiej proponowano im zmianę nazwy na Walijski Regiment Gwardii, ale ofertę tę z oburzeniem odrzucono, bo przyjęcie jejuczyniłoby pułk niższym rangą nawet od nowo utworzonego Irlandzkiego Regimentu Gwardii.

Uprzedzono nas również, że nie powinniśmy spodziewać się odznaczeń. Jako nagroda miał wystarczyć zwykły pamiątkowy medal wojenny z wygrawerowanym okresem służby. Fizylierzy Królewscy z Waliey uważali ordery za nagrodę nie dla pojedynczych żołnierzy, ale dla całego regimentu. Rezerwowano je tedy dla oficerów kadrowych, którym miały ułatwić awans poza pułkiem. I tak się też działo. Na froncie walczyły setki wolontariuszy, lecz odznaczenia otrzymało tylko kilku, nie z rekomendacji dowódcy batalionu, ale po przeniesieniu do sztabów lub innych formacji. Wziąwszy pod uwagę nasze straty - a na każdego odznaczonego oficera przypadało zazwyczaj około sześćdziesięciu poległych - powinniśmy byli otrzymać co najmniej dziesięć razy tyle. Z góry zaznaczam, że nie dokonałem we Francji niczego, za co mógłbym rościć pretensję do orderów.

Tradycja pułkowa przetrwała wszystkie niepowodzenia. Pierwszy Batalion wybito nieomal do nogi już dwa miesiące po wcieleniu do Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego. Młody Orme, który przyszedł wprost z Sandhurst, w krytycznej fazie pierwszej bitwy pod Ypres dowodził batalionem złożonym z zaledwie czterdziestu piechurów.

[14] *Esprit de corps* (franc.) — duch koleżeństwa.

Wraz z trzydziestoosobową grupą niedobitków Drugiego Batalionu Regimentu Królowej odbił trzy linie utraconych okopów i poległ. Batalion, sformowany na nowo, wziął w grudniu udział w krwawych walkach pod Bois Grenier, lecz już w maju następnego roku rozbito go na wzgórzach Aubers i pod Festubert, a we wrześniu pod Loos, gdzie natarcie przeżył tylko jeden oficer: dowódca sekcji broni maszynowej przeniesiony z Regimentu Piechoty Liniowej z Południowego Hrabstwa Stafford. Historia powtórzyła się w tysiąc dziewięćset szesnastym roku nad Sommą podczas walk o Fricourt, Szaniec Czworoboczny, Wysoki Las, las Delvile i Ginchy, później, wiosną tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, pod Puisieux i Bullecourt, i tak bez końca, póki nie podpisano rozejmu. Przez każdy batalion skadrowany przewinęło się ze dwadzieścia tysięcy żołnierzy, choć w danej chwili służyło co najwyżej ośmiuset. Po każdej jatce stan uzupełniano poborowymi z kraju, lekko rannymi sprzed kilku miesięcy i ciężko rannymi w bitwach wcześniejszych.

W czasie wojny dzieje regimentu znali nie tylko oficerowie i podoficerowie Pierwszego i Drugiego Batalionu. O bitwach pod Minden, Albuherą, Waterloo i piramidami mówiono prostym żołnierzom więcej niż o walkach na innych frontach i przyczynach toczącej się wojny.

XII

Kiedy w tysiąc dziewięćset szesnastym roku przebywałem w Anglii na urlopie po odniesieniu rany, zacząłem opisywać pierwsze miesiące we Francji. Popelnilem błąd, nadając relacji formę kiepskiego powieściadła, toteż muszę je przetworzyć na literaturę faktu. Oto jeden z rozdziałów:

Po przybyciu do Francji udałem się wraz z pięcioma subalternami Fizylierów Królewskich z Waliey do obozu ćwiczebnego w Harfleur pod Hawrem. W późniejszym okresie oswajano tam żołnierzy z fortyfikacją połową, granatem, granatnikami, moździerzami, kompletami przeciwgazowymi i innymi cudami techniki. My odbyliśmy tylko kilka marszów etapowych po drogach wiejskich. Na tym szkolenie się zakończyło, jeśli nie liczyć robót karnych w dokach Hawru, gdzie pomagaliśmy rozładowywać statki transportowe. W mieście szerzyła się rozpusta. Kiedy tylko zeszlśmy na ląd, obskoczyli nas malcy stręczący swoje rzekome siostry. „Ja pana oficera zabrać do siostrzyczka. Ona ładna. Dobrze dupczyć. Tanio. Darmocha. Bardzo dobrze dupczyć. Ja pana oficera zabrać, a pan mi kupić szampana”. Ucieszyłem się, gdyśmy dostali rozkaz odmarszu na front, choć z niezadowoleniem przyjąłem translokację do Regimentu Walijskiego, nie zaś Fizylierów Królewskich z Waliey.

O Regimentie Walijskim wiedziałem tylko, że cieszy się opinią walecznego, a Drugi Batalion, gdzie nas przydzielono, ma osobną historię pułkową jako dawny Sześćdziesiąty Dziewiąty Regiment Piechoty Liniowej. Podczas którejs z wojen siedemnastowiecznych sformowano go w trybie nagłym z weteranów i podrostków, po czym wyprawiono w pole zamiast jednego z oddziałów armii regularnej. Później służył przez jakiś czas jako piechota morska. Przezywano go pułkiem stojącym na głowie, gdyż cyfrę sześćdziesiąt dziewięć czyta się tak samo do góry nogami. Kiedy przybyliśmy, Sześćdziesiąty Dziewiąty Regiment Piechoty Liniowej rzeczywiście stał na głowie. Z wyjątkiem dwóch młodzików, elewów Sandhurst, i jednego kapitana rezerwy wszyscy oficerowie kompanijni pochodzili spoza pułku. Sześciu należało do Regimentu Fizylierów Królewskich z Waliey, dwóch do Regimentu Strzelców Kresowych z Południowej Walii, dwóch do Regimentu Piechoty Liniowej z Południowego Hrabstwa Surrey, dwóch do Regimentu z Hrabstwa Wilt, jeden do Regimentu Kresowego i jeden do Przybocznego Regimentu Infanterii Lekkiej z Hrabstwa York. Nawet kwatermistrz pochodził ze Zwiadowców Konnych z Connaught. W batalionie służyło tylko czterech podoficerów kadrowych sprzed wojny. Pięćdziesięciu szeregowych szkolono przed wysłaniem do Francji | ponad dwa miesiące, kilku zaledwie trzy tygodnie, a większość nie odbyła nawet kursu strzeleckiego. Wszystko dlatego, że Pierwsza Dywizja toczyła od wybuchu wojny krwawe boje, batalion zaś pięciokrotnie utracił cały stan osobowy. Ostatni raz dziewiątego maja pod Richebourgiem, gdzie doszło do największej dotychczasowej klęski. W oficjalnym komunikacie komenda dywizji wystawiła Regimentowi Walijskiemu następujące epitafium: „Natarcie na Rue du Bois utknęło wskutek zacieklego oporu nieprzyjaciela”.

Batalion uzupełniano najpierw rezerwistami drugiej kategorii, później wysłużonymi żołnierzami, wreszcie członkami przedwojennego korpusu zapa- ! sowego i ochotnikami z tysiąc dziewięćset cztertnastego roku, szkolonymi przez dwa miesiące. Wszyscy po kolei zginęli i teraz słano na front kontyngent z wiosny tysiąc dziewięćset piętnastego roku oraz niedobitki i odrzuty z poprzednich roczników. Pierwszy Batalion poniósł tymczasem równie ciężkie straty. W Cardiff plakaty werbunkowe Regimentu Walijskiego głosiły: „Zaciągnij się do nas! Pojedziesz od razu na front!” Większość rekrutów była za stara lub za młoda - powtarzała się historia formacji pułku - albo miała niewielkie wady fizyczne, uniemożliwiające wstąpienie do oddziałów bardziej wybrednych.

Mam do dzisiaj listę czterdziestu żołnierzy swojego plutonu. Dane dotyczące ich wieku są fałszywe. Za starzy podawali się przed komisją werbunkową za trzydziestosiedmiolatek, za młodzi zaś mówili, że mają osiemnaście lat. Znalazłszy się we Francji, za starzy korygowali jednak nieco owe dane. Co najmniej cztertnastu szeregowych przyznało się do skończenia czterdziestki. Nie byli to bynajmniej wszyscy. Fred Prosser, w cywilu malarz, twierdził, że ma lat czterdzieści osiem, a miał naprawdę pięćdziesiąt sześć. David Davies, górnik przyznający się do czterdziestu dwóch, i Thomas Clark, inny górnik mający rzekomo czterdzieści pięć, byli tylko kilka lat młodszy od Prossera. Wyróżniał się wiekiem górnik i ślusarz James Burford, który spytał mnie po przybyciu na linię:

- Dopraszam się łaski, panie poruczniku, co to za krucafuks tu z boku u mojego gwera?
- To bezpiecznik. Nie uczono was w kadrze strzelać?
- Ano nie, panie poruczniku. Stałem w depocie ino dwie niedziele, bom się zaciąg na nowo. A stare giwery Metforda nie miały tych tego... beśpieczników czy jak ich tam zwą...
- Spytałem, kiedy strzelał ostatnio z karabinu.
- W tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku w Jegipcie.

- Nie byliście na wojnie burskiej?

- Chciałem iść, to rzekli, że mam dziad. Jużem w Egipcie był stary. Mam sześćdziesiąt i trzy lata.

Latem wędrował po kraju, zimą zaś pracował jako górnik zmieniając szyby z roku na rok. Pewnego wieczoru podsłuchiłem, jak gawędzi z Davidem Daviesem o walijskich kopalniach węgla. Omawiali je hrabstwo po hrabstwie wraz z fachowym komentarzem technicznym.

W plutonie było także pięciu niepełnoletnich. William Bumford, górnik, podawał się za osiemnastolatka, a miał w istocie piętnaście. Popadał często w tarapaty wskutek zasypiania na warcie. Groziło to plutonem egzekucyjnym, lecz nie mógł się powstrzymać. Widziałem raz, jak zasnął trzymając w rękach worek, który inny szeregowy napełniał ziemią. Załatwiliśmy mu tedy na jakiś czas funkcję ordynansa kapelana, póki żołnierzy powyżej pięćdziesięciu i poniżej osiemnastu lat nie odesłano po kilku miesiącach na tyły. Bumford i Burford znaleźli się w obozie szkoleniowym, lecz żaden nie przeżył wojny. Bumford podrośł, wrócił do batalionu i poległ latem tysiąc dziewięćset siedemnastego roku. Burford zginął w obozie wskutek przypadkowego wybuchu granatu. Tak mi przynajmniej mówiono: losy setek towarzyszy broni znam jedynie ze słyszenia.

Eszelon składał się z czterdziestu siedmiu wagonów i do Bethune, przyfrontowej stacji kolejowej, jechał przez Saint Omer dwadzieścia cztery godziny. Wysiedliśmy z pociągu o dziewiątej wieczór, głodni, zziębnięci i brudni. Spodziejając się krótkiej podróży, oddaliśmy swoje rzeczy do bagażówki, a potem rznąliśmy przez całą drogę w napoleona, by zapomnieć o niewygodzie. Przegrałem sześćdziesiąt franków, czyli przeszło dwa i pół funta po ówczesnym kursie. Na dworcu w Bethune podszedł do nas niski sierżant w powalonym mundurze khaki z odznaką Regimentu Walijskiego na czapce i pozdrowił przyjaznym muśnięciem daszka, zupełnie niepodobnym do salutowania. Miał rozkaz doprowadzić nas do komendy batalionu, stojącego na pozycji pod Cambrin, dziesięć kilometrów od stacji. Zebrawszy czterdziestu towarzyszących nam żołnierzy, pomaszerowaliśmy za nim przez mroczne przedmieścia, ogromnie podekscytowani działami huczącymi i błyskającymi w oddali. Nikt oprócz naszego przewodnika nie był przedtem na linii. Żołnierze zaczęli śpiewać. Zamiast zwykłych piosenek kabaretowych intonowali hymny walijskie, zmieniając solistę zwrotka po zwrotce. Walijscy zawsze śpiewali, gdy chcieli pokonać strach, bo śpiew koł im nerwy. Nigdy nie fałszowali.

Maszerowaliśmy w kierunku rozbłysków i wkrótce ujrzelśmy race świetlne wzbijające się łukiem nad dalekimi okopami. Grzmot dział potężniał. W końcu weszliśmy między baterie. Mniej więcej dwieście jardów do tyłu, po lewej stronie drogi, odpalono cztery szrapnele, które zawyły nam nagle nad głowami. Żołnierze przerwali hymn w pół zdania i zmylili krok. Kilka czwórek wpadło na siebie. Szrapnele poleciały sycząc na wschód, ku Niemcom, a z miejsca, gdzie wybuchły, dobiegł czerwony rozbłysk i dudniący łoskot. Żołnierze wyrównali szyk i zaczęli dowcipkować. Pewien kapral ułożył list do domu: „Droga ciotuniu! Czuję się byczo. Brodzimy po szyję we krwi. Przyślij mi fajkę i kamizelkę ratunkową. Wojna to kława rzecz. Zasyłam całuski”.

Przydrożne chaty były coraz bardziej zniszczone. Nadleciał szrapnel niemiecki, który-uu-uuuuuuuuuuuuuu! ŁUP! BUCH!!! -pękł dwadzieścia jardów przed nami. Padliśmy na ziemię. W tejże chwili w powietrzu rozległo się dziwaczne pogwizdywanie i nagle - bęc! brzdęk! - dokoła zaczęły padać odłamki.

- Nazywają je świstawkami - oznajmił sierżant.

- Niech to licho! - zaklął mój przyjaciel Frank Jones-Bateman, którego zranił w dłoń poszarpany odprysk metalu. - Diabły coś prędko wzięły mnie w obroty!

- Oho! Nim się odczepią, jeszcze z panem porucznikiem potańcują - uśmiechnął się od ucha do ucha sierżant Jones.

Nadleciał następny szrapnel. Znów rzuciliśmy się na ziemię, ale przysł dwieście jardów za nami. Sierżant twardo stał na nogach.

- Marnujecie siły, chłopcy - odezwał się do żołnierzy. - Da się przewidzieć, gdzie wybuchną.

W wiosce Cambrin, około mili za rowami przedniej linii, zaprowadzono nas do zrujnowanej apteki, na której wystawie stały nadal kolorowe flakoniki. Była to kwatera sierżantów-szefów kompanii. Otrzymaliśmy opatrunki osobiste i tampony przeciwgazowe. Był to pierwszy komplet ochronno-przeciwgazowy wydawany żołnierzom we Francji, szyfonowa poduszczonek pełna pakuł nasączonych jakąś substancją. Przywiązywało się ją do twarzy, zasłaniając usta i nos. Nie chroniła podobno przed trutką puszczonek pod Ypres na Dywizję Kanadyjską, choć nie przekonaliśmy się o tym na własnej skórze. W kilka tygodni później pojawił się filtr przeciwdymny, worek z natłuszczonego szarego filcu z przezroczystą płytką talkową na oczy, na pewno nie zabezpieczający przed gazem. W miejscach spojenia z materiałem, gdzie talk stale się kruszył, tworzyły się szczeliny.

Były to pierwsze dni wojny okopowej, dni granatów z cynowymi puszkami i moździerzami na sprężone powietrze. Nie znano jeszcze karabinów maszynowych systemu Lewisa czy Stokesa, stalowych hełmów,

celowników optycznych, pocisków gazowych, bomb kulkowych, tanków, dobrze zorganizowanych wypadów na przedpole ani innych nowoczesnych środków walki.

Zjadłszy posiłek złożony z chleba, wędzonki, rumu i obrzydliwie przesłodzonej herbaty, przeszliśmy między kikutami drzew na wschód od wioski i pomaszerowaliśmy długim rowem dobiegowym do komendy batalionu. Mokry i śliski chodnik wryty w czerwonej glinie. Oświetliwszy sobie drogę latarką, ujrzałem setki żab i myszy polnych, które spadły na dno i nie mogły się wydostać. Oślepiła je światło, a ponieważ musiałem po nich deptać, schowałem reflektor do kieszeni. Nie mieliśmy pojęcia, jak wygląda pierwsza linia, a nasza ignorancja prawie dorównywała niewiedzy młodziutkiego rekruta, który zaciągnął się kilka tygodni wcześniej. W Cambrin zawołał w podnieceniu do starego Burforda podgrzewającego gulasz w blaszance z dala od kolegów: „Ej, dziadku, gdzie ta pieruńska wojna?! Chcę się dostać do Szwabów!”

Przewodnik dawał nam cały czas wskazówki ochryplym głosem. „Dziura po prawej”. „Drut u góry”. „Drut na ziemi”. „Zagłębienie, panie poruczniku”. „Drut na ziemi”. Do ścian chodnika przytwierdzono klamrami przewody telefoniczne, które spadły na dno podczas ulewy i płątały się między nogami. Jeśli zbyt szybko się obluźowały, przeciągano je górą do przeciwległej ściany, lecz wtedy zaczepiało się o nie głową. Dziury były drenami do odprowadzania wody.

Znaleźliśmy się w zasięgu palby karabinowej, która okazała się znacznie dokuczliwsza od szrapneli. Wiedziałem, że kanonier strzela nie do ludzi, ale do współrzędnych na mapie: rozstajów, przypuszczalnych stanowisk baterii, domostw nadających się na kwatery. Nawet jeśli ogniem kierował podoficer obserwacyjny w aeroplanie, balonie linowym czy na wieżycy kościelnej, pociski padały jakby na chybił trafił. Natomiast kula karabinowa, choćby wystrzelona na oślep, zdawała się zawsze podążać w upatrzone miejsce. Szrapnele można było usłyszeć i skryć się przed nimi, a kule karabinowe nadlatywały zniemacka. Budziły tedy większe poczucie zagrożenia, choć nauczyliśmy się im nie kłaniać, bo skoro je słyszeliśmy, znaczyło to, że spadły. Na otwartej przestrzeni wwiercały się w trawę z niegłośnym sykiem, w okopie zaś gwizdały przeraźliwie nad głową. Trafiały często w ostrokolczaste zagrodzenia na przedpolu i wpadały w ruch wirowy - brzdęk! pinga-pinga-pinga-pinga!... - lecąc w stronę lasu na tyłach.

W sztabie batalionu, w schronie podziemnym na pozycji rezerwowej ćwierć mili za rowami przedniej linii, powitał nas komendant, który uściśnił nam ręce i poczęstował whisky. Wyraził nadzieję, iż poczujemy się w Regimencie Walijskim jak u siebie. Oddziały brytyjskie zluźowały w owym sektorze francuską dywizję obrony krajowej złożoną z czterdziestolatków, którzy zawarli lokalne zawieszenie broni z Niemcami. Nie strzelano do siebie i zdaje się prowadzono nawet handelek wymienny. Schron komendatury okazał się tedy nadzwyczaj komfortowy, z ozdobną lampą naftową, czystym obrusem i błyszczącymi srebrami na stole. Pułkownik, adiutant, lekarz, zastępca i oficer łączności spożyli dopiero co posiłek, zupełnie normalny, bo złożony ze świeżego mięsa i jarzyn. Obrazy na wytapetowanych ścianach, łóżka na sprężynach, patefon i fotele klubowe trudno było pogodzić z relacjami o żołnierzach stojących po pas w błocie i żujących suchary wśród gradu pocisków. Adiutant wypisał nam przydziały. Mnie powiedział:

- Pan idzie do kompanii C. Będzie pan pod komendą kapitana Dunna, najlepszego subalterna baonu. Ale, ale, proszę mi przypomnieć, żeby przysłał nominacje do Medali za Odwagę za ostatnie natarcie. Tylko nie więcej niż dwie, bo inaczej nic nam nie dadzą. Za przegraną bitwę każdy batalion dostaje najwyżej cztery blaszki.

Przewodnik zaprowadził nas na przednią linię. Minęliśmy grupę szeregowych, niskich mężczyzn upakowanych błotem, którzy grzali się przy koksowniku, rozmawiając cicho po walijsku. Ponieważ zaczęło padać, a pogoda była chłodna jak na maj, mieli na sobie wełniane czapki i brezentowe oponcze. Choć rozpoznali w nas oficerów, nie stanęli na baczność i nie zaszalutowali. Pomyślałem, że taki jest obyczaj frontowy, bo, rzeczywiście, jedna z instrukcji stwierdzała, iż podczas walki można nie oddawać honorów wojskowych. Ale nie, po prostu im się nie chciało. Wyprzedziliśmy grupę żołnierzy, którzy taszczyli chodnikiem belki i worki z ziemią, przeklinając żałośnie, gdy stopy więzły im w drenach, a ładunek zahaczał o kable telefoniczne. Grupom budowlanym zawsze przeszkadzały karabiny i tornistry, z którymi nie wolno było się rozstawać. Precisnąwszy się koło żołnierzy, musieliśmy zejść na bok, by przepuścić nosze.

- Co to za jolop, Dai? - spytał pierwszego sanitariusza nasz przewodnik.

- Plutonowy Gallagher - odrzekł Dai. - Co za dureń! Wydawało mu się, że zobaczył fryca na przedpolu, więc rzucił jeden z tych nowych granatów wstrząsowych. Mierzył za nisko, bałwan, a granat odbił się od przedpiersia i spadł mu pod nogi. Kurwa mać, stary! Poharatało mu szczękę i wyrwało z mordy kawał mięcha. Biedny palant! Nie ma co z nim drałować na tyły. I tak kipnie.

Ranny miał twarz przykrytą workiem. Zmarł, nim dotarł na punkt opatrunkowy.

Kiedy doszliśmy do komendy kompanii, byłem już ledwo żywy ze zmęczenia. Spociałem się pod ciężarem żołnierskiego tornistra, a u pasa dyndał mi typowy rynsztunek oficerski: rewolwer, lorneta połowa, busola, manierka z whisky, cęgi do cięcia drutu, peryskop i mnóstwo innych rzeczy. Takich jak ja nazywano choinkami. Były to czasy, gdy szarże rozkazywały ostrzyć sobie szable przed odpłynięciem do Francji. Moją poradzono mi zostawić w kwatermistrzostwie i ani jej więcej nie widziałem, ani się o nią nie troszczyłem. Ręce miałem powalane gliną ze ścian okopu, nogi przemoknięte do kolan. W komendzie kompanii C, w dwuizbowym drewnianym schronisku, w rowie między pierwszą a drugą pozycją okopów, znów ujrzałem obrus, naftówkę, butelkę whisky, kieliszki oraz półki z książkami i czasopismami. W drugim pomieszczeniu stały prycze. Zameldowałem się dowódcy kompanii.

Spodziewałem się zobaczyć posiwiąłego weterana z dwoma rzędami odznaczeń, a tymczasem Dunn okazał się młodszy ode mnie o dwa miesiące. Należał do bractwa cudem ocalałych. Drugim w naszej dywizji był kapitan Miller z Czarnej Straży. Miller uratował się z masakry pod Rue du Bois, odpłynąwszy rowem zalanym wodą. Cudem ocaleni cieszyli się wielką estymą. Millera pokazywano sobie palcami, gdy batalion stał kwaterą na tyłach: „Widzisz tego gościa? To Szkocik Miller. Jest tu od samego początku i jeszcze nie dostał”.

Wojna nie wpłynęła na morale Dunna. Powitał mnie bardzo swobodnie:

- No i cóż, co słyhać w Anglii? Ach, przepraszam, powinienem was przedstawić. To Walker, ów z Cambridge udający sportmena. A to Jenkins, jeden z owych patriotów w średnim wieku, co rzucili pracę, żeby tu przyjechać. A to Price, dołączył do nas wczoraj, aleśmy go od razu polubili, bo przywiózł wściekle dobrą whisky. Jak długo potrwa wojna i kto wygra? Siedzimy tu jak tabaka w rogu. I co to za gadki o dzieciach wojennych? Price udaje, że nie wie.

Opowiedziałem najświeższe plotki i spytałem o wojnę okopową.

- Wojna okopowa? - powtórzył Dunn. - Cóż, znamy się na niej gorzej niż Francuzi, a bosze pobili nas na głowę. Po frycach nie spodziewamy się wsparcia, ale żabojady mogłyby pomóc. Są zbyt pazerni, żeby pozwolić nam korzystać ze swoich wynalazków. Czegóż byśmy nie dali za ich świece na spadochronach albo torpedy powietrzne! Ale na razie każdy sobie rzepkę skrobie, chyba że jest bitwa, a wtedy wystawiamy się najczęściej do wiatru. Jak tu przyjechałem, grzaliśmy z karabinów, taplając się w błocie jak prosiaki. Nie uważaliśmy okopów za dom, ale tymczasową niewygodę. Teraz bez przerwy harujemy, nie tylko dla bezpieczeństwa, lecz także dla zdrowia. Dzień i noc. Budujemy stopnie strzeleckie, sypimy trawersy i pogłębiajemy rowy dobiegowe, a później zajmujemy się własnym komfortem: schronami i ziemiankami. Baon obrony krajowej, który nas dawniej luzował, był beznadziejny. Siadał taki ów i mówił: „Już dłużej nie mogę”. Potem wyciągał ołówek, żeby napisać o tym do mamusi. Nie zbudowali ani jednego trawersu i stanowiska ogniowego. A skutki? Stracili połowę stanu z powodu reumatyzmu i odmrożeń, a pewnego pięknego dnia Niemcy przerwali linię i wzięli gromadę do niewoli. Żabojady niszczyły pracę, jaką wkładaliśmy w tę pozycję, i zostawiały po sobie kompletne szambo. Wściekaliśmy się i pisaliśmy na nich raporty do brygady, ale nie pomagało. Jasne: kiepscy oficerowie. Aż w końcu dostali w dupę, powiadam, i wrócili grzecznie na tyły pilnować kolei. Teraz zmienia nas Regiment Strzelców Kresowych z Południowej Walii. Pierwszy Batalion, morowcy. Straszne brudasy z tej obrony krajowej. Nie używali w ogóle latryn, wabili szczury, zostawiając na wierzchu żarcie, a żeby choć raz napełnili worek ziemią, gdzie tam! Widziałem tylko jedną rzecz, jaką zrobili: tarczę ochronną dla Strzelca wyborowego, istną pułapkę na ludzi.

Ustawili ją nawet na wprost fryców i nie zamaskowali, więc od razu zginęło przy niej dwu żołnierzy. Nasi chłopcy to zuchy, ale mogliby być lepsi. Ci, co wyszli cało z ataku dziesięć dni temu, mają lekkiego kaca, a nowi, choć ich dużo, są zupełnie zieloni.

- Posłuchajcie tylko - odezwał się Walker. - Za często strzelają. Dostali czemuś pietra. Jak Niemczury pomysła, że się boimy, dadzą nam bobu. Pójdę i powiem, żeby przestali.

- Walijczycy to dziwni ludzie - ciągnął Dunn. - Nie cierpią, jak się na nich pokrzykuje. Zrobią wszystko, pójdą nawet na pewną śmierć, tylko muszą wiedzieć, w jakim celu. Najlepszy sposób utrzymania karności to nie dać im czasu na myślenie. Niech pan ich goni do roboty, póki nie padną. Ale dowódcy muszą tyrać razem z nimi, a nie tylko dyrygować. Rozkład dnia mamy taki: o ósmej rano śniadanie, porządkowanie okopów, czyszczenie i przegląd broni, przed południem harówka, o dwunastej lunch, potem od pierwszej do szóstej znów harówka, wreszcie kolacja. Capstryk godzinę przed zachodem słońca, pobudka godzinę przed świtem, nocą harówka. Taki jest schemat ogólny. Jest jeszcze służba wartownicza. Żołnierze stoją dwie godziny na odwachu, dwie godziny pracują i dwie godziny śpią. Nocą ronty się podwaja, więc grupy robocze są mniejsze. Oficerowie pełnią służbę przez cały dzień, a nocą mają trzygodzinne dyżury.

Spojrzał na zegarek.

- Ale, ale - powiedział - chyba już przyniesiono sprzęt saperski. Czas się brać za robotę. Niech pan posłucha, Graves, proszę się położyć na pryczy i zdrzemnąć. Chcę, żeby pan objął nocny dyżur. Obudzę pana i oprowadzę po linii. Gdzie się u licha podział mój rewolwer? Wolę bez niego nie wychodzić. No i co, Walker? Co się stało?

Walker roześmiał się.

- Chłopak prosto z kraju. Nie przeszedł w Cardiffie kursu strzelania i dziś wieczorem dostał do ręki pierwsze kule. Zupełnie oszalał. Zabito mu brata pod Ypres i przysiągł, że go pomści. Wystrzelał Panu Bogu w okno wszystkie ładunki i dwie taśmy amunicyjne ze skrzynki. Nazywają go teraz Maxim. Lufa jego karabinu rozgrzała się prawie do czerwoności. Kapral Parry powinien go przywołać do porządku, ale tylko ryczał ze śmiechu oparty o trawers. Skłamię ich obu na czym świat stoi. Inni nowi też zaczęli strzelać, a Niemczury odpowiedziały z karabinów maszynowych i armatek. Żadnych strat, aż sam się dziwię. Już się uspokoiło. Gotowi?

Kiedy wyszli, okręciłem się kocem i zasnąłem. Dunn zbudził mnie około pierwszej.

- Ma pan służbę - powiedział.

Zerwałem się z pryczy, na której zaszeleścił siennik. Nogi miałem wilgotne i obolałe, bo nie zdjąłem trzewików. Drżałem z zimna.

- Proszę wziąć rakiетnicę i kilka rac. Dzisiejsza noc nie jest zła. Przestało padać. Niech pan nałóży pas na pelerynę, bo inaczej nie zdoła pan wyciągnąć rewolweru. Ma pan latarkę? Dobrze. Aha, jeszcze jedno. Proszę nie używać rakiетnicy za często. Brakuje nam flar, a będą potrzebne w razie ataku. Ale niech pan strzela, jak pan coś zwęszy. Szwabcy mają mnóstwo rakiет i bez przerwy strzelają.

Dunn oprowadził mnie po linii. Batalion zajmował odcinek długości około ośmiuset jardów. Każda kompania obsadzała mniej więcej jedną czwartą, z dwoma plutonami w rowie strzelniczym i dwoma na pozycji zapasowej, jakieś sto jardów z tyłu. Przedstawił mi dowódców plutonów, szczególnie sierżanta Eastmonda, i kazał udzielać mi wszelkich informacji. Potem położył się spać, prosząc o obudzenie, gdyby sprawa przybrała zły obrót. Objąłem komendę nad przednią linią. Sierżant Eastmond dowodził grupą roboczą, więc obszedłem okopy sam. Szeregowi sypiący trawersy, czyli szańce poprzeczne chroniące przed atakiem z flanki, zerkali, na mnie z ciekawością. Napelniwszy worki ziemią, układali je na krzyż i przyklepywali rydlami. Przy trawersach stali na stopniu strzeleckim wartownicy, przytupując z zimna i chuchając w dłonie. Co pewien czas wyglądali na kilka sekund na przedpole. W pasie neutralnym znajdowały się dwa kompanijne posterunki podsłuchowe złożone z podoficera i dwóch szeregowych, połączone aproszą z przednią linią. Okopy Niemców leżały jakieś trzysta jardów i dalej. Z wgłębień wydrążonych w ścianie chodnika i odgradzonych workami z ziemią dobiegało pochrapywanie śpiących żołnierzy.

Stałem na stopniu koło szyldwacha i uniosłem ostrożnie głowę, by rzucić okiem na przedpole. Dostrzegłem tylko kępy krzaków i drewniane paliki z rozpiętymi drutami. Wpatrywałem się w ciemność, która zaczęła nagle drgać i wirować, krzaki zaś odpłynęły w bok, najpierw w pojedynkę, a później razem. Tak samo zachowywały się paliki. Poczulem ulgę, że stoję koło wartownika, który przedstawił się jako Beaumont.

- Fryce siedzą dziś cicho, panie poruczniku - stwierdził. - Pewnie ich luzują.

- To zabawne. Te krzaki zdają się ruszać - powiedziałem.

- Tak, potrafią płać dziwne figle. Pan pierwszy raz na linii, panie poruczniku?

Ku górze trysnęła niemiecka raca świetlna, która rozbłysła jasnym płomieniem i z sykiem opadła powoli na trawę tuż za naszą pozycją, oświetlając krzaki i paliki. Poruszyłem się instynktownie.

- Tak nie można, panie poruczniku... - odezwał się Beaumont, a jednocześnie rozległ się wizg kuli, która przeleciała między nami.

- Trzeba stać bez ruchu, wtedy pana porucznika nie zauważą. Choć nie jest zbyt przyjemnie, jak flara spadnie prosto na głowę. Widziałem raz, jak wypaliła w żołnierzu dziurę.

Resztę dyżuru spędziłem na zaznajamianiu się z kretowiskiem okopów, doświadczając na własnej skórze, jak łatwo się zagubić w ślepych chodnikach i opuszczonych odnogach. Dwukrotnie wyszedłem z sektora kompanii i błąkałem się między Fizylierami Królewskimi z Munsteru, naszymi sąsiadami po lewej. Raz potknąłem się i rymnąłem z głośnym chlupotem w głębokie błocko. Dyżur skończył się bladym świtem. Zarządziłem pobudkę. Podoficerowie stękali ochryple w ziemiankach: „Pobudka, pobudka...”, a wiara gramoliła się na zewnątrz z karabinami w garści. Ruszywszy w stronę komendy, by obudzić oficerów, ujrzałem szeregowca leżącego na brzuchu koło umocnionego gniazda karabinu maszynowego. Zatrzymałem się i krzyknąłem: „Hej, ty tam, pobudka!” Poświeciwszy latarką, spostrzegłem, że ma gołą stopę.

- Nie ma sensu do niego mówić, panie poruczniku - odezwał się celowniczy.

- Co się stało? - spytałem. - Dlaczego zdjął but i skarpetkę?

- Niech pan sam zobaczy, panie poruczniku!

Potrząsnąłem śpiocha za ramię i nagle ujrzałem otwór z tyłu głowy. Zdjął trzewik i skarpetkę, żeby nacisnąć palcem cyngiel karabinu. Lufę włożył sobie do ust.

- Dlaczego to zrobił? - spytałem.

- Pokręciło mu się we łbie po ostatniej ofensywie, a na dodatek dostał wiadomość, że jego dziewczucha z Limericku znalazła sobie chłopca.

Był to szeregowy Fizylierów Królewskich z Munsteru, których karabiny maszynowe zachodziły z lewej na pododcinek naszej kompanii. O samobójstwie zameldowano już dowództwu. Nadeszło dwóch irlandzkich oficerów.

- To nie pierwszy taki wypadek - powiedział mi jeden.

- Słuchaj no, Callaghan - zwrócił się do kolegi - nie zapomnij zawiadomić rodziny. Zwykły list: „Z żalem donosimy, iż poległ śmiercią bohatera...”, zresztą wymyśl coś sam. Nie chcę pisać w raporcie, że się zabił.

Po pobudce wojsko otrzymało herbatę z rumem. Obejrzałem przez peryskop pozycje Niemców: dalekie pasmo worków z ziemią. Niektóre uszyto z kolorowego materiału, ale nie wiem, czy dla kamuflażu, czy z braku juty. Kilka wąskich strużek dymu wskazywało, że nieprzyjaciel także zamierza się pokrzepić. Pas neutralny stanowiła płaska łąka porośnięta bławatkami, margerytkami i makami wychylającymi się z wysokiej trawy. Dostrzegłem kilka lejów po pociskach, pamiętne krzaki z zeszłej nocy, wrak aeroplanu oraz dwa rzędy zasieków z drutu kolczastego - nasze i nieprzyjacielskie. Trzy czwarte mili dalej majaczył zburzony dwór, a ćwierć mili za nim przysiółek Auchy: domki z czerwonej cegły, topole, stogi siana, wyniosły komin i jeszcze jeden przysiółek, Haisnes. Po prawej widać było szyb górniczy i hałdy żużla. Po lewej La Basse: słońce odbijało się od kurka na wieży kościelnej.

Żołnierze, którzy nie próbowali złapać trochę snu między pobudką a śniadaniem, gawędzili, palili, pisali listy, opatrywali karabiny, rznęli w karty i wodzili paznokciami kciuków po szwach koszul, tłukąc wszy. Były one tematem nieustannych żartów. Młody Bumford pokazał mi jedną i rzekł:

- Klóć się, panie poruczniku, czy lepiej tłuc stare czy młode. Morgan gada, że stare, bo smyki zdychają potem z żalu, a Parry, panie poruczniku, że młode, bo stare można chwycić, jak drepcą na cmentarz.

Zwrócił się do mnie jako arbitra:

- Pan porucznik, za respektem, chodzili do szkoły?

- Owszem - odpowiedziałem-tak samo jak Norwich, brat Crawshaya Baileya.

Żołnierze uznali to za wyjątkowo dowcipną odpowiedź. *Crawshay Bailey* to głupawa piosenka walijska. *Crawshay* „kupił automobil, lecz nie mógł zapalić”, a podobne kłopoty mieli jego liczni krewni. Na przykład Norwich, brat, „był wielki chwyt, lecz poszedł do szkoły w Cardiffie, gdzie go złano po ryfie”. Po owym incydencie nie miałem już kłopotów z plutonem.

Śniadanie, które zjadłem w komendzie kompanii, składało się z kawy, grzanek, dżemu i jajecznicy na wędzonce. Siedzieliśmy na trzech krzesłach i dwóch skrzynkach amunicyjnych. Przyzwyczajony byłem do tego, że komendant kompanii nie zwierza się dowódcom plutonów ze swoich planów, toteż ujął mnie sposób, w jaki bieżące problemy rozwiązywała przy posiłkach rada oficerska pod przewodnictwem Dunna. Tego ranka deliberowaliśmy długo nad tym, jak zapobiec zasypianiu wartowników. Dunn wydał w końcu zakaz opierania się o trawersy, bo żołnierze stawali się od tego senni. Poza tym, jeśli strzelali, błysk pokazywał się zawsze w tym samym miejscu i po pewnym czasie Niemcy mogli wycelować w nie karabin. Powiedziałem Dunnowi o kuli, która przeleciała między mną a Beaumontem.

- To chyba rzeczywiście karabin umocowany na stałe - odparł - bo takie dobre strzały zdarzają się po ciemku nadzwyczaj rzadko. W nocy, gdyśmy przejmowali pozycję, zginął przy tym trawersie jeden z naszych.

Wydawało się, że Zapasowy Regiment Piechoty Bawarskiej Gwardii, stojący naprzeciwko nas, zna się na swoim rzemiośle.

Dunn skreślił mi krótkie charakterystyki podoficerów mojego plutonu, zwracając uwagę na tych, którzy zasługują na zaufanie, a na których należy uważać. Kiedy zaczął mówić, czego powinienem wymagać podczas lustracji broni i ryszunka, do schronu wpadł nagle szeregowy z oczyma osłепłymi z podniecenia i trwogi.

- Gaz, panie kapitanie, gaz! Melduję posłusznie, gaz puszczają!...

- Jezu Chryste! - zawołał Price.

Spojrzeliliśmy wszyscy na Dunna, którego ów żołnierz był ordynansem.

Dunn zachował niewzruszony spokój.

- Doskonale, Kingdon - powiedział. - Przynieście mi z drugiego pomieszczenia tampon przeciwgazowy i słoik dżemu.

Przyczyną alarmu stał się dym zwiewany przez wiatr od strony linii niemieckich, gdzie z pewnością gotowano śniadanie, bo, jak zwykle podczas posiłków, ogień karabinowy nieco osłabł. Myśl o nagazowaniu dręczyła nas jak zmora. Nikt nie wierzył w skuteczność naszych tamponów, choć zabezpieczały rzekomo przed wszystkimi trutkami nieprzyjaciela. Ze sztabu przysyłano raz po raz ściśle tajne instrukcje obchodzenia się z kompletami ochronnymi, opatrzone nadrukiem PIERWSZEJ NAGŁOŚCI i przeczące sobie wzajemnie. Najpierw tampony należało moczyć w wodzie, później chronić od wilgoci, potem nosić w pokrowcu, wreszcie bez pokrowca.

Z kompanii po prawej przyszedł do mnie w odwiedziny Frank Jones-Bateman, spokojny chłopiec w wieku dziewiętnastu lat. Stwierdził z udawaną nonszalancją, że zastrzelił tuż przed śniadaniem Niemca, „na czterysta jardów, z celownikiem teleskopowym”. Ukończył niedawno gimnazjum w Rugby i zdał do Kolegium Clare w Oksfordzie. Miał przydomek Cicha Noc.

XIII

Oto wyjątki z listów z owych miesięcy. Dopisałem nazwy miejscowe, których nie wolno było wymieniać:

21 maja 1915 roku. Znów stoimy kwaterą w wiosce górniczej La Bourse. Linia frontu przebiega w odległości zaledwie trzech i pół mili, lecz górnicy nadal fedrują. Kiedy opuszczaliśmy okopy, Niemcy bili z armat w las koło wioski Cambrin, próbując wymacać jedną z naszych baterij. Chyba im się nie udało, ale zabawnie było patrzeć, jak trafione topole padają niczym ścięte tulipany. Gdy maszerowaliśmy z Cambrin na tyły po kocich łbach, żołnierze wlekli się noga za nogą, nie mogąc utrzymać równej linii czwórek. Nie zdejmowali butów od tygodnia i mają odparzone stopy. Załączam listę minimalnego obładowania, ważącego około sześćdziesięciu funtów. Każdy szeregowy dźwiga ponadto wiele innych rzeczy: żelazne racje, oskard albo szufłę, lornetę peryskopową i pamiątki, które chce zabrać podczas urlopu do kraju.

Płaszcz.....	1 sztuka
Błaszanka	1 sztuka
Pokrywka od blaszanki.....	1 sztuka
Koszula.....	1 sztuka
Skarpety.....	1 para
Mydło.....	1 kostka
Grzebień.....	1 sztuka
Widelec.....	1 sztuka
Nóż.....	1 sztuka
Łyżka.....	1 sztuka
Szczotka do zębów.....	1 sztuka
Sweter.....	1 sztuka
Czapka połowa.....	1 sztuka
Książeczka żołdu.....	1 sztuka
Znak tożsamości.....	1 sztuka
Opończa brezentowa.....	1 sztuka
Wazelina.....	1 pudełko
Ręcznik . . .	1 sztuka
Przybory do szycia.....	1 sztuka
Chlebak.....	1 sztuka
Brzytwa.....	1 sztuka
Pochewka na brzytwę.....	1 sztuka
Pędzel do golenia.....	1 sztuka
Opatrunek osobisty.....	1 sztuka
Tampon przeciwgazowy....	1 sztuka
Ochraniacz na kręgosłupy..	1 sztuka
Sznurówki.....	1 para
Tornister.....	1 sztuka
Pas z ładownicami.....	1 sztuka
Ładunki karabinowe.....	150 sztuk
Karabin.....	1 sztuka
Bagnet.....	1 sztuka
Pokrowiec na karabin.....	1 sztuka
Tłuszcz do broni.....	1 flakon
Wycior.....	1 sztuka
Rydel saperski składany....	1 sztuka

Cóż, maszerowanie po bruku jest i tak trudne, toteż gdy sztabowiec przejeżdżający obok rolls-royce'em zbeształ nas za nierówny szyk, miałem ochotę czymś weń cisnąć. Frontowcy nienawidzą oficerów sztabowych, a ci ostatni dobrze o tym wiedzą. Główny punkt sporny dotyczy, zdaje się, wpływu warunków bojowych na dyscyplinę.

Górnicy z La Bourse to starcy i wyrostki w niechlujnych niebieskich drelichach z wypchanymi kieszeniami. Szyb okalają wyrwy po pociskach. Stoją kwaterą w domu monsieur Hojdesa, staruszka z trzema córkami na wydaniu. Jedna podkasala nie proszona spódnice i pokazała mi bliznę na udzie, gdzie trafił ją zeszej zimy odłamek.

22 maja. Francuzi ostrzeliwali zmasowanym ogniem Souchez odległe o kilka mil. Nieustannie grzmiały baterie, tryskały w niebo kolorowe race, a pociski ryły grzbiety wzgórz koło Notre Dame de Lorette. Nie mogłem zasnąć. Hałas trwał przez całą noc. Powiększał się miast zmniejszać, aż w końcu ziemia trzęsła się i wibrowała, niebo zaś rozświetlały olbrzymie błyskawice. Pocilem się w łóżku pod puchową pierzyną. Dziś rano dowiedziałem się, że w trakcie kanonady wybuchła burza z piorunami, ale, jak mówi Walker, „trudno było rozeznaczyć, gdzie się kończą pioruny, a zaczynają działać”. Żołnierze wzięli gorącą kąpiel w łaźni kopalnianej i nieco się uporządkowali. Mają zdezelowane karabiny i mundury wiszące w strzypach, lecz wymieni się je na nowe dopiero, gdy się ostatecznie zużyją. Pluton kwateruje w stodole z sianem. Stary Burford, który z dziwactwa nie chce sypiać razem z innymi żołnierzami, znalazł sobie ką w składziku narzędzi rolniczych. Nawet podczas ulewy śpi na linii na stopniu strzeleckim, a nie w ciepłej ziemiance. Mówi, że pamięta, jak komendant nosił koszulę w zębach. Odzywa się tylko do młodego Bumforda. Pluton naśmiewa się z dziecinnej prostoduszności Bumforda, który się nie przejmuje i prosi kolegów, by byli wyrozumiali dla „chłopaka z gór”.

23 maja. Rano odbyliśmy musztrę kompanii. Później wylegiwałem się z Jonesem-Batemanem w ciepłej trawie, gapiąc się na aeroplany ścigane przez pasma białych obłoczków po wybuchach. Wieczorem dowodziłem grupą roboczą, która budowała drugą linię obrony w Vermelles les Noyelles. Kopaliśmy rowy i ustawialiśmy zagrodzenia z drutu kolczastego pod kierunkiem oficera saperów. Ziemia była twarda, toteż o drugiej w nocy żołnierze wrócili na kwatery zmordowani. Przez całą drogę śpiewali. Jedną z piosenek, do melodii hymnu *Ponad śnieg bielszy* z repertuaru Armii Zbawienia, mówi o szefie kompanii, sierżancie nazwiskiem Finnigan:

Bohater pierwszej linii,
Bohater pierwszej linii,
Cytowany w rozkazie Za podwędzanie racji.
Bohater pierwszej linii
Oj, teraz spuści z tonu,
Oj, teraz spuści z tonu,
Po cytacji w rozkazie Za chrzczenie wodą rumu.
Oj, teraz spuści z tonu!

Refren brzmi następująco:

Bielszy nad mleczko kokosowe,
Bielszy nad mleczko kokosowe.
Umyj mnie w wodzie,
W której umyłeś brudną córę swą,
A bielszy się stanę Niż mleczko kokosowe,
Mleczko,
Mleczko,
Ko-ko-so-we!

Finnigan tylko śmieje się z owych oszczerstw.

Dwu młodych górników z innej kompanii nienawidziło plutonowego, który złośliwie zlecał im najbrudniejsze i najniebezpieczniejsze zajęcia, a na tyłach karał ich za nie popełnione wykroczenia. W końcu postanowili go zabić. Zgłosili się później do komendy batalionu z prośbą o raport u adiutanta. Było to sprzeczne z regulaminem, ponieważ szeregowy nie ma prawa zwracać się bezpośrednio do szarży, lecz musi w tym pośredniczyć podoficer. Adiutant przypadkiem ich zauważył.

- No, czego chcecie? - spytał.

Zgrabnie sprezentowali broń i rzekli:

- Obywatelu majorze, meldujemy posłusznie, żeśmy zastrzelili sierżan-ta-szefa kompanii. Jest nam bardzo przykro.

- Wielkie nieba, jak to się stało?! - wykrzyknął adiutant.

- Zabiliśmy go niechcący, panie majorze.

- Co to ma znaczyć, przekłęci głupcy?! Wzięliście go za szpiega?!

- Nie, panie majorze, wzięliśmy go za swojego plutonowego.

Stanęli obaj przed sądem polowym, który skazał ich na rozstrzelanie.

Wyrok wykonała ich własna kompania pod murem klasztoru w Bethune. Ich ostatnie słowa brzmiały: „Trzymajcie się, Walińczycy!” (było to zawołanie bojowe batalionu, wypowiedziane ponoć pierwszy raz przez kapitana nazwiskiem Haggard śmiertelnie rannego pod Ypres). Egzekucję uświetnił francuski gubernator wojskowy, który wygłosił krótką mowę o bohaterstwie żołnierzy brytyjskich w obliczu śmierci.

Zdumiałoby was marnotrawstwo na froncie. Sucharów używa się powszechnie jako opału do podgrzewania stawy, bo brakuje drewna. Obsługa naszego karabinu maszynowego gotuje wodę na herbatę ostrzeliwując bez konkretnego celu pozycje Niemców. Po zużyciu taśm nabojoych wartości kilkunastu funtów w chłodnicy zaczyna wrzeć woda. Celownicy twierdzą, że zmuszają niemieckie grupy robocze i dostawcze do zapłacenia za poranną filiżankę herbaty, ale prawdziwą cenę zapłacą po wojnie podatnicy angielscy.

24 maja. Jutro wracamy na linię. Żołnierze są w, wisielczych humorach, lecz nie tracą animuszu. Wszyscy marzą o niegroźnej ranie i powrocie do kraju. Mój ordynans, Fry, w cywilu robotnik w fabryce opakowań w Cardiffie, opowiada anegdotki o czystych ranach. Oto dwie z nich:

- Jeden miglanc z Munsteru strasznie chciał do domu, więc zaczął machać łapą nad przedpiersiem, żeby ściągnąć uwagę fryców. Cisza. Macha obiema rękami. Dalej nic, ani jednego strzału. W końcu staje na głowie, wystawia giry nad przedpiersie i macha, aż mu szumi w uszach. A fryce dalej ani mru-mru. „Do licha, powiada, czy nie ma tam już żadnego kapuścianego łba?! Gdzieście się podziały, Szwaby?!” Wygląda nad przedpiersie i łup! dostaje kulkę w łepetynę. *Finee.*

Inna anegdotka:

- Jeden frajer z Regimentu Górali Szkockich Camerona miał straszną ochotę do mamusi. Wszystko mu obmierzło, zatęsknił za domem. Wystawił łapę nad przedpiersie, a Niemiaszki odstrzeliły mu trzy palce, w tym cynglowy. Dobra nasza! Wali w te pędy na tyły i przechodzi ze śmiechem obok wiary. „Widzicie, chłopcy, woła, wracam do Szkocji! Morowo, nie?” Ale jak drałował na punkt opatrunkowy, zapomniał przykucnąć w miejscu, gdzie się wstrzelał niemiecki snajper. No i dostał w główkę. *Finee.* Małośmy nie zdechli ze śmiechu!...

Niegroźna rana to marzenie każdego starego frontowca. Od początku wojny służy w batalionie zaledwie dwunastu żołnierzy, wszyscy w taborach, z wyjątkiem Beaumonta z mojego plutonu. Kilku uczestników ostatniej ofensywy zatruwa nowicjuszy pesymizmem: nie wierzą w wojnę, nie wierzą w wyższe dowództwo. Ale przynajmniej szanują oficerów i poszliby za nimi w ogień. Szeregowi wyczekują walnej bitwy, bo na otwartym polu mają większe szanse na czystą ranę w rękę lub nogę. W okopie najczęstsze są postrzały w głowę. Dywizją dowodzi generał Haking, autor *Instrukcji wyszkolenia kompanii*. Podczas ostatnich bitew komendanci kompanij niewiele korzystali z jego rad. Przyjechał dziś rano na roboczą inspekcję batalionu i ścisnął dłonie niedobitkom. Miał łzy w oczach. Sierżant Smith zaklął pod nosem: „O kurwa! Najpierw wykańcza dywizję, a potem chlipie!” Cóż, nie brałem udziału w natarciu, nie chcę tedy stawać po | niczyjej stronie. Haking powiedział jakoby generałowi Frenchowi, że dywizja straciła z kretesem morale. Moje obserwacje tego nie potwierdzają;^ żołnierze będą walczyć dzielnie, choć bez entuzjazmu. Mówi się również, że gdy na front przybędą pierwsze jednostki ochotnicze, zostaniemy przrzućeni na tyły do strzeżenia linii komunikacyjnych. Nie wierzę w to. Nikt się nie zmartwi, jeśli dywizja, którą rozbito, zostanie pokonana jeszcze raz. Panuje opinia, że formacje ochotnicze będą do luzu.

28 maja. Na pozycji w cegielni pod Cuinchy. Inaczej wyobrażałem sobie front. Toczyły się tu zażarte boje. Rowy, powstałe z połączenia lejów po pociskach, biegną bez ładu i składu między trzydziestostopowymi pryzmami cegieł, tak że bardzo łatwo zabłądzić. Przedpiersie nie zajętego okopu w pasie neutralnym składa się z trupów i skrzynek amunicyjnych. Wszystko jest wilgotne i cuchnące. Niemcy stoją bardzo blisko: trzymają połowę cegielni, a my drugą. Strzelcy wyborowi obu stron rażą wroga ze szczytów pryzm. Niemieckie granaty karabinowe i moździerz zadają nam wielkie straty. Nie możemy się zrewanżować, bo brakuje nam granatów i broni równie skutecznej jak tak zwane serdelki z moździerza. Dziś rano w porze śniadania, kiedy wyszedłem ze schronu, sześć stóp ode mnie wylądował granat karabinowy. Zamiast uderzyć zapalnikiem o ziemię i wybuchnąć, wbił się trzonkiem w mokrą glinę. Granaty nadlatują bez ostrzeżenia. Strzela się nimi z karabinu opartego kolbą o dno okopu i wycelowanego w niebo, a pocisk zatacza łuk i spada na pozycję nieprzyjaciela. Nie pojmuję, dlaczego granat upadł rączką do dołu: jest to niezmiernie mało prawdopodobne.

Serdelki łatwo wypatrzeć i skryć się przed nimi, choć pękają z piekielnym hukiem. Raniły dziś dziesięciu żołnierzy naszej kompanii. Zauważyłem, że reaguję, na niebezpieczeństwo nadzwyczaj szybko, tak jak wszyscy. Bezbłędnie rozpoznajemy różne rodzaje hałasu i nie zwracamy uwagi na te, które nas nie dotyczą: daleki pogrzmot baterij, trąkot karabinów maszynowych w sektorze sąsiedniej kompanii, beładną palbę broni ręcznej. Natomiast od razu słyszymy cichy odgłos podobny do strzału korka od

szampana, zwiastujący przylot serdelka, lub przytłumiony trzask przy odpaleniu granatu karabinowego. Żołnierze nieustannie dowcipkują, choć bardzo się boją. Sierżant kompanii stoi za pryzmą numer jedenastie i praży do serdelków z karabinu, próbując je detonować w powietrzu. Mówi, że to lepsze od strzelania do rzutek. Nie trafił jeszcze ani razu.

Zeszłej nocy Niemcy prowadzili ogień huraganowy szrapnelami. Usłyszałem świst nadlatującego pocisku i rzuciłem się na ziemię. Wybuchł nad Aleją Spódniczek koło Placu Lowndesa. Rozdzwoniło mi się w uszach, okopy zaś rozświetlił jasnoczerwony błysk. Przy upadku wykręciłem sobie ramię i myślałem, że odniosłem ranę, ale nie. Drgania gruntu udzieliły się w dziwny sposób mojej klatce piersiowej i straciłem zmysł równowagi. Nie mogłem przez chwilę wstać. Było mi wstyd, gdy starszy sierżant przechodzący rowem zastał mnie na czworakach.

Na stopniu strzeleckim leżą zwłoki sanitariusza zabitego zeszłej nocy, kiedy zakopywał brudy na otwartej przestrzeni między pierwszą a drugą linią. Wieczorem mają go zabrać na cmentarz. Gdy go przyniesiono do okopu, jego stężałe ramię zagroziło przejście. Towarzysze zmarłego żartują, odsuwając je na bok: „Z drogi, pieronie! Co się tak rozpychasz?!”, a czasmi ściskają mu przyjaźnie dłoń: „Serwus, Billy!” Są to oczywiście górnicy, nawykli do śmierci. Mają bardzo swobodne zasady moralne, ale ich przestrzegają. Uznają na przykład, że wolno okraść każdego, z wyjątkiem kolegi z plutonu. Obcego uważają za wroga, póki nie zdobędzie ich zaufania, lecz potem zrobią dlań wszystko. Są rozpustni, przynajmniej młodzi, lecz pozbawieni obłudy rozpustników angielskich. Pewnego dnia cenzurowałem list kaprała do żony. Pisał, że Francuzice są dobre w łóżku, ale nie powinna się martwić, bo i tak woli jej tyłeczek i bardzo tęskni.

6 czerwca. Stoimy kwaterą w Bethune, sporym mieście około siedmiu mil za linią frontu. Jest tu wszystko, czego dusza zapagnie: basen, sklepy, wyśmienita cukiernia, teatrzyk z kabaretem brygady i hotel, gdzie można zjeść naprawdę dobry obiad. Na budynku przy kanale łączącym Bethune z La Bassee spostrzegłem dziś rano tablicę: „Z rozkazu mera zabrania się głośzenia ryb granatami”. Bethune jest prawie nie zniszczone, oprócz dzielnicy Faurbourg d'Arras koło dworca kolejowego. Kwateruję na Avenue de Bruay, u rodziny urzędniczej nazwiskiem Averlant Paul, uchodźców z Poimbert. Mają dwóch synków i starszą córeczkę, uczennicę piątej klasy szkoły powszechnej. Wczoraj biedziła się nad zadaniem domowym i musiałem jej wytłumaczyć zasady mnożenia ułamków dziesiętnych. Pokazała mi swoje notatki szkolne, pełne nieprzeliczonych skrótów, i wyjaśniła:

- Pani profesor mówiła bardzo szybko, bośmy się spieszyli.

- Dlaczego się spieszyliście?

- W szkole stało wojsko i Niemcy strzelali, więc musieliśmy raz po raz zbiegać do piwnicy, a po powrocie było coraz mniej czasu.

9 czerwca. Zaczynam rozumieć, jakie miałem szczęście, że rozpocząłem służbę pod Cambrin we względnie spokojnym sektorze. Teraz stoimy nieco na południe od cegielni, w paskudnym występie frontu, gdzie zawsze ginie mnóstwo żołnierzy. Wczoraj kompania straciła siedemnastu ludzi, trafionych odłamkami pocisków i granatów. Odległość między nami a Niemcami wynosi przeciętnie trzydzieści jardów. Szedłem dziś chodnikiem zaledwie dwadzieścia jardów od obsadzonego zakupu niemieckiego, pogwizdując dla dodania sobie otuchy, gdy nagle ujrzałem kilku żołnierzy pochylonych nad człowiekiem na dnie rowu. Rzęził, wydając z siebie zwierzęce jęki. U mych stóp leżała czapka zachlapana mózgiem. Nigdy dotąd nie widziałem mózgu ludzkiego i uważałem go poniekąd za abstrakcję. Można się przekomarzać z ciężko rannym, gratulując mu powrotu do kraju. Można nie zwracać uwagi na zabitego. Ale nad człowiekiem konającym przez trzy godziny, bo kula wystrzelona z odległości dwudziestu jardów odłupała mu czubek głowy, nawet górnikowi nie przechodzi przez gardło żaden sensowny dowcip.

Poległ także Beaumont, o którym pisałem w poprzednim liście, jedyny szeregowy ocalały z pierwotnego stanu batalionu. Granat urwał mu nogi. Wszyscy klęli na czym świat stoi, ale oficer minerów przyniósł wiadomość, że galeria drażona przez jego ludzi dotarła pod przednią linię Niemców, jest więc znakomita sposobność, by się poćwiczyć w rzucaniu do celu. Zarządził odpalenie miny; była niezbyt wielka, lecz pękła z potwornym hukiem i obsypała nas ziemią. Odczekaliśmy kilka sekund, by dać Niemcom czas na podbiegnięcie do rannych, i zasypaliśmy ich granatami.

Beaumont opowiadał mi, że po bitwie pod Rue du Bois wygrał na loterii żołnierskiej około pięciu funtów we frankach francuskich. Jest to loteria bez przegranych. Pluton zbiera przed atakiem całą swoją gotówkę, którą dzielą się później niedobitki. Polegli nie mogą się poskarżyć, ranni z chęcią zapłaciliby za ocalenie znacznie więcej, a ci, co nie odnieśli szwanku, traktują pieniądze jako nagrodę pocieszenia za konieczność dalszej służby.

24 czerwca. Kwaterujemy w piwnicach miasteczka Vermelles, które w październiku zeszłego roku przechodziło osiem razy z rąk do rąk. Liczyło ongiś kilka tysięcy mieszkańców, lecz dziś nie widać ani

jednego całego domostwa. Wszystko nabrało swoistego baśniowego piękna. Przybyliśmy dwa dni temu wieczorem, gdy nad pokręconymi liniami dachów jarzył się księżyc, oświetlając ponure mury gorzelni podziurawione dziwacznie przez pociski. Nazajutrz odkryliśmy, że bezludne i zapuszczone ogródki są bardzo miłym terenem spacerowym. Wszędzie wysiały się kwiaty. Najpiękniejsze są róże stulistne oraz białe i czerwone lilie. Koło jednego z domów rosną porzeczki. Ja i sierżant-szef kompanii zaczęliśmy je zrywać na przeciwległych krańcach szpaleru, nie widząc się wzajemnie. Kiedy się spotkaliśmy, każdy z nas przypomniał sobie o własnej godności: on, że jest starszym sierżantem, ja, że jestem oficerem. Oddaliśmy honory i rozeszliśmy się sztywno w przeciwne strony. Po kilku minutach wróciłem w nadziei, że będę sam, lecz znów musiałem przedefilować wzdłuż krzaków, salutując i udając, że oglądam kwiaty. Nie mam pojęcia, dlaczego zachowałem się w taki sposób. Sierżant jest podoficerem kadrowym, nie wolno mu przeto jeść w obecności szarży. Przypuszczam, że przestałem zrywać porzeczki z kurtuazji, przez wzgląd na jego skrupuły. Zresztą i tak niebawem nadeszli dwaj szeregowi i objedli krzaki do czysta.

Na podwórku jednego z domów rozegraliśmy dziś po południu mecz krykiety między oficerami a podoficerami. Linia frontu przebiega trzy czwarte mili stąd. Uzyskałem najlepszy rezultat, dwadzieścia cztery punkty. Kijem był kawałek deski, piłką szmatka okręcona sznurkiem, a bramką klatka z czyściutkim, zasuszonym trupkiem papugi w środku. Papużka musiała zdechnąć z głodu po ewakuacji miasteczka przez Francuzów. Przypomniał mi się wiersz Skeltona:

Jest papuga dla paniej ozdobą wspaniałą,
Ukształconą z mądrości i dobroci Bożej,
Bo gdy skonać jej przyjdzie, nic gnije jej ciało.
Wszystko w proch się obraca w śmierci srogiej porze,
Oprócz dusze człowieczej, co szczeznąć nie może,
Bo Chrystus Pan krwią drogo ją okupił raczył.
Zaprawdę, jest papuga królową skrzydlaczy ^[15].

Mecz został przerwany przez ogień karabinów maszynowych. Nie strzelano do nas, lecz do aeroplanu, ale kule spadające z olbrzymiej wysokości miały większą siłę przebicia niż zwyczajne pociski.

Prowadzimy życie próżniacze, chyba że kopimy nocą rowy na trzeciej linii. W miasteczku nie trzeba nowych fortyfikacji, a musztra nie wchodzi w rachubę, bo stoimy zbyt blisko Niemców. Rozstrzelano dwóch szpiegów: cywila dającego Niemcom z piwnicy znaki lusterkiem i żołnierza niemieckiego, którego schwytano, gdy majstrował przy drutach telefonicznych przebrany za kaprała saperów. Oficerowie spędzają wiele czasu na strzelaniu z rewolweru. Jenkins przyniósł wyśmienitą tarczę: szklaną kasetkę ozdobioną sztucznymi kwiatami i owocami, którą znalazł w jedynej ocalałej bawialni w rejonie kwater. Ustawiliśmy ją na słupku w odległości pięćdziesięciu jardów.

- Zawsze chciałem stłuc coś takiego - powiedział. - Moja ciotka ma identyczną. Takie potworki wychodzą cało z najcięższej kanonady.

Zduśliłem w sobie sentymentalną chęć ocalenia bibelotu.

Oddaliśmy kolejno po pięć strzałów. Wszyscy spudłowali. Podeszliśmy na odległość dwudziestu jardów i kropnęliśmy salwę. Ktoś trafił w słupek i kasetka spadła na trawę.

- Niechże ją licho! Jest chyba zaczarowana! - zawołał Jenkins.

Szkło nie pękło, lecz niektóre owoce się obluzowały.

- Męczy się - stwierdził Walker. - Połóżmy kres jej cierpieniom.

Z bliskiej odległości wymierzył kasetce *coup de grace* ^[16].

Tutejszy kościół normański jest kompletnie zniszczony. Szczątki wieżycy wykorzystują artylerzyści jako wysunięty punkt obserwacyjny. W murach dostrzegłem aż osiem niewybuchów. Wszedłem z Jenkinsem do środka. Podłogę pokrywały śmieci, gruz, połamane stalle, podziurawione obrazy (niektóre na oko kilkusetletnie) oraz szczątki rzeźb i krucyfików. W ruinach zakrystii gnily ubłocone ornaty. Po witrażach zostały tylko nieliczne szklane płytki przy framugach okiennych. Wdrapałem się na ołtarz i we wschodniej części apsydy znalazłem odłamek wielkości talerza. Dałem go Jenkinsowi.

- Na pamiątkę - rzekłem.

[15] John Skelton (1460-1529), fragment poematu *Oracyja papugi* (*Speke Parott*).

[16] *Coup de grace* (franc.) — *cios łaski*.

Kiedy podniósł witraż do światła, ukazała się ręka świętego Piotra, dzierżącego klucze do nieba. Średniowieczna robota.

- Wyślę to do domu - powiedział.

Przy wyjściu spotkaliśmy dwóch szeregowych Fizylierów Królewskich z Munsteru. Jako irlandzcy katolicy uznali wynoszenie rzeczy z kościoła za świętokradztwo.

- Tego nie wolno zabierać, panie poruczniku. Przyniesie to panu nieszczęście - ostrzegł Jenkinsa jeden z nich. (Jenkins niebawem poległ.)

Dziś wieczorem Walker pokpiwał sobie z Dunna.

- Myślę, szefie, że jak wojna się skończy, jeszcze pan za nią zatęskni. Straci pan zajęcie i wróci na sześć miesięcy na majdan w kadrze, żeby się nauczyć formować czwórki zgodnie z regulaminem. Poszedł pan z Sandhurst prosto na front i nie zdążył poznać tej sztuki. Ma się rozumieć, będzie pan już pułkownikiem. Po wojnie dam sierżantowi w łapę pół korony, żeby z pana wycisnął siódme poty. Stanę po cywilnemu przy bramie i będę ryczał ze śmiechu.

Jedną z kompanii dowodzi kapitan Furber, istny kłębek nerwów. Pewnego dnia do jego piwnicy wrzucono dla kawału granat (oczywiście zabezpieczony), który stoczył się po schodach. Uznano to za przedni dowcip. Furber jest największym pesymistą we Francji. Założył się z adiutantem, że przez najbliższe dwa lata linia frontu nie posunie się w naszym sektorze więcej niż jedną milę^[17]. Wszyscy się zeń naśmiewają, lecz jest lubiany, bo śpiewa w kabarecie brygady w Bethune sentymentalne ballady londyńskich uliczników.

[17] *Wygrał Furber (przyp. aut.)*

XIV

Z nadejściem lata pojawiły się nowe typy granatów i moździerz, cięższe działa i ulepszone maski przeciwgazowe. Zaostrzyła się dyscyplina. Przybyły na front pierwsze oddziały ochotnicze, przy których wyglądaliśmy jak strachy na wróble. Nasz batalion walczył pod Cambrin i Cuinchy, a wypoczywał w Bethune i sąsiednich wioskach. W owym czasie zaraziłem się apatią Pierwszej Dywizji. Prowadziliśmy głównie działania obronne, starając się nie prowokować Niemców do akcji zaczepnych, a mimo to straty były nadal bardzo duże jak na wojnę okopową. Pesymizm czynił nas przesądnymi i przyłapywałem się, że biorę poważnie najbłahszy zły omen.

Sierżant Smith, jeden z podoficerów mego plutonu, opowiedział mi o moim poprzedniku na stanowisku dowódcy.

- Był bardzo miły, ale zupełnie pomyłony. Tuż przed bitwą pod Rue du Bois zwrócił się do mnie: „Słuchajcie, sierżancie, wiem, że jutro polegnę.

Wiera też, że wam nic się nie stanie. Dlatego proszę, odeślijcie moje rzeczy rodzinie. Adres znajdziecie w książeczce służbowej. Będzie tam pięćset franków. Zatrzymajcie sto, a resztę podzielcie między niedobitki plutonu. Książeczkę odeślijcie do kraju razem z innymi rzeczami, ale, na miłość boską, spalcie dziennik! Nikomu nie wolno go czytać. Ja dostanę tutaj”. Wskazał ręką czoło. Było tak, jak powiedział. Kula trafiła go prosto między oczy. Odesłałem jego rzeczy rodzicom, podzieliłem pieniądze i spaliłem dziennik.

Idąc pewnego dnia rowem pod Cambrin padłem nagle plackiem na ziemię, a w dwie sekundy później w tylną ścianę okopu uderzył pocisk armatni. Trafił w miejsce, gdzie była przed chwilą moja głowa. Towarzyszący mi sierżant, który szedł kilka kroków z przodu, odwrócił się i spytał: „Zabili pana, panie poruczniku?” Pocisk wystrzelono koło farmy Les Briques w odległości tysiąca jardów, musiałem więc zareagować na odgłos odpalenia działka. Tylko skąd wiedziałem, że pocisk polecą w moim kierunku?

W Bethune widziałem, ducha szeregowca nazwiskiem Challoner, który służył ze mną w Lancasterze, a potem w kompanii F we Wrexham. Przed odpłynięciem do Pierwszego Batalionu uściskał mi rękę i powiedział: „Spotkamy się znowu we Francji, panie poruczniku”. W czerwcu przeszedł koło kwatery kompanii C, gdy z okazji szczęśliwego powrotu z Cuinchy raczyliśmy się wystawną kolacją złożoną z młodych kartofelków, ryb, zielonego groszku, szparagów, kotletów baranich, truskawek z kremem i trzech butelek wina. Przez okno zajął szeregowy Challoner, zasałutował i odszedł. Nie mogłem się pomylić, bo rozpoznałem na czapce odznakę Fizylierów Królewskich z Waliey, a w promieniu kilku mil od Bethune nie stacjonował żaden batalion naszego pułku. Zerwałem się z miejsca, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem tylko niedopałek tłący się na chodniku. Challoner poległ w maju pod Festubert.

Na odcinku Cambrin-Cuinchy stale prowadzono walkę podziemną. W każdej chwili spodziewaliśmy się wylecenia w powietrze. Dowódca kompanii rmnęskiej Korpusu Saperów JKMości zdobył w naszej obecności Krzyż Wiktorii. Toczył się pojedynek górniczy. Kiedy Niemcy jęli drażyć galerię kontrminową, natychmiast rozkazał kopać pod nimi. Wygrał wyścig, ale gdy chciał odpalić minę za pomocą detonatora elektrycznego, nic z tego nie wyszło. Pobiegł wówczas w głąb tunelu, zmienił zapalnik, wrócił i odpalił horn przed Niemcami. Poprzedniego dnia zwiedziłem podkop leżący najwyżej. Biegł dwadzieścia stóp pod pozycją nieprzyjaciela.

Na krańcu spotkałem na podsluchu walijskiego górnika, naszego szeregowego przeniesionego do kompanii minerskiej. Poprosił mnie o ciszę. Wyraźnie słyszałem Niemców drażących tunel gdzieś pod nami. Górnik wyszeptał: „A niech fedrują, byle tylko nie przestali”. Dwugodzinną wartę w ciasnym i dusznym chodniku odbywał przy świeczce, czytając romansidło pod tytułem *Młynarka księżną*. Dowódca minerów powiedział mi później, że szyldwachom wolno czytać na służbie, bo nie przeszkadza to w nasłuchiowaniu. Wiertnicy znani byli ze złodziejstwa. Chwyтали wszystko, co im wpadło w ręce, i dawali nura do jednej ze swoich dziur - zupełnie jak myszy.

Po szczególnie niebezpiecznym okresie na linii otrzymałem z Charterhouse złe wiadomości. Złe nowiny z kraju mogły wpłynąć na żołnierza w dwojaki sposób. Doprowadzały do samobójstwa (lub nieostrożności równoznacznej z samobójstwem) bądź wydawały się nieistotne w porównaniu z przeżyciami na froncie. Zresztą i tak nie dawało się nic zrobić, chyba że podczas urlopu. Podoficer Regimentu Piechoty Liniowej z Południowego Hrabstwa Stafford, służący w tym samym sektorze, otrzymał w rok później wiadomość, że jego żona żyje z obcym mężczyzną. Też nocy poprowadził wycieczkę i, jak mówili podkomendni, poległ lub dostał się do niewoli. Wywiązała się walka i wrócili bez niego. W dwa dni później aresztowano go w Bethune, gdy wsiadał do pociągu na tyły. Zamierzał wrócić do Anglii i zastrzelić

żonę wraz z kochankiem. Oficerowie sądzący go za dezercję w obliczu wroga przestali na degradacji. Wstąpił do innego pułku jako szeregowy. Nie znam jego dalszych losów.

Złe wiadomości przesłał mi kuzyn, uczeń Charterhouse. Pisał, że Dick nie jest niewinny, lecz zepsuty do szpiku kości. Wiedziałem, że kuzyn czuje do mnie urazę, uznałem tedy list za okrutną złośliwość. Korespondencja z Dickiem stanowiła w owych miesiącach jedyne oparcie przeciwko chandrze: pisał co tydzień, głównie o poezji. Jego listy były czymś czystym, co pomagało zapomnieć o grozie życia w okopach i ohydzie kwaterowania na tyłach. Krótco przedtem dwóch oficerów innej kompanii opowiadało mi, że przespali się jednocześnie w tym samym pokoju z matką i córką. Rzucili monetę o matkę, bo córka była „żółtawa i łuskowata jak jaszczurka”. Na rogu ulicy głównej w Bethune mieścił się burdel armijny Pod Czerwoną Latarnią. Widziałem raz pod drzwiami kolejkę stu pięćdziesięciu żołnierzy. Mój ordynans, stojący w ogonku, powiedział, że opłata wynosi dziesięć franków, co stanowiło równowartość około ośmiu szylingów. Każda lafirynda obsługiwała w ciągu tygodnia batalion. Jak twierdził zastępca komendanta żandarmerii, zwykle pracowała nie dłużej niż trzy tygodnie, po czym „dumna i błada, przechodziła w stan spoczynku, by utrzymać się do końca życia ze swoich zarobków”.

Zawsze się ze mnie naśmiewano, bo nie chciałem sypiać nawet z ładnymi dziewczętami. Nie tłumaczyłem się zasadami moralnymi ani wybrednością, lecz w jedyny sposób, jaki trafiał do przekonania kolegom: mówiłem, że nie chcę dostać trypra. Na kwaterach wiele się rozmawiało o szczególnych zwyczajach Francuzek w łóżku. („Milutka była i zręczna, bestyjka, ale jak powiedziałem: *S'il vous plait, otes-toi la chemise, ma cherie*, wyobraźcie sobie, nie chciała. *Oh, no'-non, mon lieutenant. Ce nest convenable*”)^[18].

Ucieszyłem się z powrotu na linię. Otrzymałem tam uspokajający list od Dicka. Pisał, że mój kuzyn rzeczywiście czuje do nas urazę, i przyznał, iż zaczął swawolić, ale nic złego się nie stało. Bardzo przeproszał i obiecywał poprawę przez wzgląd na naszą przyjaźń.

Pod koniec lipca ja i Robertson, inny subaltern naszego pułku przydzielony do Regimentu Walijskiego, otrzymaliśmy rozkaz udania się do Laventie. Mieliśmy się zameldować w sztabie Drugiego Batalionu Fizylierów Królewskich z Waliey. Franka Jonesa-Batemana i Hanmera Jonesa odkomenderowano do Pierwszego Batalionu. Pozostali dwaj z naszej szóstki wrócili tymczasem do kraju: McLellan zachorował, a Watkina poranił granat, tak że utykał do końca życia. Było nam żal rozstawać się z żołnierzami, którzy obściskali nas kołem, ściskając ręce i życząc powodzenia. Nie uśmiechała nam się także perspektywa ponownego debiutu na linii w innej kompanii. Mimo to byliśmy nie najgorszej myśli, choćby dlatego, że wracaliśmy do formacji macierzystej. Doszedłem z Robertsonem do wniosku, że podróż należy odbyć bez pośpiechu. Laventie leżało w odległości zaledwie siedemnastu mil, ale marszruta opiewała na przejazd koleją, toteż udaliśmy się najpierw furgonem do Bethune. Oficer służby stacyjnej, którego spytaliśmy o pociągi do Laventie, odpowiedział, że najbliższy odchodzi za kilka minut. Postanowiliśmy się spóźnić. Następny odjeżdżał dopiero nazajutrz, zatrzymaliśmy się tedy na noc w Hotelu Francuskim, gdzie niekiedy kwaterował książę Walii, służący jako porucznik w Czterdziestej Baterii Oblężniczej. Nie było go akurat w hotelu. Pewnego ranka nawiązałem z nim rozmowę w łaźni publicznej w Bethune. Jego Wysokość, golusienki, raczył zauważyć, że woda jest, kurwa, zimna, a ja lojalnie przyznałem, że ma, kurwa, rację. Ciała mieliśmy różowiućkie, po kąpeli zaś podciągnaliśmy się na drążku.

- Spotkałem dziś w łaźni następcę tronu - pochwaliłem się Frankowi Jonesowi-Batemanowi.
- Mam coś lepszego: dwa dni temu ucieliśmy sobie pogawędkę w latrynie - odrzekł.

Książę lubił przesiadywać w kawiarence Pod Kulą Ziemią na rynku w Bethune, do której mieli wstęp tylko oficerowie brytyjskiej służby i francuscy cywile. Słyszałem raz, jak skarży się z oburzeniem, że generał French nie daje mu walczyć.

Rankiem złapaliśmy pociąg. Dowiózł nas do stacji węzłowej, gdzie wylegiwaliśmy się przez cały dzień w trawie, bo połączenie mieliśmy dopiero nazajutrz. Dojechaliśmy w końcu do Berguette, przyfrontowej stacyjki kilka mil od Laventie. Czekał już na nas furgon kuchenny, wysłany w odpowiedzi na nasz hughes. Telepiąc się na wybojach, dotarliśmy wreszcie do komendy batalionu na głównej ulicy Laventie, strawiwszy pięćdziesiąt godzin na pokonanie siedemnastu mil. Zadzierzyście oddawszy adiutantowi honory, zameldowaliśmy się jako subalternowie Trzeciego Batalionu przeniesieni z powrotem do regimentu. Nie uściśnął nam rąk, nie poczęstował whisky ani nie wypowiedział słów powitania.

[18] *S'il vous plait... (franc.) — Proszę, zdejń koszulkę, moja droga... Ależ nie, panie poruczniku. To nie uchodzi*

- Rozumiem - odparł chłodno. - Który z was ma wyższe starszeństwo? Zresztą nieważne. Proszę podać swoje dane sierżantowi-szefowi kancelarii i powtórzyć, że starszego ma przydzielić do kompanii A, a młodszego do B.

Sierżant spisał nasze dane i przedstawił mnie Hilary'emu Dra-ke'owi-Brockmanowi, podporucznikowi kompanii A, do której otrzymałem przydział. Był to młody ochotnik z Regimentu Piechoty Liniowej ze Wschodniego Hrabstwa Surrey, przezywany pogardliwie Kpem z Surrey. Zaprowadził mnie na kwatery kompanii.

- Co u licha ugryzło adiutanta? - spytałem. - Dlaczego nie podał nam ręki ani się normalnie nie przywitał?

- Cóż, to pański pułk, nie mój - odpowiedział. - Wszyscy są tutaj tacy. Niech pan pamięta, na froncie są tylko cztery baony piechoty, gdzie przetrwały przedwojenne obyczaje. Wchodzimy w skład Dziewiętnastej Brygady, mającej piekielne szczęście, bo nie należy do żadnej dywizji, ale jest w rezerwie armijnej i zatyka dziury po formacjach, które dostały w kość. Obsada batalionu jest prawie taka sama jak przed wojną. Straty ponieśliśmy tylko pod Mons, gdzie ubyła mniej więcej kompania, i pod Fromelles, gdzie poległa połowa tych, co przeżyli. Od tego czasu wróciło przeszło dwustu rannych. Wszyscy dowódcy kompanii i podoficerowie to zawodowcy. W pułku utrzymuje się przedwojenny zwyczaj niezauważania nowo przydzielonych subalternów przez pierwsze pół roku. Ciężkie życie mają nawet chłopcy z Sandhurst, jeszcze gorzej traktuje się wolontariuszy takich jak pan, Rugg albo Robertson, a najgorzej obcych takich jak ja...

Szliśmy drogą prowadzącą przez wioskę. Szeregowi siedzący na progach domów zrywali się na nasz widok na równe nogi, przyjmując postawę zasadniczą i salutując ze wzrokiem wbitym nieruchomo przed siebie. Prezentowali się wspaniale. Mieli mundury bez jednej plamki, wyglansowane pasy, błyszczące guziki i odznaki na czapkach. Doszliśmy do komendy kompanii, gdzie zameldowałem się dowódcy, kapitanowi G. O. Thomasowi. Był to oficer kadrowy o siedemnastoletnim stażu, znany gracz w polo i wyśmienity żołnierz. Sam opisałby się w taki właśnie sposób. Ucisnął mi bez słowa rękę, zaprosił gestem na fotel, poczęstował papierosem i pisał dalej list. Jak się później zorientowałem, trafiłem do najlepszej kompanii batalionu.

Kiep z Surrey poprosił mnie o pomoc w cenzurowaniu listów, nim pójdziemy razem na lunch. Okazały się bardziej poprawne językowo od listów szeregowych Regimentu Walijskiego, lecz nudniejsze. W drodze do kasyna spytał, czy byłem już na linii.

- Służyłem trzy miesiące w Drugim Batalionie Regimentu Walijskiego. Dowodziłem jakiś^ czas kompanią.

- Naprawdę? Radzę o tym nie wspominać, bo zaczną od pana za wiele wymagać. Traktują nas jak śmieci, ale dla pana będą surowsi, bo jest pan już porucznikiem. Przy pańskim krótkim stażu to się nie spodoba. Mamy jednego porucznika o sześćioletnim starszeństwie i kilku podporuczników, którzy przybyli na front jesienią. Do baonu przydzielono dwóch kapitanów ochotników, ale starszyzna zamierza ich wysiudzić. Starsze szarże to bestie. Jeśli się pan odezwie w kasynie nie proszony albo zwróci na siebie uwagę, zmieszają pana z błotem. Tylko kapitanowie mają prawo pić whisky i nastawiać patefon. My mamy się nie ruszać i wyglądać jak meble. Zupełnie jak przed wojną. Rachunki są bardzo wysokie, bo w zeszłym roku kwatermistrzostwo popadło pod Kwetą w długi i teraz próbuje je spłacić. Dostajemy tylko zwykłe racje żywnościowe i nie wolno nam pić whisky.

Mamy nawet plac do gry w polo. Rozegraliśmy raz mecz z Pierwszym Batalionem. W październiku zeszłego roku, po masakrze pod Ypres, przetrzucili na linię kucharzy i taborytów, żeby zapobiec przerwaniu frontu. Skradziono im wtedy wszystkie co lepsze kuce, więc wygraliśmy z łatwością. Potrafi pan jeździć konno? Kiepsko? Subalternowie nie trzymający gię w siodle jak zawodowi dżokeje mają co popołudnie zajęcia jeździeckie, gdy stoimy na tyłach. Dostajemy nieźle w kość. Uczę się razem z kolegą już od czterech miesięcy i jeszcze nie zdałem egzaminu. Każą nam cwałować bez strzemion. Wczoraj wezwali nas zniecka, nie dając czasu na przebranie się w bryczesy. Ale, ale, zauważył pan, że wszyscy noszą krótkie spodnie? Rozkaz komendanta. Myśli, że ciągle jest w Indiach. Starsze szarże traktują miejscowych zupełnie jak czarnuchów, pomiatają nimi i wrzeszczą do nich indyjskim żargonem obozowym. Czasami chce mi się wyć. Cóż, mało nie skonałem kłusując jak wariat na dzikim kucu zaprzęgowym, którego taboryci podkradli niedawno żabojadom. Miałem gołę kolana i natłuszczone siodło juczne bez strzemion. Komendant, zastępca, adiutant i kwatermistrz stali w rogach maneżu, tłukąc kuce szpicrutami. Dwa razy spadłem i byłem taki wściekły, że omal nie rozjechałem zastępcy. Najśmieszniejsze, że w ogóle nie zdają sobie sprawy, jak nami pomiatają: służba w regimencie to taki zaszczyt! Niech pan udaje, że nic pana nie dziwi.

- Przecież to dziecinada! - zaprotestowałem. - Czyż nie toczy się wojna?...

- Nie w sferze dyscypliny - odpowiedział. - Mimo to nie przeniósłbym się do innej jednostki. Dowódcy znają swój fach, cokolwiek by o nich mówić, a na podoficerach można całkowicie polegać.

W odróżnieniu od innych oddziałów Drugi Batalion nie posiadał odrębnych kasyn kompanijnych, lecz wspólne kasyno batalionowe, co było jeszcze jednym przeżytkiem sprzed wojny. „Ma to pobudzać życie towarzyskie” - objaśnił ponuro Kiep z Surrey.

Weszliśmy razem do pałacu opodal kościoła. W fotelach siedziało kilkunastu oficerów. Młodszy czytali tygodniki ilustrowane, a starsi rozmawiali ściszymi głosami. Przy drzwiach powiedziałem: „Czołem, panowie!”, jak to się zwykle mówi po wejściu do kasyna. Nikt nie odpowiedział. Wszyscy zerknęli na mnie z ciekawością. Ciszę wywołaną moim pojawieniem się przerwał patefon, z którego popłynęła piosenka:

Byliśmy mężem i żoną i jakże nam słodko się żyło!

Smażyliśmy pączusie na naftowym prymusie i dobrze, ach, dobrze nam było!

Znalazłem z tyłu wolny fotel i wziąłem do ręki czasopismo. Nagle trzasnęły drzwi i do sali wpadł podpułkownik z czerwoną gębą i marsowym spojrzeniem.

- Kto do diaska nastawił patefon?! - ryknął. - Pewnie jakiś pryszcz, co?! Zdjąć mi tę płytę, ale już! Rzygać mi się chce od tej tandety. Posłuchajmy prawdziwej muzyki. Puścić no mi tam *Anioł Pański*.

Dwóch subalternów (w Regimencie Fizylierów Królewskich z Waliey subalternów nazywano pryszczami) zerwało się na równe nogi, zatrzymało patefon i nastawiło *Kiedy na Anioł Pański biją dzwony*. Kapitan, który puścił *Byliśmy mężem i żoną*, wzruszył ramionami i pogrążył się w lekturze. Pozostali oficerowie mieli twarze jak z kamienia.

- Kto to? - spytałem szeptem Kpa z Surrey.

- Jazda Stąd - odmruczał zmarszczywszy brwi. - Zastępca.

Nim płyta się skończyła, do sali wkroczył komendant. Asystował mu Jazda Stąd. Wszyscy zerwali się na baczność i zakrzyknęli dziarsko:

- Cześć pułkownikowi!

Dowódca jednak, miast odwzajemnić powitanie i nakazać zajęcie miejsc, zwrócił się gniewnie w stronę patefonu.

- Tam do czorta! Któż to nastawia ten przeklęty *Anioł Pański* za każdym razem, jak wchodzę do kasyna?! Na litość boską, puśćmy dla odmiany coś wesołego!...

Własnoręcznie zdjął płytę, zakręcił korbką i nastawił *Byliśmy mężem i żoną*. W tejże chwili rozległ się gong na lunch i gramofon poszedł w zapomnienie.

Przeszliśmy gęsiego do sali balowej z lustrami i plafonami, gdzie stał długi politurowany stół. Starsze szarże zasiadły u szczytu, młodsze zaś rozpoczęły współzawodnictwo o jak najodleglejsze miejsca. Na nieszczęście przypadło mi krzesło u przeciwnego szczytu, tak że komendant, adiutant i Jazda Stąd siedzieli na wprost mnie. Przy moim końcu panowała śmiertelna cisza, przerywana tylko cichymi prośbami o sól lub piwo - francuski cienkusz. Robertson, którego nie uprzedzono, poprosił ordynansa o whisky.

- Przykro mi, panie poruczniku - odparł ordynans - ale z rozkazu komendanta młodszym oficerom nie wolno podawać mocnych trunków.

Robertson, w cywilu wzięty adwokat, miał czterdzieści dwa lata i w poprzednich wyborach parlamentarnych kandydował na posła w okręgu Yarmouth.

Zauważyłem, że Jazda Stąd świdruje nas wzrokiem, i zająłem się mięsem i kartoflami.

Jazda Stąd dał adiutantowi kuksańca.

- Charley, co to za dwa pajace po drugiej stronie? - spytał.

- Nowi ochotnicy przydzieleni dziś rano. Wabią się Robertson i Graves.

- Który jest który? - zainteresował się komendant.

- Robertson to ja, panie pułkowniku.

- Nie was pytałem!

Robertson skrzywił się, lecz zmilczał. Coś przyciągnęło uwagę zastępcy.

- Ten drugi patafian ma spieprzony mundur. - Pochyliwszy się do przodu, spytał na cały głos: - Hej, ty tam, pryszczu! Dlaczego u diabła nosisz szlify na epoletach, a nie na mankiecie?!

Usta miałem pełne, wszyscy zaś gapili się na mnie. Przelknąłem w całości kęs mięsa i odrzekłem:

- Obywatelu podpułkowniku, melduję posłusznie, że w Regimencie Walijskim obowiązuje noszenie dystynkcji na naramiennikach. Myślałem, że tak jest wszędzie we Francji.

Komendant zwrócił się ze zdumieniem do adiutanta:

- Co on u licha gada o Regimencie Walijskim?... - Po czym odezwał się do mnie: - Po lunchu udacie się niezwłocznie do krawca. Kiedy doprowadzicie mundur do porządku, zameldujecie się w komendzie batalionu.

Toczyła się we mnie walka między złością a dumą z tradycji pułkowej i złość wzięła tymczasem górę. Mruknąłem pod nosem: „Przeżyję was wszystkich, przekłete sny! Przyjdzie dzień, że będę ostatnim żywym uczestnikiem tego lunchu!”

Wieczorem odmaszerowaliśmy na linię. Batalion zajmował tak zwane okopy wyższego dowództwa, w których przedpiersia i zaplecza sypano na wysokość człowieka, bo woda gruntowa pojawiała się już na głębokości trzech stóp. Żołnierze mojego plutonu okazali się małowolni i pełni rezerwy. Nawet podczas wart nocnych nie opowiadali o sobie ani swoich rodzinach, jak szeregowi Regimentu Walijskiego. Sierżant, były policjant nazwiskiem Townsend, figurujący w chwili wybuchu wojny na liście podoficerów rezerwy, był raczej poganiaczem niż przywódcą. Kompania A obsadzała Narożnik pod Czerwoną Latarnią, gdzie okopy urywały się nagle i zaczynały z powrotem nieco z tyłu, omijając bagnisko. W narożniku wisiała nocą czerwona latarnia, niewidoczna dla nieprzyjaciela i stanowiąca punkt orientacyjny dla kompanii zapasowej, która nie powinna strzelać na lewo od światła. Polecenia i rozkazy wykonywano z niemałą żołnierską sprawnością, zupełnie nie znaną w Regimentzie Walijskim.

Pierwszej nocy kapitan Thomas spytał, czy chciałbym iść na patrol. Poddawanie nowych oficerów takiej próbie należało w pułku do tradycji, toteż nikt nie ośmielał się wykręcać. Podczas służby w Regimentzie Walijskim nie byłem nigdy na przedpolu, nawet dla lustracji drutów, zasięki uważano bowiem za domenę pionierów i batalionowego oficera zwiadowczego. Kiedy Hewitt, dowódca pododdziału karabinów maszynowych, szedł od czasu do czasu na wypad, uznawaliśmy to za szaleńczą eskapadę. Jednakże bataliony kadrowe Fizylierów Królewskich z Waliey stawiały sobie za punkt honoru panowanie nad pasem neutralnym od zmierzchu do świtu. W Laventie nie mijała noc, by wartownicy nie przekazywali sobie z ust do ust: „Wychodzi patrol oficerski, podać dalej”. Mnie nakazano sprawdzić, czy Niemcy okupują po zmroku jeden ze swoich sapów.

O dziesiątej wieczorem wygramoliłem się z sierżantem Townsendem zza Narożnika pod Czerwoną Latarnią. Byliśmy uzbrojeni w rewolwery. Aby nie biegały nam w ciemności gołe nogi i aby ułatwić sobie czołganie, naciągnęliśmy na kolana skarpety bez pięt. Posuwaliśmy się odcinkami po dziesięć jardów, nie na czworakach, lecz pełznąco powoli po ziemi. Pokonawszy każdy etap, leżeliśmy bez ruchu dziesięć minut, nasłuchując. Przedarliśmy się przez własne zasięki i poczołgaliśmy wzdłuż wąskiego, wyschniętego rowu melioracyjnego, zahaczając mundurami o druty i wpatrując się w mrok, aż zaczął tańczyć przed oczyma. W pewnej chwili położyłem rękę na śliskim ciele zgniłego trupa i cofnąłem palce ze zgrozą. Usłyszawszy lub zauważywszy cokolwiek podejrzanego, trącałiśmy się z walącym sercem łokciami: czołgając się, nasłuchując, czołgając, omijając irupy w oślepiającym blasku rac nieprzyjaciela, czołgając się, nasłuchując, czołgając. Oficer Drugiego Batalionu Fizylierów Królewskich z Waliey, który po zakończeniu wojny odwiedził Laventie, mówił mi później, jak śmiesznie mały okazał się pas neutralny, który wydawał się nam tak ogromny, gdy odbywaliśmy po nim nie kończące się, żmudne wędrówki. „Niczym prawdziwa wielkość dziury w zębie w porównaniu z tym, co się czuje językiem”.

Przecisnąwszy się przez lukę w zasiękach Niemców, znaleźliśmy się w końcu pięć jardów od zakupu. Oczekaliśmy dwadzieścia minut, nadsluchując odgłosów obecności nieprzyjaciela. Wreszcie dałem Townsendowi szturchańca, po czym poczołgaliśmy się prędko naprzód z rewolwerami w garści i ześlizgnęliśmy do rowu. Okazał się głęboki na trzy stopy i pusty. Na dnie leżało kilka łusek i stał okrągły wiklinowy kosz z gładkim przedmiotem wielkości sporego globusa. Dotknąłem go bardzo, bardzo ostrożnie i obmacałem w mroku dłonią. Bałem się, że mam do czynienia z maszyną piekielną. W końcu przewyciężyłem lęk i podniosłem kosz w nadziei, że znalazłem jeden z niemieckich syfonów gazowych, o których tyle się wówczas mówiło.

Doczołgaliśmy się do swoich, przebywszy dwieście jardów w dwie godziny. Wartownicy przekazali sobie wiadomość, że wróciliśmy. Zdobycz okazała się dużym szklanym gąsiorem wypełnionym w czwartej części żółtawym płynem. Bańkę przesłano do komendy batalionu, a stamtąd do szefa wywiadu dywizji. Wzbudziła powszechne zainteresowanie. Wysunięto hipotezę, że zawiera substancję do nawilżania tamponów przeciwgazowych, choć mógł to być równie dobrze miejscowy jabłecznik zmieszany z deszczówką. Nie poinformowano mnie nigdy o wynikach ekspertyzy. Ale Kiep z Surrey podsłuchał, jak komendant mówi do kapitana Thomasa: „Pański nowy przyszc ma, zdaje się, więcej ikry od innych”.

Chodziłem później dość często na patrole, spostrzegłem bowiem, iż młodsze szarże szanuje się jedynie za odwagę. Wymyśliłem ponadto chytrą teorię, że największą szansę przeżycia wojny daje mi lekki postrzał odniesiony nocą na otwartym polu, gdy palba ma charakter przypadkowy, a całe ciało jest odsłonięte. Na punktach sanitarnych nie panuje wówczas tłok, tyły zaś nie są pod huraganowym ostrzałem. Najlepiej tedy dać się trafić na nocnym patrolu w spokojnym sektorze. Rannym udawało się z reguły wczółgać do leja i doczekać pomocy.

Z udziałem w wycieczkach wiązały się jednak swoiste niebezpieczeństwa. Jeśli ranny wpadł w ręce wroga, kończył zwykle z podciętym gardłem. Ulubioną bronią patroli niemieckich były długie noże myśliwskie (my woleliśmy grube pałki nalane łożem). Najbardziej poszukiwane informacje dotyczyły przynależności pułkowej i dywizyjnej nieprzyjaciela, toteż jeśli rannego nie dawało się bez ryzyka dociągnąć do swoich, należało mu zerwać odznaki. Ponieważ trzeba było to zrobić możliwie szybko i cicho, zachodziła niekiedy konieczność poderżnięcia mu gardła lub roztrzaskania czaszki.

Sir Piers Mostyn, porucznik Fizylierów Królewskich z Waliey, uczestniczący często w wycieczkach, toczył pod Laventie wojnę podjazdową z patrolami niemieckimi, który operował na lewym skrzydle batalionu. Nasze patrole składały się zazwyczaj z oficera i co najwyżej dwóch żołnierzy, niemieckie zaś z sześciu, siedmiu szeregowców pod komendą podoficera. Jak to określił jeden z naszych plutonowych, szarże niemieckie uważały, że „skoro się trzyma psa, nie ma co szczekać samemu”, i przerzucały, co tylko mogły, na barki podkomendnych. Pewnej nocy Mostyn dostrzegł swoich adwersarzy i uniósł się na klęczkach, by rzucić granat wstrząsowy, lecz Niemcy postrzelili go w ramię, które zwisło bezwładnie. Złapał granat w powietrzu lewą ręką, cisnął ku Niemcom i wrócił do okopu, wykorzystawszy powstały zamęt.

Jak każdy żołnierz, przestrzegałem ściśle określonych reguł podejmowania ryzyka. Aby ratować towarzysza broni lub utrzymać ważną pozycję, należało z zasady zrobić wszystko, co możliwe, nawet jeśli równało się to pewnej śmierci. Dla zabicia Niemca narażaliśmy się na ryzyko, powiedzmy, jak jeden do pięciu, zwłaszcza jeśli chodziło nie tylko o redukcję siły żywej przeciwnika, lecz także o pewien cel szerszy, na przykład likwidację osławionego snajpera czy zdobycie przewagi ogniowej w miejscu, gdzie rowy niebezpiecznie się zbliżały. Tylko raz powstrzymałem się od uśmiercenia Niemca, którego ujrzałem na własne oczy. Zdarzyło się to trzy tygodnie później w Cuinchy. Prowadząc ogień ze wzniesienia na pozycji zapasowej, gdzie mieliśmy zamaskowaną tarczę ochronną, dostrzegłem przez celownik optyczny żołnierza, który zażywał kąpieli na trzeciej linii okopów. Nie chciałem zabijać nagiego człowieka, wręczyłem więc karabin sierżantowi.

- Zajmijcie się nim. Strzelacie lepiej ode mnie.

Odszedłem, by się nie przyglądać, a sierżant trafił bez pudła.

W każdej dywizji panował inny pogląd na kwestię ratowania rannych nieprzyjaciół. Żołnierze Dywizji Kanadyjskiej i Dywizji Obrony Krajowej z Nizin Szkockich, którzy poprzysięgli Niemcom zemstę za jakieś dawne okrucieństwa, nie tylko unikali wszelkiego ryzyka dla ratowania rannego, lecz gotowi byli specjalnie się narażać, by go wykończyć. Fizylierzy Królewscy z Waliey zachowywali się po dżentelmeńsku: Niemca przenoszono w bezpieczne miejsce, jeżeli ryzyko było stosunkowo niewielkie. Ważny czynnik stanowił stopień naszego zmęczenia. Znużony żołnierz, który chciał się szybko przedostać do innego rowu, szedł niekiedy skrótami po otwartej przestrzeni, jeśli nieprzyjaciel znajdował się w odległości co najmniej czterystu jardów. Na zwiększone ryzyko godziliśmy się także w pośpiechu lub gdy byliśmy śmiertelnie wyczerpani. W batalionach o kiepskim morale narażano się często z lenistwa bądź rozpaczki. Mówiło się, że żołnierze Regimentu Fizylierów Królewskich z Munsteru, należącego do Pierwszej Dywizji, padają jak muchy, bo nie kryją się dobrze w okopach rezerwy. W naszym pułku nie dopuszczano nigdy do takich strat. Wierzyliśmy zawsze, że wojna skończy się co najwyżej za rok, ostrożność wydawała się tedy czymś rozsądnym: może nawet była szansa wyjścia cało?

Drugi Batalion Fizylierów Królewskich z Waliey, w przeciwieństwie do Drugiego Batalionu Regimentu Walijskiego, uważał się za lepszy od Niemców pod względem wojskowym. Przez Walijszyków przemawiało nie tchórzostwo, ale skromność, przez nas zaś nie pycha, lecz męstwo. Natychmiast po objęciu nowego odcinka staraliśmy się zdobyć przewagę ogniową. Zebrawszy od zluźnianego oddziału wszelkie dostępne dane o strzelcach wyborowych, karabinach maszynowych i patrolach wroga, rozprawialiśmy się z nimi po kolei. Na pierwszy ogień szły kulomioty. Kiedy nieprzyjacielski karabin maszynowy zaczynał ostrzeliwać nocą nasze pozycje, pluton oddalony najdalej od punktu ześrodkowania ognia oddawał do niego pięć szybkich salw. Zwykle karabin maszynowy nagle przerywał ogień, ale wznawiał go po kilku minutach. Następowало pięć kolejnych salw. Obsada karabinu dawała wówczas spokój!

Żołnierze Regimentu Walijskiego rzadko próbowali uciszyć kulomiot nieprzyjaciela. Jeśli już się na to decydowali, nie odpowiadali równymi salwami karabinowymi, lecz bezładną palbą na całej linii. Fizylierzy Królewscy z Waliey strzelali w nocy tylko na rozkaz, rażąc stanowiska broni maszynowej, placówki podsłuchowe i patrole, które zbliżyły się na taką odległość, że dawały się rozpoznać. Wszystkie inne pułki, jakie widziałem w akcji, kropiły stale bez ładu i składu z broni ręcznej: wartownicy demonstrowali wszem wobec niechęć do wojny. Fizylierzy Królewscy z Waliey prawie nie używali rakiet, chyba że chcieli dać patrolom sygnał do odwrotu.

Po uciszeniu karabinów maszynowych wroga ruszały naprzód nasze patrole zbrojne w granaty, obejmując w posiadanie pas neutralny. O świcie rozpoczynała się walka o przewagę ogniową. Pułki niemieckie miały specjalne pododdziały strzelców wyborowych szkolonych w technikach maskowania. Widziałem raz pod Cuinchy zabitego snajpera, który raził nas przez cały dzień z leja między pozycjami. Nosił pelerynę z tkaniny imitującej murawę, a twarz i karabin miał pomalowane na zielonobrazowo. Leżało przy nim mnóstwo łusek, na czapce zaś widniała odznaka w kształcie dębowego liścia. Nasze oddziały rzadko próbowały zdobyć przewagę strzelecką. Niemcy mieli wielokrotnie więcej celowników optycznych i tarcz ochronnych z kuloodpornej stali. Przydzielali snajperów na wiele miesięcy do jednego sektora, aż poznali oni znakomicie nasze stanowiska ogniowe, płytkie miejsca w okopach, trawersy i ścieżki na otwartej przestrzeni, którymi dostarczano nocą żywność. Strzelcy brytyjscy zmieniali co kilka tygodni odcinek wraz ze swoim batalionem i nie mieli nigdy czasu na poznanie topografii okopów wroga. Zawsze jednak udawało nam się pozbyć niemieckich snajperów amatorów. Później zdobyliśmy działko zdolne przebić stalową tarczę ochronną, a jeśli nie mogliśmy zlokalizować stanowiska groźnego snajpera, staraliśmy się go uciszyć salwą granatów karabinowych czy wręcz telefonując po artylerię.

Zdumiewające, ale każdego zabitego Strzelca wyborowego nazajutrz zastępował inny. Niemcy snadź nas nie doceniali, uznając swoje straty za przypadkowe. Pomagało nam to, że inne jednostki tak łatwo dawały odebrać sobie przewagę ogniową. Strzelcy wyborowi Niemców, nawet specjalnie przeszkoleni, często niepotrzebnie się odsłaniali. Na naszą korzyść działał również pewien czynnik niezależny od sukcesów czy porażek nieprzyjaciela, mianowicie to, że zajmowaliśmy zachodnią stronę frontu. Za plecami Niemców wstawał świt i rankiem przez parę minut nie zdawali sobie sprawy, iż są widoczni na tle nieba. Żołnierze naprawiający druty często zostawali zbyt długo na przedpolu, tak że mogliśmy kilku ustrzelić. O zmierzchu przewagę mieli oczywiście Niemcy, ale wieczory były porą mniej niebezpieczną. Nocą nasi wartownicy nieustannie obserwowali przedpole wychyleni po pas z rowu z karabinem gotowym do strzału. Dziwiło mnie to z początku, lecz zapewniało większą czujność i pewność siebie, a także zmuszało do trzymania głowy nad przedpiersiem. W jego szczyt celowały niemieckie karabiny maszynowe, a postrzał w korpus lub w ramię był mniej groźny niż w czoło. Ponieważ zaś nocą nie istniało prawie ryzyko trafienia zabłąkaną kulą, przeto taki sposób pełnienia warty był w istocie najbezpieczniejszy. W batalionach, gdzie nie nakazywano sztydwachom stałej obserwacji przedpola i pozwalano im zerkać nad przedpiersiem, patrolom Niemców zdarzało się podkraść cichaczem do naszych zasieków, cisnąć kilka granatów i wycofać się bez strat. W Regimencie Fizylierów Królewskich z Waliey każda kompania troszczyła się o własne druty. Naprawa zagrożeń była naszą pierwszą czynnością po obsadzeniu okopów. Wkładaliśmy w zasieki mnóstwo pracy.

Kapitan Thomas odzywał się nadzwyczaj rzadko, nie był jednak mrukliwy, tylko nieśmiały. Zazwyczaj poprzestawał na monosylabach. Nie dopuszczał nas nigdy do konfidencji w sprawach służbowych, my zaś nie lubiliśmy go wypytywać. Bardzo sumiennie odbywał nocne dyżury, czego nie można powiedzieć o dowódcach innych kompanii. Smakowały nam też wiktuały przesyłane mu co tydzień przez Fortnuma i Masona - na linii jadaliśmy posiłki w kompaniach. Szkoda tylko, że Jazda Stąd, potrafiący nieomylnie wywahać kosz z prowiantem, spędzał w naszym kasynie zbyt dużo czasu. Jego obecność nas krępowała. W owym czasie Thomas pojechał na urlop do Anglii. Dotarła do mnie anegdotka na ten temat. Wybrał się po cywilnemu na spacer w centrum Londynu i zdumiała go wojskowa amatorszczyzna, jaką spotykał na każdym kroku. Strojąc sobie prywatne żarty z wojny, zaczął oddawać wyszukane i niezręczne honory wojskowe świeżo upieczonym podporucznikom oraz uchylać kapelusza przed tyłowymi pułkownikami i generałami.

W Laventie nie mogłem się doczekać powrotu na linię. Na zapleczu musieliśmy się stołować w kasynie batalionowym i uczęszczać na zajęcia jeździeckie, które okazały się jeszcze gorsze, niż to opisał Kiep z Surrey. Rewie, zwłaszcza codzienną zmianę wart, którą dowodziłem niekiedy jako oficer frontowy, przeprowadzano z przedwojenną poprawnością i fasonem. Pewnego dnia, dokonawszy zmiany odwachu, miałem zamiar zwolnić wartę wychodzącą, gdy ujrzałem zastępcę komendanta idącego ulicą do sztabu jednej z kompanii. Kiedy nas mijał, wydałem żołnierzom rozkaz przyjęcia postawy zasadniczej i zsalutowałem. Odczekawszy pół minuty, zwolniłem wartę, jednakże Jazda Stąd nie wszedł do sztabu, lecz przyczał się w sieni. Po chwili wypadł na dwór, piniąc się z wściekłości.

- Wróć! WRÓĆ!!! - ryknął do żołnierzy. - BAA-CZNOŚĆ!!! - Po czym wrzasnął do mnie: - Do stu tysięcy diabłów, Graves, dlaczego nie prosicie o zgodę na rozpuszczenie warty?! Nie znacie regulaminów JKMości?! Gdzie się u licha podziały wasze maniery?!

Moje przepraszające wyjaśnienie, iż sądziłem, że wszedł do budynku, pogorszyło tylko sprawę. Huknął, bym nie rezonował, i spytał, gdzie się uczyłem salutować.

- Melduję posłusznie, w kadrze, obywatelu podpułkownika.

- Na Boga żywego, Graves, macie oddawać honory zgodnie z tradycjami batalionu! W ciągu najbliższego miesiąca co dzień przed śniadaniem będziecie się przez godzinę uczyć salutować u sierżanta sztabowego Evansa!

Odrzucił się w stronę warty i zwolnił ją osobiście. Nie był to akt złośliwości wobec mnie, lecz kolejny przykład „dawania pryszczom bobu”, czym zajmowali się wszyscy sumienni przełożeni, pragnący z nas uczynić lepszych oficerów.

Służyłem w Fizylierach Królewskich z Waliey od około trzech tygodni, gdy Dziewiętnastą Brygadę przetrzucono na południe, w rejon Bethune, by zapełnić lukę powstałą na odcinku Drugiej Dywizji po wycofaniu Brygady Gwardii, która miała stanowić załóżek formowanej właśnie dywizji gwardyjskiej. Opuściwszy front, uczestniczyliśmy w defiladzie, którą przyjmował lord Kitchener. Pochwalił ponoć brygadiera za marsową prezencję batalionu czołowego - byliśmy to my - ale dodał cynicznie: „Niech pan poczeka, stracą ten koszarowy fason, jak posiedzą kilka tygodni na linii”. Wziął nas najwyraźniej za jednostkę ochotniczą prosto z kraju.

Natychmiast po przybyciu skierowano nas do cegielni w Cuinchy. Moja kompania obsadziła brzeg kanału kilkaset jardów na lewo od miejsca, gdzie służyłem u schyłku maja w Regimencie Walijskim. Niemcy mieli ochotę nawiązać z nami stosunki towarzyskie. Przesyłali nam liściki w pustych granatach karabinowych, jeden adresowany snadź do batalionu irlandzkiego, któryśmy zlurowali:

My, feldfeble z Niemiec, życzym feldfeblom z Anglii wszystkiego dobrego i prosimy na smakowity obiad niemiecki z piwem i ciastkami. Przybiegł do nas wasz psiak, który ma się dobrze. Był głodny, to przyleciał do nas. Odpowiedzcie, jeśli łaska, takimże sposobem.

W innym granacie znaleźliśmy egzemplarz *Neueste Nachrichten*, niemieckiego dziennika wojskowego drukowanego w Lille, zawierający sensacyjną relację o klęsce Rosjan pod Warszawą, gdzie wzięto do niewoli ogromną liczbę jeńców i zdobyto mnóstwo dział. Ale nas znacznie bardziej zaciekał dokładny opis zatopienia U-bota przez trałowce brytyjskie, jako że w prasie angielskiej nie wolno było publikować żadnych informacji o niszczeniu łodzi podwodnych. Sukcesami i porażkami aliantów batalion interesował się równie mało jak genezą wojny. Nie czuliśmy wrogości do Niemców jako nacji. Obowiązkiem żołnierza było bić tego, kogo kazał bić król, w naszym przypadku tytułarny komendant regimentu, co jeszcze upraszczało sprawę. Kiedy na gwiazdkę tysiąc dziewięćset czternastego roku doszło do słynnej fraternizacji z Niemcami, w której batalion wziął udział jako jeden z pierwszych, towarzyszył temu zawodowy brak niuansów: nie był to żaden protest przeciwko wojnie, lecz tradycyjna wymiana uprzejmości między oficerami walczących armii.

W Cuinchy roiło się od szczurów. Nadpływały kanałem, żywiły się nieprzeliczonymi trupami i mnożyły nad wszelkie wyobrażenie. Kiedy służyłem w Regimencie Walijskim, do kompanii przydzielono nowego oficera, który otrzymał ziemiankę z łóżkiem na sprężynach. Wszedłszy wieczorem do schroniska, usłyszał odgłosy szamotaniny, a gdy poświecił latarką, dostrzegł na kocu dwa szczury walczące o uciętą ludzką dłoń. Kompania zrywała potem boki ze śmiechu.

Komendant batalionu rozkazał ustalić źródło podejrzanych hałasów, które dobiegały zeszłej nocy z okolic ścieżki flisackiej. Zgłosiłem się ochotniczo na patrol. Była akurat pełnia i księżyc świecił oślepiająco jasno. Między nami a nieprzyjacielem leżała płaska łąka szerokości około dwustu jardów, upstrzona tu i ówdzie lejami i kępami wysokiej trawy. Nie pełniłem wówczas służby w kompanii A, bo przeniesiono mnie tymczasowo do kompanii B, której dwóch oficerów było na urlopie. Komendant kompanii, Childe-Freeman, spytał mnie:

- Naprawdę chce pan iść na patrol, Graves? Jest jasno jak w dzień...

- Tym lepiej - odrzekłem. - Nie spodziewają się nas. Czy mógłby pan kapitan zadysponować, żeby wszystko szło jak zwykle? Niech żołnierze dają od czasu do czasu ognia i posyłają co pół godziny racę. Nikt mnie nie zauważy, jeśli zachowam ostrożność.

Przy kolacji rozlałem ze zdenerwowania herbatę i stłukłem talerzyk.

- Poruczniku Graves - odezwał się Freeman - zadzwonię na komendę i powiem, że jest za jasno.

Wiedziałem jednak, że jeśli to robi, Jazda Stąd oskarży mnie o tchórzostwo.

Toteż ja i sierżant nazwiskiem Williams naciągnęliśmy skarpety na kolana i poczołgaliśmy się w stronę wielkiego leja po minie przy ścieżce flisackiej. Owej nocy nie trzeba było wytrzeszczać oczu. Widzieliśmy wszystko jak na dłoni. Pas neutralny przebyliśmy skokami, biegnąc od leja do leja, kiedy ogień artylerii lub karabinów maszynowych rozpraszał uwagę wartowników. Gdziekolwiek gnęły zwłoki rannych, którzy wczołgali się do lejów i umarli. Z wielu zostały same szkielety, ogryzione do czysta przez szczury.

Znaleźliśmy się w odległości trzydziestu jardów od dużej grupy Niemców kopiących na przedpolu rów strzelecki. Tuż przed nami leżało w trawie dziesięciu żołnierzy w szynelach, którzy pełnili rolę osłony.

Byliśmy dostatecznie blisko. Dwanaście jardów od nas wylegiwał się na wznak Niemczur, nucąc pod nosem walczyka z *Wesołej wdówki*. Sierżant Williams trącił mnie ręką w stopę i wskazał swój rewolwer. Uniósł pytająco brwi. Pokręciłem głową. Ruszyliśmy w drogę powrotną, z trudnością powstrzymując się od biegu. Kiedy przebyliśmy połowę pola, niemiecki karabin maszynowy zaczął ostrzeliwać ogniem smagającym przedpiersia naszych okopów. Zerwaliśmy się natychmiast na równe nogi: kule gwizdały tuż nad ziemią, więc bezpieczniej było stać. Wróciliśmy pędem do swoich, klucząc, by utrudnić cel czujce niemieckiej, która mogła nas spostrzec. W okopie zadzwoniłem do szefa artylerii brygady i poprosiłem o ogień huraganowy szrapnelami na rozprysk pięćdziesiąt jardów przed miejscem styku pozycji Niemców ze ścieżką flisacką: wiedziałem, że jedna z baterii wsparcia wstrzelała się dostatecznie blisko. W minutę i piętnaście sekund później rozległo się wycie nadlatujących pocisków. Straty Niemców oszacowaliśmy na podstawie brzęku rzucanych narzędzi oraz odległych krzyków i jęków.

Następnego dnia po pobudce podszedł do mnie Jazda Stąd.

- Podobno byliście w nocy na patrolu?

- Tak jest, panie pułkowniku.

Wypytywał mnie o szczegóły. Kiedy opowiedziałem o niemieckiej czujce, skłął mnie, że „nie dałem im zniecka boba tą swoją pukawką”.

- Zajęcze serduszko, co? - rzucił pogardliwie na odchodnym.

W Cuinchy otrzymaliśmy pewnego wieczoru rozkaz nawiązania krzykiem rozmowy z Niemcami. Mieliśmy ustalić, jak licznie obsadzony jest po zmroku okop strzelniczy. Oficer znający niemiecki zawołał przez tubę spomiędzy przyzmy cegieł:

- *Wie geh 's Ihnen, Kameraden?*

- *Ach, Tommee, hast du dem deutsch gelernt?*^[19] - dobiegł w odpowiedzi radosny okrzyk.

Strzelanina ustała i wywiązała się rozmowa na odległość pięćdziesięciu jardów. Niemcy nie chcieli zdradzić, z jakiej są formacji, ani dyskutować o kwestiach wojskowych. Jeden z nich zawołał:

- *Les sheunes madamoiselles de La Bassee bonnespour coucher avec! Les madamoiselles de Bethune bonnes aussi, hein?*^[20]

Nasz rzecznik wołał zmienić temat. Po chwili spytał o zdrowie kajzera. Niemcy podziękowali i odpowiedzieli z szacunkiem, że Jego Cesarska Mość miewa się wyśmienicie.

- A kronprinc? - indagował nasz oficer.

- O, do dupy z kronprincem! - wrzasnął ktoś po angielsku, lecz towarzysze natychmiast go uciszeli. Rozległy się śmiechy i gniewne głosy, po czym Niemcy zaintonowali gromkim chórem *Die Wacht am Rhein*^[21]. Oczywiście było, że w okopie nie brakuje żołnierzy.

Przysłano mi z domu niewielki metalowy peryskop w kształcie odwróconej litery Y. Kiedy go wysunąłem na przedpiersie, soczewka stanowiła cel o powierzchni zaledwie cała kwadratowego, a mimo to w maju pod Cuinchy niemiecki strzelec wyborowy trafił w sam środek z odległości czterystu jardów. Odesłałem peryskop do domu na pamiątkę, ale matka, praktyczna jak zwykle, oddała go do optyka, który wstawił nowe szkiełko.

Pod Cuinchy gnieździłem się w zaszczurzonej kolektorze ściekowym przy ścieżce flisackiej. Na drugiej linii nocowałem w piwnicy zburzonej chałupy w Cambrin, mając nad głową dwie przestrzeliny w podłodze. W Bethune rezydowałem w Chateau Montmorency, w przepięknej sypialni w stylu Ludwika Szesnastego, pełnej zwierciadeł i gobelinów. Tamtejsze łóżce uznałem za zbyt miękkie, rozłożyłem tedy materac na parkiecie.

[19] *Wie geh 's...* (niem.) — *Jak się macie koledzy?... Ach, Angliczku, nauczyłeś się niemieckiego?!*

[20] *Les sheunes...* (franc.-niem.) — *Ładne panienki z La Bassee dobre w łóżku! Czy panienki z Bethune też dobre?*

[21] *Die Wacht am Rhein* (niem.) — *Warta nad Renem.*

XV

Pod koniec sierpnia tysiąc dziewięćset piętnastego roku za pośrednictwem młodych oficerów sztabowych zaczęły do nas docierać pogłoski o zbliżającej się ofensywie na La Bassee. Wiedzieli o niej francuscy cywile, więc oczywiście i Niemcy. Nocami na drodze z Bethune słychać było turkot baterii i furgonów z amunicją. Pod Vermelles i Cambrin, gdzie pas między pozycjami był zbyt szeroki, by dało się go przebyć jednym zrywem, kopano sapy, które łączono, tworząc nową przednią linię. Nadszedł rozkaz opróżnienia lazaretów, pojawiły się świeże dywizje kawalerii i piechoty, wydawano ulepszone rodzaje sprzętu. Wzdłuż naszej pierwszej linii kopano w pewnych odstępach doły. Oficerowie saperów, nadzorujący pracę, za żadne skarby nie chcieli wyjawić ich przeznaczenia, ale my i tak wiedzieliśmy, że przygotowują stanowiska dla syfonów z gazem. Do Cambrin przywieziono furgonem ogromną stertę drabin do wychodzenia z okopów. Już trzeciego września założyłem się z Robertsonem, że nasza dywizja zaatakuje na odcinku Cambrin-Cuinchy. Kiedy w sześć dni później pojechałem do Anglii na urlop, przecucie zbliżającej się kulminacji stało się tak silne, że opuszczałem front bez mała z niechęcią.

Szarże urlopowano zwykle co sześć, osiem miesięcy. W okresach krwawych walk urlopy były częstsze, w czasie walnych ofensyw ustawały. Tylko jeden oficer brytyjski we Francji odmówił wyjazdu na urlop, gdy przysłała jego kolejka: Cross z Pięćdziesiątego Drugiego Regimentu Infanterii Lekkiej (czyli Drugiego Batalionu Regimentu Infanterii Lekkiej z hrabstw Oksford i Buckingham). Odmowę skorzystania z przywileju Cross uzasadnił podobno tak: „Ojciec służył w pułku podczas wojny burskiej i nie był na urlopie, dziadek podczas wojny krymskiej i też nie był na urlopie. Urlopy podczas wojny uważam za sprzeczne z tradycją”.

O Crossie, członku klubu cudem ocalałych, słyszałem ostatnio w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, gdy dowodził batalionem.

Londyn wydał mi się nierzeczywisty, choć taki jak zawsze. Na ulicach widziało się mnóstwo mundurów, lecz panowała zdumiewająca obojętność wobec wojny, o której przebiegu nie miano pojęcia. Służba wojskowa była nadal ochotnicza. Mówiło się, że wojna wojną, a interesy interesami. Rodzice mieszkali wówczas w centrum miasta, w dawnej rezydencji wuja Roberta von Rankę, konsula niemieckiego. Czwartego sierpnia tysiąc dziewięćset czternastego roku dano mu dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie Anglii, a matka zobowiązała się do opieki nad domem. Toteż kiedy Edward Marsh zadzwonił do mnie z biura premiera na Downing Street z zaproszeniem na kolację, ktoś nas nagle rozłączył: nie ulega wątpliwości, że kontrwywiad Scotland Yardu miał na oku telefon siostry konsula niemieckiego. Panowała powszechna trwoga przed zeppelinami. Pewnego wieczoru odwiedziło nas kilku przyjaciół, którzy zaczęli opowiadać o nalocie trzy ulice dalej.

- A wiecie - powiedziałem - nocowałem raz w chałupie wiejskiej, a wczesnym rankiem u sąsiadów wybuchła bomba, która zabiła trzech żołnierzy i matkę z dzieckiem.

- Wielki Boże! - wykrzyknęli. - I cóżś wtedy zrobił?!

- Zdarzyło się to w przysiółku Beuvry, cztery mile za linią frontu - wyjaśniłem. - Słaniałem się na nogach ze zmęczenia, więc poszedłem z powrotem spać.

- Ach, to było we Francji! - westchnęli, z ich twarzy zaś zniknął wyraz zainteresowania, jakbym ich nabrał.

- Owszem - przytaknąłem - a bombę zrzucił zwykły samolot.

Resztę urlopu spędziłem w Harlech, wałęsając się po górach odziany w krótkie spodenki i starą koszulę. Kiedy wróciłem na front, Aktor, oficer zawodowy kompanii A, spytał:

- Dobrze się pan bawił?

- Świetnie.

- Bywał pan na wieczorkach tańczących?

- Nie, na żadnym.

- Chodził pan do kabaretów?

- Nie, wcale.

- Polował pan?

- Ani trochę.

- Sypiał pan z ładnymi dziewczynkami?

- Przykro mi, ale muszę pana rozczarować.

- Więc cóż pan u diabła robił?!

- Ot, włóczyłem się trochę po górach.

- Boże wielki! - wykrzyknął. - Tacy jak pan nie zasługują na urlopy!...

Dziewiętnastego września zluźowaliśmy Regiment Piechoty Liniowej z Hrabstwa Middlesex, który zajmował okopy pod Cambrin. Znaleźliśmy się w swoim sektorze natarcia. Przygotowanie artyleryjskie już się rozpoczęło, na tydzień przed godziną zero. Maszerując z plutonem na linię, zachnąłem się na widok stanowiska karabinu maszynowego, gdzie spostrzegłem samobójcę pierwszej nocy na froncie. Uznałem to za złą wróżbę. Nasze działa nie prowadziły jeszcze tak potwornej kanonady. Ziemia trzęsła się od wybuchów, a pozycje Niemców przesłonił wielki tuman białego dymu, niesiony przez wiatr. Nad głowami ustawicznie wyły nam pociski i trzeba było krzyzczeć, żeby się porozumieć. Nocą hałas nieco przycichał, lecz o świcie wzmagął się na nowo, potężniejąc z dnia na dzień. „Do licha - mówiliśmy - przecież żaden fryc nie mógł tego przeżyć!” Jednakże bombardowanie trwało. Niemcy próbowali ripostować, ale bez animuszu. Z ich sektora wycofano podobno większość ciężkich baterii, które pchnięto na front rosyjski. Najwięcej strat przysparzały nam własne niedoloty i wybuchy w powietrzu. Duża część amunicji artyleryjskiej pochodziła ze Stanów Zjednoczonych i nie nadawała się do użytku. Od pocisków nieustannie odrywały się pierścienie prowadzące. Straciliśmy pięćdziesięciu żołnierzy i trzech oficerów, między innymi zastępcę komendanta, ciężko rannego w głowę. Działo się to przed wprowadzeniem hełmów szturmowych: gdybyśmy je mieli, straty byłyby znacznie mniejsze. Ja otrzymałem tylko dwa draśnięcia w dłoń, co uznałem za pomyślną wróżbę.

Rankiem dwudziestego trzeciego września Thomas wrócił z komendy batalionu z notatnikiem i sześcioma szkicami sytuacyjnymi, po jednym dla każdego oficera kompanii.

- Słuchajcie - powiedział - i zapiszcie te brednie na odwrocie map. Dziś po południu musicie przeprowadzić odprawę plutonów. Jutro wracamy do Bethune złożyć tam koce, tornistry i płaszcze. Atakujemy nazajutrz, w sobotę dwudziestego piątego września.

Były to pierwsze konkrety, jakie do nas dotarły, i spojrzeliśmy na Thomasa na poły ze zdziwieniem, na poły z ulgą. Zachowałem mapę i dyspozycje zanotowane na odwrocie:

PIERWSZY OBIEKT NATARCIA - farma les Briques. Duże domostwo otoczone drzewami wyraźnie widoczne na przedpolu. Aby dotrzeć do farmy, musimy przełamać trzy rubieże obronne. Pierwszą w odległości trzystu jardów, drugą czterystu, trzecią około sześciuset.

Dalej znajdują się dwa tory kolejowe i okop zwany Szańcem z Cegieł. Po opanowaniu go dochodzimy do farmy, punktu umocnionego, otoczonego fosą. Piwnice przerobiono na schrony bojowe, a ogród kuchenny odrutowano.

DRUGI OBIEKT NATARCIA - miasteczko Auchy, także wyraźnie widoczne z naszej pozycji. Znajduje się czterysta jardów za farmą i bronione jest przez dwie linie umocnień: pierwszą w połowie drogi, drugą na skraju. Po przełamaniu pierwszej skręcamy czterdzieści pięć stopni w prawo, a lewe skrzydło batalionu kieruje się na wysoki komin.

TRZECI OBIEKT NATARCIA - przysiółek Haisnes, łatwy do rozpoznania dzięki kościołowi o strzelistej wieży. Nasza rubież końcowa znajduje się przy torze kolejowym za wsią, gdzie należy się okopać i czekać na posiłki.

Kiedy Thomas przeczytał do tego miejsca, ramiona Aktora zaczęły podrygiwać ze śmiechu.

- Co się stało? - spytał Thomas z irytacją.

- Boże mój! Tylko tyle?! - zachichotał Aktor. - I któż to wszystko wydumał?!

- Nie mam pojęcia - odparł Thomas. - Pewnie Pawełek Sutenerek albo inny bubek ze sztabu...

Pawełek Sutenerek był młodym, nieopierzonym i bardzo nie lubianym kapitanem z komendy dywizji. Śpiewano, że „na piersi medali ma szereg i nawet na gaciach orderek”.

- Między nami mówiąc (tylko uważajcie, żeby nie wypaplać tego żołnierzom), jest to tak zwane natarcie wiążące. Posiłków nie będzie. Mamy przetrzymać nieprzyjaciela, póki nasi nie przerwą frontu na prawej flance. Kanonada jest tam znacznie silniejsza, słyszycie? Rozbili w drobny mak Redutę Hohenzollernów. Zresztą wszystko mi jedno, do licha! I tak zginiemy.

Roześmieliśmy się.

- Dobra, możecie się śmiać, ale na Boga: w sobotę musimy wykonać te kretyńskie rozkazy co do joty!

- Przepraszam - stropił się Aktor - dyktuj dalej.

- Na czterdzieści minut przed atakiem - ciągnął Thomas - poleci na wroga element X, który oczyści przedpole na głębokość tysiąca jardów, tak że pierwsze tory kolejowe da się zdobyć bez oporu^[22].

Nacieramy tuż za obłokiem elementu X. Mamy za plecami trzy świeże dywizje piechoty i korpus kawalerii. Oczekuje się, iż Niemcy poddadzą się bez walki. W natarciu weźmie udział cały stan osobowy kompanii, z pionierami i ordynansami łącznie. Należy odbyć szczegółową odprawę plutonów. Każdy podoficer musi dokładnie znać swoje zadania i wiedzieć, co robić, jeśli przejmie dowództwo po śmierci oficera. Maruderzy powinni dołączyć do najbliższej jednostki i przeć do przodu. Ponieważ element X jest wybitnie zjadliwy, należy ostrzec żołnierzy, by nie pozostawali za długo w zdobytych rowach, gdzie może się zbierać, i pod żadnym pozorem nie przerywali natarcia na otwartym polu. Ważne: jeśli zajdzie konieczność zdjęcia filtra przeciwdymnego, należy go schować pod koszulę.

- Powiedz no mi, Thomas - przerwał ponownie Aktor - co sądzisz o tym idiotycznym elemencie X?

- To wstyd i hańba - stwierdził Thomas. - Nawet jeśli bosze . posługują się takimi brudnymi sztuczkami, nie powinniśmy ich naśladować. Ściągniemy na siebie pecha i na pewno coś pokręcimy. Te nowe kompanie gazowe... ach, wybaczenie, przejęczyłem się: kompanie X... ciarki mnie przechodzą na ich widok. Jajogłowi chemicy z Uniwersytetu Londyńskiego, chłopcy prosto z gimnazjum i kilku podoficerów starej daty, wszyscy szkoleni razem przez parę tygodni i dostający później takie odpowiedzialne zadanie! Nic z tego nie wyjdzie, jakżeby inaczej? Ale nie traćmy ducha. Czytam dalej:

EKWIPUNEK ŻOŁNIERZY W KOMPANIACH

Dwieście ładunków karabinowych (grenadierzy pięćdziesiąt, sygnaliści sto pięćdziesiąt).

Nosidła z ciężkimi narzędziami dźwigane przez najsilniejszych.

Płachta brezentowa przy pasie.

Worek na ziemię w prawej kieszeni drelichu.

Opatrunek osobisty i jodyna.

Żelazna racja żywnościowa, w tym suchary.

Ochronny kaptur gumowy, którym należy dokładnie osłonić głowę.

Jeżeli będzie to możliwe, każdy żołnierz otrzyma pasek elastyczny.

Filtr przeciwdymny starego typu niesiony na plecach, by nie uległ uszkodzeniu zabłąkaną kulą.

Cęgi do cięcia drutu. Maksymalną ich liczbę zabiera pododdział do niszczenia zasieków, wyposażony w grube rękawice.

Ekran maskownicze dla obserwatorów artyleryjskich. Powinni je nieść żołnierze nie dźwigający narzędzi.

Tornistry, opończe, płaszcze i koce należy pozostawić na tyłach.

Nie wolno zabierać czegokolwiek, co mogłoby się okazać użyteczne dla nieprzyjaciela, zwłaszcza szkiców naszych pozycji.

To wszystko. Nacieramy w pierwszym rzucie, wspierani przez Regiment z Middlesexu. Będę szczęśliwy, jeśli przedrzemy się przez pierwsze druty Niemców. Artyleria ich nie zniszczyła. Może odkłada to do ostrzału pociskami burzącymi? Są pytania?

Po południu powtórzyłem owe androny żołnierzom i oznajmiłem, że atak zakończy się niewątpliwym sukcesem. Zdawali się wierzyć. Wszyscy z wyjątkiem sierżanta Townsenda.

- Mówi pan, panie poruczniku, że w odwodzie stoją trzy dywizje piechoty i korpus kawalerii? - spytał.

- Owszem - odrzekłem.

- Cóż, za przeproszeniem, panie poruczniku, myślę, że wsparcie dostaną chłopcy na prawym skrzydle. My możemy liczyć tylko na pluton Aniołów z Mons^[23].

[22] *W dołach na pierwszej linii umieszczono już syfony z gazem. Wydano rozkaz specjalny nakładający surowe kary za określanie gazu inaczej niż element X. Miało to utrzymać rzecz w tajemnicy, lecz cywile francuscy już od dawna o wszystkim wiedzieli (Przyp. aut.).*

[23] Prasa pisała, że żołnierze brytyjscy widzieli pod Mons anioły rażące nieprzyjaciela z łuków. Nie raczyły się one jednak ukazać sierżantowi Townsendowi, który walczył w kompanii A (przyp. aut.).

- Słuchajcie, sierżancie - odpowiedziałem - czy musicie tak krakać? Ta ofensywa na pewno się uda. Noc spędziliśmy na naprawianiu uszkodzonych okopów.

Rankiem, zluzowani przez Regiment z Middlesexu, odmaszerowaliśmy do Bethune, gdzie złożyliśmy swoje rzeczy w koszarach Montmorency. Korpus oficerski batalionu stołował się w pobliskim pałacu. Do sali jadalnej rościł sobie prawo także sztab dywizji ochotniczej, która miała wziąć udział w jutrzejszym boju. Spór zakończył się wspólnym posiłkiem szarzy dywizyjnych i batalionowych. Była to, jak ktoś zauważył, tandetna karykatura Ostatniej Wieczery w formie powielonej. Pośrodku długachnego stołu zasiadło dwóch niby-Chrystusów, komendant batalionu i gene-rał-dywizjoner. Pito tego, a subalternowie, których na znak wielkiej łaski poczęstowano whisky, zrobili się hałaśliwi. Wznosili kieliszki krzycząc: „Za jutrzejszą kolację w La Basse! Huraaa!” Tylko dowódcy kompanii sprawiali wrażenie osowiałych. Wrył mi się w pamięć zwłaszcza komendant kompanii C, kapitan A. L. Samson, gryzący kciuk i nie biorący udziału w powszechnym entuzjazmie. Zdaje mi się, że to Childe-Freeman z kompanii B powiedział owego wieczoru:

- Kiedy regiment ostatnio działał w tych stronach, dowodził nami strateg z prawdziwego zdarzenia. Staruszek Marlborough miał dość rozumu, by nie szturmować La Balssee: wziął miasto w dwa ognie i pomaszerował dalej.

Pierwszy oficer sztabu dywizji ochotniczej, posiadający rangę pułkownika, był komilitonem adiutanta. Grywali w Indiach w polo. Traf chciał, że siedziałem naprzeciwko nich. Sztabowiec odezwał się bełkotliwie:

- Widzisz tę głupią starą babę, Charley? I to ma być dywizjoner!... Nie wie, gdzie jest, nie wie, gdzie jest dywizja, nie umie nawet czytać mapy. Gnał te swoje biedne fujary, aż padły na mordę, i zostawił tabory Bóg wie gdzie... Musieli się żywić żelaznymi racjami i tym, co kupili u włościan. A jutro zamierza stoczyć bitwę... Nie ma zielonego pojęcia o bitwach, żołnierze nie wachali jeszcze prochu, więc jutro się zbłąźni, a pojutrze odeślą go do kraju.

- Po czym zakończył, całkiem poważnie: - Doprawdy, Charley, myślisz, że przesadzam? Ani trochę. Sam się przekonasz!

Wieczorem pomaszerowaliśmy z powrotem do Cambrin. Żołnierze śpiewali przy akompaniamencie koncertyny. Pochodzili głównie ze środkowej Anglii, mieli przeto w repertuarze nie hymny walijskie, lecz piosenki satyryczne: *Przebiegłego Sama*, *Kiedyśmy wartę znad Renu przegnali* i *Lubię dobry pasztet mięsny*. Melodia *Dobrego pasztetu* brzęczała mi w głowie, przez cały następny dzień i uwolniłem się od niej dopiero po tygodniu. Szeregowi Drugiego Batalionu Regimentu Walijskiego nie zaśpiewaliby nigdy piosenki takiej jak *Kiedyśmy wartę znad Renu przegnali*. Ich repertuar wojenny odznaczał się defetyzmem:

Chcę do domu!
Chcę do domu!
Nie chcę jechać na front,
Tylko daleko stąd,
Gdzie granaty i miny nie ryczą,
A życie jest samą słodyczą...
Zostawcie mnie!
Nie chcę ginąć, o nie!
Chcę do domu!

Dalsze zwrotki brzmiały podobnie. Hewitt, oficer broni maszynowej Regimentu Walijskiego, dopisał canto w duchu bardziej bojowym:

Chcę do domu!
Chcę do domu!
Pod Givenchy, w zły czas,
Biegły fryce przez gaz.
Choć myślałem, że nic ich nie wstrzyma,
Stałem twardo przy kolbie maxima.
Zakrzyknęli: „Ach! Och!”
Przewracając się w proch.
Już wybiła Niemczurów godzina.

Żołnierze podziwiali Hewitta, ale nie chcieli śpiewać jego zwrotki.

Gościńiec z Bethune do La Bassee był zapchany wojskiem, armatami i taborami, musieliśmy tedy wracać do Cambrin okrężną drogą, zbaczając parę mil na północ. Mimo to kilka razy zatrzymały nas zmasowane formacje jazdy. Panował straszliwy zamęt. Na jednym z głównych rozstajów założono punkt etapowy dla rannych, który znalazł się pod ostrzałem. Po dotarciu do Cambrin obliczyliśmy, że w ciągu jednego dnia batalion przemaszerował około dwudziestu mil. Później nadeszła wiadomość, że na prawym skrzydle zaatakują Regiment z Middlesexu wspierany przez nas, a na lewym Drugi Batalion Regimentu Górali Szkockich z Argyllu i Sutherlandu wspierany przez Regiment Górali Szkockich Camerona. Subalternowie Fizylierów Królewskich z Waliey skarżyli się głośno, że nie przypadnie nam zaszczyt poprowadzenia natarcia. Twierdzili, iż mamy do tego prawo, bo pułk jest starszy rangą. Około pierwszej w nocy zajęliśmy miejsca w ślepych chodnikach naprzeciwko wioski. Od przedniej linii dzieliło nas pół mili rowu łącznikowego zwanego Aleją Maison Rouge. Atak gazowy miał się rozpocząć o wpół do szóstej. Byliśmy zziębnięci, zmęczeni, obolali i zupełnie nie w nastroju do bitwy. Przykucnąwszy w rowie, próbowaliśmy skraść kilka godzin snu. Zaczął kropić deszcz.

Na koniec nad liniami Niemców wstał szary, wodnisty świt, a kanonada, zdumiewająco słaba w nocy, nieco się ożywiła.

- Co się u licha dzieje z artylerią?! - złościł się Aktor. - Czy to tak ma wyglądać przygotowanie ogniowe?! W ogóle nie strzelają do Niemców naprzeciwko nas. Pakują wszystko w Redutę Hohenzollernów.

- Brak pocisków. Spodziewałem się tego - odparł lakonicznie Thomas.

Później powiedziano nam, że dwudziestego trzeciego września wyleciał w powietrze punkt amunicyjny armii, trafiony bombą przez niemiecki aeroplan. Dwudziestego czwartego września i w dniu ofensywy ogień był znacznie słabszy niż poprzednio. Na twarzy Thomasa, który wyglądał na niedysponowanego, malowało się napięcie.

- Czas, żeby puścili ten przeklęty element X - powiedział. - Ciekawe, co się dzieje...

Trudno mi dziś opisać po kolei wydarzenia kilku następnych minut. Owego dnia miałem w głowie jeszcze większy zamęt. Siedząc w swoim chodniku, usłyszeliśmy z przodu donośne „Huraaa!”, bezładną palbę broni ręcznej, krzyki, wybuchy na naszej pierwszej linii, nową falę wrzasków, a następnie nieprzerwany grzechot karabinów maszynowych. Po kilku minutach Aleją Maison Rouge zaczęli pędzić na tyły lekko ranni żołnierze z Middlesexu, podążając na punkt sanitarny. Stałem u wylotu ślepego rowu.

- Co się dzieje? Co się dzieje?! - pytałem.

- Gówno!

Była to najdokładniejsza odpowiedź.

Wielu uciekinierów kasłało spazmatycznie wskutek nagazowania; mieli pożółkłe twarze i zaśniedziałe guziki. Później pojawili się ciężko ranni. Aleją Maison Rouge była wąska, toteż nosze ledwo się w niej mieściły. Chodnik wzięły pod ostrzał ciężkie baterie Niemców.

Thomas ruszył pod ogniem po rozkazy do komendy batalionu. Dowództwo mieściło się w miejscu, które zwiedziłem pierwszego wieczoru. Skupisko ziemianek w okopach rezerwy dawało się łatwo rozpoznać z lotu ptaka i podczas bitwy nie powinno nigdy służyć za kwaterę sztabu. Tuż przed przybyciem Thomasa wybuchło tam pięć pocisków burzących. Adiutant dał nurka w prawo, komendant w lewo, szef kancelarii prosto przed siebie. Niemcy trafili w schron łączności, zabijając kilku sygnalistów i niszcząc instalację telefoniczną. Komendant, draśnięty w rękę, przyłączył się do strumienia rannych, który poniósł go, hen, na tyły. Dowództwo objął adiutant.

Kompania A czekała tymczasem w ślepych chodnikach na rum; przed atakiem żołnierze otrzymywali zgodnie z tradycją dwa kieliszki. Pozostałym kompaniom już je wydano.

- Gdzie się podział furier, do cholery?! - kłął Aktor.

Nasadziliśmy bagnety, by ruszyć do ataku natychmiast po powrocie kapitana. Obok przepływały setki rannych. Wreszcie pojawił się ordynans Thomasa.

- Obywatelu poruczniku, melduję posłusznie, że pan komendant rozkazuje obsadzić przednią linię.

W tejże chwili przybył furier bez karabinu i ekwipunku, przyciskając do piersi gąsiorek z napitkiem. Miał zaczerwienioną gębę i czekał. Zataczając się podszedł do Aktora i zameldował:

- Wreszcie pana znalazł, panie poruczniku!...

Wyrzekłszy owe słowa, runął twarzą w gęste blocko w drenie u wylotu ślepego chodnika. Z gąsiorka wypadł szpunt i resztką trzech galonów trunku wyciekła z bulgotem na ziemię. Aktor nie odpowiedział. Była to zbrodnia zasługująca na śmierć. Stał w rozkroku na karku i plecach furiera, po czym wdeptał go w błoto. Następnie zakomenderował:

- KOM-PANIA-NAA-PRZÓD-MARSZ!

Opuściliśmy chodnik z brzękiem oręża. Nigdy więcej nie słyszałem o furierze.

Kapitan dowodzący oddziałem chemicznym zatelefonował podobno o wpół do piątej do komendy dywizji.

- Jest zupełnie bezwietrznie - zameldował. - Nie można użyć elementu X.

- Użyć elementu X za wszelką cenę - odpowiedziano.

Thomas trafnie ocenił sprawność bojową kompanii gazowej. Okazało się, że większość kluczy nie pasuje do mutr na zaworach syfonów. Truciele biegali tam i z powrotem wzdłuż linii, błagając krzykiem pożyczanie właściwego klucza. Wreszcie udało im się odkręcić kilka butli i gaz zaczął uchodzić z sykiem na zewnątrz. Utworzył gęstą chmurę w odległości kilku jardów od okopu, po czym popłynął leniwie w naszą stronę. Niemcy, oczekujący ataku chemicznego, nałożyli natychmiast maski, półsztynne i lepsze od naszych. Aby stworzyć zaporę przeciwgazową, zapalili stosy ligniny nasączonej oliwą, ułożone na przedpiersiu okopu. Ich baterie otworzyły ogień do naszych linii. W przednim chodniku zapanowało pandemonium: pociski rozbiły kilka butli i rów wypełnił się gazem. Kompania chemiczna, ogarnięta paniką, dała dyla.

Nie docierały do nas rozkazy, ponieważ Niemcy zniszczyli połączenia telefoniczne nie tylko między kompaniami a batalionem, lecz także między batalionem a dywizją. Wszystkie decyzje musieli podejmować dowódcy na przedniej linii, toteż dwie kompanie Regimentu z Middlesexu, miał czekać na ciężką kanonadę mającą nastąpić po zapowiadanych czterdziestominutowym ataku gazowym, ruszyły z miejsca do natarcia i doszły aż do zagrożeń niemieckich, które były nie tknięte. Jak dotąd nasze baterie strzelały jedynie szrapnelami, nie czyniącymi drutom szkody, a zasięki należało niszczyć zmasowanym ogniem pocisków burzących. Niemieckie karabiny maszynowe przydużyły Regiment z Middlesexu do ziemi. Mówiono, że jeden pluton znalazł lukę w drutach i wdarł się do rowu, informacji tej nie miał jednak kto potwierdzić, bo nikt z atakujących nie ocalał. Na lewej flance poszli do natarcia Górale Szkoccy z Argyllu i Sutherlandu, lecz dwie kompanie cofnęły się przedtem w popłochu z nagazowanego chodnika i rozpoczęły atak z pozycji zapasowej. Jak wiadomo, w trakcie przygotowań do bitwy nasze okopy przesunięto do przodu. Górale ruszyli tedy ze starej linii frontu, a ponieważ traf chciał, że pozostawiono przed nią zagrodzenia z drutu kolczastego, wpadli w pułapkę i ogień broni maszynowej przetrzebił ich, nim osiągnęli właściwą podstawę wyjściową ataku. Reszta batalionu miała równie mało szczęścia. Po rozpoczęciu natarcia niemieccy podoficerowie wskoczyli na przedpiersie, by zagrzewać podwładnych do walki. Byli to jegrzy, słynni z umiejętności strzeleckich.

Niedobitki dwu pierwszorzutowych kompanii Middlesexu leżały w wyrwach przed drutami, prażąc z karabinów i zmuszając nieprzyjaciela do krycia się w rowie. Żołnierze byli wyposażeni w granaty ręczne, prawie wszystkie jednak należały do nowego typu, wydanego przed bitwą. Miały zapalane lonty, które zamokły na deszczu. Niebawem ruszyły następne kompanie Middlesexu, stanowiące drugi rzut natarcia. W połowie drogi zatrzymał je kulomiot niemiecki. Strzelał tylko jeden, bo resztę uciszyły nasze moździerze. Przyczyny niezniszczenia owego karabinu to osobna historia.

Bierze ona swój początek od odwiecznego przywileju gubernatorów i wysokich komisarzy kolonialnych, posiadających podczas wojny prawo mianowania kilku poruczników armii regularnej. Otóż generał gubernator Jamajki (jeśli nie mylę tytułu) przyznał patent oficerski osiemnastoletniemu synowi bogatego plantatora. Prosto z Kingston udał się on do Pierwszego

Batalionu Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa Middlesex. Był to chłopiec miły, lecz mało przydatny jako oficer, bo opuścił wyspę pierwszy raz w życiu, a jego dotychczasowa kariera wojskowa sprowadzała się do krótkiej służby w pospolitym ruszeniu Indii Zachodnich. Dowódca kompanii odniósł się do młodego „Jamajki” po ojcowsku i próbował go szkolić w rzemiośle żołnierskim. Komendant ów, nazywany Synkiem, szczycił się rzeczą niezwykłą: w ciągu dwudziestu lat przeszedł w swojej kompanii wszystkie szczeble kariery, od syna pułku poczynając, a na kapitanie kończąc. Jego ojciec służył, zdaje się, jako sierżant-szef kancelarii batalionu. Problem stanowiło to, że Jamajka jest pełnym porucznikiem i góruje rangą nad doświadczonymi subalternami kompanii, zaledwie podporucznikami.

Dowódca Middlesexu postanowił tedy przenieść go przy najbliższej sposobności na etat pozapułkowy. W maju lub czerwcu otrzymał rozkaz odkomenderowania oficera do kompanii moździerzy brygady i wysłał właśnie Jamajkę. Moździerze były wówczas niebezpieczne i nieskuteczne, toteż translokacja wydawała się sensowna. W owym czasie Fizylierom Królewskim z Waliey także nakazano odkomenderowanie oficera, a pułkownik wybrał Tileya, w cywilu plantatora z Malajów, jak to się mówi „urodzonego żołnierza”. Tileya wytypowano, bo po przeniesieniu z Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa Lancaster nazbyt wyraźnie okazał niezadowolenie ze sposobu przyjęcia. We wrześniu ulepszono jednak konstrukcję moździerzy, które stały się ważnym elementem wsparcia piechoty, a Jamajka, starszy stopniem od Tileya, otrzymał odpowiedzialne stanowisko szefa moździerzy brygady.

Kiedy Middlesex poderwał się do ataku, Synek został śmiertelnie ranny i stoczył się z powrotem do rowu. Poczołgał się w kierunku schronu sanitarnego i minął stanowisko Jamajki. Stracił on obsadę i dzielnie obsługiwał moździerz sam, ale spostrzegłszy Synka, opuścił posterunek i pobiegł po sanitariuszy. Tymczasem Tiley, naprzeciwko Szpicy Minerskiej na drugim skrzydle, uciszył już wszystkie nieprzyjacielskie karabiny maszynowe w zasięgu. Strzelał, póki moździerz nie pękł. Niemcom pozostał tylko jeden kulomiot - naprzeciwko Jamajki, w niewielkim występie frontu zwanym Nosem Papieża.

W tejsze chwili Aleją Maison Rouge nadciągnęli Fizylierzy Królewscy z Waliey. Niemcy ostrzeliwali chodnik ciężkimi minami wydzielającymi czarny dym i pociskami z gazem gryzącym. Powodowało to nieustanną bieżącą tam i z powrotem, czemu towarzyszyły okrzyki: „Naprzód!” „Do tyłu, chuj!” „Puszczają gaz!” „Żołnierze, bez paniki!” „Czarno jak w dupie u Murzyna!” „Kto tu dowodzi?!” „Co się dzieje?!” „Gaz!” „Do tyłu!” „Naprzód!” „Gaz!” „Do tyłu!” Obok usiłovali się przeciskać sanitariusze z noszami i ranni. Ustawicznie nakładaliśmy i zdejmowaliśmy maski przeciwgazowe, co pogarszało sytuację. W wielu miejscach okopy uległy zawaleniu, tak że trzeba było się czołgać na otwartej przestrzeni. Childe-Freeman dotarł na przednią linię jedynie z pięćdziesięcioma żołnierzami kompanii B. Reszta zgubiła się po drodze w opuszczonych chodnikach.

Na pozycji zapasowej podszedł doń adiutant.

- Freeman, pańska kompania gotowa do natarcia? - spytał.

Freeman musiał przyznać, że stracił większość swoich ludzi. Odczuł hańbę dotkliwie, bo pierwszy raz dowodził kompanią podczas bitwy. Postanowiwszy wesprzeć Regiment z Middlesexu, zadał w gwizdek i jego pięćdziesięciu żołnierzy ruszyło do ataku. Nim przeszli przez nasze zasieki, zatrzymał ich ogień karabinu maszynowego. Freeman nie przeżył natarcia, nie trafiła go jednak kula, lecz zmarł na zawał, stanąwszy na przedpiersiu.

W kilka minut później na pierwszą linię przybył kapitan Samson z kompanią C i niedobitkami kompanii B. Ponieważ z syfonów nadal ulatniał się z sykiem gaz, a w okopie roiło się od konających, postanowił zaatakować: nie mógł dopuścić, by mówiono, że Fizylierzy Królewscy z Waliey zawiedli Regiment z Middlesexu. Middlesex hjęczyły z nami silne więzy braterstwa broni, zwłaszcza że trzy pozostałe bataliony brygady pochodziły ze Szkocji, a brygadiera, również Szkota, oskarżano (bez wątplenia niesprawiedliwie) o ich faworyzowanie. Nasz adiutant mawiał: „Wszyscy Szkoci są jednakowi, czy chodzą w spodniach, czy z gołą dupą. Są brudni, za dużo gędzą i prędko dają drapaka”. Na Szkotach zawiódł się wiele razy zarówno Pierwszy Batalion Middlesexu, dawny Regiment Niezłomnych, jak i Regiment Fizylierów Królewskich z Waliey. Samson poprowadził tedy do natarcia kompanię C i niedobitki kompanii B.

Jeden z subalternów kompanii C opowiedział mi później, co się stało. Uzgodniono, że plutony będą atakować na przemian, osłaniając się wzajemnie z karabinów. Po przebiegnięciu około dwudziestu jardów mój kolega rozkazał swojemu plutonowi paść na ziemię i otworzyć ogień. Panował piekielny hałas. Spostrzegłszy, że sąsiedzi z lewej także osunęli się na trawę, zadał w gwizdek, dając sygnał do ataku. Żołnierze ani drgnęli. Wyskoczył z leja, machnął ręką i zawołał:

- Naprzód!

Znowu nic.

- Przekłęci tchórze - krzyknął - chcecie mnie zostawić samego?!

Leżący obok sierżant, który zwichnął sobie bark, wystękał:

- Nie tchórze, p-panie p-poruczniku. Chętnie by za panem p-pobiegli, tylko, kurwa, nie żyją...

Karabin maszynowy w Nosie Papieża skosił ich jak łan zboża, gdy poderwali się na dźwięk gwizdka.

Kanonada rozproszyła także kompanię A. Szedłem z plutonem czołowym. Kiep z Surrey nałykał się gazu i pobiegł kaszląc na tyły. Aktor oskarżył go o symulację, ale chyba niesprawiedliwie, bo wyglądał na poważnie chorego. Nie wiem, co się z nim stało, lecz słyszałem, że zatrucie okazało się lekkie i wrócił po kilku miesiącach na front do macierzystego pułku. Znalazłem się z Aktorem w wąskim rowie dobiegowym między pierwszą a drugą linią. Był tak ciasny, że nosze utykały na zakrętach. Nagle zagroził nam drogę Synek, ranny w pierś i brzuch. Pochylał się nad nim Jamajka, który zalewał się łzami i bełkotał:

- Biedny Synek!... Biedny Synek!... Umrze... na pewno umrze!... Tylko on mnie traktował jak człowieka!...

Zauważywszy zator, Aktor zwrócił się do Jamajki:

- Zabieraj stąd tego skurwysyna, dobra? Muszę doprowadzić kompanię na linię. Wsadź nosze do ziemianki.

Jamajka nie odpowiedział. Wydawał się sparaliżowany grozą sytuacji.

- Biedny Synek!... - powtarzał. - Biedny Synek!...

- Słuchaj no - powiedział Aktor -jak go stąd nie zabierzesz, każę go wystawić na zewnątrz. I tak wykituje, a my jesteśmy spóźnieni.

- Nie! NIE!!! - zawołał dziko Jamajka.

Aktor stracił cierpliwość, chwycił go za ramiona i gwałtownie potrząsnął.

- Ty jesteś specem od mózdzierzy, nie?! - ryknął.

Jamajka skinął głową z żalną miną.

- No to jazda! Twoja bateria jest sto jardów stąd! Dlaczego się nie zajmujesz swoją robotą?! Idź strzelać, skurwysynu!

Kopnął Jamajkę i odrzucił o parę kroków.

- Sierżant Rose i kapral Jennings! - zawołał przez ramię. - Dźwignąć mi te nosze i postawić w poprzek rowu! Musimy przejść.

Jamajka oparł się o trawers.

- Wiesz, jeszcze nie spotkałem takiej bezdusznej świni jak ty - powiedział słabym głosem.

Przednia linia była usłana trupami. Kapitan wojsk gazowych, który zachował zimną krew i nałożył aparat tlenowy, pozakręcał zawoi syfonów. Większość trutki zneutralizowano rozpylaczami Vermorela, lecz musieliśmy nadal nosić maski. Ponieważ gaz był cięższy od powietrza; i zbierał się w zagłębieniach, przykucnęliśmy stłoczeni na stopniu strzeleckim i. Później nadszedł Thomas, prowadząc resztę kompanii A. Wraz z kompanią 1 czekaliśmy na gwizdek, by podążyć śladem kompanii pierwszorzutowych. Na szczęście w tejże chwili pojawił się adiutant. Przejął komendę nad batalionem i oświadczył Thomasowi, że ma rozkazy w dupie i zamierza ograniczyć straty do minimum. Nie chciał posyłać kompanii A i D na pewną śmierć, póki nie otrzyma wyraźnej dyspozycji brygadiera. Pchnął doń gońca, toteż musieliśmy czekać.

Tymczasem rozpoczęło się ciężkie bombardowanie, zapowiadane po czterdziestominutowym ataku gazowym. Ogień skupił się na pierwszej linii i zasięgach Niemców. Wśród pocisków było wiele niedolotów, które zadały nam dalsze straty. Szczególnie ucierpiały niedobitki Regimentu z Middlesexu oraz kompanii B i C na przedpolu.

Zaschło mi w gardle, miałem mgłę przed oczami, trzęsły mi się kolana. Znalazłem manierkę rumu i wypilem kilka potężnych łyków, co trochę mnie uspokoiło. Odzyskałem jasność umysłu. Dwadzieścia jardów od rowu jęczał ciężko ranny Samson. Próbowano go ratować. Poległo przy tym trzech ludzi, a rany odniosło dwóch żołnierzy i dwóch oficerów. W końcu doczołgał się doń jego własny ordynans. Samson kazał mu odejść mówiąc, że nie warto go ratować, bo jest podziurawiony jak sito. Przepraszał kompanię za jęki.

Czekaliśmy na rozkazy dwie godziny. Żołnierze siedzieli w ponurym milczeniu i tylko sierżant Townsend żartował gorzko, że nasza armia jest do chrzanu, ale, chwała Bogu, mamy jeszcze flotę. Poczęstowałem go rumem, który poprawił mu humor. W końcu nadbiegł goniec z meldunkiem, że natarcie przesunięto na inny termin.

Dotarła do nas pogłoska, że do podobnej katastrofy jak na naszym odcinku doszło w cegielni, gdzie zaatakowała Piąta Brygada, a także pod Givenchy, gdzie żołnierze Szóstej Brygady wdarli się do okopów nieprzyjaciela w rejonie występu frontu zwanego Kaczym Dziobem, ale zostali wyparci, kiedy zabrakło im granatów. Mówiono jednak, że natarcie na prawej flance zakończyło się sukcesem, bo wiał tam wiaterek pozwalający na użycie gazu. Krążyła plotka o przełamaniu frontu przez Pierwszą, Siódmą i Czterdziestą Siódmą Dywizję Piechoty.

Pamiętam ów dzień jak przez mgłę. Żołnierze dźwigali rannych na punkt opatrunkowy, neutralizowali skażone rowy i schrony, przekopywali zawałone przesmyki. Pozycja śmierdziała gazem, krwią, kwasem pikrynowym i moczem. Późnym popołudniem obserwowaliśmy przez lornety rezerwę armijną nacierającą pod ciężkim ogniem zaporowym na Loos i Wzgórze Numer Siedemdziesiąt. Atak, prowadzony przez dywizję ochotniczą, z której sztabem jedliśmy zeszłego wieczoru kolację, wyglądał na bardzo udany. Na prawo od nas walczyła Dywizja Górali Szkockich upamiętniona przez Iana Haya w *Pierwszych stu tysiącach*. Przypuszczam, że to my byliśmy owymi „oklapłymi bubkami, co wystawili do wiatru towarzyszy broni”.

O zmierzchu wyszliśmy na przedpole zbierać rannych, pozostawiając na linii jedynie placówki strażnicze. Na początku znalazłem zwłoki Samsona, trafionego siedemnastoma kulami. Wepchnął sobie knykcie do ust, by powstrzymać jęki i nie skazywać kolejnych ludzi na śmierć. Spod zasieków niemieckich przyczołgał się major Swainson, zastępca dowódcy Regimentu z Middlesexu. Był ranny w pierś, brzuch i nogę. Choate, podporucznik z jego pułku, który powrócił bez draśnięcia, pomógł mi opatrzeć majora, po czym przeniesiliśmy go na linię i ułożyliśmy na noszach. Swainson poprosił o rozpięcie pasa, a ja przeciąłem go długim nożem myśliwskim kupionym w Bethune z myślą o bitwie. „Chyba ze mną koniec” -

powiedział^[24]. Zbieranie rannych należących do Regimentu z Middlesexu, Fizylierów Królewskich z Waliey i Regimentu Górali Szkockich z Argyllu i Sutherlandu, którzy zaatakowali w pierwszym rzucie, zajęło nam całą noc. Niemcy zachowali się wspaniałomyślnie. Nie przypominam sobie, by choć raz do nas strzelili, mimo że pracowaliśmy niemal do białego dnia. Kiedy zrobiło się jasno, oddali kilka strzałów ostrzegawczych, a my wróciliśmy do okopu. Zdażyliśmy znieść z pola wszystkich rannych i większość martwych fizylierów. Niektórzy, zabici w trakcie bandażowania ran towarzyszy, czołgania się, przecinania drutów, zastygli w zdumiewających pozach. Szkoci stracili siedmiuset żołnierzy i czternastu na szesnastu oficerów biorących udział w ataku, Middlesex pięciuset pięćdziesięciu ludzi, w tym jedenastu oficerów.

Oprócz Choate'a w Regimentzie z Middlesexu nie doznały szwanku dwie inne szarże, świeżo upieczeni podporucznicy Henry i Hill. Przez cały dzień leżeli na deszczu w lejach, odstrzeliwując się Niemcom. Jak mówił Hill, Henry wciągnął do leja pięciu rannych, wzniosłszy rękami i nożem coś na kształt przedpiersia. Obok wył z bólu i błagał o morfinę sekcyjny, który otrzymał postrzał w brzuch. Kończył się już, więc Hill dał mu pięć tabletek. Zawsze nosiliśmy morfinę na takie okazje.

Powróciwszy na linię z kilkoma żołnierzami, trzech subalternowie zgłosili się do raportu w sztabie batalionu. Opowiadał mi o tym Hill. Kiedy weszli, komendant i adiutant raczyli się pasztetem.

- Panie pułkowniku - rzekł Henry - melduję posłusznie, że przybywamy z około dziewięćdziesięcioma ocalałymi żołnierzami batalionu. Jest z nami także podporucznik Choate, który nie odniósł ran.

Komendant i adiutant popatrzyli tępo.

- Więc żyjecie? - spytał dowódca. - Cóż, reszta poległa... Niech podporucznik Choate przejmie kompanię A, oficer broni kompanię B (oficer broni nie brał udziału w natarciu, lecz siedział w sztabie), podporucznik Henry kompanię C, a podporucznik Hill kompanię D. Przedni szaniec trzymają Fizylierzy Królewscy z Waliey. My stoimy w odwodzie. Proszę mnie zawiadomić, gdzie was można znaleźć.

Nie dostawszy krzty pasztetu ani kropelki whisky, dwaj młodzi oficerowie zasalutowali i wyszli z żalonymi minami.

- Podporuczniku Hill! Podporuczniku Henry! - zawołał za nimi adiutant.

- Tak jest, panie majorze?

Hill mówił, że spodziewał się, iż dowódca i adiutant, oficerowie kadrowi, postanowili mimo wszystko ugościć dwóch krańcowo wyczerpanych podporuczników rezerwy. Ale padła tylko następująca uwaga:

- Spostrzegłem na linii kilku szeregowych z odpiętymi pagonami i byle juk założonym rynsztunkiem. Proszę dopilnować, żeby to się więcej nie powtórzyło. Jesteście wolni.

Henry podsłuchiwał, jak komendant skarży się, że ma na pryczy tylko dwa plety, a noc jest kaducznie zimna.

Po kilku minutach przybył Choate, w cywilu dziennikarz, i dowiedział się, jak przyjęto obu poruczników. Wszedł do schronu, oddał honory wojskowe i zameldował, iż majora Swainsona, uważanego dotychczas za poległego, odniesiono z raną na punkt sanitarny. Następnie pochylił się dzielnie nad stołem, ukroił gruby plaster pasztetu i zaczął jeść. Zdumienie starszyny było bezgraniczne. Zapadła grobowa cisza. Choate skończył posiłek, wypił szklaneczkę whisky, zasalutował i wyszedł.

Objąłem tymczasem komendę nad niedobitkami kompanii B. W batalionie pozostało jedynie sześciu oficerów służby liniowej. Nazajutrz było już tylko pięciu, Thomas padł ofiarą Strzelca wyborowego, śledząc ponuro przez lornetkę odwrót żołnierzy formacji ochotniczych na prawym skrzydle. Pchnięci na oślep w lukę powstałą zeszłego popołudnia po ataku Siódmej i Czterdziestej Siódmej Dywizji, nie wiedzieli, gdzie są ani co mają robić. Kiedy skończyły im się racje żywnościowe, ruszyli tłumnie z powrotem, bęz paniki, w otępieniu, niczym publika wylewająca się ze stadionu po meczu futbolowym. Nad głowami pryskały im szrapnele. Widok był tak niesamowity, że przecieraliśmy oczy ze zdumienia.

Thomas poległ niepotrzebnie, ale klęska odebrała mu najwyraźniej wolę życia. Dowództwo kompanii A objął Aktor. Po kilku dniach połączyliśmy nasze oddziały, by zmieniać się na nocnych dyżurach i skraść trochę snu. Pełniłem służbę jako pierwszy i miałem go zbudzić o północy. Potrząsanie, wrzeszczenie do ucha, oblewanie wodą i tłuczenie głową o ścianę nie dały żadnych rezultatów.

[24] Swainson wyzdrowiał i wrócił po kilku tygodniach do kadry swojego pułku. Natomiast sierżant Lawrie, podoficer materiałowy Fizylierów Królewskich z Waliey, zginął na tyłach w Cambrin trafiony w szyję kulą z karabinu maszynowego, która wytraciła prędkość. Zatrzymała się tuż pod skórą, lecz zmarł po paru godzinach wskutek szoku (przyp. aut.).

W końcu zrzuciłem go na podłogę. Byłem straszliwie zmęczony, lecz spał jak zabity, toteż ułożyłem go z powrotem na pryczy i dyżurowałem do rana. Nie wstał nawet po pobudce. Zbudził się dopiero o dziewiątej i zbeszał mnie za niewykonanie rozkazu.

Cały następny dzień spędziliśmy na porządkowaniu okopów i dźwiganiu trupów na cmentarz połowy. Wieczorem przednią linię obsadził Regiment z Middlesexu, a nasz batalion przeniósł wszystkie nie uszkodzone syfony z gazem na lewe skrzydło brygady, gdzie miano ich użyć nazajutrz, dwudziestego siódmego września. Złowieszcze, ciężkie butle z lanego żelaza okazały się gorsze niż trupy. Żołnierze klęli i sarkali. O planowanym ataku wiedziały jedynie szarże, bo miał stanowić tajemnicę do ostatniej chwili. Chciało mi się wyć. Zaczęło lać jak zebra. Tym razem poinformowano nas wyraźnie, że mamy odciążyć sąsiadów po prawej, którzy dokonają;; decydującego przełomu.

Harmonogram był taki sam jak poprzednio: o czwartej rano czter-dziestominutowy atak gazowy, później kwadrans przygotowania artyleryjskiego, wreszcie natarcie. Około trzeciej w nocy przekazałem rozkazy żołnierzom. Przyjęli je dobrze. W rozgardiaszu bitewnym stosunki między przełożonymi a podwładnymi stawały się mniej oficjalne. Nie było niesubordynacji, lecz większa swoboda, jakbyśmy się razem spili. W pewnym momencie przyłapałem się na nazwaniu adiutanta Charleyem. Nawet nie mrugnął. W ciągu następnych dziesięciu dni moje stosunki z żołnierzami układały się podobnie jak w Regimentcie Walijskim. Później wróciła dawna sztywność, a momenty serdeczne zdarzały się tylko od czasu do czasu.

O czwartej rano wypuszczono gaz, który popłynął z silnym wiatrem ku nieprzyjacielowi. Spece od trutek postarali się tym razem o dostateczną liczbę kluczy. Na pozycjach Niemców panowała śmiertelna cisza. Z drugiej linii trysnęły w niebo race i zdawało się, że w przednim rowie zostały same trupy. Dowódca brygady postanowił jednak to sprawdzić i po nawale ogniowej posłał na rozpoznanie dwudziestu pięciu górali szkockich Camerona pod komendą oficera. Kiedy dotarli do zasięków niemieckich, rozjazgotały się nagle karabiny maszynowe wspomagane przez broń ręczną. Do naszych linii doczołgało się tylko dwóch rannych szeregowych.

Na rozkaz ataku czekaliśmy od czwartej do dziewiątej rano, kucając z nasadzonymi bagnetami na stopniu strzeleckim. W głowie miałem pustkę, w której tłukły się słowa: „Dobry pasztet... Dobry pasztet... Nie lubię szynki, trufli, dżemu ani świeżego kremu...”

Moje popisy wokalne bawiły żołnierzy.

- Tak nie można, panie poruczniku! - zaśmiał się kapral pełniący obowiązki sierżanta kompanii.

- Oczywiście, że nie można, głupcze - odburknąłem. - A zdychać można?

Nadal lało jak z cebra. „Gdy kucharz pasztet dobry śle, zawijam porcje dwie...”

O dziewiątej komenda brygady odwołała natarcie, lecz kazano nam stać w ostrym pogotowiu. Mieliśmy zaatakować o zmierzchu.

Wieczorem rozkaz nie nadszedł i nie otrzymaliśmy już dalszych obietnic śmierci na polu chwały. Między dwudziestym czwartym września a trzecim października spałem w sumie osiem godzin. Utrzymywałem się przy życiu wypijając butelkę whisky dziennie. Nigdy przedtem nie piłem whisky, a i teraz rzadko mi się to zdarza, lecz wówczas z pewnością mi pomogła. Nie mieliśmy kocy, szyneli ani opończy brezentowych, nie było czasu ani środków na budowę nowych schronów. Lał deszcz. Co noc zbieraliśmy na przedpolu poległych z innych formacji. Niemcy nadal zachowywali się wspaniałomyślnie i ponosiliśmy niewielkie straty. Po kilku dniach zwłoki zaczęły się wzdymać i cuchnąć. Nadzorując ich przenoszenie, często dostawałem torsji. Trupy, które wisiały na drutach niemieckich, puchły do chwili, gdy pękały im brzuchy, same z siebie lub trafione kulą. Po całym pasie neutralnym rozchodził się wówczas ohydny odór, zalatujący aż do nas. Twarze trupów, z początku białe, stawały się stopniowo brudnożółte, sine, fioletowe, zielonkawe, czarne, muliste.

Rankiem dwudziestego siódmego września na przedpolu rozległo się wołanie. Po dwóch dniach odzyskał świadomość kontuzjowany piechur z Middlesexu. Leżał tuż przy drutach niemieckich. Usłyszawszy krzyki, żołnierze spojrzeli po sobie w milczeniu. Mieliśmy kaprala nazwiskiem Baxter, znanego z dobrego serca. Kiedy wartownicy z jego sekcji schodzili ze służby, gotował im herbatę w menażce. Gdy rozległy się krzyki, Baxter pobiegł na linię w poszukiwaniu ochotnika, który pomógłby przynieść rannego. Nikt się oczywiście nie zgłosił, bo wystawienie głowy nad przedpiersie oznaczało pewną śmierć. Kiedy zwrócił się do mnie, odmówiłem jako jedyny oficer kompanii. Obiecałem iść po zmroku, ale nie wcześniej. W końcu poszedł sam. Wyskoczył prędko z rowu i ruszył powoli przez pas neutralny, powiewając chusteczką. Niemcy strzelili kilka razy na postrach, lecz ponieważ nie dawał za wygraną, pozwolili mu się zbliżyć. Doszedłszy do rannego, Baxter zatrzymał się i pokazał Niemcom na migi, o co chodzi. Opatrzył żołnierza, dał mu łyk rumu i kilka sucharów oraz przyrzekł wrócić o zmroku z patrolem sanitarnym. Dotrzymał obietnicy, a ranny, zniesiony z pola na noszach, wyzdrowiał. Jako jedyny oficer będący świadkiem zdarzenia przedstawiłem Baxtera do Krzyża Wiktorii, lecz przełożeni uznali, że zasłużył tylko na Medal za Odwagę.

Aktor i ja postanowiliśmy nawiązać łączność z sąsiadami na prawym skrzydle, gdzie stał Dziesiąty Batalion Infanterii Lekkiej ze Szkocji

Górzystej. Rankiem dwudziestego szóstego września zapuściłem się w u li okopy na niespełna ćwierć mili, nie napotykając ani jednego sztyldwach; czy oficera. Wszędzie walali się żołnierze, martwi, śpiący, ranni, nagazowani. Rów bojowy przekształcono w latrynę. W końcu spotkałem oficera i saperów, który rzekł: „Gdyby bosze wiedziały, co tu się dzieje, przeszłyln spacerkiem przez pole i zajęły tę pozycję”.

Zameldowałem Aktorowi, że lada chwila grozi nam oskrzydlenie. Rów łącznikowy stanowiący granicę między batalionami przerobiliśmy tedy na rów strzelecki, ustawivszy w nim karabin maszynowy, by móc zatrzymać Niemców w razie ucieczki górali. W nocy z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego września wzięli oni za nieprzyjaciół naszych żołnierzy zbierających trupy na przedpolu i otworzyli bezładny ogień. Niemcy zaczęli się odstrzeliwać. Do kanonady włączyli się nasi żołnierze, ale natychmiast wydano rozkaz wstrzymania ognia. Komenda „Przerwać ogień!”, podawana z ust do ust, dotarła w końcu do Szkotów, którzy zrozumieli ją jako „W nogi!” Rzucili się w popłochu do tyłu, na szczęście rowami, a nie górą. Zatrzymał ich dopiero sierżant McDonald z Piątego Batalionu Strzelców Szkockich, dość solidnej jednostki obrony krajowej, która stała akurat na pozycji zapasowej. McDonald, wywijając bagnetem, pognął ziomków z powrotem na linię, za co otrzymał order.

Trzeciego października zluzował nas oddział złożony ze stu żołnierzy Drugiego Batalionu Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa Warwick i siedemdziesięciu Fyzylarów Królewskich z Waliey - niedobitków Pierwszego Batalionu. Hanmer Jones i Frank Jones-Bateman odnieśli rany. Frankowi kula karabinowa strzaskała kość udową, gdy zdejmował na przedpolu ryszstunek z rannego, któremu wybuchły naboje w płonących ładownicach^[25]. Wycofaliśmy się na kilka dni do Saily la Bourse, gdzie dołączył z zabandażowaną ręką komendant, a następnie pomaszzerowaliśmy na tyły do Annezin, wioszczyzny pod Bethune. Stałem tam kwaterą w dwuizbowej chacie zasuszonej staruszki nazwiskiem Adelpine Heu.

[25] Franka przedstawiono do Krzyża Wiktorii, lecz go nie otrzymał, bo brakowało wymaganego świadectwa oficera (przyp. aut.).

XVI

W Annezin batalion sformowano na nowo. Wrócili niektórzy lekko ranni. Przybyło także uzupełnienie z Trzeciego Batalionu, tak że już po tygodniu mieliśmy niespełna siedmiuset żołnierzy i komplet oficerów. Stara Adeline dbała o mnie. Przychodziła co rano do mojej izdebki i opowiadała miejscowe ploteczki, gdy się goliłem. Mówiła o swojej skąpej synowej, o bezwzględnej Marie i kobiecie z Fouquieres, która urodziła bliźniaki Murzyniutka. Nazywała kajzera świnia i spluwała wymownie na podłogę. Lubiła utyskiwać na rozwiązłość współczesnych dziewcząt, choć, jak mówiła, za młodu sama była piękną trzpiotką otoczoną rojem adoratorów. Jako pokojówka żony bogatego kupca tekstylnego z Bethune podróżowała dużo po Francji, a nawet Belgii. Opowiadała skandaliczne plotki o notablach rozmaitych spustoszonych wiosek, gdzie staliśmy na kwaterach. Spytała raz z głupia frant, czy byłem w La Bassee. Odparłem, że zamierzałem je odwiedzić, lecz wizyta nie doszła do skutku.

- A zna pan porucznik Auchy?

- Oglądałem je często z pewnej odległości.

- A duży dom na farmie Les Briques między Auchy a Cambrin? Odparłem ze zdziwieniem, że znam go bardzo dobrze. Jest to punkt umocniony otoczony fosą, z piwnicami przerobionymi na schrony bojowe i ogrodem kuchennym pełnym zasieków.

- Wobec tego coś panu opowiem - rzekła Adeline. - Mieszkałam tam w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, gdy przechodził tędy front. Kwaterował u nas przystojny *caporal*^[26], który mnie pokochał. Miły był z niego chłopiec i szalała wojna, więc mu się oddałam i urodziłam dzieciutko. Ale Bóg mnie pokarał i umarło. Tyle to już lat...

Mówiła, że wszystkie dziewczęta z Annezin modliły się co wieczór o pokój i odejście żołnierzy brytyjskich - ale dopiero wtedy, gdy wydadzą wszystkie pieniądze. Twierdziła, że powtarzają zawsze warunek dotyczący pieniędzy, aby Bóg o nim nie zapomniał.

Większość Brytyjczyków nie znosiła włościan z Pas de Calais, mających typowe wady mieszkańców pogranicza, i nie współczuła ich nieszczęściom. Szokowała nas także chciwość władz francuskich. Jak się dowiedzieliśmy, od każdego brytyjskiego eszelonu sanitarnego, którego wagony przywieziono z Anglii, dyrekcja kolei ściągała dwieście funtów szterlingów opłaty za zużycie torów kolejowych podczas jazdy na tyły.

Oto co pisałem w owym czasie do domu: „Trudno darzyć sympatią miejscowych Francuzów, z wyjątkiem nielicznych przedstawicieli stanu urzędniczego. Nawet jeśli kwaterujemy we wsiach, gdzie nie stało dotąd wojsko, nie spotykamy żadnych przejawów gościnności, jakie okazują zwykle żołnierzom włościanie. Stykamy się w istocie z czymś gorszym niż brak gościnności, bo bronimy przecież nędznego żywota tutejszych chłopów. Doją nas zresztą przeraźliwie. Spróbujcie sobie wyobrazić, ileż pieniędzy zgarnęli wieśniacy z okolic Bethune, gdzie stacjonuje od wielu miesięcy sto tysięcy żołnierzy! Dostają nie tylko remunerację za kwatrowanie wojsk, lecz do ich kieszeni przepływa także żołd naszych oddziałów. Co dziesięć dni każdy szeregowy otrzymuje pięć franków (niespełna cztery szylingi), które wydaje natychmiast w miejscowych karczmach na jaja, kawę i piwo. Ceny są horrendalne, a towary podłe. W browarze w Bethune widziałem raz beczułki cienkiego piwa rozrzedzane wodą z kanału za pomocą gumowego węża. Oberżyci chrzczą piwo na własną rękę”^[27].

Dziwne, że między Brytyjczykami a krajowcami dochodziło do tak niewielu zatargów. Francuzi odwzajemniali naszą niechęć byli przekonani, że po zakończeniu wojny anektujemy porty nad kanałem La Manche. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że wieśniaków nie obchodzi, po której stronie frontu się znajdują. Nie znosili po prostu cudzoziemskich żołnierzy i nie dbali o czyjekolwiek ofiary w imię swego „nędznego żywota”.

Wokół Loos toczyły się nadal walki. Z dala dobiegał pogrzmot baterii, lecz nie ulegało wątpliwości, że główne natarcie utknęło i nasze oddziały prowadzą rozproszone działania lokalne. Trzynastego października doszło do ostatniej kulminacji: huk dział spotężniał do tego stopnia, że nawet mieszkańcy Annezin, przyzwyczajeni do przerażających odgłosów, jęli pakować w popłochu dobytek na wypadek przerwania frontu przez Niemców.

[26] Caporal (franc.) — kapral.

[27] Fortuny zbite podczas wojny uległy pomnożeniu po traktacie wersalskim, gdy chłopom z okolic przyfrontowych przyznano odszkodowania wielokrotnie przewyższające rzeczywiste straty (przyp. aut.).

Stara Adelphine płakała ze strachu. Wczesnym popołudniem, gdy siedziałem w kawiarni Pod Kulą Ziemią w Bethune, popijając koktajl z szampana z kilkoma przyjaciółmi przeniesionymi z Trzeciego Batalionu, w drzwiach ukazała się głowa zastępcy komendanta żandarmerii, który zawołał:

- Czy są tu oficerowie Piątej, Szóstej lub Dziewiętnastej Brygady Piechoty?

Zerwaliśmy się z miejsc.

- Mają się panowie natychmiast zameldować w swoich jednostkach.

- O Boże, znowu atak! - jęknął Robertson, który służył w kompanii D i uniknął udziału w bitwie. - Wieczorem zatkają nami jakąś dziurę i marnie zginiemy!

W Annezin panowało zamieszanie.

- Alarm - powiedziano nam. - Musimy być za pół godziny na linii.

Spakowaliśmy się pośpiesznie i po kilku minutach cały batalion maszerował drogą w pełnym rynsztunku bojowym. Szliśmy ku Reducie Hohenzollernów, której nowe mapy nam wydano. Żołnierze, nawet uczestnicy poprzedniego ataku, byli najwyraźniej w dobrym nastroju i śpiewali przy akompaniamencie akordeonu i fujarki. Ale w pewnej chwili, gdy huk baterii osiągnął piekielne apogeum, przystanęli i popatrzyli po sobie.

- Godzina zero- wyjaśnił sierżant Townsend z namaszczeniem.

- W tej chwili idzie do nieba wielu fajnych chłopów, może i nasi kumple.

Kanonada przycichła stopniowo, aż w końcu otrzymaliśmy z brygady wiadomość, że nie jesteśmy potrzebni. Było to kolejne chybione natarcie, znane głównie z tego, że zginął wówczas Charles Sorley, dwudziestojednoletni kapitan Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa Suffolk, jeden z trzech utalentowanych poetów brytyjskich poległych we Francji (pozostali dwaj to Isaac Rosenberg i Wilfried Owen).

Tak zakończyły się działania tysiąc dziewięćset piętnastego roku. Napięcie osłabło. Wróciły wspólne posiłki w kasynie batalionowym, musztra piesza w kompaniach i zajęcia oficerskie zjazdy konnej. O stoczeniu bitwy pod Loos świadczyła tylko mniejsza liczba oficerów zawodowych, a większa ochotników. W kilka dni później wróciliśmy na front w tym samym sektorze. Piętnastego października zaliczono mnie w poczet kapitanów korpusu zapasowego. Wolontariusze o wysokim starszeństwie mogli liczyć na szybki awans, ponieważ stan osobowy batalionu uległ potrojeniu i trzeba było zapłacić trzykrotnie więcej etatów kapitańskich.

Chociaż ucieszyłem się, że wzrasta mi o kilka szylingów dzienna gaża, podnosi się dodatek za służbę liniową, a w razie odniesienia kontuzji mogę otrzymać odprawę oraz rentę, zdawałem sobie z niepokojem sprawę, iż mój patent oficerski ważny jest tylko poza granicami kraju. Awansowałem na kapitana w wieku dwudziestu lat, wyprzedzając lepiej wyszkolonych poruczników kadrowych o dłuższym stażu na froncie. Z Pierwszego Batalionu odesłano jakiś czas temu do Anglii majora i kapitana rezerwy, wydawszy im w sekrecie opinię nieudolnych. Pragnąc uniknąć podobnej hańby, zgłosiłem się do raportu u adiutanta i poprosiłem o zgodę na nienoszenie dystynkcji w czasie służby w batalionie. „Nie, proszę przyszyć sobie galon - odparł łaskawie. - Nie ma na to rady”.

Okazało się to mądrym posunięciem. Wkrótce potem przeniesiono na tyły dwu kapitanów, jednego mianowanego razem ze mną i z pewnością lepiej wyszkolonego, motywując to tym, że „przyniosą więcej pożytku w roli instruktorów rekruckich”.

Gdybym wrócił na front jako subaltern, stałbym się zapewne nieostrożny, popadłem bowiem w czarną melancholię. Odkomenderowano mnie jednak do kompanii pionierów brygady. Synekurę tę otrzymał także Hill z Regimentu z Hrabstwa Middlesex. Opowiadał, że komendant jego batalionu wygłosił na tyłach przemowę do niedobitków, obiecując im prędką sposobność pomszczenia poległych towarzyszy podczas nowego, miejmy nadzieję udanego ataku na La Basse. „Znam was, Niezlomni! Ruszycie do boju jak lwy!” Ordynans Hilla mrknął pod nosem: „Byle nie ja, panie pułkowniku!...” Pionierzy zajmowali się naprawą i utrzymaniem rowów łącznikowych i zapasowych. W miesiąc później adiutant ściągnął mnie za karę do kompanii, bo pewnego dnia zlekceważyłem paragraf regulaminu nakazujący saperom udział w apelach batalionowych podczas postoju na tyłach.

Reszta służby liniowej w Batalionie Drugim okazała się uboga w wydarzenia. Nie ekscytowały mnie patrole, nie przejmowało trwogą ciągłe obcowanie ze śmiercią. Zasługuje na wzmiankę tylko jeden epizod, o znaczeniu czysto zawodowym. Wraz z oficerem nazwiskiem Owen opracowałem nową metodę niszczenia nieprzyjacielskich karabinów maszynowych. Każdemu szyldwachowi dawaliśmy jard sznurka z gilzami przywiązany do obu końców. Kiedy kulomiot zaczynał ostrzeliwać nocą nasze pozycje ogniem zamiatającym, najbardziej oddaleni wartownicy namierzali go, wtykając łuski w ziemię. Wcelowawszy w stanowisko niemieckie trzydzieści kilka sznurków, zastępowaliśmy je karabinami, a potem, gdy wróg puszczał nową serię, otwieraliśmy ogień szybki pięcioma pociskami. Dawało to dużą koncentrację

strzałów, a celność nie zmniejszała się wskutek zdenerwowania żołnierzy, bo karabiny tkwiły sztywno między workami. Komenda dywizji zażądała przedłożenia raportu z opisem metody. Każdego ranka obsady naszych i niemieckich kulomiotów wymieniały po pobudce grzeczności - usunawszy z taśmy amunicyjnej część ładunków, dawano się strzelać w rytm znanej śpiewki ladacznic: „Spot-kaj-my-się-na-Pic-ca-dil-ly”, na co Niemcy odpowiadali, aczkolwiek wolniej, bo nasze karabiny były szybsze: „Do-brze-a-le-zdej-mij-ga-cie!”

Pod koniec października otrzymałem wycinek z czasopisma *John Bull*. Redaktor naczelny, Horatio Bottomley, protestował przeciwko pobłażliwości dla zbrojczyń z arystokracji. Pewnego młodzika, którego sąd policyjny uznał za winnego popełnienia czynu o charakterze lubieżnym, przekazano pod kuratelę rodziny i oddano pod opiekę lekarzy, ponieważ los uczynił go wnukiem hrabiego. Przestępca pozbawiony koneksji w wyższych sferach poszedłby na trzy miesiące do więzienia i nie mógłby się wykręcić grzywną. Artykuł opisywał ze szczegółami, jak szesnastolatek imieniem Dick uczynił „wiadomą propozycję” kapralowi regimentu kanadyjskiego stacjonującego opodal „Liceum Charterhouse”, a roztropny żołnierz oddał gołowąsa w ręce policji. Mało się nie załamałem. Doszedłem do wniosku, że wojna odebrała Dickowi rozum. W jego rodzinie zdarzały się przypadki obłądki, o czym wiedziałem, bo pokazał mi raz list od dziadka nabazgrany spiralnie na arkuszu papieru. Cóż, wokół ginie tylu ludzi, że nietrudno przyjdzie uznać go za martwego.

Spędziłem na froncie pięć miesięcy i najlepszy okres miałem już za sobą. Przez pierwsze trzy tygodnie oficer był prawie bezużyteczny, bo nie znał topografii okopów, nie opanował prawideł życia na linii, nie nauczył się klasyfikacji zagrożeń. Najlepszy okres przypadał między trzecim a czwartym tygodniem, chyba że wcześniej zdarzyło się coś strasznego. Później przydatność oficera stopniowo malała i pogłębiał się rozstrój nerwowy. Pół roku po przybyciu na linię subaltern trzymał się jeszcze niezłe, lecz po dziesięciu miesiącach, jeśli nie wypoczął parę tygodni na kursie doskonalącym albo w szpitalu, zaczynał ciężać pozostałym oficerom. Po kilkunastu miesiącach stawał się często wręcz zawadą. Jak mówił mi później doktor William Halse Rivers, przyczyną owej powolnej degradacji było wyrodnienie jednego z gruczołów dokrewnych, zdaje się tarczycy, która przestawała wydzielać niezbędne substancje. Człowiek stawał się bez nich apatyczny i otepiały i nie dawał sobie rady z codziennymi obowiązkami. Moja tarczyca zregenerowała się dopiero po dziesięciu latach.

Oficerowie pracowali lżej niż żołnierze, ale bardziej się denerwowali. Cierpieli na zaburzenia psychiczne dwukrotnie częściej niż szeregowi, mimo że ci ostatni walczyli z reguły dwukrotnie dłużej, nim polegli lub odnieśli ranę. Oficerowie między dwudziestym trzecim a trzydziestym trzecim rokiem życia górowali sprawnością nad swoimi młodszymi i starszymi kolegami. Ja byłem zbyt młody. Mężczyźni w średnim wieku, którym brak snu nie doskwierał tak bardzo jak nastolatkom, odznaczali się mniejszą odpornością na nagłe zagrożenia. Największego pecha mieli oficerowie służący na froncie przeszło dwa lata bez przerwy. Wielu popadło w alkoholizm. Znałem takich, co doszli do dwu butelek whisky dziennie, nim dopisało im szczęście i wrócili do kraju z kontuzją lub z innych powodów. Żyje nadal komendant kompanii Pizyliarów Królewskich z Waliey, który wypijał dwie flaszki whisky dziennie i trzy razy z rzędu wygubił niepotrzebnie cały swój oddział, bo nie umiał powziąć sensownej decyzji.

Gdyby nie rany, gaz i nieszczęśliwe wypadki, liniowiec o zdrowych gruczołach dokrewnych byłby okazem tężyzny fizycznej. Obfite jedzenie i ciężka praca na świeżym powietrzu pozwalały nie zważać na przemoczone nogi, wilgotną odzież i wietrzne kwatery. Potrzeba ustawicznej czujności nie sprzyjała hipochondrii. Katar znikał po kilku godzinach, a na niestrawność nie zwracało się prawie uwagi. Tak było przynajmniej w batalionach dobrych, gdzie żołnierze pragnęli wrócić do kraju z uczciwą runą albo nie wracać wcale. W oddziałach przeciętnych woleli ranę od bronchitów, lecz nie mieli nic również przeciwko bronchitowi. W batalionach złych nie troszczyli się, „czy krowa się ocieli, czy byk złamie kark”, jak mawiano na froncie. W naprawdę pierwszorzędnej jednostce, jaką był w okresie mojej służby Drugi Batalion Fizyliarów Królewskich z Waliey, nie uchodziło rozważać szans powrotu do kraju. Oddziały takie miały bu rdzo krótkie listy chorych. Zimą tysiąc dziewięćset czternastego roku w Drugim Batalionie odnotowano zaledwie kilka przypadków frontowej puchliny nóg, następnej zimy zaś nie więcej niż dziesięć, podczas gdy słabe hutuliony poniosły ciężkie straty.

Puchlina nóg zależała prawie wyłącznie od morale, wbrew oficjalnej formule, którą wbijali szeregowym do głowy podoficerowie i oficerowie: „Winne są ciasne trzewiki, ciasne owijacze i inne części odzieży tamujące krążenie krwi”. Rzeczywistą przyczynę stanowiły mokre buty w połączeniu z lękiem i prostracją. Same mokre buty nie były groźne. Żołnierz, który położył się spać z nogami okręconymi workiem, a uprzednio potupał trochę albo rozgrzał je przy koksowniku, nie odnosił szwanku. Jeśli zdarzyło mu się zasnąć z przemarzniętymi, wilgotnymi stopami, nabrzmiewały leciutko od ucisku trzewików i na tym się kończyło. Prawdziwa puchlina pojawiała się dopiero wtedy, gdy była mu obojętna, bo jego

jednostka utraciła wolę przetrwania. Na przełomie roku tysiąc dziewięćset szesnastego i siedemnastego w Bouchavesnes nad Sommą puchlina unieszkodliwiła w ciągu czterdziestu ośmiu godzin połowę batalionu spiesznej kawalerii, gdy tymczasem Drugi Batalion Fizyliarów Królewskich z Waliey tkwił w tymże miejscu od dziesięciu dni i nie odnotował ani jednego przypadku.

W sektorze Bethune-La Bassee zapanowała jesienna melancholia. W potężnych borach topolowych pozółkły liście, rowy melioracyjne wypełniły się wodą, ziemia przemieniła się w bagnisko. Bethune straciło nieco urok, bo stacjonujący tam Kanadyjczycy otrzymywali kilkakrotnie wyższy żołd, co wywołało gwałtowny wzrost cen. Miasto było jednak nadal nie zniszczone i można było fundować sobie ciastka z kremem oraz smażone pstrągi.

W listopadzie, ku mojej wielkiej radości, odkomenderowano mnie do Pierwszego Batalionu, uzupełnionego po bitwie pod Loos. Odnalazłem go na kwaterach w Locon, zaledwie milę na północ od Cambrin. Różnica między obydwoma batalionami kadrowymi utrzymywała się przez całą wojnę, niezależnie od tego, ile razy je rozbijano. Wzięła się stąd, że w sierpniu tysiąc dziewięćset czternastego roku Drugi Batalion zakończył osiemnastoletnie tournée zagraniczne, Pierwszy zaś nie opuszczał Anglii od czasów wojny burskiej, wskutek czego panowały w nim obyczaje mniej staroświeckie i bardziej humanitarne. Rzadziej spotykało się raptusów, żołnierze zadawali się z kobietami białymi, a nie kolorowymi, i nie do pomyślenia była scenka, jaką ujrzałem raz w Batalionie Drugim: starszy oficer gonił ulicą szeregowego, kopiąc go w tyłek za niechlujne salutowanie. Pierwszy Batalion dorównywał Drugiemu pod względem wyszkolenia i dbałości o tradycję, walczył na ogół z jeszcze większym szczęściem i żyło się w nim znacznie łatwiej.

Wszystkie etaty komendantów kompanii były już obsadzone, przydzielono mnie tedy jako nadliczbowego kapitana do kompanii A, dowodzonej przez młodego Richardsona. Był to najlepszy pododdział, w jakim służyłem. Richardson ukończył Sandhurst, a większość żołnierzy zaciągnęła się w tysiąc dziewięćset piętnastym roku w Walii. Najstarszy subalterm miał dwadzieścia trzy lata. W parę dni po przyjeździe odwiedziłem kasyno kompanii C, gdzie zgotowano mi serdeczne przyjęcie, i spostrzegłem na stole *Eseje* Lionela Johnsona. Oprócz dzieł Keatsa i Blake'a, należących do mnie samego, widywałem jak dotąd we Francji tylko instrukcje wojskowe lub szmatławę powieściła. Zerknąłem na kartę tytułową i odczytałem nazwisko właściciela: Siegfried Sassoon. Rozejrzałem się, by zobaczyć, kim jest ów Siegfried Sassoon, który przywiózł eseje Johnsona do Pierwszego Batalionu. Odpowiedź nasuwała się sama, toteż nawiązałem z nim rozmowę, a ponieważ mieliśmy wolne do zmroku, po kilku minutach ruszyliśmy razem do Bethune. Rozmawialiśmy o poezji.

Siegfried Sassoon wydał już własnym sumptem kilka sielanek w stylu klasycystycznym i parodię Masfielda, która okazała się równie dobra jak sam Masfield. Poszliśmy do cukierni na ciastka z kremem. Przygotowywałem wówczas do druku swój pierwszy tomik poetycki, *Nad koksownikami*, i miałem w notesie kilka brulionów, które pokazałem Siegfriedowi. /marszczył brwi i stwierdził, że wojny nie należy opisywać tak realistycznie. Przeczytał mi w zamian parę swoich wierszy. Oto początek jednego z nich:

O radości sztandary, powitajcie mnie znowu,
Lecz nie posępnym szkarłatem poległych...

Siegfried nie był jeszcze na linii. Powiedziałem mu z miną weterana, iż niebawem zmieni styl.

Wieczorem cały batalion pomaszerował budować nowe umocnienia obronne pod Festubert. Było ono koszmarem już od tysiąc dziewięćset c/ternastego roku, gdy wzięto tam w dwa ognie szpital wariatów, i pensjonariusze wyrwali się na wolność i rozbiegli po okolicy. Linia brytyjska, przecinająca obszar oznaczony na mapie jako „mokradło, latem niekiedy suche”, składała się z wysepek okopów wyższego dowództwa, do których można było dotrzeć dopiero po zachodzie słońca. Pół roku wc/eśniej batalion wybito tam nieomal do nogi. Przychodziliśmy co noc, olr/ymawszy rozkaz budowy silnej pozycji zapasowej. Ponieważ było d/iesięć stopni zimna i grunt zamarzał na głębokość stopy, udało nam się w/nieść tylko dwustujardowe przedpiersie sięgające kolan. Straciliśmy pr/y tym kilkunastu żołnierzy ranionych zabłąkanymi kulami, które muskały szczyt przedniego szańca. Po nadejściu roztopów pracę podjęły Inne jednostki i usypały gruby wał, wysoki na siedem stóp, który zapadł się powoli w topiel, aż w końcu nic z niego nie zostało.

Kiedy opuszczałem Drugi Batalion, adiutant zezwolił mi zabrać mego niezrówanego ordynansa, szeregowca Fahy'ego (przezywanego Tottie, od aktorki Tottie Fay). Tottie, rezerwista z Birminghamu, otrzymał po wybuchu wojny powołanie do Drugiego Batalionu. Był z zawodu złotnikiem i przywiózł mi z urlopu prezent w postaci srebrnej papierośnicy własnego wyrobu, na której wygrawerował moje nazwisko. W Pierwszym Batalionie spotkał jednak sierżanta nazwiskiem Dickens, kumpla od kieliszka z Indii, gdzie

służył kilka lat wcześniej. Zaczęli radośnie wspominać dawne czasy, a nazajutrz spostrzegłem ze zdumieniem i irytacją, że mam nie wyświecone guziki i brakuje gorącej wody do golenia. Spóźniłem się przez to na śniadanie. Nie wiedziałem, gdzie się podział Tottie, ale o dziewiątej, idąc do rejonu kompanii na przegląd broni, ujrzałem egzekucję wykonywaną w rogu podwórca farmy. Tottie, którego za pijaństwo na linii skazano przed chwilą na dwadzieścia osiem dni kary polowej numer jeden, stał przywiązany za nadgarstki i kostki do koła furgonu kompanijnego, tak że jego ręce i nogi tworzyły literę X. W owej pozycji, zwanej popularnie ukrzyżowaniem, musiał trwać przez kilka godzin dziennie, gdy batalion wypoczywał na tyłach. Nigdy nie zapomnę spojrzenia, jakie rzucił mi spokojny, pełen szacunku, oddany Tottie. Chciał wyrazić żal, że zawiódł moje zaufanie, i próbował zasalutować, na próżno usiłując zewrzeć obcas i unieść dłoń do daszka. Kiedy przyszedłem, sierżant-profos batalionu, groźnie wyglądający zupak, przywiązał go do koła. Powiedziałem Tottie'emu, że przykro mi, iż napytał sobie biedy, lecz nie wiem, czy go pocieszyłem.

Okazało się jednak, że libacja wyszła mu w końcu na dobre. Musiałem znaleźć nowego służącego, a kwatermistrz, stary Joe Cotterell, zabrał mi Tottie'ego, jedyne wykwalifikowanego ordynansa w batalionie, namówiwszy nawet komendanta do skrócenia kary o kilka dni. Nie miałem żalu do starego Joe. Na tyłach Tottie był bezpieczniejszy niż na linii. W parę tygodni później zakończył siedmioletni okres służby w rezerwie. Kiedy „parszywa siódemka” dobiegała końca, szeregowi otrzymywali kilkudniowy urlop w Anglii, po czym powoływano ich z powrotem pod broń na mocy ustawy o służbie wojskowej. Tottie dobrze wykorzystał urlop. Jego szwagier, dyrektor fabryki amunicji, zatrudnił go jako wykwalifikowanego gisera i wy reklamował od wojska, toteż mam nadzieję, że Tottie żyje.

Zupełnie innym człowiekiem był sierżant Dickens, urodzony żołnierz i jeden z najlepszych podoficerów regimentu. Zdobył Medal za Odwagę, Medal Wojenny i francuski *Medaille Militaire*^[28]. Awansował kilkakrotnie na sierżanta, lecz za każdym razem degradowano go za pijaństwo. Zawsze udawało mu się uniknąć kary polowej numer jeden, gdyż za wystarczającą hańbę uważano utratę szewronu, a on odzyskiwał go podczas każdej bitwy dzięki wybitnym zdolnościom przywódczym.

Na początku grudnia zaczęła krążyć pogłoska, iż weźmiemy udział w manewrach dywizyjnych na głębokich tyłach. Nie chciałem w to wierzyć, bo podobne plotki słyszałem już wiele razy, tym razem jednak okazała się prawdziwa. Ćwiczenia owe opisywał Siegfried Sassoon we *Wspomnieniach łowcy lisów*. Kompania A, w której służyłem, pracowała jeszcze ciężiej niż kompania C Sassoon. Wstaliśmy o piątej rano, zjedliśmy czym prędzej śniadanie, spakowaliśmy swoje rzeczy i pomaszzerowaliśmy na dworzec kolejowy trzy mile dalej. Następnie załadowaliśmy do eszelonu całe tabory batalionu: zapasy, furgony i zwierzęta pociągowe. Skończyliśmy w porze drugiego śniadania. Podróż do stacji węzłowej nad Sommą około dwudziestu mil za linią frontu trwała dziesięć godzin. Oficerowie jechali trzecią klasą, a żołnierze wagonami bydłocymi z napisem *Hommes 40, chevaux 8*^[29], tak że przybyli na miejsce zupełnie sztywni. Kompania A otrzymała rozkaz wyładowania taborów. Kiedyśmy skończyli, herbata w kotłach już wystygła. Inne kompanie odpoczywały dwie godziny, my tylko kilka minut.

Marsz po kocich łbach i pyłnych drogach nizin pikardyjskich rozpoczął się o północy, a zakończył o szóstej rano. Żołnierze nieśli tornistry i karabiny. Kompania A zwyciężyła we współzawodnictwie o najmniejszą liczbę maruderów. Doszliśmy w końcu do wioski o nazwie Montagne le Kayel. Nie stacjonowało tam dotąd wojsko, toteż zrozumiąłem, że mieszkańcy nie mieli uradowanych min, gdy nasza szpica jęła walić w środku nocy do drzwi, każąc przygotować w ciągu dwóch godzin kwatery dla ośmiuset żołnierzy. Włościanie z Pikardii wydali nam się znacznie miłsi od mieszkańców Pas de Calais. Stanąłem u staruszka nazwiskiem Elie Caron, dobrotliwego emerytowanego nauczyciela o błyszczących oczach i srebrzystych włosach, który żywił się wyłącznie jarzynami i podarował mi wegetariańską broszurkę zatytułowaną *Comment Vivre Cent Ans*^[30] (wiedząc już o planowanej ofensywie nad Sommą, uznaliśmy to za dobry żart). Dał mi także angielskie wydanie *Evangeline* Longfellowa. Ponieważ było mi zawsze żal angielskich książek zapodrzianych we Francji, niezależnie od ich wad, przyjąłem prezent i zabrałem później do kraju.

[28] *Medaille Militaire* (franc.) — Medal Wojska.

[29] *Mlommess...* (franc.) — Czterdziestu ludzi, osiem koni.

[30] “*Comment...* (franc.) — Jak żyć sto lat.

Spędziliśmy w Montagne sześć tygodni. Pułkownik Ford (znany w regimencie jako Rozrzut ze względu na rozrzutność, z jaką pozbywał się gaży jako subaltern) wyciskał z batalionu siódme poty. Mieliśmy zapomnieć o okopach i przygotować się do wojny ruchomej, nieuniknionej po przerwaniu pozycji niemieckich w dorzeczu Sommy. Co drugi dzień odbywaliśmy ćwiczenia w terenie, którym znów patronował duch generała Hakinga, autora *Instrukcji wyszkolenia kompanii*. Nawet ci, co nie wierzyli w przełamanie frontu, znajdowali przyjemność w wysiłku fizycznym wśród nieskalanych pól i lasów. Granie armat dobiegało z wielkiej odległości, a wszyscy żołnierze byli zdrowi. Dni wolne od ćwiczeń terenowych spędzaliśmy na musztrze pieszej i strzelaniu. Manewry wydawały się zupełnie nie związane z wojną. Zajęcia sportowe obejmowały mecze rugby między batalionami - byłem obrońcą w naszej reprezentacji. W drużynie grało poza mną dwóch oficerów: Richardson jako łącznik młyna, Pritchard, inny elew Sandhurst, jako łącznik ataku, oraz David Thomas, podporucznik Trzeciego Batalionu, jako środkowy. David, prostoduszny i łagodny miłośnik książek, pochodził z południowej Walii. On, Siegfried Sassoon i ja trzymaliśmy się zawsze razem.

Pewnego dnia David zatrzymał mnie na środku wioski.

- Trąbili na alarm, słyszałeś? Szykuje się wściekła awantura. Wszyscy oficerowie i podoficerowie mają się natychmiast stawić na odprawie w szkole. Rozrzut wygląda jak chmura gradowa. Jeszcze nie wiadomo, kogo opierdoli.

Poszliśmy do sali lekcyjnej i wcisnęliśmy się w jedną z ławek.

Po wejściu Rozrzuta major o najwyższym starszeństwie zakomenderował „Baa-czość!”, a David i ja potłukliśmy się, próbując wstać razem z ławką. Rozrzut nakazał zajęcie miejsc. Po jednej stronie siedziały szarże, po drugiej podoficerowie. Rozrzut łypał wściekle z katedry. Paternoster rozpoczął od oskarżeń ogólnych, wymieniając rozliczne objawy upadku dyscypliny, jakie spostrzegł ostatnio w batalionie: szeregowych łąjących po wiosce z nie wyglansowanymi butami, rozpiętymi kieszeniami czy (o zgrozo!) rękami w kieszeniach, szyldwachów przechadzających się przed rejonami kompanii miast maszerować tam i z powrotem, jak na żołnierzy przystało, burdy w karczmach, ospałe salutowanie i wiele innych groźnych oznak rozprzężenia. Zagroził, że jeśli nie nastąpi poprawa, wstrzyma urlopy do kraju, i przyrzekł nam codzienną musztrę formalną przed śniadaniem, nadzorowaną przez siebie osobiście.

Było to dopiero przygotowanie ogniowe, bo wiedzieliśmy, że nie doszedł jeszcze do sedna. A rzecz miała się tak:

- Zebrałem was tutaj głównie po to, by opowiedzieć o pewnym żenującym incydencie. Otóż dziś rano po wyjściu z komendy natknąłem się na kilku szeregowych, których przynależność kompanijną pominę tymczasem milczeniem. Jeden rozmawiał z kapralem i (trudno w to uwierzyć, ale to prawda!) zwrócił się doń po imieniu: NAZWAŁ GO JACKIEM!!! A kapral się nie sprzeciwił! I pomyśleć, że Pierwszy Batalion upadł tak nisko, że doszło do spoufalenia się szeregowców z podoficerami!... Kaprała, ma się rozumieć, wsadziłem do paki i zdegradowałem za postawę nie licującą z godnością podoficera, szeregowca zaś skazałem na karę połową za spostonowanie przełożonego. Ale ostrzegam, jeśli w przyszłości dowiem się o podobnych przejawach niesubordynacji (a spodziewam się, iż oficerowie niezwłocznie mi o nich zameldują), winnych szukać będę nie wśród żołnierzy...

Próbowałem pochwycić wzrok Siegfrieda, lecz odwracał uparcie oczy, toteż wymieniłem porozumiewawcze spojrzenie z Davidem. Była to jedna z karykaturalnych scen, które zdają się podsumowywać poszczególne fazy mego życia. Oto ja - w nieskazitelnym mundurze khaki, z wypucowanymi guzikami i koalicijką, z rewolwerem na biodrze, z gwizdkiem na sznurze, / meszkiem pierwszego wąsika pod nosem, z błyskiem stalowej determinacji w oczach, udający oficera kadrowego w randze kapitana, a jednocześnie wciśnięty w splamioną atramentem ławkę niczym przerośnięty sztubak. Na ścianach klasy wiszą obrazki ilustrujące tragiczne skutki opilstwa. Na początku niewinny chłopczyna otrzymuje od kolegi kieliszek wódki, po czym stacza się krok po kroku, dochodząc do pastwienia się nad żoną, zabójstwa i *delirium tremens*. Ba! Przynajmniej nie upadł tak nisko, by nazwać swojego kaprała Jacquotem!

W batalionie skarżono się, że kobiety z Montagne są nazbyt skromne w porównaniu z mieszkankami okolic Bethune. Szarże korzystały z niezasłużonego przywileju, mogąc wziąć konia i pojechać do Amiens. Mieścił się tam burdel Pod Błękitną Latarnią, podobnie jak w Abbeville, Hawrze, Rouen i wszystkich większych miastach w strefie przyfrontowej.

Błękitne latarnie obsługiwały oficerów, a czerwone szeregowych. Nie umiem powiedzieć, czy przełożeni, tak dbali o dyscyplinę, stworzyli też specjalne lokale dla podoficerów i czy pracownice błękitnych latarni przeznaczone dla starszyny musiały posiadać jakieś specjalne kwalifikacje. Podczas całej służby we Francji zachowywałem purytańską czystość, mimo że kłamię jak szewc.

Pierwszego stycznia sztab Siódmej Dywizji Piechoty odkomenderował dwóch subalternów z każdej brygady na stanowiska instruktorów wyszkolenia. Wraz z pewnym kapitanem z Regimentu Królowej miałem najdłuższy staż frontowy, toteż otrzymałem prezent w postaci dodatkowych ośmiu tygodni życia.

XVII

W obozie rekruckim w Harfleur służyło około trzydziestu instruktorów. Ochotnicy świeżo przybyli z Anglii zdobywali tam wiedzę praktyczną przed odmarszem na front. Większość moich kolegów prowadziła zajęcia ze strzelania, karabinów maszynowych, masek przeciwgazowych i granatów. Nie miałem żadnych wiadomości specjalistycznych, tylko doświadczenie ogólne, uczyłem tedy żołnierzy zasad służby w okopach, posługując się systemem rowów ćwiczebnych. Moim głównym zajęciem dodatkowym była musztra z bronią. Pewnego dnia lało, a major Currie, przerażający komendant obozu, kazał mi wygłosić pogadankę w wielkiej sali koncertowej. „Czeka na pana trzy tysiące żołnierzy, Graves, i jest pan jedynym wolnym oficerem o głosie na tyle donośnym, by go usłyszano”. Rekruci pochodzili z Kanady, więc zamiast uraczyć ich zwykłym, na poły żartobliwym wykładem pod tytułem „Jak cieszyć się na froncie dobrym zdrowiem?” uhonorowałem ich prawdziwą opowieścią o bitwie pod Loos, opisując przyczyny klęski w taki mniej więcej sposób jak w niniejszej książce. Był to jedyny występ publiczny w moim życiu, gdy słuchano mnie przez bitą godzinę z rzeczywistym skupieniem. Spodziewałem się, że major Currie wpadnie w szal, bo podstawowym celem szkolenia było zaszczepienie kontyngentowi wojowniczego ducha, ale przyjął wykład dobrze i zlecił mi kilka następných pogadań w sali koncertowej.

W kasynie instruktorów, poza miejscowymi ploteczkami i sprawami ściśle technicznymi, omawiano głównie wartość bojową poszczególnych dywizji, plusy i minusy różnych metod szkoleniowych oraz zbrodnie wojenne. Rozmawiało się swobodniej niż w Anglii czy na froncie. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny dzielono na trzy części. Na pierwszej można było polegać w każdych okolicznościach i to właśnie ona otrzymywała najtrudniejsze zadania. Druga, o charakterze zróżnicowanym, składała się z dywizji zazwyczaj godnych zaufania, ale zawierających kilka słabych batalionów. Pozostałe dywizje były mniej lub bardziej liche i ponosiły ogromne straty w stosunkowo bezpiecznych sektorach frontu. Szczycono się przynależnością do jednej z dywizji elitarnych, na przykład Drugiej, Siódmej, Dwudziestej Dziewiątej, Gwardyjskiej i Pierwszej Kanadyjskiej. Kiedy stacjonowały na tyłach, nie chuchano na nie i dmuchano jak na niemieckie formacje szturmowe, lecz łatwiej było w nich o awans, urlop lub ranę.

Instruktorzy zgadzali się beznamytnie, że najlepsze oddziały brytyjskie pochodzą ze środkowej Anglii, z przemysłowych okręgów hrabstw York i Lancaster oraz z Londynu. Dość wysoko oceniano Ulsterczyków, Szkotów z nizin i mieszkańców północnej Anglii. Katolicy irlandzcy i górale szkoccy narażali się na linii i ponosili niepotrzebne straty, a choć zwykle zdobywali przedmioty natarcia, zbyt często tracili je wskutek przeciwuderzeń; bez oficerów stawali się bezużyteczni. Pułki z południowych hrabstw Anglii znacznie różniły się między sobą: bywały pierwszorzędne, ale też fatalne. Wartość formacji zależała także od długości jej istnienia. Nowo zaciężne dywizje ochotnicze i zapasowe dywizje obrony krajowej plasowały się bardzo nisko, niezależnie od rejonu werbunkowego, ze względu na nieudolną kadrę dowódczą.

Debatowaliśmy raz, które oddziały zachowują w okopach największą czystość. Uszeregowaliśmy je wedle narodowości. Najwyższe noty uzyskali Anglicy i protestanci niemieccy, dalej protestanci z Ulsteru, Walijszczy, Kanadyjczycy, katolicy irlandzcy i niemieccy, Szkoci (choć niektóre oddziały plasowały się wyżej), muzułmanie hinduscy, Algierczycy, Portugalczycy, Belgowie i Francuzi. Belgów i Francuzów umieściliśmy na końcu przez złośliwość, bo nie mogli być wszak brudniejsi od Algierczyków czy Portugalczyków.

Propagandowe relacje o zbrodniach wojennych uważano powszechnie za śmiechu warte. Chociaż wiedzieliśmy, że Niemcy są rzeczywiście zdolni do mordowania ludności cywilnej, pamiętaliśmy jednak, iż jeśli nie liczyć wypadu Rosjan do Prus Wschodnich na początku wojny, w samych Niemczech nie powstała dotąd noga nieprzyjacielskiego żołnierza. Poznawszy Belgów z pierwszej ręki, przestaliśmy wierzyć w barwne opowieści o zbrodniach niemieckich w Belgii. Przez zbrodnie rozumieliśmy gwałty, bicie i tortury, nie zaś doraźne egzekucje szpiegów, dywersantów i krnąbrnych urzędników szczebla lokalnego. Gdyby do zbrodni wojennych zaliczyć pozornie przypadkowe bombardowanie i ostrzeliwanie ludności cywilnej z powietrza, państwa ententy popełniały tyle samo zbrodni co Niemcy. Francuzi i Belgowie często usiłowali wzbudzać w nas litość, pokazując okaleczone dzieci z kikutami rąk i nóg. Były to rzekomo ofiary celowych, bestialskich okrucieństw, choć mieliśmy zapewne do czynienia ze skutkami ostrzału artyleryjskiego. Nie wierzyliśmy, że po niemieckiej stronie frontu gwałci się kobiety częściej niż po stronie aliantów. A ponieważ wikt złożony z wołowiny, strach przed śmiercią i brak żon rodziły na terenach okupowanych ogromne zapotrzebowanie na kobiety, nie ulega wątpliwości, iż władze niemieckie otworzyły burdele wojskowe w większych miastach francuskich na tyłach, podobnie jak zrobili to Francuzi

po naszej stronie. Nie dawaliśmy wiary opowiastkom o brankach do owych przybytków. „Skoro dziewczęta to ochotniczki, cóż w tym złego?” - pytaliśmy cynicznie.

Jeśli idzie o zbrodnie wobec żołnierzy - gdzie zakresić granicę? Brytyjczycy początkowo potępiali stosowanie przez patrole niemieckie długich noży myśliwskich. Po pewnym czasie sami zaczęli się nimi posługiwać, bo zabijały ciszej niż rewolwery czy granaty. Niemcy uważali za równie nieetyczne brytyjskie kule karabinowe wzoru Mark-7, które czasem koziołkowały w ciałach ofiar. Do zbrodni *sensu stricto*, czyli naruszeń prawa wojennego dokonywanych na własną rękę, niewiele było sposobności, chyba że między wzięciem jeńców a ich dostarczeniem (bądź niedostarczeniem) do sztabu. Nadarzające się wówczas okazje wykorzystywano stanowczo zbyt często. Konkretnie przykłady umiał przytoczyć prawie każdy instruktor. Zdaje się, że najpospolitszą pobudką była żądza zemsty za śmierć krewnych lub przyjaciół, zazdrość o perspektywę pobytu w wygodnym obozie jenieckim w Anglii, roznamiętnienie walką, lęk przed nagłym buntem konwojowanych czy wreszcie chęć przyspieszenia nużącej wędrówki na tyły. Eskortą meldowała w każdym przypadku, że Niemców zabił nieprzyjacielski szrapnel, co przyjmowano bez komentarzy. Byliśmy pewni, iż podobne rzeczy dzieją się i po drugiej stronie frontu, gdzie jeńcy wojenni, dodatkowe gęby do wykarmienia w kraju ogarniętym trudnościami uprowizacyjnymi, byli jeszcze mniej mile widziani. Żaden z nas nie słyszał, by nasz wywiad brał Niemców na męki w celu wydobywania tajemnic służby. Wiadomości, jakich mogli udzielić, nie miały dostatecznej wagi, by opłacało się stosować tortury, a zresztą stwierdzono, że jeśli traktować ich łagodnie, z wdzięczności mówią wszystko, co wiedzą. Nieprzyjacielscy oficerowie informacyjni z pewnością też to odkryli.

Opinię najpotworniejszych dręczycieli jeńców mieli Kanadyjczycy (a później Australijczycy). Kanadyjczycy chcieli jakoby pomścić śmierć kolegi, którego znaleziono przyszpilonego bagnietami do ściany niemieckiego okopu. Zbrodni owej nigdy nie potwierdzono, a my nie wierzyliśmy także w plotkę, szeroko kolportowaną, że wzięli wkrótce potem odwet, ukrzyżowawszy za ręce i nogi oficera niemieckiego. Co w owych krwawych historiach było prawdą, co zaś należy przypisać fanfaronadzie i kawalarstwu, nie umieliśmy rozstrzygnąć. Tak czy owak, prawie wszystkie oddziały kolonialne i niektóre brytyjskie traktowały okrucieństwo względem jeńców jako powód do dumy, a nie wstydlivy sekret.

Pod koniec wojny słyszałem dwie relacje z pierwszej ręki.

Kanadyjczyk szkockiego pochodzenia:

- Posłali mnie na tyły z trzema francowatymi jeńcami, a jeden zaczął jęczeć i kuleć, ażem go musiał kopać w dupę, żeby laź. Oficerka, kurwa jego mać. Robiła się noc i miałem wszystkiego potąd, więc pomyślałem: „Trza się zabawić”. Wziąłem rewolwer oficerka, pomachałem frycom przed nosem i kazałem stanąć tyłem z rozpiętymi kieszeniami. Potem wrzuciłem do każdej odbezpieczony granat i dałem nura w boczną szleję. Trach! Trach! Trach! Rozwaliło skurwysynów. Dobry fryc, martwy fryc.

Australijczyk:

- Ba, najlepszy kawał zrobiłem w Morlancourcie, jakeśmy zdobyli go po raz pierwszy. W piwnicy siedziała gromada boszów, a ja zawołałem: „Wyłaźta, kamraty!” Wyszli z łapami nad głowę. Był tego tuzin. „Wywrócić kieszenie”, powiadam. Posłuchali. Zegarki, złoto, różności, wszystko pierwsza klasa. Wtedy ja do nich: „A teraz jazda z powrotem do dziury, kutasy!” Po co zawracać sobie głowę? Jak się wgramolili do środka, posiałem za nimi sześć granatów i zebrałem z ziemi towar. Nie braliśmy tego dnia jeńców.

Pierwszą autentyczną relację o zbrodni na wielką skalę usłyszałem od staruszki z Cardonette nad Sommą, u której stałem kwaterą w lipcu tysiąc dziewięćset szesnastego roku. We wrześniu tysiąc dziewięćset czternastego roku francuski batalion Algierczyków doścignął koło jej domu ariergardę dywizji niemieckiej wycofującej się znad Marny. Niemcy, śmiertelnie znużeni, nie zdążyli się rozwinąć. Staruszka pokazała na migi scenę rzezi i dodała: *Et enfin, ces animaux, leur ont arrache les oreilles et les mises a la poche!* ^[31]

Z niemieckiego punktu widzenia główną zbrodnią państw koalicji było ściągnięcie do Europy oddziałów ciemnoskórych barbarzyńców z kolonii. Współczuliśmy Niemcom. Jeden z instruktorów opowiadał, że gdy w pałacu we Flixecourt kwaterowała niedawno komenda jednego z naszych korpusów, do kuchmistrza kasyna przychodził co rano Algierczyk, ordynans francuskiego oficera łącznikowego. Algierczyk mówił: „Proszę mniam-mniam!” i dostawał puszkę marmolady śliwkowo-jabłkowej. Pewnego dnia korpus otrzymał rozkaz niezwłocznej zmiany miejsca postoju, toteż kucharz powiedział Algierczykowi, wręczając mu pożegnalną puszkę:

- O la la, jutro koniec mniam-mniam!

Algierczyk nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

- Nie, nie - nastawał - jutro też mniam-mniam, mniam-mniam, mniam-mniam!...

- Ty mi przynieść wieczorem głowa fryca - rzucił kucharz na odczepnego - a ja poprosić pan generał, żebyś dostał jutro mniam-mniām!

- Dobra - odparł Algierczyk. - Moja przynieść wieczorem głowa fryca, a pan generał dać mi jutro mniām-mniām.

Algierczyk przyszedł tego samego wieczoru do pałacu, wywołał kucharza innego stacjonującego tam korpusu, wyciągnął z worka okrwawioną głowę ludzką i rzekł:

- Masz głowa fryca. Teraz pan generał dać mi jutro mniām-mniām, mniām-mniām, mniām-mniām!...

Flixecourt leżało przeszło dwadzieścia mil za linią frontu, a zatem...

Rozmawialiśmy także o trwałości pułkowego morale. Kapitan batalionu kadrowego Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa Surrey mówił:

- Nasz batalion nigdy się nie otrząsnął po pierwszej bitwie pod Ypres.

Najgorsze, że mamy parszywy depot. Uzupełnienia są liche i zapaskudzają nam oddział.

Zwierzył mi się raz w baraku sypialnym:

- Podczas obu ostatnich ofensyw musiałem zastrzelić żołnierza, żeby zmusić kompanię do wyjścia z rowu. To było straszne. Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Właśnie dlatego poprosiłem o przystanie mnie tutaj.

Mówił prawdę, a nie typowe androny, jakie się zwykle słyszało w obozie. Nikomu nie współczułem we Francji bardziej niż jemu. Zasługiwał na lepszy pułk.

Każdy dobry oddział szczylił się, że nigdy się nie wycofał, to znaczy nie wyparto go z żadnego okopu, którego nie odbił przed zakończeniem bitwy. Chlubili się tym oba nasze bataliony regularne. Zdobycie pozycji Niemców i niemożność jej utrzymania z powodu braku posiłków nie liczyła się, podobnie jak odwrót na rozkaz dowództwa lub wskutek oskrzydlenia po rozbiciu sąsiedniego batalionu. A pod koniec wojny pozycję można było opuścić z podniesionym czołem, kiedy została zrównana z ziemią przez artylerię albo składała się nie z okopów, lecz ciągu lejów po pociskach.

Zgadzaaliśmy się, że morale oddziału zależy w dużym stopniu od znajomości musztry. „Porządnie wykonany dryl - powiedział ktoś, odznacza się swoistym pięknem, zwłaszcza jeśli kompania czuje się żywą a każdy chwyt broni jest nie tylko zsynchronizowanym ruchem wielu żołnierzy naraz, lecz pojedynczym ruchem olbrzymiego stworzenia”.

Musztrowałem wielkie grupy Kanadyjczyków, złożone z czterystu do pięciuset rekrutów naraz. Pewnego dnia z szeregu wystąpiło kilku żołnierzy, którzy spytali w imieniu pozostałych, jaki sens ma powtarzanie w kółko komend „na ramię broń”, „do nogi broń”, „bagnet na broń” i „bagnet”. Twierdzili, że przepłynęli ocean, by walczyć, a nie stać na odwachu pod Pałacem Buckingham. Odrzekłem, iż każda z czterech dywizji, w których służyłem - Pierwsza, Druga, Siódma i Ósma - składa się z trzech rodzajów oddziałów. Odważnych, lecz kiepsko wymusztrowanych, dobrze wymusztrowanych, ale tchórzliwych; odważnych i dobrze wymusztrowanych zarazem. Kiedy dochodzi do bitwy, te ostatnie walczą z jakichś przyczyn najdzielniej, nie wiem dlaczego i nic mnie to nie obchodzi. Oświadczyłem Kanadyjczykom, że na zaniedbywanie musztry z bronią mogą sobie pozwolić dopiero wtedy, gdy będą bitniejsi od gwardii.

W knajpie dyskutowaliśmy często o musztrze. Utrzymywałem, że żołnierzy może dobrze wyćwiczyć byle wrzaskliwy zupak, ale że autora i wykonawcę rozkazu musi łączyć wzajemny szacunek. Twierdziłem, iż kamieniem probierczym musztry jest wydanie nieprawidłowej komendy. Żołnierze są dobrze wyćwiczeni, jeśli kompania wykonuje wówczas właściwy rozkaz lub, gdy jest niewykonalny, stoi w całkowitym bezruchu albo maszeruje dalej bez zamętu w szykach. Niektórzy instruktorzy uważali, iż musztra wyrabia w rekrutach poczucie wspólnoty kosztem zaniku indywidualności.

Inni twierdzili coś wręcz przeciwnego:

- Przypuśćmy, że sekcja fizylierów odłącza się bez sekcyjnego od kompanii i napotyka karabin maszynowy. Dobrze wymusztrowani żołnierze staną się w obliczu niebezpieczeństwa jedną istotą i zaczną działać, jakby słuchali nie istniejących komend. Mogą się nie porozumiewać, ale zachowają się jak na ćwiczeniach: dwóch otworzy ogień do kulomiotu, gdy tymczasem reszta zacznie się czołgać dokoła, połowa na lewej flance, połowa na prawej, po czym poderwą się jednocześnie do ataku. Panuje opinia, iż dowodzenie jest najdoskonalszą formą musztry. To nieprawda. Dowodzenie to tylko pierwszy etap. Najdoskonalszą postacią drylu jest działanie zespołowe. Chociaż musztra może się wydawać przeżytkiem, zabawą rodem z placów rewiowych, stanowi podstawę taktyki i strzelania. Armia brytyjska wygrywała zawsze bitwy dzięki zdyscyplinowanemu prowadzeniu ognia, a obecna wojna, która nie nabierze raczej charakteru ruchomego i prawie na pewno zakończy się nagłym załamaniem jednej ze stron, wykrwawionej przez drugą, zostanie wygrana dzięki taktyce wyrosłej na placach musztry: prostej, opartej na drylu taktyce małych pododdziałów walczących na ograniczonej przestrzeni w tak wielkim hałasie i zamęciu, iż dowodzenie jest zupełnie niemożliwe.

Choć spieraliśmy się o musztrę, zgadzaliśmy się, iż najistotniejszym czynnikiem wpływającym na morale jest duma z tradycji pułkowej, znacznie ważniejsza od patriotyzmu czy religii.

Miłość ojczyzny odrzucano na froncie jako ideę zbyt naiwną, która przystoi tylko cywilom i jeńcom. Rekrut wygłaszający kazania o patriotyzmie musiał się szybko zamknąć. Wielka Brytania była pojęciem geograficznym, cichą, spokojną przystanią, dokąd wraca się z piekła wojny. W skład narodu wchodziło nie tylko liniowcy i ranni odesłani do Anglii, lecz także sztaby, Korpus Zaopatrzenia Armii, oddziały ochrony kolei, garnizony tyłowe, wojska stacjonujące w kraju i cywile aż do pogardzanych kategorii dziennikarzy, paskarzy, wyreklamowanych poborowych, pacyfistów i ministrów. Frontowiec, ożywiony duchem tradycji pułkowej, dzielił społeczeństwo na kasty, lecz nie przypuszczał, że Niemcy stworzyli podobną hierarchię. Uważał ich za naród zjednoczony pod bronią, przejęty patriotyzmem, jakim sam pogardzał. Nasi żołnierze brali za dobrą monetę większość gazetowych relacji o nastrojach w Niemczech, choć podobne artykuły o Anglii traktowali z przymrużeniem oka. Mimo to czuli szacunek dla męstwa nieprzyjaciół. Wszyscy weterani zżymali się na prasowe kalumnie przedstawiające boszów jako tchórzliwe oferty.

Wyjątkowo rzadko spotykało się żołnierzy żywiących bodaj cień uczuć religijnych. W okopach trudno było zachować wiarę, nawet jeśli nie straciło jej się wśród bezbożnych rekrutów w kraju. Sierżant zawodowy Drugiego Batalionu powiedział mi raz w Montagne, że na froncie nie wierzy w Boga. Stwierdził, iż czarnuchy (miał na myśli Hindusów) słusznie nie przestrzegają podczas wojny przykazań religijnych.

- Za przeproszeniem pana porucznika, to cholerna bzdura, co wypisują w gazetach, że figura Pana Jezusa pozostaje zawsze cudem nie tknięta, jak żołnierze strzelają do bożymek przy drogach. Rzygać mi się od tego chce.

Wyjaśniał, dlaczego prowadząc strzelanie ćwiczebne ze szczytu wzgórza i nie wiedząc, że stoję tuż za nim, krzyknął: „Punkt koncentracji - człowiek na krzyżu, kierunek północno-zachodni, odległość siedemset jardów, pięć ładunków, ogień szybki, cel, pal!” Koncentrację zastąpił dla żartu konsekracją, a pluton, w którym służyło dwóch niezwykle bigotów rozpoczynających listy do kraju formułką „Droga Siostrze w Chrystusie” lub „Drogi Bracie w Chrystusie”, strzelił Panu Bogu w okno.

Chociaż samego kajzera uważaliśmy poniekąd za komicznego diablika, zdawaliśmy sobie sprawę, iż żołnierze niemieccy są na ogół pobożniejsi od nas. W kasynie instruktorów żartowano, że Pan Bóg i *Herr Gott* to dwa walczące bóstwa plemienne. Nie szanowaliśmy kapelanów wyznania anglikańskiego. Zgadaliśmy się, że gdyby przejawiali bodaj dziesiątą część męstwa, hartu i innych godnych podziwu cech lekarzy wojskowych, Brytyjski Korpus Ekspedycyjny mógłby zapoczątkować odrodzenie religijne. Nie przejawiali jednak, bo nakazano im unikać bitew i trzymać się taborów. Trudno było szanować duchownych przestrzegających owych zaleceń, a mimo to chętnie pozostawali oni na tyłach. Na spokojnym odcinku pastory podejmowali niekiedy brawurowe popołudniowe wypadki na drugą linię, rozdawali żołnierzom papierosy i dawali drapaka. Na tyłach jednak wszędzie było ich pełno. Komendant posyłał czasem kapelana do okopów z racjami w celu pogrzebienia dziennego kontyngentu poległych: duszpasterz przybywał, odmawiał stosowne modlitwy i czymprędzej zniknął. Komplikował sprawę szacunek dla sukienki duchownej żywny przez większość dowódców. Nie wszystkich jednak. Komendant jednego z batalionów, w których służyłem, pozbył się w ciągu czterech miesięcy czterech pastorów anglikańskich po kolei, aż w końcu poprosił o księdza katolickiego, bo żołnierze zmienili jakoby wiarę. Kapelani rzymskokatolicki nie tylko mogli odwiedzać obszary niebezpieczne, lecz szczególnie chętnie przebywali w rejonach walk, by udzielać konającym ostatniej komunii. Nie słyszeliśmy o jakimkolwiek księdzu, który uchylałby się od wypełniania swoich obowiązków. Wręcz przeciwnie. Podczas pierwszej bitwy pod Ypres, gdy Fizylierzy Królewscy z Munsteru stracili wszystkich oficerów, dobroduszny ojciec Gleeson zdarł sobie czarne naszywki i utrzymał pozycję, objąwszy komendę nad niedobitkami.

Pastory anglikańscy zupełnie nie rozumieli żołnierzy. Tuż przed bitwą pod Loos kapelan Drugiego Batalionu wygłosił płomienne kazanie o walce z grzechem, a stojący za mną weteran mruknął: „Boże, nie wystarczy jedna pieprzona wojna?!” Natomiast ksiądz katolicki pobłogosławił swoich podopiecznych i obiecał, że jeśli polegną, pójdą prosto do nieba, a przynajmniej odkupią wiele lat czyśćca. Kiedy opowiedziałem o tym w kasynie, jeden z instruktorów stwierdził, iż w wigilię bitwy nad Eufratem kapelan jego batalionu, pastor anglikański, potępił w kazaniu świętopietrze. „Temat znacznie mądrzejszy niż walka z grzechem. Tak oderwany, że żołnierze zapomnieli o bitwie”.

Po dwóch miesiącach w Harfleur poczułem się nieco lepiej, choć prześladowała mnie myśl, że odpoczynek niedługo się skończy. Pewnego popołudnia wyszedłem z kasyna, by rozpocząć ćwiczenia na placu musztry, i minąłem miejsce, gdzie prowadzono zajęcia teoretyczne z granatów. Grupa szeregowych otaczała stół demonstracyjny, na którym ułożono różne typy bomb. Nagle rozległ się huk. Sierżant Królewskiego Regimentu Strzelców Irlandzkich wygłosił nieoficjalny wykład przed przybyciem

instruktora. Wziął do ręki granat wstrząsowy numer jeden i rzekł: „Słuchajcie, chłopcy, z tą zabawką musicie być naprawdę ostrożni! Pamiętajcie, że wybucha, jeśli zahaczyć nią o cokolwiek w chwili rzutu”. Dla podkreślenia swoich słów stuknął granatem w krawędź stołu. Zginął na miejscu wraz ze stojącym obok żołnierzem, a dwunastu innych odniosło lżejsze lub cięższe rany.

XVIII

W marcu wróciłem do Pierwszego Batalionu, który walczył w dorzeczu Sommy. Kwitły pierwiosniki. Obsadzaliśmy okopy pod Fricourt, a wypoczywaliśmy w Morlancourt, osadzie wiejskiej nadal nie zburzonej przez artylerię. (Później uległa całkowitemu zniszczeniu. Australijczycy i Niemcy wydzielali ją sobie z rąk, aż w końcu zostało z niej rumowisko.) Komenda kompanii A mieściła się w kuchni farmy, a my spaliliśmy z tornistrami pod głową na podłodze z czerwonej cegły. W domu mieszkała staruszka z córką, które strzegły swego dobytku. Staruszka miała sklerozę i była sparaliżowana, a cała jej aktywność życiowa sprowadzała się do kiwania głową ze słowami: *Triste, la guerre*^[32] Przewaliliśmy ją Triste la Guerre. Córka nosiła ją na rękach niczym dziecko.

Okopy pod Fricourt wyryto w pokładach kredy, która nie rozmiękała podczas ulewy tak bardzo jak glina z okolic La Bassee. Dywizja przydzieliła nam odcinek, gdzie linie niemieckie niebezpiecznie zbliżyły się do naszych. Brytyjczycy dociągnęli niedawno swoje pozycje aż do Sommy, Francuzi zaś zadowolili się rozejmem z Niemcami (jak zwykle, gdy nie myśleli poważnie o ataku) i nie podkopywali się zbyt blisko. Jednakże pod Fricourt przebiegało pasmo wzgórz i żadna ze stron nie mogła pozwolić drugiej na opanowanie szczytów. Po długich sporach doszło w końcu do ich podziału. Zarówno Brytyjczycy, jak Niemcy wykorzystywali ów obszar jako poligon doświadczalny, gdzie wypróbowywano nowe typy min i granatów. Rowy były szerokie i nie oszalowane, a w wielu miejscach zbyt płytkie. Brakowało trawersów. Francuzi pozostawili po sobie ślady swojego niechlujstwa i umiłowania bezpieczeństwa: trupy pogrzebane tuż pod powierzchnią ziemi i kilka zawieszonych schronów głębinowych. Krzątailiśmy się jak mrówki, sypiąc przedpiersia i szańce poprzeczne, by zmniejszyć szkody wywoływane ciągłym ostrzałem z moździerzy. Całymi nocami pracowano nie tylko na przedniej linii, lecz także na pozycji zapasowej. Szczury, jeszcze liczniejsze niż w Cuinchy, harcowały po komendzie kompanii A w trakcie posiłków. Kładliśmy zawsze przy talerzach rewolwery i kropiliśmy od czasu do czasu do gryzoni obwąchujących nasze tornistry lub maszerujących nam nad głowami po drewnianych podporach stropu. Oficerowie kompanii A byli ludźmi wesołymi. Wszyscy z wyjątkiem Edmunda Dadda należeliśmy do chórów gimnazjalnych. Edmund, który miał głos kraczącej wrony i lubił nucić hymny pułkowe oraz fragmenty kantat, koniecznie chciał śpiewać razem z nami.

Pewnego dnia podczas kolacji do ziemianki wpadł młodziutki Walijszyk, przerażony do granic hysterii.

- Panie komendancie! Panie komendancie! - zawołał do Richardsona.

- W moim schronie jest mózdzierz!

Roześmialiśmy się, rozbawieni śpiewnym walijskim akcentem chłopca.

- Uspokójcie się, Williams - powiedział Richardson. - Jak to się stało, że w waszym schronie znalazł się obiekt o tak dużych rozmiarach?

Jednakże szeregowiec Williams nie umiał niczego wyjaśnić. Powtarzał tylko bez końca:

- Panie komendancie! W moim schronie jest mózdzierz!...

Sprawę poszedł zbadać Edmund Dadd. Zameldował, że pocisk z niemieckiego mózdzierza, trafiwszy w okop, stoczył się schodami do ziemianki, wybuchł i zabił pięciu żołnierzy. Ocalał jedynie Williams, który spał osłonięty przez kolegę.

Najbardziej uprzykrzały nam życie wielkie miny rozpryskowe, metalowe beczułki z cylindrem zawierającym ze dwa funty materiału wybuchowego zwanego amonalem, który przypominał pastę łososiową, pachniał jak marcepan i grzmiał niczym trąby jerychońskie. Pustą przestrzeń wokół cylindra wypełniało żelastwo zebrane przez włościan francuskich w strefie przyfrontowej: zardzewiałe gwoździe, odłamki brytyjskich i francuskich szrapneli, stare kule karabinowe, śruby gubione na drogach przez lory. Rozbroiliśmy raz pocisk, który nie wybuchł, i wewnątrz znaleźliśmy między innymi trybiki zegara i połowę sztucznej szczęki. Miny rozpryskowe nadlatywały z piekielnym wyciem i wyglądały w powietrzu dość nieszkodliwie, ale siłą wybuchu dorównywały najcięższemu pociskom burzącym. Nie niszczyły tylko bardzo głębokich schronów, po eksplozji zaś wszędzie latały sztuczne zęby, zardzewiałe gwoździe i trybiki zegarów. Zachodziliśmy w głowę, w jaki sposób Niemcom udaje się wystrzelić pocisk takiego kalibru. Zagadka pozostała nie rozwiązana do pierwszego lipca, kiedy po ataku z tej samej pozycji batalion odkrył drewnianą haubicę wkopaną w ziemię i odpalaną lontem. Obsługa chciała się poddać, lecz nasi już od miesięcy przysięgali, że ją dostaną.

[32] *Triste, la guerre!* (franc.) — Wojna jest smutna!

Pewnego ranka (opodal placu Trafalgar, jeśli któryś z czytelników pamięta jeszcze owo skrzyżowanie rowów) Richardson, David Thomas i ja spotkaliśmy Pritcharda oraz adiutanta. Ucieliśmy sobie pogawędkę. Richardson jął się skarżyć na piekielny ogień niemieckich moździerzy okopowych.

- Już ja się nimi zajmę - wtrącił Pritchard. Jako oficer broni otrzymał niedawno dwa moździerze systemu Stokesa.

- Są cudowne - ciągnął. - Już je wypróbowałem, a jutro zaczynam strzelać. Mogę odpalić pięć pocisków naraz!

- Najwyższy czas - odezwał się adiutant. - W zeszłym miesiącu mieliśmy trzystu zabitych i rannych. Wydaje się, że mniej, bo, co dziwne, nie było wśród nich szarż. Prawdę rzekłszy, od czasu bitwy pod Loos straciliśmy pięciuset żołnierzy, ale ani jednego oficera...

Urwał, zdawszy sobie sprawę, że wywołuje wilka z lasu.

- Odpukać! - zawołał David.

Zaczęliśmy się rozglądać za kawałkiem deski, lecz był to francuski okop bez szalunku. Wyjąłem z kieszeni ołówek, uznawszy go za wystarczająco drewniany.

- E tam, nie jestem przesądny - stwierdził Richardson.

Następnego wieczoru prowadziłem kompanię A na pozycję, gdzie mieliśmy naprawiać uszkodzone rowy. Pierwszą linię obsadzały kompanie B i D. Podczas marszu dogoniliśmy kompanię C, która też szła do pracy. David, zamykający pochód, wyglądał markotnie.

- Coś nie tak? - spytałem.

- Po prostu chandra - odparł - i złapałem katar.

Kompania C pomaszzerowała na prawą flankę, my na lewą.

Była to niesamowita noc. Księżyc świecił bardzo jasno. Zaledwie pięćdziesiąt jardów od nas znajdował się niemiecki posterunek podsłuchowy. Układaliśmy worki na przedpiersiu, mając księżyc za plecami, ale nieprzyjacielskie czujki, zajęte snadź własną pracą, nie zwracały na nas uwagi. Zdarzało się, że podczas nocnych robót fortyfikacyjnych obie strony udawały, że się nie widzą. Żartowano, że Brytyjczycy i Niemcy żołnierze rozpinający na przedpolu drut kolczasty wbijają niekiedy kołki tymi samymi młotkami. Niemcy tolerowali ów stan rzeczy znacznie chętniej niż Brytyjczycy (jeżeli się nie mylę, tylko raz, nie licząc gwiazdki tysiąc dziewięćset czternastego roku, obie strony opuściły okopy w biały dzień nie otwierając ognia: w lutym pod Ypres, gdy rowy zalała woda, tak że trzeba było wyczołgać się na przedpiersie, by się nie utopić). Mimo wszystko rozpoczął się pojedynek moździerzy i granatników. Przeleciało nam nad głowami kilka pocisków, a w ciemności trudno było ustalić kierunek ich lotu. Nareszcie jednak odpłacaliśmy Niemcom tą samą monetą. Pritchard strzelał ze swoich stokesów przez cały dzień, zasypując nieprzyjaciół setkami bomb. Dwukrotnie wymacali jego stanowisko i musiał je czym prędzej zmieniać.

Kompania A pracowała od siódmej do północy. Ułożyliśmy na przedpiersiu ze trzy tysiące worków z ziemią i pięćdziesięciojardowy odcinek szańca wreszcie wyglądał jako tako. Około wpół do jedenastej na prawej flance -gruchnęła palba karabinowa i wartownicy przekazali wiadomość: „Oficer ranny”.

Richardson pośpieszył zbadać sprawę. Po powrocie powiedział:

- Dostał młody Thomas. Kula trafiła go w szyję, ale zdaje się nic mu nie jest. Nie mogła uszkodzić kręgosłupa ani tętnicy, bo poszedł o własnych siłach na punkt opatrunkowy.

Ucieszyłem się, że David opuści front i ma szansę uniknięcia nadchodzącej ofensywy, a może nawet spędzi resztę wojny w Anglii.

Skończyliśmy pracę o północy.

- Von Rankę - zwrócił się do mnie Richardson, zgodnie ze zwyczajem pułkowym przekręcając moje nazwisko na „von Rańke” - zaprowadź żołnierzy na herbatę z rumem, dobrze? Ciężko dziś na nią zapracowali. Wrócę za parę minut. Idę z kapralem Chamberlenem zobaczyć, co z oddziałem naprawiającym druty.

Kiedy prowadziłem kompanię na tyły, usłyszałem za plecami wybuchy kilku niemieckich pocisków artyleryjskich. Zwróciłem na nie uwagę, bo owej nocy w ogóle nie strzelano z dział. Kaliber określiłbym po dźwięku na pięć i dziewięć dziesiątych cala. Ledwo doszliśmy na linię zapasową na przeciwległym skłonie wzgórza, rozległo się wołanie: „Kapitan Graves ranny!”

Zrobiło się wesoło. Pomaszzerowaliśmy dalej, ale wysłałem na linię sanitariuszy z noszami, by wyjaśnili sprawę. Rannym okazał się Richardson, trafiony wraz z kapralem Chamberlenem między drutami. Chamberlen stracił nogę i w kilka dni później zmarł. Richardson ciśnięty podmuchem do leja pełnego wody leżał kilka minut ogłuszony, póki wartownicy nie usłyszeli jęków kaprała i nie zorientowali się, co się stało. Sanitariusze przynieśli Richardсона półprzytomnego, ale poznał nas, obiecał wrócić niebawem do kompanii i wydał mi dyspozycje w sprawach służby. Lekarz nie stwierdził żadnych

poważniejszych obrażeń, choć w prawym boku tkwiły pod skórą niezliczone odpryski kredy. Ucieszyliśmy się, że opuści front nie tylko David, lecz także Richardson.

Później nadeszła wiadomość, że David nie żyje. Lekarz pułkowy, w cywilu laryngolog, powiedział mu na punkcie sanitarnym:

- Nic panu nie będzie, proszę tylko nie unosić głowy przez jakiś czas.

David wyjął z kieszeni list, wręczył go felczerowi i rzekł:

- Proszę to nadać!

List adresowany był do pewnej dziewczyny z hrabstwa Glamorgan, która miała go otrzymać w razie śmierci Davida. Lekarz spostrzegł, że David się dusi, i próbował dokonać tracheotomii, lecz było już za późno.

Okolo pierwszej rozmawiałem z Edmundem w komendzie kompanii A, gdy zjawił się adiutant. Wyglądał strasznie. Zmarł Richardson, którego serce, nadwerżone wyścigami ósemek wiosłarskich w Radley, nie wytrzymało wybuchu i lodowatej wody.

- Wiecie - odezwał się nerwowo adiutant - czuję się jakby... jakby winny temu, co się stało... Wywołałem wczoraj wilka z lasu... Nie wierzę oczywiście w zabobony, ale...

W teże chwili dwadzieścia jardów od schronu gruchnęło kilka pocisków armatnich. Ktoś krzyknął rozzdzierająco i rozległo się wołanie: „Nosze!”

Adiutant zbladł jak chusta. Od razu domyśliliśmy się, co się stało. Pritchard, który toczył przez cały dzień pojedynkę ogniową z Niemcami i zdołał ich w końcu uciszyć, schodził właśnie ze służby. Nieprzyjacielski pocisk dosięgnął go w rowie dobiegowym, na skraju Reduty Klonowego Liścia. Było to trafienie bezpośrednie. Straciliśmy trzech oficerów i jednego kaprała.

Chciało nam się śmiać i płakać, gdy wróciwszy bez Richardсона do Morlancourt, zobaczyliśmy żywą babinkę, która wymamlała: *Triste, la guerrel* Córka powiedziała jej, że poległ *la jeune capitaine*[33]. Staruszka lubiła *la jeune capitaine*, a my dworowaliśmy zeń z tego powodu.

Śmierć Davida wstrząsnęła mną do głębi, lecz nie wzbudziła gniewu jak w Siegfriedzie. Pełnił obowiązki kwatermistrza i każdego wieczoru, dostarczywszy na linię żywność, polował na Niemców na patrolach. Ja czułem się po prostu pusty i zagubiony.

Jeden z hymnów śpiewanych w kasynie zaczynał się od słów: „Ten będzie zbawion, kto wytrwa do końca”. Mimo woli powtarzałem ów wers niczym zaklęcie, kiedy sprawy przybierały zły obrót. „Bodajby wokół cały lud tej ziemi - chwiał się i padał jak skoszony łąn - ona nie stanie za plecami twemi”. Była także inna śpiewka: „Dziedzictwo nieskażone... do zbawienia przez wiarę, aż w Dzień Sądu zahuczy grzmot ostatniej fanfary”. W miejsce fanfary podstawialiśmy zawsze fujarę, jak nazywano niemiecki pocisk armatni kalibru pięć i dziewięć dziesiątych cala. Ostatnia fujara oznaczała koniec wojny. Czy dożyjemy chwili, gdy rozerwie się nieszkodliwie gdzieś za nami? Zastanawiałem się, czy wytrwam do końca, wierząc w zbawienie. Byłem bliski załamania. Wydawało się nieuchronne, chyba że coś je powstrzyma. Nie, żebym się bał. Nigdy jeszcze nie straciłem głowy i nie rzuciłem się do ucieczki na oślep. Byłem pewien, że to mi nie grozi, podobnie jak szaleństwo, którego w sobie nie czułem. Zbliżało się po prostu ogólne załamanie nerwowe, z płaczem, tikami i kupą w spodniach: widywałem już takie przypadki.

Wydano nam nową maskę przeciwgazową zwaną popularnie „wybałuszoną żabą ze świńskim ryjem”. Różniła się od wcześniejszych tym, że powietrze wdychało się nosem, a wydychało przez specjalny zawór ściskany w zębach. Nie dawałem sobie z tym rady. Wskutek uprawiania pięściarstwa przekrzywiła mi się przegroda nosowa, tak że musiałem oddychać przez usta. W razie ataku gazowego nie byłbym w stanie posłużyć się maską, jedyną zabezpieczającą ponoć przed najnowszą trutką Niemców. Lekarz batalionowy zalecał jak najszybszą operację nosa.

Posłuchałem owej rady i nie było mnie w Pierwszym Batalionie, gdy rozpoczęła się spodziewana ofensywa. Poległo w niej trzech spośród pięciu moich kolegów. Marzenia Rozrzuta w wojnie ruchomej nie spełniły się, a on sam został ciężko ranny. Z chóru kompanii A ocalał tylko Morgan, który jeszcze w kilka miesięcy po zakończeniu wojny leżał ze zgruchotanym udem w szpitalu.

[33] *La jeune capitaine* (franc.) — metody kapitan.

XIX

Urlop otrzymałem w kwietniu tysiąc dziewięćset szesnastego roku. W Wielki Piątek ostatni raz w życiu poszedłem do kościoła na nabożeństwo. Później uczestniczyłem już tylko w ślubach, pogrzebach i procesjach. Data utkwiała mi w pamięci, bo chórzyci nie nosili komż, psalmy zaś czytano, nie śpiewano. Ojciec chciał, bym poszedł na jutrznię, a nawet próbował mnie do tego zmusić, lecz nie dosypiałem od trzynastu miesięcy i nie zwlokłem się z łóżka nawet wtedy, gdy przyczłapawszy o wpół do siódmej pod drzwi, zaczął tłuc pięścią i wołać, że matka ma nadzieję, iż w owym szczególnym dniu dotrzymam jej towarzystwa. Wykręciłem się bólem zęba i nie była to tylko wymówka. Dokuczał mi piekielnie jeden z trzonowców. Przy śniadaniu rodzice mieli do mnie żal i wiedziałem, że chwilowe zwycięstwo muszę okupić uczestnictwem w nabożeństwie porannym. Nie chcąc wszczynać sporu na temat religii, postanowiłem ich udobruchać. Skoro wierzą, że przy Brytyjskim Korpusie Ekspedycyjnym stoi murem sam Pan Bóg, niegrzecznie byłoby przeczyć.

Nie podejrzewałem podstępu, aczkolwiek sądziłem, że mają ochotę pochwalić się w kościele ogorzałym w bitwach synem w mundurze oficera. Ból zęba wziął jednak górę i przy śniadaniu doszło do kłótni, podczas której rozgniewałem ojca i zasmuciłem matkę. W końcu zgodziłem się iść wyłącznie przez wzgląd na nią, bo nie uczestniczyła w sporze i siedziała smutna, tylko formalnie biorąc stronę męża.

O dziewiątej rodzice poszli na górę się przebrać. Nabożeństwo rozpoczynało się o wpół do dziesiątej. Uważałem, iż jest zdumiewająco wcześniej jak na godzinki, lecz przypisałem to wojennemu pośpiechowi. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Przybył ze swoim pojazdem właściciel przedsiębiorstwa riksowego. Wyjaśnił mi, że mówił już matce, iż wszystkich jego pracowników powołano pod broń, a ostatni odwozi pewną wiekową księżną do kościoła miłą w przeciwnym kierunku. Przemknęło mi, że jest to szlachetny gest matki pod moim adresem, jednakże, choć istotnie czułem się źle, byłem przecież w stanie przejść pieszo pół mili nie robiąc z siebie kaleki. Zapomniałem o podagrze ojca i opowieści Herodota o dwu posłusznych synach, których Solon uznał w rozmowie z Krezusem za symbol absolutnej szczęśliwości, gdy zaprzęgnięci do wozu wieźli do świątyni swoją matkę kapłankę.

Kiedy zrozumiałem, co mnie czeka, wybuchnąłem śmiechem. Na schodach pojawiła się matka z książeczką do nabożeństwa, w woalce i z głęboko uduchowioną miną. Nie chciałem psuć jej dnia i ująłem bez słowa dyszel piekielnego wehikułu. Ojciec, w cylindrze i najlepszej parze bamboszy, zajął miejsce na siedzeniu. Ruszyliśmy. Riksza była nie naoliwiona, a jedno z kół, źle osadzone, suwało się po ośce. Droga biegła wyraźnie w dół, toteż jazda do kościoła, choć ciężka, okazała się lżejsza niż powrót. O wpół do jedenastej nabożeństwo nie zdawało się wcale zmierzać ku końcowi i zacząłem się nudzić jak mops, czując nieprzepartą potrzebę wyjścia do... cóż, czując nieprzepartą potrzebę wyjścia.

- Już niedługo koniec, prawda? - spytałem matkę szeptem.

- Mój kochany - odrzekła - czy ojciec ci nie mówił, że to nabożeństwo trzygodzinne? Nie chciałeś wstać i zawieźć go na jutrznię, więc przystąpi z pewnością do komunii świętej i wszystko się jeszcze przeciągnie.

Zostałem tedy w kościele, próbując klecić w myślach łacińskie epigramaty, co było moim ulubionym sposobem zabijania czasu na apelach, w fotelu dentystycznym czy na nocnej służbie w spokojnym sektorze. Ułożyłem jadovitą satyrę na pieczystego młodego wikarego. On, ja, ojciec, zakrystian i sędziwy starzec ze sparaliżowaną ręką siedzący tuż przede mną byliśmy jedynymi mężczyznami wśród około siedemdziesięciu kobiet. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy „i” w słowie *clericus* jest długie czy krótkie. Nie miało to zresztą znaczenia, bo przygotowałem odpowiedni wariant na każdą ewentualność:

O si bracchipotens qui fulminat ore clericus...

oraz

O si bracchipotens clericus qui fulminat ore... ^[34]

Wygłaszał akurat grzmiące kazanie o ofierze Chrystusowej, wychwalając bohaterstwo naszych synów i braci we Francji. Postanowiłem spytać go po nabożeństwie, dlaczego sam nie jest wobec tego we Francji.

Aby sprawić matce przyjemność, przyjąłem komunię świętą, mimo że nie czułem w sobie ani krzty wymaganej pokory. To już wszystkie wydarzenia owego dnia, choć po wyjściu z kościoła rodzice przedstawili mnie jeszcze swoim nowym przyjaciółom. („Czytaliśmy pańskie listy z frontu. Są fascynujące. Proszę nam powiedzieć...”)

[34] *O si bracchipotens...* (lac.) — O, jeśli kapłan potężny, ktcSrego usta miotują gromy...

Wróciliśmy do domu. Matka pomogła mi ciągnąć pod górę ojca, który hołubił książeczkę do nabożeństwa. Spociłem się jak mysz.

Nazajutrz udałem się do dentysty, a stamtąd do szpitala wojskowego w Milbank w Londynie, gdzie zoperowano mi za darmo nos. W czasie pokoju zabieg kosztowałby sześćdziesiąt gwinei, a za pobyt w domu ozdrowieńców musiałbym zapłacić jeszcze dwadzieścia. Mógłbym co prawda sam wybrać specjalistę. Chirurg wojskowy spartolił robotę i nadal nie mogę oddychać jednym nozdrzem.

Po wyjściu ze szpitala pojechałem do Harlech, gdzie wędrowałem po górach. Innym zaklęciem przeciwko nieszczęściu był werset psalmu: „Podnosiłem oczy moje na góry, skąd mi przyjdzie pomoc” ^[35], choć dziś już wiem, że druga część jest po hebrajsku pytaniem, nie zaś zdaniem podrzędnym. Od matki, właścicielki kilkunastu domów w Harlech, odkupiłem dwupokojową chatynkę. Był to akt buntu przeciwko wojnie, bo nabyłem ją z myślą o „dniu, gdy umilkną działa”, jak wyobrażaliśmy sobie zawsze koniec wojny. Stała w pewnej odległości od wioski. Pobieliłem ją wapnem i wyposażylem w stół, fotel, łóżko, parę talerzy i przybory do gotowania. Postanowiłem osiąść w niej po wojnie i poświęcić się poezji, żywiąc się chlebem, masłem, jajecznicą na wędzonce, sałatą, kapustą i kawą. Odprawa, jaką otrzymam po demobilizacji, starczy co najmniej na kilka lat. Podziwiając z oszklonej werandy lesiste stoki ciągnące się aż do rozległej równiny nadmorskiej, napisałem parę wierszy, które później wyrzuciłem, choć miały stanowić przedsmak przyszłej sielanki.

Kiedy wróciłem do Londynu, ojciec zabrał mnie na przyjęcie w Czcigodnym Towarzystwie Cymmrodorion - walijskim klubie literackim - gdzie przemawiali Lloyd George, ówczesny minister wojny, i William Morris Hughes, premier Australii. Hughes mówił żywo i treściwie, Lloyd George zaś bujał w obłokach, perorując o pięknie gór walijskich. Zdumiała mnie jego elokwencja. Przed oczarowaniem, któremu uległa reszta publiczności, obroniłem się z największym trudem, choć mowa była banalna, błaha i częściowo niezgodna z prawdą. Lloyd George czerpał ze słuchaczy natchnienie, które im się udzielało. Później, gdy ojciec mi go przedstawił, jego oczy wydały mi się oczami lunatyka.

Otrzymałem translokację do Trzeciego Batalionu, przerzuconego tymczasem z Wrexham do Litherlandu pod Liverpoolem jako uzupełnienie obrony terytorialnej ujścia Mersey. Przełożeni nie przeciążali mnie łaskawie pracą i spotkałem trzech kolegów z kadry, dla których wojna już się skończyła, bo odnieśli ciężkie rany (traf chciał, że wszyscy w lewe udo). Z dwoma, Frankiem Jonesem-Batemanem i „Ojczulkiem” Watkinem, służyłem w Regimencie Walijskim, a trzecim był Aubrey Attwater, zastępca adiutanta, przydzielony na początku tysiąc dziewięćset piętnastego roku do Drugiego Batalionu i ciężko ranny na patrolu. Attwatera, dawnego studenta Cambridge, przezywano w batalionie Mózgiem. Majorzy pospolitego ruszenia, w większości ziemianie walijscy, którzy zajmowali się przed wojną jedynie myślistwem, wędkarstwem i ściąganiem czynszu od dzierżawców, przepadali za erudycyjnymi gawędami Attwatera nad kieliszkiem porto. Sierżant Malley, podoficer kasynowy, obchodził stół pytając: „Który rocznik, panie majorze?”, a starszyzna zachęcała Attwatera: „No, Mózg, proszę nam opowiedzieć o Szekspirze. Czy to prawda, że wszystko napisał Bacon?” Albo: „Ale, ale, Mózg, co pan sądzi o tym Hilaire'em Bellocu? Czy trafnie przewiduje koniec wojny?” Attwater śmiał się, że pełni w batalionie rolę chodzącej encyklopedii. Innym przyjacielem, którego witałem zawsze z radością, był sierżant Malley, nalewający do kieliszka więcej wina niż jakikolwiek kelner świata. Nie uronił nigdy kropelki, choć trunek wybrzuszał się niczym czapeczka.

Środowy wieczór był w kasynie dniem otwartym, a komendant wymagał obecności oficerów żonatyh, którzy stołowali się zazwyczaj w domu. Orkiestranci grali wówczas za kotarą utwory Gilberta i Sullivana, w przerwach zaś produkował się niezdarnie harfiarz pułkowy, brzdąkając melodie walijskie. Kapelmistrza zapraszano później do stołu starszyny, gdzie otrzymywał w nagrodę kieliszek wina wybranego rocznika. Po odejściu kapelmistrza i subalternów wypijano morze porto, a rozmowa, z początku sztywne, stawała się coraz bardziej bezładna i poufała. Pamiętam, jak pewien wiekowy major stwierdził tonem nie znoszącym sprzeciwu, że każdy myśliwy albo koniarz złamał przynajmniej raz w życiu uświęcone prawidła sportu. Poproszony o uzasadnienie owej kalumnii, wypytał wszystkich obecnych pod słowem honoru.

Jeden z oficerów przyznał sploniony, że strzelał ongiś kuropatwy dwa dni przed Trzema Królami: „Płynąłem nazajutrz do Indii i była to ostatnia sposobność”. Inny powiedział, iż jako sztubak zabił kamieniem bazanta, choć zdawał już sobie sprawę z ohydy owego postępku. Następny wybrał się w Sandhurst na pstrągi z kłusownikiem i zatrzał strumień wilczą jagodą. Najokropniejszy grzech miał na sumieniu major czasu wojny, w cywilu właściciel ziemski.

[35] Księga Psalmów, CXXI, 1. Przełożył Jakub Wujek.

W jego majątku rozpleniły się lisy, a ponieważ najbliższe koło łowieckie leżało w odległości trzydziestu mil, pozwolił rządcy strzec kurnika ze strzelbą w ręku. Przyszła kolej na lekarza pułkowego, który rzekł:

- Kiedy studiowałem na Uniwersytecie St. Andrews, kolega dał mi raz pół funta i poprosił, żebym obstał w jego imieniu konia biegnącego w gonitwie w Lincoln. Nie zdążyłem znaleźć bukmachera. Koń przegrał, ale nie oddałem pieniędzy.

W teże chwili ożywił się nagle jeden z gości, oficer Przybocznego Regimentu Szkockich Strzelców Kresowych. Zerwał się z fotela i pochylił nad stołem, zaciskając pięści.

- A czy koń nie nazywał się przypadkiem Strathspey?! Żądam, żebyś mi natychmiast zwrócił moje pół funta!

Fabrykę Brothertona, zagrożoną eksplozją materiałów wybuchowych, oddzielał od obozu jedynie poligon ćwiczebny. Robotnicy zatrudnieni przy wyrobie trotylu mieli wiecznie żółte twarze i ręce, za co otrzymywali odpowiednio wysokie płace. Attwater spierał się w kasynie, co się stanie, jeśli zakład wyleci w powietrze. Większość z nas twierdziła, że wybuch zabije trzy tysiące żołnierzy w obozie, zniszczy Litherland i dużą część Bootle. Attwater utrzymywał, że ocalejemy właśnie dzięki bliskości fabryki, bo fala uderzeniowa przejdzie górą i porazi duży skład amunicji w odległości mili, który także wyleci w powietrze. Pewnego niedzielnego popołudnia wykuśtykał z kasyna i spostrzegł nad fabryką dym. Zaproszono ogień. Kazał natychmiast zatrzeć na obozową służbę pożarniczą, która ugasiła płomienie, nim dotarły do magazynów trotylu, tak że spór pozostał nie rozstrzygnięty.

Język walijski słyszało się teraz w barakach równie często jak angielski, bo Kościół oddał swoich wiernych do dyspozycji Lloyda George'a. Pewnego ranka przybyła do mnie delegacja rekrutów z Harlech, którzy oświadczyli z namaszczeniem:

- Panie kapitanie, meldujemy posłusznie, że brzydzimy się sierżantem naszej kompanii. Błuzni, złorzeczy, pije, pali i jest człowiekiem niskiego stanu.

Kazałem im przedłożyć skargę w przepisowej formie, czyli za pośrednictwem podoficera. Więcej się nie pokazali.

Do AttWatera przyszła deputacja duszpasterzy walijskich, którzy żalili się, że podoficerowie klną. Attwater przyznał, iż przeklinanie na apelu jest sprzeczne z regulaminem, ale zwrócił kapłanom uwagę, że od czasu, gdy ich niewinne owieczki rozpoczęły szkolenie w obozie, prawie dwukrotnie wzrosła liczba powołań do stanu duchownego.

Służyłem w Litherlandzie tylko przez kilka tygodni. Kiedy pierwszego lipca tysiąc dziewięćset szesnatego roku rozgorzała bitwa nad Sommą, wszystkich przeszkolonych żołnierzy i oficerów wysłano do Francji jako uzupełnienia. Podczas jazdy na front pomagałem maszyniście francuskiego parowozu, co dało mi mnóstwo uciechy. Spełniło się w ten sposób marzenie mego dzieciństwa, choć byłem gorzko rozczarowany, gdyż przydzielono mnie do Batalionu Drugiego, nie zaś Pierwszego.

Drugi Batalion zajmował okopy w Givenchy, nad brzegiem kanału, naprzeciwko cegielni w Cuinchy. Przybyłem na linię piątego lipca, gdy nasze oddziały dokonały wypadu. Rowami prowadzono jeńców, którzy szwargotali między sobą z przerażonymi minami. Byli to Saksończycy, przerzuceni dopiero, co na front po odpoczynku na tyłach i tygodniowym urlopie w kraju. Mieli nowiutkie mundury, a tornistry świetnie nadające się do spłądowania. Sierżant kompanii C, pochodzący z Birminghamu, znalazł w jednym plik sprośnych fotografii i uraczył właściciela srogim paternoster.

Wypad miał charakter odwetowy. Zaledwie kilka dni wcześniej Niemcy odpalili największą minę wysadzoną jak dotąd na froncie zachodnim. Ofiarą padła nasza kompania B: kompanie B miały przysłowiowego pecha. Tej, zwany później Kraterem Czerwonego Smoka od godła pułkowego Fizylierów Królewskich z Waliey, miał średnicę około trzydziestu jardów.. Z kompanii B nie ocalał prawie nikt. Niemcy ruszyli natychmiast do natarcia, by wykorzystać zamęt i zaskoczyć resztę batalionu. Atak odparł Stanway, sierżant kompanijny z czasów bitwy pod Mons awansowany na majora, który zebrał na skrzydle kilkunastu żołnierzy. Blair, komendant kompanii B i weteran wojny burskiej, zasypywany wybuchem po szyję, tkwił przez cały dzień pod ostrzałem. Mimo to przeżył, wylizał się z ran i po paru miesiącach wrócił do batalionu.

Wycieczka była zemstą Stanwaya. Plan, opracowany nadzwyczaj starannie wraz z pułkownikiem „Tibsem” Crawshayem - adiutantem kadry, który wysłał mnie ongiś do Francji - obejmował przygotowanie artyleryjskie i flankową zasłonę dymną. Baterie ostrzeliwały szrapnelami na przemian pierwszą i drugą linię Niemców. Chodziło o to, by po rozpoczęciu kanonady zbiegli do głębinowych schronów podziemnych, zostawiając na pozycji jedynie wartowników. Po przesunięciu się ognia mieli wybiec na powierzchnię, a chwilę potem, spłoszeni nową falą pocisków, znów popędzić na dół. Po kilkakrotnym powtórzeniu całej operacji powinni opuszczać schrony wolniej niż za pierwszym razem. Później, pod

osłoną dymu, rozpoczęło się natarcie, a wał ogniowy przesunął się na drugą i trzecią linię, by nie dopuszczać posiłków.

Mój udział w ataku, który zakończył się wielkim sukcesem, polegał jedynie na sporządzeniu na rozkaz Crawshaya szczegółowej relacji - nie raportu dla komendy dywizji, lecz notatki historycznej do archiwum pułkowego w kadrze. Napisałem, że regiment posłużył się osiemnastowiecznymi pikami: niektórzy uczestnicy wypadu zastąpili karabiny nożami rzeźniczymi przymocowanymi plastrem do kijów od mioteł. Piki tego rodzaju, lżejsze od karabinów z bagnetem, dobrze uzupełniały granaty i rewolwery.

Inny opis ataku sporządził rządowy korespondent wojenny ze sztabu dywizji. Podobała nam się wzmianka, że żołnierze ruszyli do natarcia wołając: „Za Kitchenera!” i „Pomścimy «Luzytanię!»”

- Jak można wrzeszczeć takie bzdury - skrzywił się ktoś. - Staruszek Kitchener był tylko użytecznym figurantem i w Ministerstwie Wojny nikt go podobno nie żałuje. Co do „Luzytanii”, Niemcy wyraźnie ostrzegali jankesów. Zresztą jeśli jej zatopienie wciągnie Amerykę do wojny, bardzo dobrze się stało.

Po bitwie pod Loos zmienił się prawie cały korpus oficerski Drugiego Batalionu, a kasyno w Laventie pamiętał tylko Yates, kwatermistrz, i Robertson, ówczesny adiutant, który niebawem poległ. Spodziewałem się tedy cieplejszego powitania. Jednakże, jak zanotował w swoim dzienniku doktor Dunn, lekarz batalionowy (wspomniał mi o tym później): „Gravesa przyjęto chłodno, co mnie dziwi”. Przyczyna była prosta. Jeden z oficerów, którzy wstąpili do Trzeciego Batalionu w sierpniu tysiąc dziewięćset czternastego roku i otrzymali przydziały do Francji przede mną jako zdolniejsi, zrealizował wreszcie marzenie o patencie oficera kadrowego. Był wskutek tego zaledwie podporucznikiem i gorzko zazdrościł mi dwu dodatkowych gwiazdek. Kiedy wygłosił przy kolegach złośliwą uwagę o kapitanach z awansu, nie kazałem go aresztować, jak powinienem był zrobić, lecz zacytowałem mu na pociechę wierszyk:

Duma przyczyną, nie zaś brak talentu,
Że mi się więcej dystynkcji nic marzy.
Na niezmiernym stropie firmamentu
Jedna się gwiazda dniem i nocą jarzy.

Nie spotkaliśmy się dotąd we Francji, a teraz wyjątkowo perfidnie przypomniał kolegom podejrzenie, że jestem niemieckim szpiegiem, jakie zrodziło się ongiś we Wrexham wskutek brzmienia mego nazwiska. W rezultacie wszyscy oficerowie, którzy nie służyli ze mną na linii, odnosili się do mnie z wielką rezerwą. Najsłynniejszy szpieg niemiecki schwyty w Anglii przybrał niefortunnie nazwisko Carl Graves. Mój wróg rozповідаł, że jesteśmy braćmi. Pocieszałem się myślą, iż zbliża się kolejna bitwa, która położy kres podejrzeniom albo memu życiu, chyba że jakiś podoficer otrzyma rozkaz zastrzelenia mnie przy najmniejszej oznace zdrady. Takie przypadki się zdarzały.

Sam nie utrzymywałem żadnych kontaktów z Niemcami, ale matka korespondowała sporadycznie z siostrami w Niemczech za pośrednictwem ciotki, Clary von Faber du Faur, żony konsula niemieckiego w Zurychu. Zawiadamiały się o śmierci krewnych i wspominały dyskretnie o służbie wojskowej tych, co przeżyli. Zgodnie z rządowym zaleceniem adresowanym do wszystkich Niemców posiadających krewnych lub przyjaciół za granicą ciotki przedstawiały swój kraj jako niewinną ofiarę machinacji Francji i Rosji, które doprowadziły do wybuchu wojny. Matka, żarliwa stronniczka ententy, odpisała, że są zaślepione, lecz im przebacza.

Największą sympatią darzyłem w batalionie Robertsona, pułkownika Crawshaya i doktora Dunna. Ten ostatni, zawzięty Szkot, uczestniczył jako prosty żołnierz w wojnie burskiej i zdobył Medal za Odwagę. Był czymś więcej niż tylko lekarzem, bo kwaterował przy komendzie batalionu i stał się prawą ręką kilku kolejnych dowódców. Ci, co nie słuchali jego rad, zwykle później tego żalowali. Jesienią tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, gdy pocisk niemiecki trafił w schron sztabowy i zabił komendanta, adiutanta i oficera łączności, Dunn objął bez wahania dowództwo, przekazawszy lazaret podoficerowi sanitarnemu. Żołnierze głęboko poważali doktora, który zasłużył nie na jeden, lecz kilka Krzyży Walecznych.

XX

W cztery dni po wypadzie przemaszerowaliśmy przez Bethune, poharatane przez artylerię i prawie wyludnione, i doszliśmy do Fouquieres, skąd przerzucono nas pociągiem nad Sommę. Wysiedliśmy na stacyjce pod Amiens. Odbywszy niespieszny marsz etapowy przez Cardonette, Daours i Buire, czternastego lipca dotarliśmy do dawnej linii frontu opodal miejsca, gdzie polegli David Thomas, Richardson i Pritchard. Front posunął się dwie mile naprzód. Piętnastego lipca o czwartej rano wkroczyliśmy na drogę z Meaulte do Bazentin, wiodącą tak zwaną Szczęśliwą Doliną, i dotarliśmy do rejonu ostatnich walk. W półmroku miały nas tłumy rannych i jeńców. Wstrząsnął mną widok martwych koni i mułów: trupy ludzkie nie robiły już na mnie wrażenia, lecz znęcanie się nad zwierzętami wydało mi się wstrętne. Maszerowaliśmy kolumnami plutonowymi w pięćdziesięciojardowych odstępach. Tuż za Fricourt ogień zaporowy Niemców uczynił gościniec niemożliwym do przebycia, toteż skręciwszy w bok, ruszyliśmy naprzód polem usianym lejami. O ósmej rano zatrzymaliśmy się na skraju lasu Mametz, wśród trupów jego zdobywców, żołnierzy naszych batalionów ochotniczych. Panowała gęsta mgła. Niemcy strzelali pociskami z gazem gryzącym, który ścielił się nad ziemią, wywołując kaszel. Próbowaliśmy palić, ale papierosy czuć było gazem, więc je wyrzuciliśmy. Przeklinaliśmy później własną głupotę, bo wszak to nie tytoń uległ skażeniu, tylko nasze gardła.

Kiedy mgła się roziała, ujrzeliśmy zdobyczne działo z kredowym napisem „Pierwszy Baon Fizylierów Królewskich z Waliey”. Zacząłem się niepokoić o Siegfrieda i przyjaciół z kompanii A. Wkrótce potem natknęliśmy się na biwak Pierwszego Batalionu: Siegfried przeżył, podobnie jak Edmund Dadd i dwaj inni subalternowie mojego dawnego pododdziału. Batalion toczył był zażarte boje i podczas pierwszego ataku na Fricourt rozbił swój niemiecki odpowiednik, Dwudziesty Trzeci Regiment Piechoty Liniowej, który pchnięto karnie na linię, gdy inspekcjonujący generał odkrył, że cały korpus oficerski zaszył się w głębinowym schronie podziemnym w wiosce Mametz zamiast walczyć (Edmund Dadd mówił mi, że w okresie marcowych roztopów widywało się na pozycji co najwyżej kaprali niemieckich). Następnym obiektem natarcia stanowił tak zwany Szaniec Czworoboczny w zagajniku na zachodnim skraju lasu Mametz, gdzie Siegfried rozprawił się w pojedynkę z nieprzyjacielskim batalionem, na którym poprzedniego dnia połamał sobie zęby Królewski Regiment Irlandzkiej Piechoty Liniowej. Siegfried ruszył w biały dzień do ataku pod osłoną dwóch karabinów i przegnał Niemców granatami. Niepotrzebna brawura, bo zamiast wezwać racą posiłki, usiadł w rowie i jął czytać przyniesiony tomik poezji. Kiedy w końcu wrócił, nie złożył nawet raportu. Pułkownik Stockwell, ówczesny komendant, szalał. Atak na las Mametz opóźnił się o dwie godziny, ponieważ meldowano, że nie wróciły patrole brytyjskie. Patrolami brytyjskimi okazał się Siegfried i tom wierszy. „Gdybyście mieli więcej rozumu, dałbym wam Krzyż Walecznych!!!” - pieniał się Stockwell. Odkąd opuściłem batalion, Siegfried zasłynął z męstwa. W Siódmej Dywizji Piechoty przezywano go Szalonym Jackiem. Z leja koło pozycji Niemców wyniósł pod huraganowym ogniem kontuzjowanego kaprala, za co otrzymał Krzyż Wojenny. Nie spotkaliśmy się tym razem, bo wypoczywał akurat w taborach, lecz przesłałem mu przez furiera rymowany liścik o wspaniałej przyszłości, jaka nas czeka po wojnie. Po wakacjach w Harlech ruszymy przez Kaukaz do Persji i Chin, pisząc po drodze znakomite poezje. Była to odpowiedź na wierszowaną epistołę przesłaną mi kilka tygodni wcześniej z kursu doskonalącego we Flixecourt (ukazała się w *Starym lowcy*).

Wybrałem się na przechadzkę z Edmundem Daddem, który dowodził kompanią A.

- To niesprawiedliwe, Robercie - odezwał się płacziwie Edmund.

- Za Richardsona kompania A miała w batalionie opinię najlepszej, pamiętasz? Nic się nie zmieniło i Stockwell posyła nas ciągle w pierwszym rzucie. Zdobywamy i utrzymujemy każdy obiekt ataku, więc mamy tylko nacierać i nacierać. Najgorsze, że uważa mnie za niezastąpionego. Wysyła mnie bez przerwy do przodu zamiast dać mi odpocząć i wypróbować mojego zastępcę. W ciągu ostatnich dwóch tygodni dowodziłem pięcioma atakami i nie mogę mieć dłuższej tyle szczęścia. Stockwell stoi w kolejce po Order Łażni. Zdaje się, że chce go dostać dzięki kompanii A.

Następne dwa dni spędziliśmy biwakując na skraju lasu Mametz. Byliśmy tylko w drelichach polowych i nocą przejmował nas ziąb, ptm/cdłem tedy szukać w lesie niemieckich płaszczy nadających się na koce. Wszędzie wały się trupy: rośli piechurzy Zapasowej Dywizji (gwardii Pruskiej, niepozorni żołnierze batalionów ochotniczych Fizylierów Królewskich z Waliey i Regimentu Strzelców Kresowych z Południowej Walii. Ani jedno drzewo nie było całe. Zabrałem szynele i czym prędzej odszedłem, przedzierając się przez płataninę zielonych gałęzi. Idąc tam i z powrotem jedyną nie zatarasowaną ścieżką, minąłem wzdęte i cuchnące zwłoki Niemca opartego o pień. Miał zielonkawą Iwarz, binokle, włosy ostrzyżone na jeża, nos i brodę pokryte kroplami ukrzepłej krwi. Natknąłem się na inny niezapomniany

widok: dwaj nczrcgowi, pierwszy z Regimentu Strzelców Kresowych z Południowej Walii, a drugi z niemieckiego Regimentu Szkolnego, przeszli się jednocześnie bagnetami. Ocalały świadek bitwy opowiadał mi później, że młodzutki żołnierz Czternastego Batalionu Fizylierów Królewskich z Waliey zadzął Niemca jak na ćwiczeniach, wykrzykując odruchowo: „Pchnij! Odbij! Kłuj!”

Obdzieranie trupów i zbieranie pamiątek uważałem nadal za przynoszące nieszczęście. „Te płaszcze to tylko pożyczka” - mówiłem sobie. Nasz batalion wchodził w skład Dziewiętnastej Brygady, stanowiącej odwód Trzydziestej Trzeciej Dywizji Piechoty. Dwie pozostałe brygady dywizji, Dziewięćdziesiąta Dziewiąta i Setna, zaatakowały przed dwoma dniami Martinpuich, ale utknęły tuż po rozpoczęciu szturm, ponosząc ogromne nraty. Nam pozostało tylko siedzenie w lejach i gapienie się na plujące Daniem lufy naszych dział, których ściągnięto tyle, że stykały się niemal kolami. Osiemnastego lipca zajęliśmy bardziej wysuniętą pozycję na północnym skraju Bazentin-le-Petit i zluzowaliśmy Regiment Irlandzkiej Piechoty Liniowej znad Tyne. Przydzielono mnie do kompanii D. Nasz irlandzki przewodnik zmylił ze zdenerwowania drogę, więc aresztowaliśmy Ho i odnaleźliśmy ją sami. Idąc przez ruiny Bazentin-le-Petit, dostaliśmy się pod ostrzał pocisków gazowych. Instrukcja głosiła, że w razie ataku pociskami gazowymi nie należy nakładać masek, lecz przeć do przodu. Straciliśmy pół tuzina żołnierzy, bo jak dotąd strzelano do nas tylko pociskami z gazem gryzącym, te zaś były śmiertelne.

Kiedy kompania D dotarła wreszcie do okopów, wygrzebanych wzdłuż drogi i głębokich zaledwie na trzy stopy, przetrzebiony oddział Irlandczyków, których mieliśmy zluzować, dał czym prędzej drapaka, nie dopełniając zwyczajowych formalności. Spytałem oficera, gdzie są Niemcy. Odparł, że nie wie, ale wykonał nieokreślony gest w stronę Martinpuich, milę przed nami. Zapytałem, kto sąsiaduje z nami na lewym skrzydle. Nie miał pojęcia. Kiedy odchodził, przeklinałem go na czym świat stoi. Nawiazawszy łączność z kompanią C, okopaną nieco z tyłu na prawej flance, i Czwartym Batalionem Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa Suffolk pięćdziesiąt jardów po lewej, zaczęliśmy pogłębiać rowy i nagle spostrzegliśmy Niemców. Zdejmowali labirynt chodników pięćset jardów przed nami i zachowywali się dość spokojnie.

Następnego dnia w porze obiadowej wzięła nas pod ostrzał ciężka artyleria. Pociski orały grunt pięć jardów przed okopem i pięć jardów za nim, lecz nie mogły jakoś trafić w środek. Wstrząsy trzy razy z rzędu wylały mi herbatę, a kubek wypełnił się ziemią. Byłem czemuś w wesołym nastroju i tylko się roześmiałem. Znacznie ważniejsza od kanonady wydawała mi się paczka wędzonych śledzi przysłana z domu. Przypomniałem sobie z uznaniem jedno z powiedzonek matki: „Dzieci, pamiętajcie, że piklingi są tanie, ale nawet gdyby kosztowały sto gwinei sztuka, i tak znaleźliby się milionerzy, co by je kupowali”. Do okopu przyleciała oswojona sroka należąca prawdopodobnie do Niemców wypartych kilka dni temu z wioski przez Regiment Góralski Szkoekich Gordona. Wyglądała żałośnie. „Jak się masz, bidulko?” - spytałem. Żołnierze przysięgali, że po przyłączeniu się do nas zaskrzeczała po niemiecku, i chcieli jej skrócić kark.

Odbyłem już służbę, zasnąłem więc na dnie rowu, nie czekając na zakończenie bombardowania. Śmierć we śnie nie mogła być gorsza niż na jawie. Schronów oczywiście nie było. Spanie pod ogniem nie sprawiało mi żadnych trudności: zdawałem sobie sprawę z huk, lecz puszczałem go mimo uszu. Mimo to zrywałem się natychmiast, gdy budzono mnie na dyżur lub rozlegał się okrzyk „Alarm!” Mogłem spać na stojąco, siedząco, w marszu, na kamiennej posadzce, w dowolnej pozycji, o każdej porze dnia i nocy. Tym razem jednak dręczył mnie koszmar: ktoś mnie ukradkiem obmacywał, wybierając miejsce, by wbić nóż. W końcu ucałił mnie za kark. Zbudziłem się z krzykiem, grzmotnąłem pięścią w dłoń mordercy - i okazało się, że zabiłem mysz polną, która wpełzła mi za kołnierz ze strachu przed pociskami.

Po południu kompania otrzymała z brygady rozkaz wzniesienia dwu krzyży obronnych. Miały się znajdować w miejscach o wyznaczonych współrzędnych. Ja i Moodie, komendant kompanii, spojrzeliśmy na mapę i wybuchliśmy śmiechem. Moodie wysłał do sztabu odpowiedź, że chętnie wykona rozkaz, ale potrzebuje wsparcia artyleryjskiego i znacznych posiłków. Wybrane punkty, leżące w pół drogi do Martinpuich, były w posiadaniu nieprzyjaciela. Potwierdził to pułkownik Crawshay, który przybył na linię i rozkazał zbudować fortyfikacje trzysta jardów przed nami w odstępach dwustu jardów. Jeden pluton został tedy / tyłu, a dwa wyszły na przedpole kopać rowy. Krzyż obronny składa się z dwóch trzydziestojardowych chodników przecinających się w środku pod kątem prostym i otoczonych zasiekami z drutu kolczastego. Załoga może odpierać ataki ze wszystkich stron. Każde stanowisko obsadza pluton wyposażony w karabin maszynowy systemu I ewisa.

Miałem owej nocy służbę jako pierwszy i dokonywałem co pewien czas inspekcji robót. Do prawego krzyża szło się gościńcem z Bazentin do Wysokiego Lasu. Była pełnia księżyca. Pośrodku drogi, między głębokimi koleinami wyłobionymi przez furgony, leżał na wznak martwy sierżant niemiecki z rozrzuconymi szeroko ramionami, w tornistrze i pełnym i ililadowaniu. Był to krępy, potężnie zbudowany

mężczyzna z długą czarną brodą. Mijając ową groźną postać, uczulem zabobonny lęk i przeżegnałem się odruchowo. Zdaje się, że gościniec zdobyła jedna z brygad Siódmej Dywizji, po czym wzięły go pod ostrzał ciężkie baterie niemieckie.

Obrońcy, Górale Szkoccy Gordona, próbowali się okopać na północnym skraju naprzeciwko Niemców, lecz przeszkodziło im przeciwnatarcie. Kanni Szkoci wczółgali się do płytkich zagłębień w ziemi i umarli z tkwiącymi w nich głowami i ramionami. Wyglądało, jakby się kryli przed czarnobrodym.

Podczas drugiej lustracji krzyża stwierdziłem, że rowy mają głębokość kilku stóp, a na miejscu czeka pododdział saperów ze szpulami drutu kolczastego. Nagle praca ustała. Dokoła rozległy się szepty: „Gotuj broń! Fyce idą!” Uniosłem się na łokciach, by lepiej widzieć, i w odległości około siedemdziesięciu jardów dostrzegłem w blasku księżycy tłum postaci. Powstrzymałem żołnierzy, którzy palili się do otwarcia ognia, i pchnąłem do Moodie’ego gońca z prośbą o natychmiastowe przysłanie karabinu maszynowego i raketnicy. „Prawdopodobnie nie wiedzą, że tu jesteśmy, więc jak damy im się zbliżyć, wytluczemy ich więcej - powiedziałem.

Może się nawet poddadzą?” Zachowywali się, jakby nie mieli dowódcy; zastanawialiśmy się, dlaczego. Ostatnio poddało się nocą kilku Niemców i mógł to być podobny wypadek na wielką skalę. Po chwili pojawił się

Moodie z karabinem Lewisa, pistoletem raketowym i sekcją grenadierów. Postanowiwszy dać nieprzyjaciółom szansę, wystrzelił w niebo racę i puścił im nad głowami serię z karabinu. Rosły oficer, który podbiegł do nas z uniesionymi rękoma, wydawał się zdumiony, że nie jesteśmy Niemcami. Krzyknął, że służy w Batalionie Gimnazjalnym, wchodzącym w skład naszej brygady. Spytany, co u licha robi na przedpolu, odparł, że dowodzi patrolem rekonesansowym. Moodie posłał go po kilku żołnierzy, by się upewnić, że to nie podstęp. Patrol składał się z pięćdziesięciu ludzi, którzy snuli się bez celu między pozycjami z karabinami zarzuconymi na ramię, nie mając zielonego pojęcia, gdzie są i czego szukają. Batalion ów stanowił jedną z kilku bliźniaczych jednostek sformowanych w tysiąc dziewięćset czternastym roku. Nieustannie wycofywano z nich duże kontyngenty rekrutów, którymi uzupełniano korpusy oficerskie innych oddziałów, aż w końcu pozostali jedynie ludzie niezdatni na oficerów, a nawet szeregowców. Inne bataliony gimnazjalne pozostały w Anglii jako garnizony, do Francji zaś przerzucono tylko nasz, który przysparzał brygadzie samych kłopotów.

Znalazłem owej nocy pamiątkę. Nasz szrapnel zabił obsługę niemieckiego działa, które pędziło z Bazentin do Martinpuich. Woźnica i konie leżeli na drodze martwi. W jaszczu znajdowały się skarby kanoniera, między innymi duża bryła kredy owinięta w płótno, ozdobiona pokolorowanymi flagami państw centralnych, hasłami bojowymi i wykazem bitew, w których artylerzysta uczestniczył. Posłałem rzeźbę do sztabu doktorowi Dunnowi. Obaj przeżyliśmy wojnę, a Dunn ma obecnie praktykę w Glasgow i trofeum spoczywa w szklanej gablocie w jego gabinecie.

Nazajutrz, wieczorem dziewiętnastego lipca, ściągnięto nas na tyły i poinformowano, że zaatakujemy Wysoki Las, widoczny w odległości około tysiąca jardów na wzniesieniu na prawym skrzydle. Wysoki Las, zwany przez Francuzów Lasem Kruków, stanowił część głównej linii niemieckiej, biegnącej grzbietami wzgórz i przecinającej dalej na prawo las Delville. Szturmowały go już dwie brygady brytyjskie, ale oba ataki odparto. Fizyliery Królewscy z Waliey ponieśli takie straty, że liczyli obecnie zaledwie czterystu żołnierzy, łącznie z taborytami, sanitariuszami, kucharzami i innymi służbami pomocniczymi. Objąłem komendę nad kompanią B.

Zachowałem batalionowy rozkaz dzienny wydany o północy:

Do dowódcy kompanii B Drugiego Batalionu Fizyliarów Królewskich z Waliey. 20 lipca 1916 roku

	Zgodnie	z	poprzednimi
dyspozycjami	kompanie	A, B, C, D	złuzują
w	kwadracie	S14b	Górali
Szkockich	Cameron	XXX	
	Kompanie	A, B, C, D	zajmą
rubież	walki	w	następujących
godzinach:			
	kompania A	godz. 12.30	
	kompania B	godz. 12.45	
	kompania C	godz. 13.00	

	kompania D	godz. 13.15	XXX
	O	godzinie	14.00
dowódcy	kompanii	A, B, C, D	zameldują
XIV	u	komendanta	batalionu
na	rozstajach	o	współrzędnych
S14b 99	XXX		
	Po	dotarciu	na
linię	żołnierze	pozostaną	do
odwołania	w ostrym	pogotowiu	bojowym
XXX			

Współrzędne S14b 99 oznaczały cmentarz w Bazentin. Leżeliśmy na zboczu niewielkiego pagórka około mili od Wysokiego Lasu. Poszedłem na odprawę dowódców, a pułkownik Crawshay zapoznał nas z planem ataku.

- Posłuchajcie - rzekł. - Tym razem stoimy w odwodzie. W pierwszym rzucie idą Górale Szkoccy Camerona i Piąty Batalion Strzelców Szkoekich. Ruszają o piątej rano. W razie potrzeby wesprze ich Batalion Gimnazjalny. Nie wiem, czy każą nam atakować, ale jeśli tak, to znaczy, że Szkoci nawiali. Jak zwykle - dorzucił, dając wyraz naszym uprzedzeniom.

- Batalion Gimnazjalny jest... Cóż, wiecie sami, więc jeśli nas wezwą, będzie z nami koniec.

Roześmiał się, a myśmy zawtórowali.

Siedzieliśmy na ziemi pod osłoną przydrożnego wału. Bateria francuskich siedemdziesiątek piątek stojąca dwadzieścia jardów dalej otworzyła huraganowy ogień nad naszymi głowami. Do Szczęśliwej Doliny ściągnięto jeszcze więcej dział. Słowa Crawshaya ledwo do nas docierały, ale zrozumieliśmy, że jeśli otrzymamy rozkaz wsparcia, mamy rozsypać się w tyralierę i walczyć o każdą piędź lasu. Pożegnał nas i życzył powodzenia, a my wróciliśmy do kompanii.

W tejże chwili z komendy dywizji nadszedł jeden ze zwykłych niedorzecznych rozkazów. Jeżeli toczyła się akurat bitwa, można było mieć pewność, że dywizja przyśle napomnienie, by usuwać grynszpan z rozpylaczy Vermolera, nie trzymać w okopach kanarków lub odnosić się uprzejmie do sojuszników. Tym razem jeden z szeregowych kompanii C miał zameldować się niezwłocznie pod eskortą kaprała u zastępcy komendanta żandarmerii polowej w Albert, gdzie zwołano sąd wojenny. Na świadka wezwano także sierżanta kompanii. Żołnierzowi zarzucano, iż przed miesiącem zamordował w szynkowni w Bethune francuskiego cywila. Zdaje się, że raczono się obficie koniakiem, a Francuz, któremu Anglicy uwiedli żonę, sponstponował szeregowca. Miał jakoby powiedzieć: *Anglais no bon, Allemand tres bon. War fineesh, napoo les Anglais. Allemand win*^[36]. Żołnierz wyciągnął wówczas bagnet i przeszył rozmówcę na wylot. Sąd wojenny wydał wyrok uniewinniający, a przedstawiciel francuskich władz cywilnych udzielił szeregowemu pochwały za „energiczne tłumienie defetyzmu miejscowej ludności”. W natarciu nie uczestniczyło tedy trzech żołnierzy.

Przebieg bitwy udało się odtworzyć później. Szkoci wdarli się do lasu i Fizylierzy Królewscy z Waliey otrzymali rozkaz wsparcia dopiero o jedenastej rano. Wzgórze, na którym leżeliśmy, dostało się pod ogień zaporowy artylerii niemieckiej i jeszcze przed atakiem straciliśmy trzecią część batalionu. Byłem jednym z rannych.

Niemcy strzelali pociskami sześć- i ośmiocalowymi. Ogień był tak silny, że postanowiliśmy cofnąć się pędem pięćdziesiąt jardów. Kiedy biegłem, trzy kroki za mną rozerwał się ośmiocalowy pocisk. Usłyszałem wybuch i poczułem gwałtowne, choć bezbolesne uderzenie między łopatki. Pomyślałem, że trafił mnie podmuch, lecz jedno z oczu napłynęło krwią. Zrobiło mi się słabo. Zawołałem do Moodiego: „Jestem ranny” i upadłem. Kilka minut wcześniej drasnęły mnie w lewą dłoń dwa maciupęńkie odłamki. Uznałem to za szczęśliwą wróżbę, bo podczas kanonady przed bitwą pod Loos doznałem identycznego zranienia w prawą rękę. Aby zabezpieczyć się jeszcze lepiej, powtórzyłem w duchu fragment wiersza Nietzschego w przekładzie na francuski: *Non, tu ne me peux pas tuer!*^[37]

[36] Anglais... (franc.-ang.) — Anglik niedobry, Niemiec bardzo dobry. Wojna się skończyć, Anglicy kaput. Niemiec wygrać.

[37] Non, tu... (franc.) - Nie, nie możesz mnie zabić!

Był to wiersz o skazańcu, nad którym stoi rudobrody kat. Nawiasem mówiąc, mój tom wierszy Nietzschego przyczynił się do uznania mnie za szpiega (Nietzsche, mieszany w prasie z błotem jako ojciec duchowy niemieckiego militarysty, był raczej tajemniczą postacią Williama le Queuxa - złowrogim cieniem kajzera).

Jeden z odłamków przeszył mi na wylot lewe udo tuż koło pachwiny, tak że uniknąłem kastracji tylko dlatego, że wysunąłem w biegu nogę. Nad okiem utkwiał malutki odbryzg marmuru, pochodzący być może z nagrobków cmentarza w Bazentin (kazałem go później wyciąć, ale zachowałem na pamiątkę jeszcze mniejszy kawałek pod prawą brwią, który wypłynął lymczasem na powierzchnię). Rany te, jak również otwarte złamanie palca ręki, spowodował prawdopodobnie drugi pocisk, który eksplodował przede mną. Odłamek pierwszego trafił dwa cale pod prawą łopatką, przebił płuco i wyleciał na zewnątrz dwa cale nad prawą sutką.

Późniejsze wydarzenia zatarły mi się w pamięci. Zdaje się, że doktor Dunn przedostał się z sanitariuszami przez wał ogniowy, obandażował mi rany i przeniósł mnie do dawnego niemieckiego punktu opatrunkowego na północnym skraju lasu Mametz. Pamiętam, że gdy kładziono mnie na noszach, mrugnąłem do podoficera sanitarnego, który powiedział: „Oho, stary Gravy leż połknął kulę!” Nasze postawiono w kącie, gdzie tkwiłem bez przytomnością przeszło dobę.

Późnym wieczorem z Wysokiego Lasu wrócił pułkownik Crawshay, który odwiedził punkt opatrunkowy i spostrzegł mnie leżącego w rogu. Powiedziano mu, że jestem śmiertelnie ranny. Nazajutrz, dwudziestego pierwszego lipca, podczas wnoszenia trupów stwierdzono, że jeszcze oddycham, i odesłano mnie budą sanitarną do Heilly, najbliższego lazaretu polowego. Droga przez Szczęśliwą Dolinę usiana była lejami i obudziły mnie bolesne wstrząsy pojazdu. Pamiętam, że krzyczałem. Ale gdy wjechaliśmy na lepsze drogi, znów straciłem przytomność. Zgodnie ze zwyczajem Crawshay wysłał owego ranka oficjalne listy kondolencyjne do najbliższych krewnych poległych oficerów. Było ich sześciu czy siedmiu. Oto co napisał do matki:

22 lipca 1916 roku

Wielce Czcigodna Pani!

Z głębokim żalem zmuszony jestem donieść, iż Syn Pani padł na polu chwały. Był mężnym oficerem wzorowo pełniącym służbę i głęboko odczuliśmy jego stratę.

Zmarł w drodze na tyły, trafiony odłamkami nieprzyjacielskiego pocisku. Nie cierpiał, a nasz lekarz opatrzył mu natychmiast rany.

Toczyliśmy krwawe boje i wielu naszych żołnierzy poległo. Proszę mi wierzyć, serdecznie współczujemy Pani cierpieniu. Straciliśmy dzielnego towarzysza broni.

Proszę do mnie napisać, gdyby potrzebowała Pani pomocy.

Łączę wyrazy współczucia C. Crawshay, podpułkownik

Następnie Crawshay sporządził oficjalny wykaz zabitych, który był bardzo długi, bo w batalionie pozostało zaledwie osiemdziesięciu ludzi. Figurowałem na liście jako zmarły z ran. Heilly leżało przy magistrali kolejowej, a namioty szpitalne stały koło dworca. Aby uniknąć nalotów, na dachach namalowano wielkie czerwone krzyże. Świeciło piękne lipcowe słońce i w środku panowała nieznośna duchota. Półprzytomny, zdawałem sobie sprawę z rany w płuco, bo nie mogłem głębiej odetchnąć. Obserwowałem z rozbawieniem bąbelki krwi, podobne do szkarłatnych baniek mydlanych, wydzielające się z rany, gdy wciągałem powietrze. Do łóżka podeszedł lekarz. Zrobiło mi się go żal, bo wyglądał, jakby nie spał od wielu dni.

- Czy mógłbym się napić? - spytałem.

- Chce pan bawarki?

- Tak, ale nie ze skondensowanym mlekiem - szepnąłem.

- Nie mamy niestety świeżego - odparł przepraszająco.

Oczy zaszklily mi się łzami. Po lazarecie na tyłach spodziewałem się czegoś lepszego.

- Chce pan wody? - spytał.

- Byle nie przegotowanej.

- Jest tylko przegotowana. Przykro mi, w tym stanie nie wolno panu pić alkoholu.

- To może są jakieś owoce?...

- Owoce? Nie widziałem owoców od tygodni.

Mimo to wrócił niebawem z kilkoma niedojrzałymi renklodami. Szepnąłem, że jak wyzdrowieję, dam mu w zamian cały sad.

Następne dwie noce okazały się potworne. Rankiem dwudziestego czwartego lipca oświadczyłem lekarzowi podczas obchodu:

- Musi pan mnie stąd odesłać. Ten upał mnie zabije.

Przez dach namiotu niemiłosiernie prażyło słońce.

- Niech pan wytrzyma. Leżenie bez ruchu to pańska jedyna szansa. Nie dojedzie pan żywy na zaplecze.

Po półgodzinie wrócił.

- Dobrze, zrobimy, jak pan chce. Dostałem przed chwilą rozkaz opróżnienia infirmerii. Zdaje się, że gwardia zdobyła las Delville i wieczorem przywiozą rannych.

Nie bałem się już śmierci. Wystarczała świadomość, że wracam do kraju z zaszczytną raną.

Ranny w nogę major ze sztabu brygady, leżący na sąsiednim łóżku, podzielił się ze mną nowinami o batalionie. Spojrzał na moją kartę i rzekł:

- Widzę, że jest pan z Drugiego Batalionu Fizylierów Królewskich z. Waliey. Obserwowałem przez lornetkę wasz atak na Wysoki Las. To było piękne. Kompanie po kolei rozsypały się w tyralierę, idąc gęsiego sekcjami co pięćdziesiąt jardów. Żołnierze zesłi powoli ze wzniesienia i pobiegli pod górę przez ogień zaporowy. Jeszcze nigdy nie widziałem tak dobrze wymusztrowanego oddziału. Musieliście mieć znakomitych subalternów.

Mimo to przynajmniej jedna kompania ruszyła do ataku bez oficerów. Kiedy spytałem, czy utrzymaliśmy las, odpowiedział:

- Walczyliście prawie do końca. Zdaje się, że o zmroku wycofał się Batalion Gimnazjalny i większość Szkotów. Zostaliście na jakiś czas sami. Żołnierze śpiewali, by dodać sobie otuchy. Później Szkotów przyprowadził kapelan, ojciec McCabe (ma się rozumieć, papista). Byli to katolicy z Glasgow i poszliby za księdzem nawet do piekła. Żadna ze stron nie mogła utrzymać środkowej części lasu, bo skupiono na niej potworny ogień artylerii. Drzewa łamały się jak zapalki. Późnym wieczorem zmieniła was któraś z brygad Siódmej Dywizji Piechoty, między innymi wasz Pierwszy Batalion.

Opis ów niezupełnie pokrywa się z prawdą. Niektórzy szeregowi Batalionu Gimnazjalnego, opuszczeni przez oficerów i podoficerów, trzymali się w środku lasu przez dwadzieścia dwie godziny, do chwili zluzowania. Także nie wszyscy Szkoci okazali się tchórzami, choć rzeczywiście uciekło wielu górali Camerona, którzy wrócili później pod komendą ojca McShane'a (nie McCabe'a). Oto co napisał mi niedawno kapitan Colbart z Piątego Batalionu Strzelców Szkoekich:

Na prawej flance atakowaliśmy my, na lewej górale Camerona. Natarcie rozwijało się zgodnie z planem i wzięliśmy wielu jeńców. W południe byłem już ostatnim oficerem baonu. Około dziewiątej rano nasze oddziały na lewym skrzydle cofnęły się wskutek przeciwnatarcia, zdaje się, bez walki. Była to zbieranina: górale Camerona, strzelcy szkoccy i żołnierze Batalionu Gimnazjalnego. Przegrupowali się jednak w środku lasu, a moja kompania odbiła obiekt natarcia na prawej flance. Zbudowaliśmy zgodnie z rozkazem punkt umocniony na wschodnim skraju, gdy przybyli Fizylierzy Królewscy pod komendą Moodie'ego. Zaatakowali na kierunku północno-zachodnim i opanowali cały las. Zameldowałem się u pułkownika Crawshaya, który miał stanowisko dowodzenia na skraju południowym, i wróciłem do kompanii. Około piątej po południu Niemcy ruszyli do kontrnatarcia, wspierani huraganowym ogniem artylerii.

Crawshay wysłał do brygady meldunek, że zdobył las, ale nie podejmuje się go utrzymać bez natychmiastowych posiłków. Zanim nadeszły, Niemcy opanowali przyczółek na krańcu północno-zachodnim. Zluzowała nas Dziewięćdziesiąta Ósma Brygada z naszej dywizji.

Sanitariusze Korpusu Medycznego JKMości nie ośmielili się przenieść mnie owego wieczoru na koję w pociągu szpitalnym w obawie wywołania krwotoku płuca. Położyli tedy nosze na wierzchu, opierając rączki na szczytach. Tkwiłem na tych samych noszach już od pięciu dni. Podróż okazała się koszmarem. Zapadły mi się plecy, a łydki chwycił kurcz, którego nie mogłem uśmierzyć zginając kolana, bo górna koja leżała zaledwie kilka cali wyżej. Po przeciwnej stronie wagonu ustawicznie jęczał i płakał niemiecki lotnik, który połamał sobie nogi, gdy zestrzelono jego aeroplan. Nie przestawał kwilić, nie pozwalając nikomu zasnąć, choć ranni krwawili i nazywali go starą babą. Nie był w malignie: po prostu bał się i cierpiał. Otrzymaawszy od sanitariusza kartkę i ołówek, napisałem do matki: „Jestem ranny, ale żyję”. Działo się to dwudziestego czwartego lipca, w dniu mych dwudziestych pierwszych urodzin. Była to także olicjalna data mojej śmierci. Matka dostała notatkę dwa dni po kondolencjach Grawshaya wysłanych dwudziestego drugiego lipca^[38]. Straciłem rachubę i/asu i postawiłem błędnie datę dwudziestego trzeciego, a rodzice nie umieli rozstrzygnąć, czy pomyliłem datę tuż przed śmiercią, czy umarłem zaraz po napisaniu listu.

[38] Nie potrafię wytłumaczyć rozbieżności między datami swojej śmierci w liście Crawshaya i w opublikowanym wykazie poległych (przy., aut.).

Otrzymałszy ze Sztabu Generalnego tasiemcową ilepeszę potwierdzającą mój zgon, stracili wszelką nadzieję. Znalazłem się w Szpitalu Wojskowym Numer Osiem w Rouen, w dawnym pałacu na wzgórzu. Nazajutrz przyjechała z południa Francji ciotka Susan, bo w lazarecie leżał po amputacji nogi jej siostrzeniec z Regimentu Strzelców Kresowych z Południowej Walii. Ujrawszy przypadkiem moje nazwisko na drzwiach sali, dała mi kilka przeznaczonych dlań brzoskwiń i przesłała matce dobre nowiny. Trzydziestego lipca napisał do mnie pułkownik Crawshay:

30 lipca 1916 roku

Drogi von Rańke!

Trudno wyrazić, jak się cieszę, że Pan żyje. Powiedziano mi, że można na Panu postawić krzyżyk, i spodziewaliśmy się zawiadomienia o Pańskiej śmierci.

Odwaliliśmy kawał dobrej roboty, lecz wszystko poszło na marne. Udało nam się dokonać czegoś wręcz niemożliwego: zebraliśmy tych zgniłków i powiedzieliśmy im, co mają robić, a zaraz po zmroku dali nogę. Czysta rozpacz.

Ponieśliśmy ciężkie straty. To niesprawiedliwe, że nam, dzielnym żołnierzom, każe się walczyć obok takiej hałastry. Chciałbym podziękować Panu za dobrą postawę i męstwo. Szkoda tylko, że nie był Pan z nami do końca. Czytałem o bohaterstwie, ale jeszcze nie widziałem takiej precudownej pogardy śmierci jak owego dnia. Była tak wspaniała, że wręcz niesamowita.

Słyszałem raz, jak pewien stary frontowiec, oficer Fizylierów Królewskich z Waliey, mówił, że żołnierze poszliby za Panem do piekła. Myślę, że tylko po to, by Pana zabrać do schronu w niebie.

Życzę wszystkiego dobrego i szybkiego powrotu do sił. Wypiję dziś wieczorem za Pańskie zdrowie.

Tibs

Trudności w oddychaniu były wielce uciążliwe, lecz ból sprawiała tylko rana palca, która jątrzyła się, bo nikt nie miał głowy do takich drobiazgów. Oprócz tego przy każdej zmianie opatrunku zdzierano mi wraz z plastrem włosy z uda. Czułem się jednak lepiej niż dwa miesiące temu, po operacji nosa. Wówczas także znosiłem cierpienia i niewygody, ale nikt mi nie współczuł, gdyż nie odniosłem rany na polu walki. Rozwścieczała mnie nieudolność trębaczy Korpusu Medycznego JKMości. Służący w nim żołnierze, zwani w wojsku hienami szpitalnymi, wyjątkowo działali mi na nerwy. Nie dość, że ograbili mnie ze wszystkiego, z wyjątkiem dokumentów w kieszeni pizamy i sygnetu, który nie dał się ściągnąć z palca, to jeszcze fałszowali capstryk, myląc nuty i robiąc pauzy w niewłaściwych miejscach. Kazałem infirmerowi aresztować grajka i zagroziłem, że jeśli natychmiast tego nie zrobi, podam go do raportu u starszego lekarza.

Sąsiednie łóżko zajmował O. M. Roberts, podporucznik Fizylierów Królewskich z Waliey przydzielony do batalionu zaledwie kilka dni przed bitwą. Opowiedział mi o ataku na Wysoki Las. Znalazłszy się na skraju, został trafiony w pachwinę i wpadł do leja. Po południu odzyskał przytomność i ujrzał niemieckiego sztabowca dobijającego rannych z pistoletu samoczynnego. Zdaje się, że niektórzy nie leżeli bez ruchu, jak na rannych przystało, tylko prażyli z karabinów. Mieli z nieprzyjaciółmi na pieńku, bo sekcja Niemców udała, że się poddaje, i zdradziecko obrzuciła naszych granatami. Sztabowiec zbliżał się, idąc skrajem lasu. Zobaczył, że Roberts się porusza, podszedł, strzelił i trafił w ramię. Roberts, bardzo słaby, zaczął się mocować ze swoim webleyem. Resztką sił wyciągnął go z kabury. Niemiec strzelił ponownie i spudłował. Roberts oparł rewolwer o krawędź leja i usiłował pociągnąć za cyngiel, lecz nie miał sił. Niemiec podszedł całkiem blisko, by mieć pewność, że trafi. Kiedy znalazł się o pięć kroków, Robertowi udało się nacisnąć spust obiema rękami. Kula rozłupała Niemcowi czaszkę. Roberts zemdlął.

Lekarze obserwowali z niepokojem moje płuco, w którym zbierała się krew, przesuważąc serce na lewo. Jazda pociągiem wywołała ponowny krwotok. Ruchy serca zaznaczali na skórze ołówkiem kopiowym i oświadczyli, że jeśli dotrze do pewnego miejsca, będą musieli dokonać punkcji. Brzmiało to groźnie, lecz zabieg polegał po prostu na nakłuciu płuca igłą od tyłu i ściągnięciu krwi pompką. Zastosowano znieczulenie miejscowe, toteż operacja była prawie bezbolesna. Krew sikała do butelki, a ja czytałem spokojnie *Gazette de Rouen*. Zdaje się, że wypłynęło nie więcej niż pół kwarty.

Wieczorem na dziedzińcu zahamowały z piskiem wozy sanitarne, /których dobiegi chór prześlicznych głosów. Tak śpiewano tylko w jednym pułku. „Pierwszy Batalion znów się bił” - powiedziałem Robertowi, a pielęgniarka potwierdziła moje domysły. Byli to zapewne ranni w ataku na las Delville.

W kilka dni później popłynąłem do kraju na pokładzie statku szpitalnego.

XXI

Wysłałem rodzicom depeszę, że przyjadę nazajutrz na dworzec Waterloo. Przejście z pociągu szpitalnego do rzędu czekających sanitarek odgradzono linami, a gdy z wagonów wynoszono po kolei rannych, rozgorączkowany Ilmn napierał na barierę i wiwatował histerycznie. Powiewano flagami, zdaje się, że bitwę nad Sommą uważano w Anglii za preludium do zwycięstwa. Kiedy gapilem się bezmyślnie na cizbę, oddzielił się od niej likiś człowieczek, w którym ze wstydem rozpoznałem ojca. Podskakiwał na jednej nodze, wywijał parasolem i darł się na całe gardło.

Sanitarka przewiozła mnie do Infirmerii Królowej Aleksandry w Highgate, ponoć najlepszego szpitala Londynu. Mieścił się w ogromnym domu sir Alfreda Monda przekazanym rządowi na czas wojny. Położono mnie w separacie, co było niespodziewanym luksusem. W wojsku najbardziej mierziła mnie konieczność ciągłego przebywania z obcymi ludźmi, których w wielu przypadkach unikałbym jak zarazy.

W Highgate płuco wnet się zagoiło, a palec uratowali medycy. Uśmiełem Mt,' jak norka ze swojej rzekomej śmierci, co przyspieszyło wydatnie kurację. Rozczulające kondolencje przysłali matce ludzie, z którymi pozostawałem za życia w najgorszych stosunkach: na przykład Parry-Ślinianka, okropny inspektor mojej bursy. Zachowałem na pamiątkę list redaktora działu ogłoszeń *Timesa*, datowany piątego sierpnia tysiąc dziewięćset szesnastego roku:

Wielce Szanowny Panie!

Potwierdzamy odbiór Pańskiego listu w sprawie ogłoszenia dementującego wiadomość o Pańskiej śmierci z ran. Ponieważ ukazała się uprzednio garść danych biograficznych, zamieściliśmy ogłoszenie za darmo w kronice towarzyskiej dzisiejszego (sobotniego) wydania gazety.

Z prawdziwą przyjemnością załączamy wycinek.

Z poważaniem...

Wycinek miał następującą postać:

Kapitan Robert Graves z Regimentu Fizylierów Królewskich z Waliey, uznany oficjalnie za zmarłego z ran, pragnie zawiadomić przyjaciół, że kuruje się obecnie w Infirmerii Królowej Aleksandry w Highgate w Londynie.

Małżonka Lloyd George'a udała się z Londynu do Criccieth.

Nie widziałem nigdy danych biograficznych dostarczonych przez ojca, choć mogłyby się przydać w tej książce. Zwrócono mu jako najbliższemu krewnemu kilka listów wysłanych do mnie do Francji. Widniał na nich dopisek: „Zmarł z ran. Obecne miejsce pobytu nieznane. - Starszy referent pocztowy P. Down”.

Moja śmierć spowodowała tylko jedną przykrość. Bank Coxa zablokował mi konto i musiałem nieźle się natrudzić, by zaczął honorować moje czeki. Siegfried napisał, że cieszy go moje zmartwychwstanie. Odesłano go do Anglii z podejrzeniem choroby płuc, a po krwawej łaźni nad Sommą czuł się żywym trupem. Umówiliśmy się, że jak tylko przyjdę do siebie, pojedziemy do Harlech na urlop. Przyszedłem do siebie we wrześniu. Spotkaliśmy się na dworcu Paddington. Siegfried kupił w kiosku egzemplarz *Timesa*. Rejestr zabitych i rannych, od którego zaczęliśmy starym zwyczajem lekturę, zawierał nazwiska prawie wszystkich oficerów Pierwszego Batalionu.

Poległ Edmund Dadd, a ranę odniósł jego brat Julian z kompanii Siegfrieda. Jak dowiedzieliśmy się później, był przez wiele miesięcy przykuty do łóżka i wskutek postrzału w gardło stracił głos na resztę życia. Zdarzyło się to trzeciego września w Alei Piwnej pod Ginchy. Załamał się jeden z ataków, a kontrnatarcie Niemców oskrzydliło batalion. W Anglii takie wiadomości wydawały się znacznie groźniejsze niż we Francji. Byłem nadal bardzo słaby i płakałem jak bóbr przez całą drogę do Walii. „Cóż, przynajmniej stary Stockwell dostał wreszcie Order Łaźni” - zażartował gorzko Siegfried.

Przybysze z frontu czuli się w Anglii obco. Nie rozumieliśmy powszechnej hysterii wojennej, która znajdowała ujście w militarystycznej tromtadracji. Cywilom nie schodziły z ust gazetowe slogany. Poważna rozmowa z rodzicami okazała się prawie niemożliwa. Aby pokazać, z czym mieliśmy do czynienia, wystarczy przytoczyć jeden z typowych dokumentów epoki:

MAMUSIA ODPOWIADA NA LIST PROSTEGO ŻOŁNIERZA

Przesłanie do pacyfistów Przesłanie do pogrążonych w żałobie Przesłanie do żołnierzy

Ponieważ list poniższy, opublikowany w dzienniku *The Morning Post*, wzbudził przeogromne zainteresowanie w kraju i na froncie, redakcja zdecydowała się wydać go w formie broszury. Nim minął tydzień, rozprzedano siedemdziesiąt pięć tysięcy egzemplarzy!

*

Wycimek z listu Jej Królewskiej Wysokości:

„Tchnące pięknem słowa Mamusi zapadły głęboko w serce królowej, która czuje, ile otuchy niosą żołnierzom na froncie i w lazaretach”.

*

Szanowny Panie Redaktorze!

Czy ja, matka jedynaka, co nie zwlekając spełnił swój patriotyczny obowiązek, mogłabym odpowiedzieć na list zamieszczony w Pańskiej gazecie dziewiątego bieżącego miesiąca, a podpisany Prosty Żołnierz?

Niechaj nie przekazuje towarzyszom broni poglądów rządu ani pacyfistów, jeno uczucia gorejące w piersiach matek brytyjskich. Głosu naszego pominąć milczeniem nie wolno, albowiem odgrywamy przodującą rolę w dziejach świata. Rodzimy i wychowujemy mężczyzn, którzy dotrzymują wiary szczytnym ideałom Imperium i bronią cywilizacji przed barbarzyństwem.

Temu, co zwie się z patosem Prostym Żołnierzem, odpowiadam, że my, kobiety, żądające, by nas wysłuchano, nie godzimy się na wołanie o pokój, w chwili gdy pokoju być nie może. Łany pszeniczne wyrosłe na niwie zroszonej krwią bohaterów synów naszych dadzą w przyszłości świadectwo, iż nie ginęły na marne. Aby straszliwa pożoga wojny dobiegła zwycięskiego końca, trzeba nie marmurowych pomników, lecz niewzruszonej siły charakteru. Nie na próżno woła ku nam krew poległych i konających, krew Prostego Żołnierza, co odniósł „lekką ranę”. My, kobiety, podobnie jak nasi synowie i mężowie, bez szemrania i bez słowa skargi wypełnimy swą powinność. Przyslijcie pacyfistów do nas, a pokażemy im i całemu światu, że w domach naszych nie siedzi się „zimą w lubym ciepełku, latem w chłodzie w wygodzie”. W sercach żon i matek brytyjskich płonie pożar idei. Nic nas nie łączy z wszetecznikami, co okrywają hańbą świętość macierzyństwa. Nie ogłuchliśmy na krzyk niezłomnego heroizmu wznoszony na polach bitew przez żołnierzy zboczonych krwią, płynący ku nam z każdym podmuchem wichury. To my, matki, ślemy na front „mięso armatnie”, naszych synów, którzy zastępują poległych w boju, toteż kiedy Prosty Żołnierz ogląda się przed atakiem za siebie, widzi zwarte szyki kobiet brytyjskich, godnych zaufania, oddanych i cierpliwych.

Prostego Żołnierza wspierają tedy zastępy kobiet. Płec nasza, łagodna i bojaźliwa, nie chce wojny. Nie sprawia nam radości, gdy pustoszeją domy nasze i wydziera nam się źrenicę oka. Wołałybyśmy, by nasz ukochany, obiecujący, psotny synuś chodził dalej do gimnazjum. Jakże przyjemnie byłoby oddawać się nadal rozrywkom i igraszkom! Rozległa się jednak trąbka na alarm, powiesiliśmy przeto na ścianie rakietę do tenisa, odebrałyśmy chłopca z gimnazjum, złożyłyśmy niebieski mundurek, obrzuciłyśmy czułym wzrokiem ostatnią cenzurkę pełną „celujących z odznaczeniem”, zawinęłyśmy wszystko we flagę narodową i schowałyśmy na czas wojny do komody. Możliwe, że Prosty Żołnierz nie liczy na kobiety, lecz odgrywają one niepoślednią rolę. Sprostamy dążącym na nas obowiązkom. Dumne jesteśmy ze swych synów i braci, oni zaś winni być dumni z nas. Mężczyźni mogą się ugiąć, ale kobiety - nigdy.

Kroczysz w bój, Żołnierzu Prosty,
Lecz czyż w kraju Twoje siostry
Jęczą jeno i wzdychają, gorzkie roniąc łzy?!...
Nie!!! Dziś każda matka, wdowa,
W tajni serca płomień chowa
I Ojczyźnie jest gotowa złożyć dań swej krwi!...

Kobiety obdarzają życiem, mężczyźni je odbierają. Dajemy dziś życie w dwojakim sensie. Nie, nie zawiedziesz się na nas, Prosty Żołnierzu. Nie cofniemy się ani o krok, ale po zakończeniu wojny, gdy rozlegnie się wieczorny capstryk, pozwól nam na krótką, króciutką wizytę w dawnym pokoiku dzieciennym, by wzorem biblijnej Racheli pograżyć się w samotnym bólu rozdartego serca, spojrzeć raz jeszcze na niebieski mundurek, nim wyjdziemy w świat dzielniejsze i podejmiemy posłannictwo naszych bohaterów synów, których pamięć przetrwa po wsze czasy.

Twoja
Mamusia

RECENZJE PRASOWE I OPINIE CZYTELNIKÓW

„Upowszechnienie listu jest sprawą wagi najwyższej”. - *The Morning Post*.

„Cieszy się słusznym rozgłosem, albowiem z rzadką swadą i mocą wyraża płomienne uczucia brytyjskich żon i matek, które krew z serca wytoczoną na ołtarzu Ojczyzny ofiarowały”. - *The Morning Post*.

„Zatacza coraz szersze kręgi”. - *The Gentlewoman*.

„List opromieniony sławy aureolą”. - *The Star*.

„Życzylibyśmy sobie, ażeby zawisł w każdej sali szpitalnej”.
- *Hospital Blue*.

„Jedna z pereł literatury wszechświatowej, łącząca nadludzki hart ducha z głęboką tkliwością i nosząca piętno najszlachetniejszych cech natury człowieczej”. - *Frontowiec*.

„Dla żołnierzy swej epoki Florence Nightingale wiele dobrego uczyniła, lecz prześcignęła ją Mamusia, której sławny list otwarty opublikowany w *The Morning Post* lotem błyskawicy rozprzestrzenił się na froncie. Pokładam ufność w Panu, iż go historia pokoleniom przyszedłym przekaże, na naszej bowiem armii nic dotąd wrażenia takiego nie uczyniło. Nie wierzę, by mógł po tej lekturze czuć słabość w sercu mężczyzna prawdziwy... Boże mój! dzięki niej umieramy szczęśliwi!!!” - *Żołnierz, co krew swą przelewał*.

„Wart głębokiej zadumy. Winno się go wydrukować i przesłać każdemu frontowcowi. Majstersztyk, od którego serce rośnie: szlachetny, trzeźwy i podniosły”. - *Ciężko ranny*.

„Dwóch ukochanych straciłam synów, lecz odkąd zachwycający przeczytałam list Mamusi, z losem się pogodziłam, a serce moje zbolące niezemiński ukoił smutek. Oddałabym ponownie synów z radością”. - *Matka w żałobie*.

„List Mamusi, wyrażający szczytne ideały, hart ducha i gotowość do najwyższych poświęceń, winien dotrzeć do każdego zakątka globu”. - *Percival H. Monkton*.

„Dumne jesteśmy z przecudownego listu Mamusi. Podsycajmy pożar tak mistrzowsko rozniecony w piersiach naszych”. - *Matka Brytyjka*.

W Harlech porządkowaliśmy wiersze, a Siegfried pracował nad *Starym łowcą*. Poprawialiśmy nawzajem swoje utwory. Siegfried przystał na zmiany wprowadzone przeze mnie do elegii *Do zwłok przyjaciela*, którą napisał, gdy uważano mnie za zmarłego.

Wojnę definiowaliśmy jej antytezą: pokojem. Siegfriedowi kojarzył się z myślistwem, przyrodą, muzyką i sielskimi scenkami, mnie zaś głównie z dziećmi. W wioskach francuskich, gdzie staliśmy na kwaterach, spędzałem wiele wolnego czasu na zabawach z dziećmi. Po wyjeździe Siegfrieda zacząłem pisać powieść, na której oparłem wcześniejsze rozdziały, lecz wnet ją zarzuciłem. ».

Pod koniec września gościłem w hrabstwie Kent u kurującego się z ran przyjaciela z Pierwszego Batalionu. Jego starszy brat poległ podczas walk o Dardanele, matka zaś zachowała sypialnię w nie naruszonym stanie. Pościel była zawsze wyprasowana i przewietrzona, a na nocnym stoliku stały świeże kwiaty i leżała paczka papierosów. Gospodyni snuła się po domu z dziwnym, wniebowziętym wyrazem twarzy. Pierwszego wieczoru aż do północy gawędziłem z przyjacielem o wojnie. Matka położyła się wcześniej spać, upomniawszy nas, byśmy się nie zasiedzieli. Podekscytowany rozmową, usnąłem dopiero około pierwszej, ale stale budziły mnie niespodziewane rumory. Próbowałem nie zwracać uwagi, lecz przybierały na sile. Zdawały się dobiegać ze wszystkich stron. Odechciało mi się spać i leżałem obłany zimnym potem. Tuż przed trzecią usłyszałem raptem demoniczny krzyk, a potem przeciągły chichot, który przeszedł stopniowo w szlochanie. Zerwałem się z łóżka i pobiegłem do drzwi. Zderzywszy się na korytarzu z matką, spostrzegłem ze zdziwieniem, że jest całkowicie ubrana. „To nic - rzekła. - Jedna z pokojówek dostała hysterii. Przykro mi, że pana obudziła”. Położyłem się, lecz nie mogłem zasnąć, choć stukoty ucichły. Nazajutrz oznajmiłem przyjacielowi: „Wyjeżdżam. Tu jest gorzej niż we Francji”. Były tysiące takich matek, usiłujących się porozumieć z poległymi synami za pomocą spirytyzmu.

W listopadzie wróciłem z Siegfriedem do Trzeciego Batalionu w Litherlandzie, gdzie zakwaterowano nas w jednym baraku. Postanowiliśmy nie występować publicznie przeciwko wojnie. Siegfried twierdził, że musimy „podtrzymać dobrą opinię poetów” (myślał oczywiście o odwadze poetów). Najlepiej znaleźć się z powrotem we Francji, z dala od bezwstydного absurdu służby garnizonowej w kraju. Nie będziemy zabijać Niemców - choć i to może się zdarzyć - lecz dbać o żołnierzy. Najistotniejsze jest dla nich to, czy znajdą się pod komendą człowieka, na którego przyjaźń mogą liczyć i który oszczędzi im najbrutalniejszych upokorzeń związanych ze służbą, czy też będą musieli dogadzać kaprysom byle tyra na w mundurze oficerskim. Ochotnicy służący w owym czasie w obydwu batalionach kadrowych zaciągnęli się z pobudek patriotycznych i nienawidzili tradycji armii regularnej. Siegfried pokazał już na przykładzie, co ma na myśli. Atak na Fricourt ćwiczone na modelach okopów tyle razy, że żołnierze, doszedłszy do perfekcji, jęli popadać w rutynę. Siegfried, któremu wydano w przeddzień bitwy rozkaz przeprowadzenia kolejnego próbnego natarcia, zaprowadził pluton do lasu i przeczytał na głos... nie, nic wojskowego ani literackiego, po prostu *The London Mail*. Chociaż nowo powstały tygodnik *The London Mail*, odważny i

cieszący się popularnością, niezbyt interesował Siegfrieda, sądził on, że żołnierzom spodoba się cykliczny felieton *Żądamy odpowiedzi*.

Szarżom Fizylierów Królewskich z Waliey przysługiwało honorowe członkostwo klubu golfowego w Formby. Chodziłem tam często z Siegfriedem. Traktował grę poważnie, ja zaś bawiłem się piłką u jego boku. Wstąpiłem ongiś w Harlech do Królewskich Golfistów Świętego

Dawida, lecz porzuciłem grę, gdy spostrzegłem, że źle mi działa na nerwy. Bojąc się, że znów mnie wciągnie, posługiwałem się teraz tylko jednym kijem. Nie przejmowałem się, że pudłuję. Udawałem niezdarę i świadomie zniechęciłem Siegfrieda do golfa. Były to czasy wielkich trudności aprowizacyjnych. Niemieckie U-boty zatapiały co czwarty frachtowiec z żywnością, toteż wprowadzono bony na mięso, masło i cukier. Wojna nie dotarła jednak do golfowisk. Do klubu należeli czołowi fabrykanci Liverpoolu, którzy nie zamierzali się głodzić. W przeddzień Wigilii poszedłem z Siegfriedem do klubu na lunch. W jadalni zastaliśmy zimny bufet z szynką, polędwicą wołową, ozorkami w galarecie, pieczonym indykiem i kurczętami. Przy wiktuałach warował opasły kelner z głową buldoga.

- To już wszystko?! - rzucił sarkastycznie Siegfried. - Oj, kiepska w tym roku wyżerka, kiepska!...

- Przykro mi, panie poruczniku - splonął się buldog - rzeczywiście nie stanęliśmy na wysokości zadania, ale drugiego dnia świąt spodziewamy się dostawy lepszych wędlin.

Jadalnia klubu była zawsze szczelnie nabita, pola golfowe świeciły pustkami.

Oficerowie garnizonu Mersey spotykali się najchętniej w hotelu Adelphi. Był tam basen kąpielowy i koktajl-bar, gdzie roiło się od pijanych w sztok oficerów carskiej marynarki wojennej. Pewnego dnia oddałem honory majorowi Przybocznego Regimentu Szkoekich Strzelców Kresowych. Wziąwszy mnie na stronę, wyszeptał konfidencjonalnie:

- Miło, że pan salutuje, drogi chłopcze, ale muszę wyznać, że nie jestem prawdziwym majorem... Mam na mankiecie taką samą koronę jak starszy sierżant... Co prawda sierżant nie nosi trzech galonów i wężyka... Czyż nie są piękne?... Nie, nie jestem tym, za kogo się podaję. Jestem oszustem. Mam bebechy sierżanta...

Przyzwyczajony już do wstawionych starszych oficerów, spytałem z uszanowaniem:

- Doprawdy, panie majorze? Jak to się stało?

- Myśli pan, żem się spił, co? - odpowiedział. - Może i tak, ale mówię szczerą prawdę. Widzi pan, dostałem w brzuch podczas ataku na Beaumont-Hamel. Bolało jak łyko, proszę mi wierzyć. Zabrali mnie do lazaretu. Kończyłem się już, ale pewien starszy sierżant dostał w głowę i umarł pierwszy. Jak tylko wyzionął ducha, wyjęli mu z brzucha jelito (to długie, skręcone, ma podobno długość placu do krykieta) i zrobili przeszczep. Morowe chłopcy z tych medyków! Mają dla ludzi części jak dla automobili... Cóż, sierżancina był, zdaje się, abstynentem. Nowy flaczek ma znacznie lepszą wyściółkę niż stary, więc oblewam zamianę. Szkoda tylko, że mi nie pożyczył nerczek...

Do rozmowy włączył się kapitan Korpusu Medycznego JKMości siedzący w pobliżu:

- Tak, panie majorze, najgorszy jest postrzał w brzuch. Szczęście, że doniesiono pana żywego do sanitarki. Najlepiej leżeć w zupełnym bezruchu. Mnie trafili w pasie neutralnym, gdy opatrywałem żołnierza. Sanitariusze chcieli mnie zabrać, ale się nie dałem. Odpędzałem ich przez dwie doby rewolwerem i uratowałem sobie życie. Na punkcie opatrunkowym na pewno nie czekało zapasowe jelito. Musiałem pozwolić ranie się wygoić: to była jedyna szansa.

W grudniu wezwano mnie na komisję lekarską. Lekarze osłuchali mi płuca i spytali, jak się czuję. Przewodniczący chciał się dowiedzieć, czy nie miałbym ochoty służyć w kraju jeszcze przez kilka miesięcy. „Nie - odrzekłem. - Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby uznano mnie za zdolnego do służby frontowej”. W styczniu otrzymałem rozkaz wyjazdu do Francji.

Wróciłem jako weteran, o czym świadczył mój ekwipunek. Nie wyglądałem już jak choinka. Miałem kieszonkową latarkę z baterią na dwa tygodnie i solidne izolowane cęgi przecinające zasieki niemieckie (zwykle skarbowe nożyce cięły tylko drut brytyjski). Plecak wymieniłem na tornister podobny do żołnierskiego, ale lżejszy i impregnowany. Rewolwer zgubiłem, gdy zostałem ranny, lecz nie kupiłem nowego, bo w kwatermistrzostwie można było zawsze wyfasować karabin z bagnetem. (Brak karabinu wyróżniał oficerów podczas ataku. W większości dywizji używali obecnie karabinów, a zamiast bryczesów nosili żołnierskie spodnie wyłożone na owijaczce, bo Niemcy nauczyli się rozpoznawać szarże po cienkich kolanach.) Ciężkie koce, które poprzednio przywiozłem na front, zastąpiłem puchowym śpiworem z impregnowanego jedwabiu. Wziąłem także Szekspira i Biblię na cieniutkim papierze indyjskim, łacińskie wydania Katullusa i Lukrecjusza oraz dwa lekkie składane foteliki z płótna - jeden jako prezent dla Yatesa, kwatermistrza, drugi dla siebie. Nosilem grubą wełnianą bluzę mundurową z dwiema schludnymi łatkami z przodu i z tyłu, a także parę nieprzemakalnych butów narciarskich. Były to jedyne szczątki garderoby, w której poległem, bo bryczesy pocięto w lazarecie.

Dowodziłem dziesięcioma świeżo upieczonymi subalternami. Jak napisano w pewnych wspomnieniach wojennych, młodzi oficerowie mieli wówczas opinię ochlapusów goniących za spódniczkami. Moja dziesiątka usilnie starała się na nią zasłużyć. Trzech nabawiło się choroby wenerycznej w burdelu Pod Błękitną Latarnią w Rouen. Byli to surowo wychowani chłopcy z walijskich sfer inteligentnych, którzy nie byli nigdy w zamtuzie i nie mieli pojęcia o profilaktyce. Jeden stał ze mną na kwaterze. Pewnego wieczoru wrócił bardzo późno z *Au Drapeau Blanc*^[39], kompletnie urżnięty, zbudził mnie i jał opisywać swoje przeżycia.

- Nnie przy... puszcza... łem - wybełkotał - że miłość... to taka... fantastyczna rzecz!...

- *Au Drapeau Blanc* - spytałem z irytacją i niesmakiem. - Boże! mam nadzieję, że się pan umył!

Był to Walińczyk z krwi i kości, bardzo czuły na punkcie honoru.

- O co... panu chodzi... panie ka... pi tanie?... Umy... łemmm twarz i ręce...

We Francji używano sobie na całego. Owi chłopcy mieli pieniądze i spodziewali się śmierci w ciągu kilku tygodni. Nie chcieli pozostać prawiczkami. Burdele ocaliły życie dziesiątkom subalternów, czyniąc ich niezdarnymi do służby liniowej. W szpitalach wenerologicznych na tyłach panował zawsze tłok. W wojsku krążyły tłuste żarty o mrowiu leczących się tam kapelanów.

Instruktorzy usiłowali zaszczerpić rekrutom swój entuzjazm do fechtunku na bagnety i ćwiczeń strzeleckich. W obozie szkolono głównie poborowych wcielonych przymusowo do wojska i rekonwalescentów przysyłanych z powrotem z Anglii. Trudno było oczekiwać od nich radości z przybycia na front w najpaskudniejszej porze roku. Zasady szkolenia uległy niedawno zmianie. Instrukcja z tysiąc dziewięćset cztertnastego roku wskazywała ogólnie, iż ostateczny cel działań bojowych to unieszkodliwienie sił zbrojnych nieprzyjaciela. Przełożeni uznali ową formułę za niedostatecznie dobitną w epoce wojny na zużycie. Rekrutów uczono, że mają nienawidzić Niemców i z a b i é tyłu, ilu się da. Podczas szermierki na bagnety należało robić okropne miny i wydawać mrożące krew w żyłach okrzyki. Twarze instruktorów zastygał w upiornym grymasie.

- Wal go! W kałdun! Wypruj mu flaki! - wrzeszczeli do żołnierzy dżgających manekiny. - Kolbą go w jaja! Niech się pożegna z ruchaniem!

Ani jednego małego fryca!... Oooo!... Zabij knura! Tak się z nim cackasz, jakbyś go chciał połaskotać! ZABIJ GO, POWIADAM! WPIJ SIĘ ZĘBAMI I SZARP!! WYGRYŻ MU SERCE!!!

Ucieszyłem się z przeniesienia na linię.

[39] *Au Drapeau Blanc* (franc.) — Pod Białą Flagą.

XXII

Drugi Batalion, który odnalazłem koło Bouchavesnes nad Sommą, okazał się zupełnie nowym oddziałem. Diabli wzięli szkółkę jeździecką, kasyno batalionowe i maniery z Kwety. Jedynymi oficerami kadrowymi byli dwaj nowo przybyli elewi Sandhurst. Tym razem powitano mnie ciepłej, zapomniawszy o moim rzekomym szpiegostwie. Ale poprzedniego dnia został ranny pułkownik Crawshay, który dokonywał lustracji zasieków. Jeden ze zgniłków wspomnianych w liście do mnie wziął go za Niemca i wypalił bez ostrzeżenia. Crawshay, postrzelony w udo, spędza dotąd większość czasu w sanatoriach.

Doktor Dunn spytał z łagodnym wyrzutem, czemu wracam tak szybko. „Nie mogłem wytrzymać w Anglii” - odrzekłem. Powiedział nowemu komendantowi, że nie nadaję się do służby liniowej, toteż objąłem dowództwo zaplecza i zamieszkałem w taborach we Frise nad jednym z zakoli Sommy. Miałem pod komendą pisarzy, kucharzy, szewców, krawców, pionierów i taborytów, którzy w razie przełamania frontu mogliby wesprzeć kompanie liniowe jak podczas pierwszej bitwy pod Ypres. Kwaterowaliśmy w ziemiankach nad rzeką, skutą lodem z wyjątkiem wąskiego strumienia wody, która pędziła środkiem. Nigdy w życiu nie było mi tak zimno. Yates zachorował i dowoziłem na linię racje żywnościowe, przemierzając co wieczór dwanaście mil.

Generał Pinney, nowy komendant Trzydziestej Trzeciej Dywizji, postanowił wykierować żołnierzy na abstynentów i wstrzymał wydawanie rumu, chyba że w szczególnych okolicznościach. Bezpośrednim następstwem była najdłuższa lista chorych w dziejach batalionu. Kieliszek rumu wydawany co rano po pobudce stanowił dla żołnierzy największą przyjemność całego dnia. Gdy im go odebrano, ich odporność osłabła. Racje woziłem przez Clery, nędzną wioszczynę zamieszkaną dawniej przez kilkuset włościan gnieźdzących się w glinianych chałupach. Jedyną pozostałością, wsi był ceglany murek wysoki na trzy stopy; resztę pokrywały ogromne, połączone wyrwy po pociskach. Na zepsutym walcu parowym przy drodze wypisano kredą CLERY jako wskazówkę dla podróżnych. W Clery, które Niemcy bombardowali z przyzwyczajenia, często traciliśmy konie.

Po zlurowaniu spod Bouchavesnes wypoczywaliśmy w Suzanne. Nie mieliśmy kwater, tylko ziemianki i schrony. Suzanne też leżało w ruinie. Panowała najsrozsza zima od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku. Na rzece, zamrożonej na dwie stopy, rozgrywano mecze futbolowe między kompaniami. Pamiętam jeden z obiadów w naszej ziemiance, gulasz i kartofle z puszek podane na aluminiowych talerzach. Jedzenie przyniesiono z sąsiedniej kuchni gorące, ale nim skończyliśmy posiłek, brzegi talerzy pokrył lód. W owym rejonie nie widywało się cywilów, nie zburzonych domów ani śladów uprawy roli. Oprócz żołnierzy, koni i mułów jedynymi żywymi istotami były nieliczne pardwy i kaczki taplające się w nie zamrożonej wodzie pośrodku rzeki. Rację paszy dla koni, które nagminnie chorowały, zmniejszono do trzech funtów dziennie. Nie było także krytych stajni. Nie prowadziłem w owym czasie zapisków, lecz nasza nędza stoi mi wyraźnie przed oczyma.

Później rozboleł mnie ząb, tak że musiałem wziąć konia i pojechać dwadzieścia mil do najbliższego wojskowego punktu stomatologicznego przy komendzie korpusu. Dentysta pracował pod chmurką, jak wszyscy. Zaczął od narzekań na własną głupotę, która kazała mu zaoferować swoje usługi królowi za takie psie pieniądze.

- Kiedy pomyślę - żalił się - jakich straszliwych szkód w uzębieniu przysparzają ludziom partacze w kraju i jakie bajońskie honoraria pobierają za swoją fuszerkę, skręcam się z wściekłości.

Nastąpiły skargi na sposób traktowania w sztabie i niechęć Korpusu Medycznego JKMości do awansowania dentystów poza rangę porucznika. Wreszcie obejrzał ząb.

- Naciek - stwierdził. - Nie ma co się babrać. Trzeba rwać.

Szarpnął z irytacją i odłamał górną część. Pociągnął znowu, przeklinając nędzne skarbowe kleszcze, i ułamał następny fragment, nie znalazłszy punktu zaczepienia. Usunięcie zęba kawałek po kawałku zajęło pół godziny. Skarbowy środek znieczulający okazał się równie nieskuteczny jak kleszcze. Wróciłem do oddziału nieprzytomny z bólu.

Sztab brygady mianował mnie asesorem trybunału polowego, który miał osądzić irlandzkiego sierżanta oskarżonego o „haniebne porzucenie broni w obliczu wroga”. Znałem sprawę ze słyszenia: żołnierz, doprowadzony ilaro obłędu huraganowym ogniem artylerii, cisnął karabin na ziemię i uciekł wraz z resztą plutonu. Tajny rozkaz dowództwa armii adresowany ilaro oficerów od kapitana wzwyż stwierdzał, iż tchórzostwo należy karać śmiercią bez względu na usprawiedliwienia o charakterze medycznym, choć w przypadku innych przestępstw zagrożonych najwyższym wymiarem kary można łagodzić wyrok, jeśli winowajca pełnił wzorowo służbę. Wiedziałem przeto, że nie mam wyboru: muszę wziąć udział w rozprawie i skazać sierżanta na śmierć bądź odmówić uczestnictwa w postępowaniu. Jeśli odmówię, sam

stanę przed sądem polowym, a trybunał, zebrawszy się w nowym składzie, i tak skaze żołnierza na rozstrzelanie. Nie byłem jednak w stanie podpisać wyroku śmierci za przestępstwo, które sam mógłbym popełnić. Postanowiłem się wykręcić. Tylko jeden oficer batalionu, prócz nowego komendanta, posiadał roczne starszeństwo w randze kapitana uprawniające do godności asesora. Okazało się, że chętnie mnie zastąpi. Był hulaką i ucieszył się z wycieczki do Amiens, ja zaś odbyłem za niego służbę.

Wyroki śmierci były we Francji na porządku dziennym. Z kłamstwami oficjalnej propagandy zetknąłem się pierwszy raz w maju tysiąc dziewięćset piętnastego roku, kiedy po przybyciu do Hawru przeczytałem w obozie w Harfleur księgę rozkazów armijnych. Zawierała około dwudziestu wyroków śmierci za tchórzostwo i dezercję, a mimo to minister wojny, odpowiadając w Izbie Gmin na interpelację posła pacyfisty, stwierdził kilka dni później, iż ani jednego żołnierza brytyjskiego nie rozstrzelano we Francji za wykroczenie dyscyplinarne.

Funkcję komendanta sprawował teraz James Cuthbert, major rezerwy, który źle znosił napięcie i zaglądał zbyt często do kieliszka. Doktor Dunn uznał go za niezdatnego do służby liniowej, toteż Cuthbert przeniósł się do Frise, gdzie zamieszkał w ziemiance ze mną i Yatesem. Czytając raz Biblię w fotelu, natknąłem się na werset: „Gdyż za krótkie łoże jest, aby się można wyciągnąć, a za wąskie przykrycie, aby się można otulić”^[40].

- Hej, zbudź się, James - powiedziałem. - Znalazłem coś o naszym schronie.

Odczytałem cytat na głos.

Cuthbert uniósł się na łokciu, kipiąc z wściekłości.

- Posłuchaj no, von Rañke! - zawołał. - Nie jestem pobożnisiem! Złamałem wiele przykazań, odkąd przybyłem do Francji, ale póki tu dowodzę, nie pozwolę nikomu znieważać Biblii!

Lubiłem Jamesa, którego poznałem we Wrexham pierwszego dnia po wstąpieniu do pułku. Wrócił dopiero co z Kanady i opowiadał w salonie kasyna fantastyczne historie o swoich przeżyciach. Orał pługiem dziewiczą glebę i recytował Kiplinga psom z prerii. Jeżeli dobrze pamiętam, jego ulubiona zwrotka brzmiała:

Dajcie znak! Dajcie znak! Dajcie znak!
Czterej wędrowcy, stumilowy szlak.
Gdzie w słońcu mruga roziskrzona smuga.
Dajcie znak! Dajcie znak! Dajcie znak!

James, który przed emigracją z Anglii służył przez kilka lat jako wolontariusz, nie liczył się z nikim, był odważny jak lew i odznaczał się skłonnością do sentymentalizmu. W Drugim Batalionie dłuższy staż frontowy miał tylko Yates.

Z powodu przeciągającej się niedyspozycji Jamesa objąłem w kilka dni później dowództwo i pojechałem na odprawę u komendanta brygady. „Do czego to doszło!” - pomyślałem. Niemieckie linie wybrzuszyły się na tym odcinku w naszą stronę, a brygadier chciał skrócić front na znak bojowości dywizji. Żołnierze służby liniowej nie byli w stanie pojąć, dlaczego sztaby chcą zawsze skracać front. Ostrzał z obu stron nie jest nigdy zbyt przyjemny, a skoro Niemcy dają się brać w kleszcze, należy się tylko z tego cieszyć. Doszliśmy do przekonania, że plan, pozbawiony znaczenia strategicznego czy taktycznego, podyktowało umiłowanie linii prostych, tak charakterystyczne dla sztabów. Atak dwukrotnie przesuwano na inny termin, dwukrotnie zaś odwoływano.

[40] Księga Izajasza, XXVIII. 20.

Zachowałem dyspozycję brygadiera noszącą datę dwudziestego pierwszego lutego:

Anuluję	załącznik	numer	cztery
do	rozkazu	AA 202.	Jednostki
eszelonu	B	Dziewiętnastej	Brygady
otrzymają	przydziały	rumu	dla
uczestników	przyszłych	działań	bojowych.
Decyzję	o	wydaniu	napitku
podejście	osobiście	komendant	oddziału.
Na	Drugi	Batalion	Fizylierów
Królewskich	z	Walicy	przypada
siedem	i	pół	galonu.

Jednakże nawet obietnica nadzwyczajnego przydziału rumu nie dodała żołnierzom ducha. Wszyscy zgadzali się, że atak jest niepotrzebny i głupi, u ponadto niemożliwy do przeprowadzenia. Zaczęły się roztopy, a dowódcy kompanii zameldowali, iż przebycie trzystujardowego pasa neutralnego, obróconego przez odwilż i ciągłe bombardowanie w głębokie po kolana grzęzawisko, zajmie kilka minut nawet lekko objuczonym oddziałom. Żaden żołnierz nie dotrze do okopów niemieckich, póki broni ich choć jedna sekcja fizylierów.

Kiedy się zameldowałem, brygadier spytał ojcowskim tonem, czy jestem dumny, że w dwudziestym pierwszym roku życia uczestniczę w odprawie dowódców batalionów. Odparłem zgryźliwie, że się nad tym nie /ustanawiałem, ale służę w wojsku na tyle długo, by rozumieć niedorzeczność ulaku. Poparł mnie komendant Regimentu Góralskich Szkockich Camerona, którzy także mieli wziąć udział w natarciu, tak że brygadier zrezygnował w końcu ze skracania frontu. Wieczorem pojechałem jak zwykle na linię *t* racjami, a oficerowie przyjęli wieść o moim stanowisku z wyraźną ulgą.

Po drodze dostaliśmy się pod ciężki ogień artylerii i kiedy pokrzepiałem się whisky w komendzie batalionu, otrzymałem meldunek o bezpośrednim trafieniu furgonu kompanii D. Wyruszywszy na inspekcję, minąłem naszego kapelana, który przybył ze mną z Frise z kilkoma żołnierzami. Mamrotał wieczne odpoczywanie nad trupem okrytym brezentową płachtą: o! iara! złej pogody i strachu przed nadciągającym atakiem. Jak się później okazało, był to ostatni martwy żołnierz widziany przeze mnie we Francji. Podobnie jak pierwszy, popełnił samobójstwo.

Odnalazłem pogruchotany furgon i szczątki baniek na naftę służących do transportu wody, lecz ani śladu zaprzęgu. W jego skład wchodziły bardzo cenne konie, które zdobyły nagrodę dla najlepszej pary w dywizyjnym pokazie hippicznym kilka miesięcy wcześniej. Odesłałem tedy żołnierzy do Frise i wraz z sierżantem Meredithem z taborów poszedłem szukać koni po ciemku. Taplaliśmy się w błocie przez pół nocy, lecz nie znaleźliśmy nawet podkowy. Chełpiliśmy się często, że mamy najlepsze zaprzęgi we Francji, a nasi taborcy są najlepszymi koniokradami. Zwędziliśmy innym oddziałom co najmniej osiemnaście koni, które ładnie się prezentowały. Dwa udało nam się „pożyczyć” nawet od Regimentu Siwków Szkockich. Pojechałem do dentysty na dawnej francuskiej kobyle żandarmskiej, która miała tylko jedną wadę: chodziła ongiś po lewej stronie patrolu i skręcała uparcie w niewłaściwą stronę. Żaden oddział nie ukradł nam nigdy konia, toteż nic dziwnego, że wyruszywszy z sierżantem Meredithem na linię o czwartej po południu, zakończyłem poszukiwania dopiero po północy. Kiedy o trzeciej nad ranem wróciliśmy do Frise, padłem na przycze zupełnie wyczerpany.

Nazajutrz doktor Dunn stwierdził zapalenie oskrzeli i odesłał mnie sanitarką do Rouen, do Szpitala Wojskowego Numer Osiem, gdzie leżałem poprzednio. Major Korpusu Medycznego JKMości, poznawszy mnie, wykrzyknął:

- Co pan u licha robi we Francji ze swoimi płucami, młody człowieku?! Jeśli zobaczę pana znowu w szpitalu, oddam pana pod sąd!

Yates przesłał mi uspokajającą wiadomość, że konie odnaleziono wkrótce po moim odjeździe: całe i zdrowe, nie licząc zadrapań na brzuchach. Złodziejami okazali się woźnice kompanii mitraliez Czwartej Dywizji Piechoty, przyłapani na farbowaniu sierści i usuwaniu oznaczeń pułkowych.

W Rouen spytano mnie, w którym mieście angielskim chciałbym leżeć w szpitalu. „W Oksfordzie” - rzuciłem na chybił trafił.

XXIII

Posłano mnie tedy do Oksfordu, do Kolegium Somerville, przekształconego wraz z salami egzaminacyjnymi na lazaret. Przyszło mi do głowy, że wojna, która z pewnością nie potrwa długo, już się dla mnie skończyła. Ucieszyło mnie to, a zarazem zmartwiło. Zmartwiło, bo opuściłem przyjaciół na froncie, ucieszyło zaś, gdyż miałem szansę przeżyć. Siegfried popłynął tymczasem do Francji i szukał mnie w Drugim Batalionie, ale nie znalazł. Czułem się, jakbym go wystrychnął na dudka, lecz napisał, że wiadomość o moim powrocie do kraju sprawiła mu niewymowną radość.

Zastanawialiśmy się, czy wojnę należy kontynuować. Krążyła pogłoska, iż jesienią tysiąc dziewięćset piętnastego roku zaproponowano Asquithowi pokój na zasadach *status quo ante*^[41]. Miał ochotę rozważyć ofertę, lecz opozycja doprowadziła do upadku gabinetu liberalnego i przejęcia władzy przez militarystyczną koalicję Lloyda George'a. Siegfried dowodził z pasją, że propozycję należało przyjąć. Zgadzałem się z nim. Przestaliśmy uważać wojnę za walkę rywalizujących mocarstw, a jej przeciąganie wydawało się poświęcaniem idealistycznego młodego pokolenia na ołtarzu głupoty, tchórzostwa i samolubstwa starszych. Sporządziłem w owym czasie żartobliwą notatkę:

Żołnierką winni się parać ludzie, którzy przekroczyli czterdziesty piąty rok życia: Isajowie, nie Dawidowie^[42]. „Drogi Ojczy, jakże dumny jestem, że służysz heroicznie Ojczyźnie, gotów do najwyższych poświęceń! Jaka szkoda, że nie jestem w Twoim wieku! Jakże chętnie przywdziałbym lśniącą zbroicę i stanął do walki z bezbożnymi Filistyńczykami! Cóż, nie wolno mi tego niestety uczynić, muszę bowiem pozostać w Ministerstwie Wojny i zarządzać Izraelem za was, szczęśliwych starców. Jakąż ofiarę składam na ołtarzu Ojczyzny!...” Kiedy starsi panowie odmaszerowaliby ze śpiewem na front, Dawid westchnąłby: „Tata, stryjek Salomon i obaj dziadkowie są w służbie czynnej. Muszę powiesić w oknie kartkę...”

Postanowiwszy pozostać w Oksfordzie, posłużyłem się bilecikiem z rekomendacją Currie'ego, komendanta obozu w Harfleur, i zgłosiłem się na stanowisko instruktora batalionów kadeckich zakwaterowanych na uniwersytecie. Przydzielono mnie do Czwartego Batalionu, do kompanii stacjonującej w Kolegium Wadham. Bataliony kadeckie powstały z kursów oficerskich najniższego stopnia. Szkolenie trwało zaledwie trzy miesiące - w późniejszym okresie pięć - ale było uciążliwe i miało wyrobić w przyszłych komendantach plutonów umiejętność samodzielnego dowodzenia. Dwie trzecie kadetów skierowali do Oksfordu przełożeni we Francji, resztę zaś stanowiła studenteria po kursie przysposobienia oficerskiego.

Uczyliśmy musztry, strzelania i „manier godnych oficera i dżentelmena”, lecz główny przedmiot stanowiły ćwiczenia taktyczne z zadaniami ograniczonymi. Korzystaliśmy ze ściśle tajnego *Podręcznika wojskowego nr 143*, czyli *Instrukcji wyszkolenia plutonu w działaniach zaczepnych* z tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, zapewne najważniejszej wojennej publikacji Ministerstwa Wojny. Autorem był ponoć generał Solly-Flood, który odwiedził wcześniej francuską szkołę wojskową. W tysiąc dziewięćset szesnastym roku pluton stał się największym pododdziałem piechoty, którym można było efektywnie dowodzić podczas bitwy, i zastąpił kompanię jako główny związek taktyczny.

Jakkolwiek poziom towarzyski subalternów wydatnie się obniżył, braki w dobrych manierach rekompensowała z nadwyżką sprawność bojowa. Bataliony kadeckie ocaliły armię we Francji od przekształcenia się w zgrają maruderów. Dyskwalifikowaliśmy co szóstego podchorążego. Bywali to maminsynkowaci gimnazjaliści, lecz częściej żołnierze odkomenderowani z frontu ze względów humanitarnych: tępawi podoficerowie broni maszynowej i plutonowi piechoty, którzy walczyli zbyt długo i potrzebowali odpoczynku. Ostatecznej selekcji dokonywaliśmy obserwując kadetów podczas gier zespołowych, najczęściej rugby i futbolu. Nadawali się ci, co mieli szybki refleks i grali twardo, lecz uczciwie. Czas wolny od służby spędzaliśmy grając z nimi w piłkę.

Dowodziłem plutonem złożonym z Nowozelandczyków, Kanadyjczyków, Południowoafrykanów, dwóch żołnierzy z Fidzi, parobka angielskiego, górnika walijskiego i kilku gimnazjalistów. Większość poległa w ciągu następnego półtora roku. Nowozelandczycy uprawiali wioślarstwo i pobili latem rekord w wyścigach ósemek. Jednakże ciężka praca i wilgotny klimat Oksfordu okazały się zabójcze dla moich płuc. Pokrzepiałem się przez dwa miesiące strychniną, aż pewnego wieczoru zemdlałem i spadłem po ciemku ze schodów, raniąc się w głowę. Zabrano mnie z powrotem do infirmerii w Kolegium Somerville.

[41] Status quo ante (*lac.*) - poprzedni stan rzeczy.

[42] Por. *Pierwsza Księga Samuela*, XVII. 12.

Profesorowie Wadhamu pozwolili mi korzystać ze swojej jadalni, co otworzyło mi dostęp do ich słynnej ciemnej sherry. Wspomina o niej specjalna modlitwa łacińska wygłaszana przed posiłkami i dziękująca

Stwórcy za hojne dary zesłane kolegium. Mój dowódca, pułkownik Stenning, był przed wojną profesorem filologii hebrajskiej. Hierarchia społeczna Oksfordu stała na głowie. J. V. Powell, profesor Kolegium Świętego Jana i mój późniejszy przewodnik duchowy, nosił siwy mundur kaprała pospolitego ruszenia, odbywał w parkach marszobiegi i salutował mi na ulicy. Jeden ze służących zdobył patent oficerski i szkolił kadetów w innym batalionie. W Wadhamie studiowało w owym czasie zaledwie stu pięćdziesięciu młodych ludzi: Amerykanów na stypendium Fundacji Rhodesa, Hindusów i Brytyjczyków niezdatnych do służby. Spotykałem często Aldousa Huxleya, Wilfreda Childe'a i Thomasa Earpa, redagujących wspólnie czasopismo studenckie *The Palatine Review* o bardzo ograniczonym nakładzie. Nawiązałem z nimi współpracę. Earp, który postanowił nie dopuścić do zagłady tradycji oksfordzkiej, był przez całą wojnę przewodniczącym i jedynym członkiem siedemnastu różnych stowarzyszeń literackich i społecznych. W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku, jeszcze jako student, przekazał ich archiwa zdemobilizowanym kolegom. Większość klubów wznowiła wówczas działalność.

W Somerville czułem się wybornie. Świeciło słońce, reżim szpitalny zaś nie był zbyt surowy. Wałęsaliśmy się w szlafrokach i piżamach po ogrodzie infirmerii, a czasami szliśmy (nadal w szlafrokach i piżamach) ulicami St. Ciiles i Cornmarket na poranną filiżankę kawy w Cadenie. Zadzurzyłem się ponadto w paniencie imieniem Majorie, pracującej ochotniczo jako pielęgniarka, ale jej tego nie wyznałem. Od zerwania z Dickiem moje serce pozostawało wypalone i puste, a mimo to miłość do kobiety wydawała mi się z początku czymś dziwnym. Majorie, pianistkę z wykształcenia, spotykałem podczas wizyt u przyjaciela na innym oddziale, lecz rozmawialiśmy niewiele i tylko raz mi się zwierzyła, że pozostałe siostry jej dokuczają, bo jej ojciec jest naturalizowanym Niemcem. Napisałem do niej po wyjściu ze szpitala, lecz zamilkłem na wieść, że jest zaręczona z subalternem we Francji. Dobrze wiedziałem, co znaczy dla frontowca rywal w kraju. Wyrzucała mi jednak, że nie piszę, co sugerowało, iż lubi mnie przynajmniej tak samo jak jego. Nie posunąłem sprawy naprzód, toteż umarła naturalną śmiercią, nim się zaczęła.

Podczas służby w batalionie kadeckim prawie co niedziela odwiedzałem wioskę Garsington. We dworze mieszkali przyjaciele Siegfrieda, Philip i lady Ottoline Morrell. Byli pacyfistami i uświadomili mi, że wina za rozpętanie wojny niekoniecznie leży tylko po jednej stronie. Poznałem u nich Clive'a Bella, najwybitniejszego brytyjskiego krytyka sztuki i ideowego przeciwnika służby wojskowej, który uniknął poboru tylko dlatego, że podjął „pracę o znaczeniu dla obronności kraju”, pasając krowy na farmie dworskiej. U Morrellów gościli często Aldous Huxley, Lytton Strachey i Bertrand Russell. Aldous był chory, ale gdyby nie to, wstąpiłby z pewnością do armii podobnie jak Osbert i Sacheverell Sitwellowie, Herbert Read, Siegfried, Wilfried Owen, ja i większość młodych pisarzy owej epoki, choć żaden nie wierzył już w wojnę.

Bertrand Russell, który przekroczył wiek poborowy, lecz był żarliwym pacyfistą (rzadkie połączenie), spytał mnie znienacka pewnego wieczoru:

- Proszę mi powiedzieć: czy kazałby pan strzelać, gdyby pana kompanię wysłano do tłumienia strajku w fabryce tanków, a robotnicy nie chcieli wrócić do pracy?

- Tak, gdyby wszystkie inne sposoby zawiodły. Nie byłoby to wcale gorsze od strzelania do Niemców...

- A żołnierze wykonaliby rozkaz?! - spytał z niedowierzaniem.

- Nie znoszą robotników zatrudnionych w przemyśle zbrojeniowym i chętnie by do nich postrzelali. Uważają ich za dekonników.

- Ale zdają sobie przecież sprawę, że wojna to zbrodniczy absurd?

- Owszem, podobnie jak pan i ja.

Russell nie był w stanie pojąć mego stanowiska.

Lytton Strachey chorował, ale zamiast zgłosić się na komisję lekarską wołał stanąć przed trybunałem wojskowym za odmowę służby. Opowiadał, że gdy nadmuchał w sędzie gumową poduszkę na znak protestu przeciwko twardości ławek, uczyniło to niezwykle wrażenie. Na stereotypowe pytanie przewodniczącego: „Rozumiem, panie Strachey, że sumienie nie pozwala panu bić się za Ojczyznę?”, odparł swoim dziwnym dyszkantem: „Skądże znowu. Nie pozwala mi tylko walczyć za t a k ą Ojczyznę”. Na inne ulubione pytanie przewodniczącego, które zbijało jak dotąd z tropu wszystkich podsądnych: „Proszę mi powiedzieć, panie Strachey, co by pan zrobił, ujrzawszy szwabskiego żołdaka niewołającego pana siostrę?”, odrzekł z miną cnotliwej panienci: „Spróbowałbym go polaskotać”.

W tysiąc dziewięćset szesnastym roku poznałem najwięcej znakomitości literackich w całym swoim życiu. Dwa spotkania zakończyły się klapą. George Moore czytał napisany niedawno *Potok Kerith*, a moje neurasteniczne tiki przerywały mu spokojną kadencję zdań. Poprosił z irytacją, bym się nie wiercił, ja zaś wyśmiałem go za umieszczenie w Ziemi Świętej kaktusów, przywiezionych z Ameryki półtora tysiąca lat później.

Herbert George Wells, będący wówczas hurrapatriotą i orędownikiem wojny aż do zwycięstwa, nie słuchał, co się do niego mówiło. Poznałem go w Klubie Reformatorów. Wrócił z wycieczki po Francji zorganizowanej przez biuro podróży Cooka i przewodnicy ze sztabu pokazali mu miejsca, które pozwalano oglądać koronowanym głowom, matadorom literatury i dyplomatom państw neutralnych. Opisywał z detalami swoje wrażenia, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że ja i Siegfried, który mi wówczas towarzyszył, znamy to wszystko na pamięć.

Jednakże polubiłem Arnolda Bennetta, łagodnego i bezpretensjonalnego, oraz Augustine'a Birrella, gubernatora Irlandii za Asquitha. Kiedy stwierdził, że podczas nabożeństw nigdy nie czytano apokryfów, i nazwał Klihu syna Berachela „pocieszycielem Hioba”, ośmieliłem się wytknąć mu pomyłkę. Usiłował się spierać, lecz poprosiłem o Biblię i udowodniłem czarno na białym, że mam rację. Spojrzał na mnie groźnie i rzekł:

- Powtórzę panu to, co powiedział ongiś Thomas Carlyle pewnemu gołowąsowi, który go przyłapał na przekręceniu cytatu: „Młodzieńcze, zmierza pan prosto do piekła!”

Kogóż jeszcze poznałem? Zdaje się, Johna Galsworthy'ego, choć mogło się to zdarzyć kilka lat później. Redagował czasopismo literackie *Reveille*, wydawane pod auspicjami rządu i wspomagające fundusz pomocy inwalidom wojennym. Nawiązałem z pismem współpracę. Kiedy się poznaliśmy, Galsworthy wypytywał mnie o żargon żołnierski, bo pisał dramat o wojnie i chciał wprowadzić autentyczne detale. Wydawał się człowiekiem skromnym i gdy udzieliłem mu potrzebnych informacji, przestał się odzywać, jak to ma w zwyczaju.

W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku poznałem dwa lata starszego ode mnie Wora Novello, który cieszył się światową sławą jako autor i kompozytor pieśni patriotycznej:

Choć serce tęsknotą się ściska,
Strzeżmy domowego ogniska...

Mówiło się, że napisze muzykę do jednego z moich wierszy. Kiedy go odwiedziłem, miał na sobie jedwabne kimono, w salonie zaś unosiła się woń kadzidła. Jego młodzi przyjaciele teatralni sączyli koktajle, pólżąc na pufach na dywanie. Czuję się niezręcznie w mundurze (pełniłem tego dnia funkcję oficera inspekcyjnego) i zdjąłem ostrogi, by nikogo nie zranić. Novello wstąpił do Korpusu Lotniczego Królewskiej Marynarki Wojennej, ale ponieważ władze uznały go oficjalnie za geniusza, pozwolono mu strzec domowego ogniska w oczekiwaniu na powrót kolegów...

Ministerstwo Wojny odebrało wówczas oficerom przywilej odbywania rekonwalescencji w domach. Zauważono, iż nie starają się odzyskać sił i wrócić na front, lecz nie dosypiają, piją i zanadto się forsują. Kiedy nieco odzyskałem siły, wysłano mnie do domu ozdrowieńców na wyspie Wight. Mieścił się w samym Pałacu Osborne, a ja sypiałem w dawnym pokoju dziecięcym króla Edwarda Siódmego i jego rodzeństwa. Była pora zbioru truskawek i panowała piękna pogoda. Pacjenci odwiedzali ulubione zakątki królowej Wiktorii w lesie i na cichej plaży, grali w piramidkę w królewskiej sali bilardowej, śpiewali rubaszne piosenki w królewskim salonie muzycznym, opijali się ulubionym winem reńskim księcia małżonka wśród obrazów pędzla Winterhaltera; grali w krokieta i odwiedzali Cowes w poszukiwaniu przygód. Uczyniono nas honorowymi członkami Królewskiego Jachtklubu. Następną karykaturalną sceną z mojego życia: siedzę w skórzanym fotelu w palarni najbardziej ekskluzywnego klubu świata, popijam dzin z imbirem i zgrywam wilka morskiego, lustrując Solent przez potężny teleskop.

Zaprzyjaźniłem się z francuskimi benedyktynami, którzy mieszkali w pobliżu. Antyklerykalna ustawa z tysiąc dziewięćset szóstego roku zmusiła ich do opuszczenia Solesmes we Francji, toteż zbudowali nowe opactwo w Quarr. Z polecenia papieża zbierało ono i publikowało starodawne melodie kościelne. Usłyszawszy ojców śpiewających chorały gregoriańskie, zapomniałem na chwilę o wojnie. Wśród mnichów było wielu oficerów, którzy, jak mi mówiono, zwrócili się ku Bogu wskutek przeżyć bitewnych i zawodów miłosnych. Uważali wojnę za zrzędzenie opatrności, które wskrzesi we Francji katolicyzm, i powiedzieli mi, że wolnomularskie elementy armii francuskiej, reprezentowane przez marszałka „Papę” Joffre'a, zostały skompromitowane, a obecne naczelne dowództwo, spoczywające w rękach Focha, jest w większości katolickie, co wróży zwycięstwo aliantów.

Zakonnik zajmujący się gośćmi pokazał mi bibliotekę złożoną z dwudziestu tysięcy woluminów. Były tam setki foliałów wydrukowanych siedemnastowieczną czcionką gotycką. Bibliotekarz, stary mnich z Bethune, poprosił o dokładny opis zniszczeń swojej dzielnicy. Przewodnik spytał, czy chciałbym wypożyczyć którąś księgę. Biblioteka obejmowała prawie wszystkie dziedziny nauk świeckich: historię, botanikę, muzykę, architekturę, inżynierię. Spytałem, czy mają dział poezji. Uśmiechnął się łagodnie i odparł, że nie, albowiem poezja nie udoskonala moralnie.

Opat spytał, czy jestem *bon catholique*^[43].

- Nie, nie wyznaję prawdziwej religii - odparłem uprzejmie. Nie chcąc się przyznawać do agnostycyzmu, stwierdziłem, że pochodzę z protestanckiej rodziny.

- Skoro pan nazywa naszą wiarę prawdziwą, to czemu jej pan nie przyjmie?...

Zadał to pytanie tak prostodusznie, że się zawstydzilem.

- Wielebny ojcze, mamy w Anglii przysłowie, że nie zmienia się koni pośrodku rzeki - powiedziałem dla uniknięcia dalszej dyskusji. - Jak ojciec wie, służę w wojsku.

Wydawał się zawiedziony, toteż postanowiłem go pocieszyć.

- *Peut-etre apres la guerre...*^[44]

Była to stereotypowa odpowiedź dziewcząt z Pas de Calais udzielana za radą księży żołnierzom brytyjskim, gdy zagadywali: *Promenade, mademoiselle?*^[45] Słyszałem, że dawały ją rzadko, chyba że chciały podbić cenę.

Ojcom, którzy wyrzekli się wojaczki i amorów, zazdrościłem jednak spokojnego opactwa na wzgórzu i podziwiałem ich dobroć, łagodność i powagę. Owe czyste, pobielane cele i posiłki spożywane w milczeniu przy długich dębowych stolach, gdy nowicjusz czytał żywoty świętych! Równie smacznego jedzenia, złożonego głównie z potraw mącznych, jarzyn i owoców, nie miałem w ustach od lat: zjadłem tyle skarbowej wołowiny, skarbowej marmolady, skarbowego chleba i sera, że zaspokoilem głód na resztę życia. W Quarr wyzbyłem się odrazy do katolicyzmu.

W Osborne przebywało wielu neurasteników, którzy powinni leżeć w specjalnym szpitalu. Był też Alan Alexander Milne, subaltern Królewskiego Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa Warwick, chwilowo zupełnie nie w nastroju do pisania *Kubusia Puchatka*. Oficer nazwiskiem Vernon Bartlett z Regimentu Piechoty Liniowej z Hrabstwa Hamp doszedł wraz ze mną do wniosku, że należy się czymś zająć. Założyliśmy tedy Towarzystwo Przyjaciół Księcia Alberta, mające rzekomo krzewić zainteresowania osobą i epoką małżonka królowej Wiktorii. Wybrano mnie na przewodniczącego, a moje regalia składały się ze szkockiej mizerykordii, wysokich huzarskich butów do konnej jazdy i faworytów. Zebrania rozpoczynały się oficjalnie w chwili, gdy oznajmiałem: „Faworyty zostały rzucone”. Członkostwo przysługiwało jedynie szarżom zainteresowanym życiem i dokonaniem księcia, urodzonym w prowincji Alberta w Kanadzie, zamieszkałym przez co najmniej pół roku nad brzegami Albert Nyanza, odznaczonym Medalem Alberta za Ratowanie Życia oraz tym, których biografie łączyły się w szczególny sposób z osobą dostojnego patrona. Była to zapewne jedna z pierwszych tak popularnych dziś parodii epoki wiktoriańskiej. Członkowie dzielili się na zebraniach anegdotami zebranymi od starych służących pałacu i wieśniaków z Osborne, rzucającymi światło na prywatne życie księcia małżonka. Mieliśmy piętnastu członków i obżeraliśmy się truskawkami.

Pewnego dnia na posiedzenie przybyło kilkunastu oficerów, którzy twierdzili, iż spełniają niezbędne wymagania. Jeden podawał się za wnuka projektanta pomnika Alberta, inny pracował w stoczni imienia Alberta, jeszcze inny naprawdę posiadał Medal Alberta za Ratowanie Życia. Pozostali przedstawili się jako zainteresowani koneserzy. Początkowo nie zakłócili zebrania, ale wnet stało się jasne, że przyszli rozbić towarzystwo. Większość miała porządnie w czubie. Podawali obsceniczne szczegóły prywatnego życia księcia i twierdzili, iż posiadają dowody w postaci fotografii. Bartlett i ja zaczęliśmy się niepokoić: nie pasowały do nas takie rzeczy.

[43] *Bon catholique (franc.)* - Dobry katolik.

[44] *Peut-etre... (franc.)* - Może po wojnie.

[45] *Promenade, mademoiselle? (franc.)* - Spacerować, panienko?

Zabrałem wobec tego głos jako przewodniczący i opowiedziałem ulepszoną wersję historii, która w tysiąc dziewięćset czternastym roku zdobyła w Aldershot pierwsze miejsce w krajowym konkursie na najsprośniejszą anegdotę w wojsku. Stwierdziłem, iż książę Albert usłyszał ją z ust Johna Browna, gajowego z Pałacu Balmoral i ulubionego gawędziarza królowej Wiktorii, a później nie spał przez trzy dni i trzy noce, co przyczyniło się do jego przedwczesnej śmierci. Zdumieni intruzi unieśli ręce na znak kapitulacji i wyszli. Uderzyła mnie myśl, jak się zmieniłem od pierwszych lat w Charterhouse. Gdybym tylko stosował wówczas podobną taktykę!

Bartlett i ja znaleźliśmy raz na plaży stary odbijacz z parostatku. Wystrzępiona lina na czubku przypominała czuprynę.

- Biedaczyna... - westchnął Bartlett. - Dobrze go znałem. Służył w moim plutonie w Regimencie z Hamp, ale dostał chyzia i wyskoczy! za burtę z okrętu szpitalnego.

Trochę dalej morze wyrzuciło na brzeg parę spodni, płaszcz, skarpetki i but. Odziliśmy w nie starego towarzysza broni Bartletta, okręciliśmy go udzie trzeba wodorostami i poszliśmy dalej. Wkrótce potem spotkaliśmy funkcjonariusza straży przybrzeżnej.

- Morze wyrzuciło topielca - powiedzieliśmy.

Zaprowadziliśmy go na miejsce, a on zatrzymał się w odległości kilku jardów i zatkał sobie nos.

- Fuj! Ależ cuchnie! - wykrzyknął.

Zostawiliśmy strażnika przy zwłokach, a nazajutrz w gazecie wyspy Wight ukazała się notatka, że oficerowie kurujący się w Osborne splatali koronerowi psikusa. Jedną z absurdalnych zabaw, które kosztowały wiele wysiłku, polegała na podmienianiu tabliczek pod obrazami w galerii. Każdy żart wydawał się dobry. Mimo to nie było nam do śmiechu.

XXIV

W marcu tysiąc dziewięćset siedemnastego roku napisał z Drugiego Batalionu Siegfried, który prosił, bym wziął się w garść i wznowił przerwana korespondencję, bo popadł w straszliwą prostrację. Skarzył się na chłodne przyjęcie. Batalion otrzymał nowy kontyngent starszych oficerów, a mój wróg, podporucznik rezerwy przyjęty do armii regularnej i przeniesiony obecnie na etat kapitański, posunął się do nazwania Siegfrieda cholernym pryszczem z cholernego Pierwszego Batalionu. Siegfried przełknął zniewagę, lecz poprosił o translokację tamże.

Drugi Batalion wypoczywał do końca miesiąca około dwóch mil od naszego ukochanego Morlancourt, wśród błotnistych wzgórz, podmokłych lasów, lotnisk i nowych znakomitych dróg żelaznych, wzdłuż których Siegfried telepał się w wolnych chwilach na karej kobyle. (Obserwowałem raz z Davidem Thomasem, jak ją uczy skakać. Była pięknym, narowistym zwierzęciem o ludobójczych skłonnościach, a my dziwiłiśmy się cierpliwości Siegfrieda. Naprowadzała ją na stacjonatę, kiedy zaś się wyłamywała, nie próbował jej zmuszać, lecz spokojnie zawracał i zaczynał wszystko od początku. Uporczywie odmawiała skoku, a mimo to nie zdołała rozgniewać ani zniechęcić Siegfrieda, aż w końcu, śmiertelnie znudzona, wzięła przeszkodę. Miała wysokość sześciu stóp, kobylę zaś stać było na znacznie więcej.)

Siegfried pisał, że przydzielono go do kompanii C, gdzie dowodzi plutonem półgłówek, którzy czekają niecierpliwie na tryumf albo zgon. Zesztywniało mu boleśnie ramię, bo doktor Dunn go zaszczepił. Kiedy wbijał igłę, powiedział: „Ma pan delikatną skórę, ale twarżel z pana, wiem”. Siegfried liczył, że oddział weźmie niebawem udział w bitwie, co przyniesie ulgę po tygodniach nerwowości, niewygód i rozczarowań (w Drugim Batalionie panowała zwykle taka atmosfera). Spodziewał się, że *Stary lowca* ukaże się dopiero jesienią. Przeglądał ostatni numer *The Nation* i ubawił go nasz wspólny występ w roli duetu wojskowego w czasopiśmie pacyfistycznym. „My, dwaj poeci pragnący pracować kiedyś razem i gorszyć starych Gosse’ów i Stracheyów...” Nawiasem mówiąc, przeczytawszy na nowo list Siegfrieda, przypominam sobie okoliczności naszego ostatecznego zerwania dziesięć lat później. Poszło o to, że nie przestrzegałem etykiety literackiej w korespondencji z sir Edmundem Gosse’em, kawalerem Orderu Łaźni. Po ukazaniu się *Starego lowcy* sir Edmund skrytykował ostro fragment jednego z wierszy alegorycznych:

Przygoda, uniesienie, blade czarodziejstwo...
Niejeden hrabia, smukły i cheralwy,
Co litaniami grzechu nappełnił mą duszę,
Wrócił do domu, nie mogąc znieść wrzawy.

Gosse twierdził, że fragment ów można odczytać jako paszkwil na arystokrację brytyjską, która dokazała podczas wojny cudów bohaterstwa.

Wkrótce potem rozgorzały krwawe walki na linii Hindenburga. Siegfried wspierał wraz ze swoim plutonem Górali Szkockich Camerona, kiedy zaś wyparto ich ze zdobytej uprzednio pozycji, odbił ją z sekcją grenadierów. Otrzymał postrzał w gardło, lecz obrzucał Niemców granatami, póki nie zemdłał. Szkoci przegrupowali się i wrócili, a brygadier przedstawił Siegfrieda do Krzyża Wiktorii, ale wniosek odrzucono pod pretekstem niepowodzenia operacji, Szkotów bowiem zmusili w końcu do odwrotu grenadierzy jakiegoś niemieckiego Siegfrieda.

Przebywał w ciężkim stanie w Londynie i pisał, że gdy wychodzi na spacer, widuje trupy na trotuarach. W kwietniu otrzymał od Yatesa wiadomość, że w „piekielnie krwawym” ataku na Fontaine-les-Croiselles poległo czterech oficerów, siedmiu zaś odniosło rany. Jednakże batalion posunął się prawie pół mili naprzód, co dodało Siegfriedowi otuchy. Mimo to już w następnym zdaniu pisał, że ogarnia go furia na myśl, że tego lata /jjinęły na darmo nieprzeliczone zastępy dzielnych żołnierzy. Bezwzględni politykierzy i niekompetentni generałowie będą bawić się w wojnę, póki się nie /nudzą i nie zdobędą wszystkich wymarzonych zaszczytów. Żałował, że nie może zaprotestować, lecz nawet gdyby zastrzelił premiera lub głównodowodzącego, sir Douglasa Haiga, zamknięto by go tylko w domu wariatów jak świętej pamięci Richarda Dadda. (Wiedziałem, o kogo chodzi. Dadd, znakomity malarz dziewiętnastowieczny, a zarazem stryjeczny d/iadek Edmunda i Juliana, sporządził listę ludzi zasługujących na śmierć, pierwszy figurował na niej jego ojciec. Któregoś dnia Dadd wziął go w Hyde Parku na barana i niósł prawie pół mili, po czym utopił w stawie Serpentine na oczach tłumu ludzi.) Siegfried pisał dalej, że jeśli na znak protestu odmówi ponownego pójścia na front, zostanie oskarżony o tchórzostwo. Pytał, czy wierzę, że sytuacja wojskowa ulegnie poprawie przed końcem owego krwawego lata. Nie przerwiemy nigdy frontu, tłukąc w niego na oślep. Ponosimy jak dotąd większe straty niż Niemcy. Kanadyjczyków wybito pod Vimy nieomal do nogi,

a liczba zabitych i rannych podana w oficjalnym komunikacie jest wierutnym łgarstwem. W szpitalu odwiedził Siegfrieda Julian Dadd, który, jak wszyscy, namawiał do znalezienia sobie synekury w kraju, choć wiadomo, że to marzenie ściętej głowy: ma moralny obowiązek walczyć, póki nie zginie. Myśl o powrocie do Francji stała się torturą - wracać właśnie teraz, gdy znów się wyrwał na światło dzienne: „O życie! O słońce!...” (był to cytat z mego wiersza o własnym zmartwychwstaniu). Rana prawie się zagoiła i spodziewał się trzytygodniowego pobytu w domu ozdrowieńców. Nie uśmiechało mu się to, ale wszędzie będzie lepiej niż na froncie, byle tylko miał spokój, nie musiał nikogo widywać i mógł patrzeć na pączkujące drzewa, czując wiosnę w całym ciele. Był przeraźliwie słaby i roztrzęsiony. Patefon na oddziale szpitalnym doprowadzał go do szału. *Stary lowcamimo* wszystko już się ukazał, Siegfried zaś zamierzał przesłać dla żartu egzemplarz sir Douglasowi Haigowi. Tego nikt mu nie może zabronić.

Odwiedził w czerwcu Morrellów, lecz nie wiedział, że stacjonują nadal w Oksfordzie. Może i lepiej, żeśmy się nie spotkali, pisał, bo nie jesteśmy

w dobrej formie, a gdy przebywamy razem, przynajmniej jeden z nas powinien być normalny. *The Cambridge Magazine* (bojowe czasopismo pacyfistyczne, którego redakcję zdemolowali później podchorążowie Królewskich Sił Powietrznych) opublikował pięć wierszy Siegfrieda, wszystkie, przyznawał, pozbawione wartości, chyba że jako napaść na samozadowolonych hipokrytów zamierzających przeciągać wojnę dopóty, dopóki nie zginą wszyscy młodzi Brytyjczycy. Pacyfiści nakłaniali go do napisania czegoś naprawdę ostrego w duchu *Ognia Barbusse'a*, ale nie miał głowy do literatury. Zamierzał się zająć czymś ważniejszym (nie wiedziałem, o co chodzi, żywiłem jednak nadzieję, iż nie jest to seria zabójstw w stylu Richarda Dadda). Myśl o toczących się walkach doprowadzała Siegfrieda do wariacji. Przebywając w hrabstwie Kent, słyszał nieustanne dudnienie armat po drugiej stronie Kanału, tak że nie wiedział już, co robić: wracać czym prędzej do Francji i polec w Pierwszym Batalionie czy zostać w kraju i działać wszelkimi siłami na rzecz zakończenia wojny. Jedno i drugie nie miało sensu. Śmierć w walce byłaby tylko grą pod publiczność - pod lichą publiczność - w Anglii zaś nie wchodziła w rachubę żadna skuteczna działalność antywojenna. Przydzielono go na instruktora batalionu kadeckiego, co zapewniało chwilowe bezpieczeństwo, lecz uważał pozostanie w Wielkiej Brytanii za hańbę.

Pod koniec lipca otrzymałem w Osborne kolejny list Siegfrieda. Wydawał się dość cienki. Chcąc go przeczytać, usiadłem na ławeczce poświęconej przez królową Wiktorię pamięci Johna Browna („serce czystsze i wierniejsze nie biło nigdy w ludzkich piersiach”). Kiedy otworzyłem kopertę, wyfrunął z niej wycinek prasowy z ręczną adnotacją piórem: „*The Bradford Pioneer*, 27 lipca 1917 roku”. Zacząłem od niewłaściwej strony:

Philip Frankford

UWOLNIĆ WIĘŹNIÓW SUMIENIA

Niewielu poborowych zdobyło się na odmowę służby z powodu przekonań. Podsumowawszy dzieje obecnej straszliwej wojny, bezstronni historycy przyszłości uznają ich za jedynych szlachetnych aktorów toczącego się dramatu.

Pacyfiści sprzeciwiają się militarystom. Walczą o wolność i sprawiedliwość. Zadają druzgocący cios tyranii. A co najważniejsze, przygotowują grunt dla powszechnego rozbrojenia.

Jednakże prasa kapitalistyczna, kłamliwa, zdeprawowana i nikczemna, ukrywa przed społeczeństwem prawdę i przedstawia pacyfistów jako nędznych tchórzy i dekonników.

Niedawno wznowiono ich prześladowania. Wbrew obietnicom „prawdomównych” ministrów kilkunastu bojowników o pokój wysłano do Francji, gdzie skazano ich na śmierć - zamienioną później na „ukrzyżowanie” lub pięć do dziesięciu lat ciężkich robót. Nawet jeśli wolno im pozostać w kraju, traktuje się ich skandalicznie, choć stanowią wszakże sól ziemi. Za murami więzień przebywają Clifford Allen, Scott Duckers i niezliczone rzesze równie szlachetnych idealistów, którzy nie chcą zabijać i wyrzec się człowieczeństwa, stawszy się niewolnikami maszyny wojennej. LUDZI TYCH TRZEBA UWOLNIĆ.

Irlandzcy „przestępcy polityczni”...

Spojrzałem na drugą stronę i przeczytałem:

PROTEST PRZECIWKO WOJNIE

(Deklaracja oficera brytyjskiego)

Poniższe oświadczenie, wyjaśniające przyczyny odmowy dalszej służby, przesłał swojemu dowódcy S. L. Sassoon, kawaler Krzyża Wojennego przedstawiony do Krzyża Walecznych, podporucznik Trzeciego Batalionu Fizyliarów Królewskich z Waliey. Porucznik Sassoon wstąpił ochotniczo do wojska trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset czternastego roku, odznaczył się nieustraszoną odwagą, został ciężko ranny i w razie pozostania w armii służyłby do końca wojny w kraju.

*

Decyduję się na świadomy akt niesubordynacji, ażeby zmanifestować sprzeciw wobec ludzi, którzy mogliby zakończyć wojnę, lecz celowo ją przeciągają.

Jestem żołnierzem i wierzę, iż działam w imieniu żołnierzy. Uważam, że przystąpiłem do wojny obronnej i wyzwolenczej, a uczestniczę w wojnie zaczepnej i zaborczej. Uważam, że pierwotne cele wojny, które skłoniły mnie i moich towarzyszy broni do wstąpienia do sił zbrojnych, winny zostać określone na tyle wyraźnie, by nie można było ich zmieniać. Sądzę również, iż konflikt można dziś rozwiązać drogą pokojowych negocjacji.

Znam z pierwszej ręki gehennę naszej armii i nie mogę współuczestniczyć w jej przedłużaniu w imię krzywdy i bezprawia.

Nie protestuję przeciwko strategii prowadzenia działań wojennych, lecz przeciwko błędnej i dwulicowej polityce, której ofiarą padają nasi żołnierze.

Protestuję w imieniu oszukiwanych i cierpiących, wierzę bowiem, iż przyczynię się do rozproszenia bezdusznego spokoju, z jakim większość społeczeństwa brytyjskiego patrzy z oddali na przeciągające się męczarnie, których nie może pojąć z braku wyobraźni.

Lipiec 1917 roku S. Sassoon

Oświadczenie zaniepokoiło mnie i przygnębiło. Zgadzałem się całkowicie, że nasza polityka jest błędna i dwulicowa, i podziwiałem odwagę Siegfrieda. Ważna była jednak nie tylko słuszność protestu. W swoim obecnym stanie Siegfried nie zniósłby kary, jaką list musiał za sobą pociągnąć: sądu wojennego, degradacji i więzienia. Miałem pacyfistom za złe, że namówili go do tego kroku. Nie byli żołnierzami i nie potrafili zrozumieć, ile musiał kosztować Siegfrieda pod względem emocjonalnym. To okropne, że konsekwencje oświadczenia spadną nań po straszliwych przeżyciach w rejonie Szańca Czworobocznego i Fontaine-les-Croiselles. Zdawałem sobie również sprawę z daremności owego gestu. Nikt, zarówno w Anglii jak i we Francji, nie pójdzie za jego przykładem, wojna zaś musi trwać, póki jedna ze stron się nie wykrwawi.

Zgłosiłem się na komisję lekarską, która miała się zebrać nazajutrz, i poprosiłem lekarzy o uznanie mnie za zdanego do służby czynnej w kraju. Nie byłem zdalny i dobrze o tym wiedzieli, lecz chodziło o przysługę. Musiałem opuścić Osborne i zająć się sprawą Siegfrieda. Następnie napisałem do posła Evana Morgana (kilka miesięcy przedtem pływaliśmy razem kajakiem w Oksfordzie), osobistego sekretarza jednego z ministrów. Poprosiłem, by spróbował zapobiec przedrukowaniu listu lub publicznej dyskusji na jego temat, a także zadbał, by udzielono stosownej odpowiedzi na ewentualną interpelację posła Leesa-Smitha, czołowego pacyfisty w Izbie Gmin. Wyjaśniłem Evanowi, że podzielam poglądy Siegfrieda, lecz jest chory i nie powinien stawać się męczennikiem beznadziejnej sprawy. W końcu napisałem do Trzeciego Batalionu. Po komendancie, pułkowniku Jonesie-Williamsie, ciasnym szowiniście, który nie był nigdy we Francji, nie spodziewałem się zrozumienia, ale zastępca, major Macartney-Filgate, miał ludzki charakter, toteż zwróciłem się doń z prośbą o przekonanie dowódcy, by ocenił sprawę we właściwym świetle. Opisałem ostatnie przeżycia Siegfrieda na froncie i sugerowałem, iż powinien stanąć przed komisją lekarską i otrzymać bezterminowy urlop.

Wkrótce potem otrzymałem list od Siegfrieda. Mieszkał w Hotelu (iiełdowym w Liverpoolu i pytał, czy się o niego martwię. Przyjechał kilka dni temu do Liverpoolu i zameldował się w sztabie Trzeciego Batalionu w Litherlandzie. Czuł się potwornie, lecz chyba zachował zimną krew. Ponieważ komendant przebywał na urlopie, dowództwo sprawował major Macartney-Filgate, który okazał się niesłuchanie wyrozumiały, zawstydził Siegfrieda i porozumiał się z generałem dowodzącym obroną ujścia Mersey. Teraz generał „zasięgał opinii Boga lub kogoś w tym rodzaju”. Mogłem tymczasem pisać na adres hotelowy, bo Siegfried dał słowo, że nie ucieknie na Kaukaz. Miał nadzieję, że przełożeni staną się z czasem złośliwi: prawdopodobnie nie zdają sobie sprawy, że oświadczenie nabierze niebawem rozgłosu. Chociaż cała afera coraz bardziej go mierzyła, utwierdzał się w przekonaniu, że ma rację, i nie żałował swojego kroku. Dodał, że sytuacja w Niemczech wygląda obecnie lepiej, lecz Lloyd George nazwałby to zapewne spiskiem. Politycy wydawali się Siegfriedowi niezdolni do ludzkich uczuć.

Generał porozumiewał się nie z Bogiem, lecz z Ministerstwem Wojny, a pryncypał Evana przekonał władze, by nie nadawały sprawie biegu dyscyplinarnego, tylko postawiły Siegfrieda przed komisją lekarską. Evan spełnił swoje zadanie. Musiałem teraz ściągnąć Siegfrieda przed oblicze lekarzy. Zameldowałem się w jednostce i spotkałem z nim w Liverpoolu. Wyglądał na roztrzęsionego i powiedział, że wraca z pól golfowych w Formby, gdzie cisnął do morza swój Krzyż Wojenny. Rozmawialiśmy o polityce. Zająłem stanowisko, że wszyscy oprócz nas poszaleli, a trudno przekonywać wariatów. Nie mamy

wyboru: musimy walczyć, póki nie polegniemy. Spodziewałem się, że wkrótce po raz czwarty popłynę do Francji. Cóż poza tym pomyślą o Siegfriedzie koledzy z Pierwszego i Drugiego Batalionu? Czy pojmą jego punkt widzenia? Oskarżą go o wiarołomstwo, tchórzostwo i chowanie głowy w piasek. Nawet Stary Joe, najrozumniejszy człowiek w pułku, zareaguje tak samo. Do kogo skierowany jest list? Armia, powtórzyłem, uzna go za oznakę tchórzostwa, a w najlepszym razie nieodpowiedzialny wyskok. Cywile zajmą stanowisko jeszcze mniej przychylnie, zwłaszcza gdy się dowiedzą, że inicjał S oznacza Siegfrieda.

Siegfried nie podzielał mojego zdania, lecz stwierdziłem bez ogródek, że list nie zdobył i nie zdobędzie spodziewanego rozgłosu. W końcu, nie mogąc zaprzeczyć, że źle się czuje, zgodził się stanąć przed komisją.

Udało się. Musiałem teraz nastawić lekarzy. Wystąpiłem o pozwolenie złożenia zeznań jako przyjaciel pacjenta. Komisja składała się z trzech medyków: etatowego majora i pułkownika Korpusu Medycznego JKMości oraz kapitana czasu wojny. Zdałem sobie szybko sprawę, że pułkownik jest nieprzychylnym szowinistą, major pocziwym ignorantem, a kapitan zawodowym psychiatrą i rozsądnym człowiekiem. Był moją jedyną nadzieją. Opisując raz jeszcze całą historię, powinienem odnosić się z najwyższym uszanowaniem do dwóch starszych oficerów i traktować kapitana jako sprzymierzeńca, który pokona ich skrupuły. Wbrew własnej woli musiałem wystąpić w roli patrioty zrozpaczonego załamaniem się bohaterskiego towarzysza broni. Wspomniałem o halucynacjach Siegfrieda, który widział trupy zaścielające Piccadilly. O ironio! Musiałem wmówić tym starym wariatom, że szaleńcem jest Siegfried! Wiedziałem, że sprzeniewierzam się prawdzie, i postąpiłem jak faryzeusz. Nerwy miałem prawie tak samo rozstrojone jak Siegfried i składając zeznania wybuchnąłem dwukrotnie płaczem. Kapitan McDowell, który okazał się renomowanym psychiatrą z Harley Street, dobrze odegrał swoją rolę. Kiedy wychodziłem, zwrócił się do mnie: „Sam pan powinien stanąć przed komisją, młody człowieku”. Modliłem się w duchu, by Siegfried nie wydał się zbyt normalny, gdy wejdzie po mnie do sali, lecz McDowell przekonał starszyznę, że mam rację.

Siegfrieda skierowano do lecznicy dla neurasteników w Craiglockhart pod Edynburgiem, a Macartney-Filgate wyznaczył mnie na jego eskortę. Uznaliśmy to za przedni kawał, zwłaszcza gdy spóźniłem się na pociąg i Siegfried pojechał sam (do Głupowisk, jak mówił). W Craiglockhart zajął się nim profesor William Halse Rivers, wybitny neurolog, etnolog i psycholog z Cambridge, znany nam jak dotąd tylko ze słyszenia. Rozpoczął co kilka lat studia w zupełnie nowej dziedzinie, realizując szeroki plan badań antropologicznych.

Rivers zmarł wkrótce po wojnie, gdy jako niezależny kandydat lewicowy ubiegał się o mandat poselski w okręgu wyborczym Uniwersytetu Londyńskiego, ukoronowaniem jego prac miało być studium życia politycznego. W owym czasie zajmował się intensywnie psychologią imicrci. Leczył przeszło stu neurasteników, a jego diagnozy opierały się pr/ile wszystkim na freudystycznej interpretacji snów, choć energicznie zwalczał niektóre skrajne tezy wiedeńskiego lekarza. Pośmiertne dzieło *Konflikt i sen* to owoc badań w Craiglockhart. Nawiasem mówiąc, na obserwacji u Riversa przebywał po rozprawie przed sądem policyjnym Dick, którego po wyleczeniu uznano za zdatnego do służby wojskowej.

Siegfried i Rivers zostali wnet bliskimi przyjaciółmi. Siegfried interesował ulę metodami diagnostycznymi Riversa, ten ostatni zaś poezją Siegfrieda. Po powrocie z Edynburga spadł mi kamień z serca. Siegfried zaczął pisać ryki przerażających wierszy, które ukazały się częściowo w czasopiśmie szpitala w Craiglockhart, *The Hydra*, a w rok później w postaci książkowej pod tytułem *Kontrnatarcie*. Innym pacjentem był Wilfried Owen z Regimentu Piechoty Liniowej z Manchesteru, wytracony z równowagi bezpodstawnym oskarżeniem o tchórzostwo. Owen, spokojny pyzaty człowieczek, zaczął pisać za namową Siegfrieda wiersze o wojnie.

XXV

Przewodniczący komisji lekarskiej w Osborne miał rację: nie powinienem wracać do służby. W obozie Trzeciego Batalionu prowadzono bardzo intensywne szkolenie, a ja otrzymałem dowództwo kompanii wyćwiczonych żołnierzy, co nie dawało czasu na wypoczynek. Ze słabości swoich nerwów zdałem sobie sprawę w trakcie batalionowego marszu etapowego ulicami Litherlandu, gdy ujrzałem nagle trzech robotników w maskach przeciwgazowych, którzy pochylali się nad trupem wydobytym z otwartej studzienki kanalizacyjnej. Ubranie miało mokre i cuchnące, twarz i ręce żółte. Zatrul się podczas inspekcji kanału, dokąd przedostały się ścieki z fabryki trotylu. Kompania nie przerwała marszu i robotnicy tylko mi mignęli, lecz widok do tego stopnia przypominał Francję, że zemdlałbym, gdyby nie dźwięki orkiestry.

Komendant mianował mnie asesorem sądu wojennego mającego rozpatrzyć sprawę cywila, który zgłosił się jakoby ochotniczo do pospolitego ruszenia, lecz się nie stawił, gdy jego rocznik powołano pod broń. Próbowalem współczuć owemu człowieczkowi, nędznej kreaturze ludzko podobnej do królika, ale jakoś nie mogłem, i to nawet wtedy, gdy dowiedział, że się nie zgłosił. Jego adwokat przedstawił list kaprała służącego we Francji, który wyjaśniał, że poszedł na urlopie do komendy uzupełnień i podał się z zemsty za królika, bo ów zabawiał się z jego żoną. Królik wyparł się figlów i wskazał, że jego ślepie opisano w kwestionariuszu poborowym jako błękitne, gdy tymczasem są króliczobrazowe. Wydawało się, że wygrał sprawę, lecz powstało pytanie, dlaczego nie wstąpił do armii na mocy ustawy o służbie wojskowej, skoro jest zdrowym królikiem. Stwierdził, że wyreklamowała go fabryka armat, gdzie przed uchwaleniem ustawy pracował na odpowiedzialnym stanowisku. Jednakże policja przedstawiła dowody, że „świadectwo niezbędności” jest fałszywe i że nie pracował w przemyśle zbrojeniowym przed wprowadzeniem poboru przez parlament. Jako jeden z „obowiązanych do stawienia się”, uchylał się tedy mimo wszystko. Nie mając innej możliwości, skazaliśmy go na ustawowe dwa lata więzienia. Zalał się łzami, pisał po króliczemu i wołał, że odmawia służby jako pacyfista. Po rozprawie czułem pogardę do samego siebie.

W owym czasie wysyłano duże uzupełnienia do Pierwszego, Drugiego, Dziewiątego i Dziesiątego Batalionu we Francji oraz Ósmego Batalionu w Iraku. Od służby uchylali się tylko nieliczni poborowi. Mimo to niezbyt lubili płynąć na kontynent w spokojnych miesiącach zimowych; woleli wiosnę i lato, gdy toczyły się krwawe walki. (Pułk zachował ducha bojowego nawet w ostatnim roku wojny. Attwater opowiadał mi, że w krytycznych tygodniach wiosny tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, kiedy Niemcy przerwali front w obrębie Piątej Armii, uzupełnienia pchnięte do Francji szły na dworzec śpiewając i wiwatując. Tak samo zachowywał się kontyngent zebrany przeze mnie i Attwatera we Wrexham dwunastego sierpnia tysiąc dziewięćset czternastego roku i wcielony do Drugiego Batalionu tuż przed jego odpłynięciem do Francji.)

Pułkownik Jones-Williams żegnał żołnierzy ciągle tą samą oracją. Po wyjeździe z Osborne przybyłem do Litherlandu kolejką elektryczną, pr/esiadłszy się w Liverpoolu. Na stacji w Litherlandzie roilo się od wojska. Usłyszałem znajomy głos i znajome słowa: komendant wygłaszał przemówienie do niewielkiego oddziału wracającego do Pierwszego Batalionu. „Maszerując ochoczo, jak na żołnierzy brytyjskich przystało, hy walczyć z nieprzyjaciółmi Imperium... poniektórzy padną być może w boju... kultywując wspaniałe tradycje Fizylierów Królewskich z Waliey...” Żołnierze wznosili z zapalem okrzyki; odniosłem wrażenie, że z podejrzenie wielkim zapalem - może nawet ironicznie? Kiedy skończył, podszedłem i przywitałem się z kilkoma starymi znajomymi: szeregowymi Daviesem, Williamsem oraz Daviesem o przydomku Ni Ma. (Zdobył go jako rekrut. Był synem farmera walijskiego, nawykłym do dobrego jedzenia, i poskarżył się pierwszego dnia na jakoś śniadania, krzycząc w kasynie do sierżanta: „Chłopie, i to ma być śniadanie?! Wędzonki ni ma, kielbasy ni ma, śledziów ni ma, niczego, psiamac, ni ma, ino ta parszywa marmelada!”)

Dostrzegłem także innego znajomego z Pierwszego Batalionu: Medal za Odwagę, Medaille Militaire, Medal Wojskowy, lecz gdzie się podział szewron?

- Znów was zdegradowano, sierżancie Dickens? - spytałem.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło, panie kapitanie - uśmiechnął się szeroko Dickens.

Nadjechał pociąg, a ja wyciągnąłem dłoń i rzekłem:

- Powodzenia!

- Nie możemy panu niestety uścisnąć ręki, panie kapitanie - odparł Dickens.

Żołnierze gruchnęli śmiechem, a ja zerknąłem na ich dłonie i zrozumiałem, dlaczego wiwatowali tak głośno. Byli zakuci w kajdanki. Dwa tygodnie temu przeznaczono ich do służby w Iraku, lecz woleli wrócić do Pierwszego Batalionu, więc przedłużyli sobie przepustkę. Komendant, nie rozumiejąc sytuacji, osadził ich w areszcie, by nie zdezerterowali. Jechali teraz pod eskortą żandarmów do batalionu, w którym

pragnęli służyć. Nie czuli urazy do komendanta. Pułkownik Jones-Williams był pocziwcem, który osobiście inspekcjonował kuchnię obozową, zbudował dla żołnierzy szopę z kinematografem, wymierzał łagodne kary dyscyplinarne i nie gonił wracających z frontu.

Postanowiłem wyrwać się jakoś z Litherlandu, gdyż przeczuwałem, jaka będzie zima. Nad Mersey i obozem snuła się jesienna mgła pełna fetoru trotylu. W zeszłym roku kaszałem w swoim baraku jak opętany, aż robiło mi się słabo. Od wyziewów piekły oczy, a guziki i odznaki na czapkach śniedziały. Zastanawiałem się, czy nie wrócić do Francji, lecz zdawałem sobie sprawę z absurdalności owego pomysłu. Od tysiąc dziewięćset szesnastego roku prześladował mnie lęk przed gazem i każdy nieznaną zapach, nawet silny aromat kwiatów przywiany nagle z ogrodu, przyprawiał mnie o drżączkę. Nie byłem także w stanie znieść huku dział: usłyszawszy strzał rury wydechowej auta padałem plackiem na ziemię lub rzucałem się do ucieczki. Może powinienem popłynąć do Palestyny, gdzie gazu nie stosowano, a kanonada była nieznaczna w porównaniu z frontem zachodnim?

Siegfried napisał w sierpniu z Craiglockhart: „Co sądzisz o ostatniej ofensywie? Cudowna jest ta wojna na zużycie! «I, czym tu się turbować?», jak mawia lord Crewe”. Przypomniała mi się uwaga barona Carsona: „Nie wolno dopuścić do załamania dostaw bohaterów”.

Na następnej komisji lekarskiej poprosiłem o kategorię B2, która znaczyła „zdalny do służby garnizonowej w kraju”. Liczyłem na przydział do Trzeciego Batalionu Garnizonowego, rozłożonego w namiotach w Oswestry w Walii. Poczując się nieco lepiej, zamierzałem wystąpić o kategorię BI, czyli „zdalny do służby garnizonowej za granicą”, po czym siłą rzeczy otrzymałbym translokację do garnizonu Fizylierów Królewskich z Waliey w Egipcie. Kiedy znajdę się na miejscu, zapewne nietrudno będzie uzyskać kategorię A1 i dołączyć do Dwudziestego Piątego Batalionu Ochotniczego w Palestynie.

Wysłano mnie tedy do Oswestry. Mieliśmy dobrego komendanta, lecz większość żołnierzy pochodziła z poboru, a szarże, z nielicznymi wyjątkami, do niczego się nie nadawały. Tuż po przybyciu otrzymałem rozkaz załadowania do pociągu taborów batalionowych: przenieśliśmy się do obozu w Kinmel Park pod Rhyl. Adiutant dał mi stu pięćdziesięciu ludzi i sześć godzin. Wybrałem pięćdziesięciu najsilniejszych szeregowych i kilku podoficerów, którzy wyglądali na obrotnych, reszcie zaś kazałem pograć w piłkę. Zorganizowawszy przydzieloną mi hałstrę metodami Pierwszego Batalionu, załadowałem eszelon w cztery godziny. Komendant pogratulował mi osobiście. W Rhyl zlecił mi „dalsze szkolenie” około sześćdziesięciu subalternów, których przysłano z batalionów kadeckich. Prawie żaden z moich kolegów nie wahał dotąd prochu.

Przypomniałem sobie wówczas o Nancy Nicholson. Poznałem ją w posiadłości Nicholsonów w Harlech w kwietniu tysiąc dziewięćset szesnastego roku, przebywając na urlopie po operacji nosa. Miała szesnaście lat i spędzała w Walii wakacje szkolne, a ja znałem jej brata

Hcna, malarza zwolnionego od poboru z powodu astmy. Przed powrotem do Francji w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku odwiedziłem w Chelsea rodzinę Bena, Nancy zaś była ostatnią osobą, która mnie pożegnała, gdy N/.cdłem na Dworzec Wiktorii. Pamiętałem, jak stała w drzwiach, ubrana w czarną aksamitną sukienkę, ze sznurem koralu na szyi. Była kiepsko wykształcona, niezależna i wrażliwa, a do wojny odnosiła się rozsądnie, w przeciwieństwie do większości mieszkańców kraju. Latem tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, tuż po epizodzie z Majorie, zabrałem Nancy na rewię muzyczną, pierwszą, jaką widziałem. Nosiła tytuł *Świergotki* i występował w niej Lee White, który śpiewał o Zuzi z podbitym oczkiem i o tym, że „pannom w sukniach niewygodnie, więc zaczęły nosić spodnie”. Nancy mówiła, że mieszka sama na wsi. Pokazała mi swoje rysunki, ilustracje do *Antologii poezji dziecięcej* Stevensona. Dobrze się rozumieliśmy, bo czuliśmy oboje sentyment do dzieci. Lubiłem całą rodzinę Nancy, zwłaszcza matkę, Mabel Nicholson, malarzkę, zwariowaną szkocką piękność o melancholijnym usposobieniu. William Nicholson, również malarz, jest nadal moim przyjacielem. Tony, starszy brat Nancy, był wówczas subalternem artylerii i czekał na przydział do Francji.

Nawiązałem z Nancy korespondencję na temat swojej poezji dziecięcej, którą chciała ilustrować. W październiku tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, podczas następnego urlopu, odwiedziłem ją na farmie w hrabstwie Huntington, gdzie mieszkała ze swoim czarnym pudlem, sama jedna wśród farmerów, parobków i inwalidów wojennych osadzonych na roli, którzy pomagali jej ciąć brukiew korbową szatkownicą. Nasze listy stały się później serdeczniejsze. Ostrzegła mnie, że jest emancypantką i że muszę uważać, co mówię o kobietach: stosunek wieśniaków z Huntington do żon i córek doprowadzał ją do furii. Spadł mi jednak kamień z serca, gdy brutalnie zdefiniowała istotę chrześcijaństwa: „Bóg jest mężczyzną, więc to pewnie klituś bajduś”.

Otrzymałem kategorię BI, lecz moje plany pokrzyżowała translokacja do Gibraltaru, stanowiącego pod względem służbowym ślepą uliczkę. Dostać się stamtąd do Palestyny było równie trudno jak z Anglii. Przyjaciel z Ministerstwa Wojny podjął się anulować przydział do chwili, gdy zwolni się etat w batalionie

kairskim. Sprawowałem w Rhyl pierwsze samodzielne dowództwo. Otrzymałem je skutkiem pogłoski o zbliżającej się inwazji na północno-wschodnie wybrzeże Anglii, poprzedzonej rajdem floty niemieckiej. Z różnych części kraju przerzucano nad morze oddziały piechoty. Wszyscy zdrowi żołnierze Trzeciego Batalionu Garnizonowego mieli się zameldować w ciągu doby w Yorku. Jednakże do iskrówki z Ministerstwa Wojny do Dowództwa Okręgu Zachodniego wkraść się drobny błąd. Zamiast kreska-kropka-kreska-kreska wystukano morsem kreska-kropka-kres-ka-kropka, toteż batalion popłynął do Corku. Rozważywszy sprawę głębiej, przełożeni uznali, iż jest tam równie potrzebny jak w Yorku, pozostał tedy w mieście do końca wojny.

Irlandia wrzała od Powstania Wielkanocnego w tysiąc dziewięćset szesnastym roku, a Irlandczycy z kadr pułkowych zaopatrywali w karabiny bojowców Sinn Fein. Kiedy przyszedł rozkaz wymarszu, komendant uznał mnie za jedyne go oficera, któremu można powierzyć resztę batalionu: trzydziestu nieopierzonych subalternów, kilkuset ciamajdów zatrudnionych w obozie i dwustu przeszkolonych rekrutów czekających na statek do Gibraltaru. Dał mi sprężystego adiutanta i trzy konie wierzchowe oraz poprosił o opiekę nad swoimi dziećmi, które musiały zostać w Anglii do czasu wynajęcia willi w Corku. Dużo się z nimi bawiłem. Zaokrętowanie żołnierzy płynących do Gibraltaru przebiegło sprawnie, a inspekcjonującemu generałowi tak się podobała ich marsowa postawa, że zafundował im seans w kinie obozowym. Utwierdziło to pułkownika w dobrym mniemaniu o mnie. Moje sukcesy służbowe osiągnęły apogeum, gdy uniemożliwiłem kwatermistrzowi obozu obarczenie batalionu odpowiedzialnością za utratę pięciuset kocy.

Oto jak do tego doszło. Pewnego wieczoru dano mi raptem pod komendę trzy tysiące trzystu żołnierzy urlopowanych z Francji: Irlandczyków z całej armii zatrzymanych w drodze do kraju w Holyhead wskutek działań niemieckich U-botów na Morzu Irlandzkim. Upijali się i awanturowali, ja zaś miałem z nimi utrapienie przez cztery dni. Otrzymali sześć tysięcy sześćset kocy, z czego zniknęło pięćset, które wymienili zapewne w Rhyl na papierosy i piwo. Zdołałem dowieść przed komisją dochodzeniową, iż żołnierze, aczkolwiek przydzieleni do batalionu z przyczyn dyscyplinarnych, wyfasowali koce bezpośrednio z kwatermistrzostwa, nim przeszli pod moją komendę. Ponieważ nie wystawiłem pokwitowania, można było domniemywać, że zaginięcie kocy nastąpiło przed wcieleniem Irlandczyków do batalionu. Komisja zebrała się w biurze kwatermistrza, a ja zażądałem, by je opuścił na czas składania przeze mnie zeznań, gdyż nie jest to już biuro, lecz sala przesłuchań. Przewodniczący przyznał mi rację i wygrałem sprawę, gdyż kwatermistrz nie znał mojej linii obrony. Sukces ów, a także zdobycie dowodów, iż prezes kasyna batalionowego przyjmuje gratyfikacje od hurtowników z Rhyl (kazał mi powtórnie zapłacić ten sam rachunek, więc w odwet wzięłem pod lupę jego życie prywatne), spowodowały, że rozanielony komendant wystąpił o nadanie mi rosyjskiego Krzyża Świętej Anny Trzeciej Klasy z Mieczami. Gdyby nie rewolucja bolszewicka, która anulowała wnioski odznaczeniowe, zakończyłbym tedy służbę z przynajmniej jednym orderem.

Przyjechawszy w grudniu do Londynu, spotkałem się z Nancy i postanowiliśmy natychmiast się pobrać. Chociaż nie przywiązywała żadnej wagi do sakramentu małżeństwa, nie chciała sprawiać zawodu ojcu, miłośnikowi przyjęć i weselisk. Spodziewałem się ciągle przydziału do Hgiptu i zamierzałem przenieść się stamtąd do Palestyny. Jednakże Nancy była niepełnoletnia, jej matka zaś zgodziła się na ślub pod warunkiem, że dowiem się w Londynie od pulmonologa, czy w ciągu najbliższych kilku lat stanę się zdalny do służby frontowej. Poszedłem do sir Jamesa Fowlera, który odwiedził mnie w szpitalu w Rouen. Orzekł, że choć powstały zrosty i ranne płuco ma zaledwie trzecią część normalnej pojemności, jestem w zasadzie zdrowy, ale ogólny stan moich nerwów wyklucza służbę w jakimkolwiek teatrze wojny.

W styczniu tysiąc dziewięćset osiemnastego roku wzięliśmy ślub w kościele Świętego Jakuba przy Piccadilly. Nancy miała zaledwie osiemnaście lat, ja dwadzieścia dwa. Druzbą był George Mallory. Owego ranka Nancy przeczytała pierwszy raz w życiu rotę przysięgi małżeńskiej i tak się przeraziła, że mało nie odmówiła udziału w ceremonii, choć na moją prośbę skrócono ją i uproszczono do granic możliwości. Jeszcze jedna karykatura, z której się naśmiewam: ściskam w dłoni szablę i kroczę pobrzękując ostrogami po czerwonym kobiercu; podchodzę do kipiącej ze złości Nancy w jedwabnej sukni ślubnej w błękitną kratkę; w nawie kościoła siedzą tłumy krewnych, ciocie ocierają oczy chusteczkami, fałszywie zawodzi chór chłopięcy, Nancy mamrocze wściekle przysięgę, a ja wrzeszczę jak kapral na apelu.

Przyjęcie weselne. Cukier można było wówczas dostać jedynie na kartki. Nicholsonowie oszczędzali cukier i masło przez miesiąc, by tort weselny smakował jak prawdziwy, lecz gdy George Mallory uniósł klosz z gipsu imitujący pałac lodowy, gościom wyrwał się z piersi jęk zawodu. Szampan był także rarytasem i weselnicy rzucili się hurmem w stronę stołu, gdzie czekał tuzin butelek. Nancy zawołała: „No, w każdym razie ja zamierzam coś z tego wesela mieć!” i chwyciła czym prędzej flaszkę. Wypiwszy kilka kieliszków, przebrała się w kaftan i bryczesy, swój strój wiejski. Moja matka, która była jak dotąd w

siódmym niebie, wykrzyknęła do swego sąsiada, eseisty E. V. Lucasa: „Matko Boska, jak mogła to zrobić!” Noc poślubna przysporzyła nam nieco zawstydzenia (byliśmy oboje nietknięci), które rozproszył nalot: niemieckie sterowce zbombardowały pobliski hotel, gdzie wybuchła panika.

W tydzień później Nancy wróciła na farmę, a ja objąłem z powrotem komendę w Kinmel Park. Zbijałem tam baki. Apele się nie odbywały, bo wszyscy żołnierze pełnili służbę wewnętrzną. Znalazłem też doświadczonego porucznika, który wziął na siebie „dalsze szkolenie” świeżo upieczonych subalternów. Raporty karne zajmowały mi dziesięć minut dziennie. Wykroczenia zdarzały się rzadko, a adiutant miał zawsze w pogotowiu dokumenty do podpisu, tak że przez resztę dnia mogłem jeździć konno po okolicy, zmieniając po kolei swoje trzy rumaki. Odwiedzałem często pałac w St Asaph, gdzie rezydował obecny arcybiskup Walii, którego syn poległ w Pierwszym Batalionie. Odkryliśmy w sobie wspólne zamiłowanie do nonsensu. Zachowałem przesłaną przezeń kartę pocztową:

Pałac biskupi, St Asaph W lutym tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego roku w hotelu Langham odbył się bankiet hippofagów.

A. G. Asaph

Podczas wojny poznałem kilkunastu dostojników kościelnych, a później już tylko biskupa Oksfordu (z którym dwa lata wcześniej dyskutowałem w pociągu o urokach prozy Samuela Richardsona) oraz biskupa Liverpoolu: w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku gotowałem w Harlech herbatę na wydmach, gdy wyszedł z morza wyjąć z bólu, bo poparzyła go w udo meduza. Przyjął z wdzięcznością filiżankę herbaty, pojękując żałośnie, że myślał, iż meduzy parzą jedynie w tropikach.

Znużony bezczynnością, załatwiłem sobie przydział do Szesnastego Batalionu Kadeckiego w innej części obozu. Robiłem to samo co w Czwartym Batalionie w Oksfordzie. Pracowałem jako instruktor od lutego tysiąc dziewięćset osiemnastego roku aż do rozejmu. Powietrze w Rhyl było znacznie lepsze niż w Oksfordzie, mogłem tedy grać w piłkę bez obawy, że zasłabnę. Zamieszkała ze mną Nancy, która podjęła pracę w ogrodzie warzywnym opodal obozu. Po kilku miesiącach spostrzegła, iż jest w błogosławnym stanie, rzuciła pracę u ogrodnika i z powrotem zajęła się rysunkiem.

Przyjaciele nie pochwalali moich zaręczyn, zwłaszcza z taką młodką jak Nancy. Jeden, Robbie Ross, zarządca spuścizny literackiej po Oskarze Wildzie, poznany dzięki Siegfriedowi, próbował mnie odwieść od małżeństwa, napomykając złośliwie, iż w żyłach Nicholsonów płynie murzyńska krew i dzieci mogą okazać się czarne jak węgiel. Siegfried pisywał nadal / Craiglockhart, choć nie mógł się oswoić z myślą o Nancy, której jak dotąd nie znał. W kilka miesięcy później, nie wyrzekając się przekonań pacyfistycznych, postanowił wrócić mimo wszystko do Francji. Była to icdyna słuszna droga. W październiku tysiąc dziewięćset siedemnastego roku napisał, że spotkanie ze mną wytrąciło go zupełnie z równowagi. Szpitalna izolacja stawała się nie do zniesienia. Otrzymał długi list od Starego Joe, który donosił, że Pierwszy Batalion odpoczywa na zapleczu po walkach o Kanciasty Las i że nigdy dotąd nie działały się tak potworne rzeczy: raczej trzeba dowozić przez trzymilowe grzędzawisko pełne lejów, trupów i końskiej padliny. Siegfried czuł się w lecznicy jak w klatce i nie mógł znieść myśli, że biedny Stary Joe całymi nocami czołga się w błocie pod ostrzałem. Poległo kilku taborytów, ale przynajmniej, jak pisał Joe, „chłopcy mieli co zjeść”. Gdybyż. jego list mogli przeczytać autorzy tryumfalnych artykułów wstępnych w *The Morning Post*! Kiedy otrzymał za swój czyn Krzyż Walecznych, redakcja nowego wydania *Leksykonu zasłużonych* przesłała mu do wypełnienia kwestionariusz biograficzny. Popatrzył z pogardą na rozliczne rubryki i lekceważąc „datę i miejsce narodzin”, a nawet „batalie wojenne”, wypełnił tylko dwie:

Wiara: Dostała rum i karabiny.

Siedziba rodu: Dupa.

Siegfried napisał wiersz *Kiedy zasypiam ciepłem kołysany* o duchach żołnierzy, którzy wyrzucają mu we śnie nieobecność na froncie: szukali go od Ypres do Frise, lecz nie znaleźli. Oświadczył Riversowi, że wróci do Francji, jeśli przełożeni się na to zgodzą, ale dodał bez ogródek, że poglądy ma takie same jak w lipcu, gdy złożył protest, a nawet ostrzejsze. Zażądał pisemnej gwarancji, że otrzyma natychmiast przydział liniowy i że nie będzie przetrzymywany w nieskończoność w batalionie szkolnym. W liście do mnie krytykował mój lipcowy pogląd, iż koledzy z pułku uznają jego krok za oznakę tchórzostwa lub nieodpowiedzialny wyskok. Samobójczą głupotą i naiwnością, pisał, jest utożsamiać się w jakikolwiek sposób z powszechnie przyjętymi opiniami. Człowiek prawdziwie mężny nie poddałby się tak łatwo jak ja. Przyznałem wszakże, ciągnął, iż ludzie posyłający żołnierzy na śmierć to bezduszni dranie i że tylko w Rosji dzieje się inaczej. Nie pamiętam już, co odpisałem - zdaje się, że we Francji nigdy nie byłem takim znów zabijaką: pozbawiłem życia bardzo niewielu Niemców w porównaniu z Siegfriedem, który

dokonywał wręcz masowych rzezi. Stawał się w istocie to beztróskim wojownikiem, to zgorzkniałym pacyfistą, a jego niezłomny idealizm zmieniał barwę pod wpływem otoczenia. Wiersz:

Oto się zwracam z ufnością niemałą Ku bratu Ołowiowi i Siostrze Stali.

Do ślepej mocy brata modłę się z oddali I strzegę piękna siostry, by nie pordzewiało... zainspirowała krwiożercza mowa o „duchu bagnetu” wygłoszona przez pułkownika Campbella, kawalera Krzyża Wiktorii, do elewów szkoły oficerskiej. Siegfried utrzymywał później, że to parodia, lecz wiersz można odczytywać i tak, i tak. Byłem konsekwentniejszy, ale mniej odważny.

Nie pamiętam, czy znów użyłem swoich wpływów; w każdym razie przydzielono go do Dwudziestego Piątego Batalionu Fizylierów Królewskich z Waliey w Palestynie. Była to jednostka ochotnicza. Życie na Bliskim Wschodzie zdawało się służyć Siegfriedowi, ale w kwietniu otrzymałem niepokojącą wiadomość „z krainy Efraimitów”, że dywizja odpływa do Francji. Pisał, że nie ma wielkiej ochoty wracać na front i biec na karabiny maszynowe pod Morlancourt czy Meaulte. W oficjalnych komunikatach powtarzała się nazwa Morlancourt, a Siegfried dopowiedział sobie resztę. Podejrzewał, że oba bataliony kadrowe przestały istnieć n-ty raz z rzędu.

Pod koniec maja otrzymałem list z Francji. Siegfried cytował Duhamela: „Przeznaczeniem twym męka bez nadziei i celu, lecz twoich cierpień otchłań nie pochłonie”. Mimo to w następnym paragrafie, utrzymanym w tonacji beztróskiego wojownika, pisał, że nie miał jeszcze pod komendą tak znakomitych żołnierzy. Szkoda, że nie mogę ich zobaczyć. Choć pewnie nie uwierzę, szkoli ich wściekle dobrze i sam nie wie, skąd się w nim wziął ten płomienny entuzjazm - a jednak się wziął. Korzysta z wybornych instrukcji wprowadzonych niedawno do użytku, całe niebo lepszych od tych, któreśmy dostawali pr^ed dwoma laty. Po przeczytaniu mojego listu pomyślał: „Pal diabli Roberta, pal diabli cały świat z wyjątkiem mojej kompanii - najlepszej, juka kiedykolwiek istniała - pal diabli Walię, pal diabli urlop, pal diabli ranę, pul diabli wszystko oprócz moich chłopców, nim wyginą! Nim zaczną skakać

I czołgać się między lejami, nim zeszytnięją w słońcu w pozach pełnych iprofanowanej godności...” Prosił, bym wspomniał te słowa, gdy go zobaczę wyczerpanego, załamanego, kłótliwego i roztrzęsionego (jeśli go oczywiście /obaczę). Albo kiedy znajdę jego nazwisko w wykazie poległych i otrzymam uprzejmy list mecenasa Lousady. Równie dobrego batalionu, pisał, nie mieliśmy od tysiąc dziewięćset szesnastego roku, lecz przestanie istnieć w ciągu najbliższych sześciu miesięcy.

Tony, brat Nancy, również popłynął do Francji, a matka rozchorowała Kię ze zmartwienia. Spodziewał się urlopu na początku lipca. Zakończywszy zajęcia na jednym z czteromiesięcznych kursów kadeckich, pojechałem z rodziną Nancy do Maesyneuardd, dworu z epoki Tudorów pod Harlech. Nie mieszkałem nigdy w domu, gdzie bardziej straszyc, aczkolwiek, oprócz jednego, duchy były niewidzialne i pojawiały Nię wyłącznie w zwierciadłach. Otwierały i zamykały drzwi, stukwały w dębowe boazerie, zrzucały z lamp abażury i wypijały wino z kieliszków, kiedy odwracaliśmy głowy. Prawie wszyscy antenaci właściciela domu, oficera Drugiego Batalionu, zapili się na śmierć. Zjawa widzialna miała postać żółtawego psiaka, który ukazywał się o świcie w parku jako zwiastun śmierci. Nancy ujrzała go raz z okna.

Wybuchła pierwsza epidemia grypy hiszpanki. Złapała ją matka Nancy, lecz pragnęła zobaczyć Tony'ego na urlopie i jeździć z nim w Londynie do teatrów, udała więc przed lekarzem zdrową, obniżywszy gorączkę końską dawką aspiryny. Jednakże widma w lustrzanych taflach nie dały się nabrać. Umarła w Londynie w kilka dni później, trzynastego lipca. Na łożu śmierci pocieszało ją tylko to, że Tony'emu przedłużono dzięki niej urlop. Bałem się, że wstrząs odbije się na dziecku Nancy. Potem nadeszła wiadomość, że Siegfrieda postrzelono w głowę, gdy w biały dzień wyczołgał się na patrol w pasie neutralnym porośniętym wysoką trawą. Przeżył jednak i przesłał mi ze szpitala w Londynie wierszowany list (nie mogę go przytoczyć, chociaż chciałbym) zaczynający się od słów:

To, kiedy padnę w akcji, wyliczyłem
Co do minuty... i
Jest to jego najstraszniejszy wiersz wojenny.

Tony poległ we wrześniu. Ja prowadziłem rutynowe zajęcia z kadetami. Kandydatami na oficerów byli teraz przeważnie urzędnicy manche-sterskich przędzalni bawełny lub linii żeglugowych z Liverpoolu, ludzie spokojni i dobrze wychowani, którzy odznaczyli się męstwem. By zapomnieć o wojnie, pisałem *Sentymenty wiejskie*, tomik liryków' i ballad.

Jedenastego listopada podpisano zawieszenie broni. Tego samego dnia dowiedziałem się o śmierci Franka Jonesa-Batemana, który wrócił na front tuż przed końcem wojny, i Wilfrieda Owena, który często przesyłał mi wiersze z Francji. Szał radości, jaki ogarnął wieczorem Anglię, ominął obóz, choć niektórzy Kanadyjczycy świętowali w Rhyl w iście kolonialnym stylu. Na wieść o pokoju wybrałem się na samotny

spacer groblą przez moczary Rhuddlan (starożytne pobojuwisko, walijski odpowiednik Floddenu), klnąc, szlochając i wspominając poległych.

Siegfried upamiętnił rozejm słynnym wierszem:

Ze wszystkich gardeł śpiew się nagle wyrwał,
A w mojej piersi zatętniła radość,
Jaką muszą czuć ptaki uwolnione z klatki...
Ja jednak się nie cieszyłem.

XXVI

W połowie grudnia batalion kadecki rozformowano, instruktorów zaś po kilkudniowym urlopie odesłano do jednostek macierzystych. Otrzymałem przydział do Trzeciego Batalionu Fizylierów Królewskich z Waliey, stacjonującego w koszarach na zamku w Limericku, lecz postanowiłem przedłużyć urlop do chwili narodzin dziecka. Nancy spodziewała się rozwiązania na początku stycznia tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, a jej ojciec wynajął w tym celu dom w Hove. Jenny, urodzona na Trzech Króli, nie była czarna jak węgiel ani nie zaszkoziły jej wydarzenia ostatnich miesięcy. Nancy nie miała pojęcia, jak wygląda poród - myślałem, że ktoś ją ostrzegł - i doszła do siebie dopiero po dwóch latach. Pojechałem do Limericku, gdzie wyłgałem się z przedłużenia urlopu.

Miasto było bastionem Sinn Fein, toteż dochodziło do nieustannych zatargów między wojskiem a młodzieżą. Nie panowała jednak nienawiść: Walijszczyki dogadywali się zawsze z Irlandczykami, podobnie jak nie znosili Szkotów. Nasi żołnierze panowali nad sytuacją: mieli w nosie politykę i grzmocili przeciwników rękobjęściami łopatek. Miasto wyglądało na zniszczone przez wojnę. Główne ulice były poryte lejami, a wiele kamienic wyglądało, jakby miało runąć. Staruszek Kcilly, właściciel antykwariatu dobrze pamiętający mego dziadka, twierdził, że w Limericku nie stawia się nowych domów, bo spada przyrost naturalny, toteż gdy budynek ulega zawaleniu, ocaleli mieszkańcy przeprowadzają się do innego. Mówił także, że wszyscy zapijają się na śmierć, z wyjątkiem Braciszków z Plymouth, którzy gasną na melancholię religijną.

Miasto budziło się o dziewiątej rano. Szedłem raz o tej porze O'Connel Street, dawną King George Street, i nie spotkałem żywej duszy. Kiedy wybiła dziewiąta, z drzwi imponującej willi z epoki króla Jerzego chlusnął kubeł pomyj, które omal mnie nie zalały. Później z domu wyczłapał pies i uniósł nogę koło latarni, za nim prawie naga dziewczynka, która przysiadła w rynsztoku i jeła wygrzebywać ze stosu odpadków umorusane skibki chleba, wreszcie ryczący osioł. Właśnie tak wyobrażałem sobie Irlandię, ale jej urok wydał mi się niebezpieczny. Kiedy mianowano mnie dowódcą oddziału mającego przetrząsnąć sąsiednią wieś w poszukiwaniu broni, poprosiłem Attwatera, pełniącego nadal funkcję adiutanta, o wyznaczenie zastępcy. Wyjaśniłem, że jestem Irlandczykiem i wolę się nie mieszać do polityki. W styczniu tego roku grałem ostatni raz w rugby jako obrońca w meczu między batalionem a Limerickiem. Byliśmy co do jednego fajtlapami, a przeciwnicy chcieli koniecznie pokazać, ilu wspaniałych żołnierzy straciliśmy nie przyznając Irlandii autonomii. Z jaką radością na mnie wskoczyli, wciskając mi twarz w kałużę!

Po zawarciu rozejmu przywiązanie do Nancy i Jenny jeło brać górę nad lojalnością wobec pułku. Siedząc na kwaterze, z której rozciągał się widok na dziedziniec koszar, zacząłem układać nonsensowny rymowany liścik do domu:

Czyż jest o Nancy i o Jenny
Piosneczka równie słodka?
- Nie ma - rzekł twardo Głupi Szymek,
Głaszcząc Syjamskiego Kotka.
- Byłem w Timbuktu i Madrasie,
Paragwaj objechałem.
Pławiłem konie na Cejlonie,
Lecz lepszej nie słyszałem.

W tejsze chwili na zamek powróciło z marszu etapowego kilka kompanii, pod oknami zaś zagrzmiały werble i jęknęły kobzy. Zabrzęczały szyby, którym udzielił się rytm *Grenadierów brytyjskich*. Kompanie formowały się po kolei na dziedzińcu, a uporczywie powtarzana melodia i szorstkie słowa komendy rzuciły wyzwanie Timbuktu i Syjamskiemu Kotkowi. Do listu wdarli się na moment *Grenadierzy brytyjscy*.

Aleksander podbił Persję,
Herkules węże zgniótl...

lecz wnet zostali odparci:

Bo czyż od Nancy i od Jenny
Może być słodszy ktoś?

Czyżbym przestał być grenadierem brytyjskim?!

Postanowiłem wystąpić niezwłocznie z wojska. Okazało się, że pierwszeństwo przy demobilizacji mają farmerzy i studenci. Nie czułem szczególnego pociągu do dalszej nauki i wołałbym uprawiać ziemię (Nancy i ja planowaliśmy zresztą kupić po wojnie gospodarstwo), tylko jak miałem się wykazać

wymaganym stażem pracy w rolnictwie?! Mogłem za to studiować przez dwa lata w Oksfordzie otrzymując rządowe stypendium w wysokości dwustu funtów rocznie, a ponadto przysługiwało mi zwolnienie z egzaminów połówkowych ze względu na służbę wojskową. Egzamin wstępny mnie nie obowiązywał, bo zdałem w Charterhouse maturę, tak że pozostawał tylko egzamin dyplomowy. Do stypendium doszedłby jeszcze dodatek na dziecko. To, że studia uniwersyteckie będą po wojnie coś znaczyć, uchodziło wówczas za absurd, lecz Oksford wydawał mi się dobrym miejscem, by odczekać do chwili, gdy nabiorę chęci do zarobkowania. Hołdowaliśmy pogładowi, że zdobycie pracy będzie po demobilizacji zależało jedynie od opinii o służbie frontowej, a chwalebne świadectwa przełożonych i baretki za rany otworzą przed nami wszystkie drzwi. Kilku moich kolegów oficerów w istocie rzeczy zdołało wykorzystać patriotyczny zapał pracodawców, nim ostygł, i otrzymało posady, do których nie mieli kwalifikacji.

Napisałem do przyjaciela z Wydziału Demobilizacyjnego Ministerstwa Wojny, by przyśpieszył moje zwolnienie. Obiecał zrobić, co się da, jeżeli przez ostatnie pół roku nie sprawowałem pieczy nad pieniędzmi skarbowymi. I rafhciał, iż rzeczywiście nie sprawowałem, gdy wtem Attwater postanowił mianować mnie komendantem kompanii. Skarżył się na zupełny brak godnych zaufania subalternów, którym może powierzyć rachunkowość. Przybysze z batalionów ochotniczych zachowywali się skandalicznie. Mnożyły się czeki bez pokrycia, sprawy o ustalenie ojcostwa i przypadki nietrzeźwości na apelu, nie wspominając nawet o manierach przy stole, klóre przejmowały zgrozą sierżanta Malleya. Mieliśmy w kasynie dwa Kulony, jeden dla oficerów młodszych, drugi starszych, lecz jeśli subalterm był dżentelmenem (to znaczy pochodził z północnowalijskiego ziemiaństwa lub ukończył Sandhurst), komendant pozwalał mu korzystać z salonu starszyny i obracać się wśród członków własnej klasy społecznej. Musiało lo niezmiernie dziwić trzech podporuczników kadrowych wziętych w tysiąc it/iewięćset czternastym roku do niewoli pod Mons, których zwolniono na mocy rozejmu i po śmierci większości kolegów awansowano na kapitanów.

Attwater zmienił decyzję dopiero wtedy, gdy obiecałem wziąć udział w batalionowym przedstawieniu teatralnym z okazji Dnia Świętego Dawida. Podjąłem się zagrać Cynnę w *Juliuszu Cezarze*. Zaoszczędziłem dzięki temu przeszło dwieście funtów, bo oficer rachunkowy kompanii, którą miałem objąć, zdezerterował nazajutrz z kasą, a byłbym za nią służbowo odpowiedzialny. Zanim został porucznikiem, występował na moło w Blackpool jako mistrz uwalniania się z kajdanek. Dotarł szczęśliwie do Ameryki.

Pojechałem konno do wuja, Roberta Coopera z Coopers Hill pod Limerickiem. Był ziemianinem, kapitanem marynarki wojennej w stanie spoczynku, a Sinn Fein zaczęła podpalać mu stogi i kraść bydło. Pokazał mi przez okno krowy pasące się w dali nad Shannonem.

- Stoją tam od jesieni - powiedział ponuro - ale od trzech miesięcy nie mam serca iść na nie popatrzeć.

Spędziłem w Coopers Hill noc. Obudziły mnie gwałtowne dreszcze, w których rozpoznałem pierwszy symptom influency.

Po powrocie do koszar dowiedziałem się, że Ministerstwo Wojny przysłało telegraficznie rozkaz mego zwolnienia, ale z powodu zamieszek demobilizacja oddziałów stacjonujących w Irlandii zostanie nazajutrz wstrzymana na czas nieokreślony. Attwater pokazał mi depeszę i powiedział:

- Nie puścimy pana. Obiecał pan zagrać w przedstawieniu.

Zaprotestowałem, Attwater się uparł, jednakże miałem chore płuca i nie zamierzałem przechodzić grypy w irlandzkim szpitalu wojskowym.

Postanowiłem nawiać. Sierżant-szef kancelarii po nadejściu telegramu wypisał mi dokumenty podróży, a ekwipunek miałem spakowany. Musiałem zdobyć jeszcze dwie rzeczy: zaświadczenie komendanta, że nie sprawowałem pieczy nad kasą kompanijną, i tajne oznaczenia kodowe, które znał tylko oficer demobilizacyjny batalionu. Był zausznikiem Attwatera, nie śmiałem go tedy prosić. Demobilizacja kończyła się o północy, a ostatni pociąg odchodził z Limericku kwadrans po szóstej wieczorem, trzynastego lutego. Miałem tylko jedną szansę. Musiałem odczekać, aż Attwater opuści kancelarię, i jakby nigdy nic podsunąć komendantowi certyfikat do podpisu. Attwater wykuśtykał ze sztabu dopiero pięć po szóstej. Ledwo zniknął z pola widzenia, wpadłem do środka, zasalutowałem, zdobyłem niezbędną parafkę - na szczęście dowództwo sprawował mój stary przyjaciel Macartney-Filgate - zasalutowałem ponownie i popędziłem po bagaże. Myślałem, że przy wartowni będzie stała dwukółka, lecz się przeliczyłem. Zostało około pięciu minut, a stacja leżała hen dalej. Minął mnie kapral Pierwszego Batalionu.

- Kapralu Summers, szybko! - krzyknąłem. - Zawołajcie paru żołnierzy! Mam bilet do domu i muszę złapać ostatni pociąg!

Summers wezwał niezwłocznie kilku szeregowych, którzy chwycili moje rzeczy i pognali na dworzec: lewa-prawa, lewa-prawa, lewa-prawa! Wgramoliłem się do pociągu wyjeżdżającego powoli ze stacji i rzuciłem kapralowi Summersowi banknot jednofuntowy.

- Do widzenia, kapralu! Wypijcie moje zdrowie!

Nadal jednak brakowało mi oznaczeń kodowych, bez których oficerowie punktu demobilizacyjnego w Wimbledonie nie mogli zwolnić mnie z wojska. Zresztą nie dbałem o to. Przynajmniej przejdę gripę w szpitalu angielskim, nie irlandzkim. Miałem gorączkę, a mój umysł pracował wyjątkowo jasno, jak zawsze przy podwyższonej temperaturze, gdy wyobraźnia, zwykle przymgłona i niepełna, staje się przejmująco wyrazista. Przepłynęliśmy wzburzone morze i dotarliśmy do Fishguard. Kupiłem egzemplarz *The*

South Wales Echo, w którym wyczytałem, że jeśli dyrekcja kolei nie spełni żądań związku zawodowego, nazajutrz, czternastego lutego, rozpocznie się w Londynie strajk maszynistów lokomotyw elektrycznych. Kiedy pociąg wtoczył się na dworzec Paddington, wyskoczyłem na peron, upadłem, wstałem i popędziłem do wyjścia, gdzie mimo konkurencji ze strony bagażowych - w owym czasie byli to cherylacy - złapałem jedyną taksówkę, zwalnianą akurat przez pasażera. Przewidziałem brak taksówek, a nie mogłem sobie pozwolić na stratę czasu. Poprosiłem szofera o podjechanie do pociągu, śledzony z zawiścią przez dziesiątki oficerów rozglądających się na próżno za środkiem lokomocji. Po jednego z nich, współpasażera z przedziału, wyszła żona.

- Przepraszam - zagadnałem - może państwa podwieźć? (Ale ostrzegam, mam gripę.) Jadę do Wimbledonu, więc wysiądę przy dworcu Waterloo, bo parowozy nadal kursują.

Przyjęli propozycję z radością, gdyż mieszkali w Ealing i nie wiedzieli, jak dotrzeć do domu bez taksówki.

- Czy mógłbym się jakoś zrewanżować? - spytał po drodze oficer.

- Nie potrzeba panu czegoś?

- Ba, jednej jedynej rzeczy, ale boję się, że to nie w pańskiej mocy. Chodzi o tajne oznaczenia kodowe, by uzupełnić moje dokumenty demobilizacyjne. Czmychnąłem z Irlandii i marny mój los, jeśli mnie odesłają z powrotem.

Oficer zastukał w szybę oddzielającą nas od kierowcy, poprosił o zatrzymanie auta i wyjął z teczki plik formularzy wojskowych.

- Cóż - powiedział - tak się składa, że jestem oficerem demobilizacyjnym hrabstwa Cork, a to właśnie ta cała abrakadabra.

Następnie wypełniłem moje dokumenty.

W Wimbledonie załatwiono mnie od ręki i nie musiałem czekać w kolejce dziesięć godzin, jak się spodziewałem. Irlandię ogłoszono teatrem wojny, a przybysze z teatrów wojny mieli pierwszeństwo. Złożywszy pośpieszną wizytę rodzicom, którzy przenieśli się z powrotem do naszego domu pół mili od Błoni Wimbledońskich, pojechałem do Hove. Przybyłem w porze kolacji, ostrzegłem Nicholsona, że mam gripę, i położyłem się czym prędzej do łóżka. Po kilku dniach influencę złapała cała rodzina z wyjątkiem Nicholsona, Jenny i pokojówki, Cyganki z Walii, którą uchronił talizman: nosiła w woreczku na szyi łąpkę jaszczurki. Wybuchła nowa epidemia, równie niebezpieczna jak w lecie, i w całym Brighthon nie można było znaleźć ani jednej pielęgniarki. Nicholsonowi udało się w końcu zwerbować dwie emerytki. Pierwsza znała swój fach, lecz odznaczała się pociąganiem do mocnych trunków, po pijanemu zaś buszowała po szafach i przekładała rzeczy do swojej torby. Druga nie brała alkoholu do ust, ale nic nie umiała i podchodziła kilkanaście razy na dzień do otwartego okna, rozkładając ramiona i zawodząc teatralnie: „Morze, o morze, wróć mi męża mego!” Jej mąż, nawiasem mówiąc, nie utonął, tylko uciekł z inną.

Lekarz, wezwany z takim samym trudem, nie dał mi nadziei na wyzdrowienie: miałem ropne zapalenie płuc. Przeżywszy wojnę, nie chciałem jednak umrzeć na gripę. Trzeci raz w życiu postawiono na mnie krzyżyk, za każdym razem z powodu płuc. Powinienem był wspomnieć w pierwszym rozdziale, że gdy miałem siedem lat, przeszedłem w następstwie świnki zapalenie, z którego ledwo się wykaraskałem. Maggie, cygańska pokojówka, odkurzała mój pokój płacząc - myślałem, że po sprzecze z narzeczonym, lecz chodziło o mnie, moją owdowiałą żonę i osieroconą córeczkę. Skupiłem się na wierszu *Bukiet trolla*, który sprawiał mi mnóstwo kłopotu: żaden z trzydziestu dotychczasowych brulionów nie brzmiał zadowolająco. Trzydziesty piąty okazał się znośny, poczułem się lepiej, a Maggie uśmiechnęła się przez łzy. Grypa Nancy przebiegła na szczęście lekko.

W kilka tygodni później byłem świadkiem buntu gwardii. Tysiąc żołnierzy wszystkich formacji opuściło obóz w Shoreham i przemaszerowało ulicami Brighton na znak protestu przeciwko drakońskiej dyscyplinie. To, że dopiekły im rygory służby między rozejmem a traktatem pokojowym, bardzo ucieszyło Siegfrieda, który wziął czynny udział w wyborach powszechnych rozpisanych przez Lloyda George'a a natychmiast po wojnie, by uzyskać sankcję dla twardego kursu wobec Niemiec podczas konferencji

paryskiej. Siegfried, popierający kandydaturę Philipa Snowdena, reprezentanta pacyfistów, wygłaszał przemówienie do groźnego motłochu i sądził, że trzy wstążki za rany oraz fiołkowo-biała baretka Krzyża Wojennego (której zapomniał wyrzucić razem z krzyżem) skłonią tłum do wysłuchania mowy. Snowden i Ramsay MacDonald stali się w Anglii wyjątkowo niepopularni, a nasze nadzieje na rewoltę zdemobilizowanych żołnierzy szybko się rozwiały. Powróciwszy do kraju, zadowolili się dachem nad głową, cywilnym wiktem, piwem lepszym od francuskiego i ciepłymi kocami na noc. Ciasnota w kamienicach czynszowych nie dawała się porównać z tym, do czego przyzwyczała ich wojna: w zburzonej czteroizbowej chacie francuskiej kwaterowało sześćdziesięciu żołnierzy. Pokonali Niemców, resztę zaś zostawili Lloydowi George'owi. Do jedyne go poważniejszego wybuchu doszło w Rhyl. Trzydniowy bunt młodych Kanadyjczyków pociągnął za sobą wiele zniszczeń i kilkanaście ofiar śmiertelnych. Zawołanie rebeliantów brzmiało: „Naprzód, bolszewicy!”

Przeniosłem się z Nancy i Jenny do Harlech, gdzie Nicholson wynajął nam dom. Spędziłem tam rok. Rozstałem się z mundurem, noszonym bez przerwy od przeszło czterech lat, zajrzałem tedy do kufra, by sprawdzić, jakie ubrania cywilne mi pozostały. Znalazłem tylko szkolną marynarkę i przyciasny garnitur. Włóścianie z Harlech odnosili się do mnie z ogromnym szacunkiem. Byłem w wiosce najstarszym rangą liniowcem, toteż poproszono mnie o wygłoszenie mowy z okazji Święta Pokoju. Pochwaliłem męstwo poległych Walijszczyków, za co nagrodzono mnie gromkimi wiwatami. Nie miałem jednak żadnych doświadczeń w samodzielnym życiu cywilnym, a mój umysł i system nerwowy były nadal przystosowane do wojny. Nad mým łóżkiem rozrywały się nocą pociski, choć sypiałem razem z Nancy; a przechodnie mijani w ciągu dnia mieli twarze zabitych przyjaciół. Kiedy odzyskałem siły na tyle, by odwiedzić ulubione zakątki w górach pod Harlech, mimo woli patrzyłem na nie jak na pole przyszłej bitwy. Łapałem się na rozważaniu problemów taktycznych: jak bronić doliny rzeki Artro przed atakiem z morza; na którym wzniesieniu umieścić karabin maszynowy systemu Lewisa osłaniający szturm na farmę Dolwreiddiog, gdzie zaś ukryć sekcję grenadierów. Nabrałem w wojsku kilku złych nawyków. Re-kwirowałem bez ceremonii rzeczy sprawiające wrażenie bezpieczeństwa, a mówienie prawdy przychodziło mi z wielkim trudem, bo gdy coś mi zarzucano, najłatwiej było się wyłgać w koszarowym stylu. Podczas przeprowadzki zachowywałem się, jakbym obejmował kwaterę lub stanowisko bojowe. Żywność, woda, możliwe zagrożenia, łączność, sprawy sanitarne, osłona przed deszczem, opał, światło - odfajkowałem wszystko jako załatwione.

Zachowałem jeszcze inne swobodne obyczaje frontowe, na przykład łapałem przy drogach okazje, zwierzałem się bez skrępowania towarzyszom podróży w pociągach, rozpinałem bezwstydnie rozporek na poboczu gościńca niezależnie od tego, kto był w pobliżu. Cechowała mnie także wytrwałość, brutalny upór w doprowadzaniu spraw do końca, jak bądź, bez krzty finezji, byle tylko osiągnąć podstawowy cel. Utemperowałem jednak swój niewyparzony język. Najtrudniejsze okazały się problemy finansowe, których nie miałem nigdy przedtem, od pierwszych dni we Wrexham, lecz moje oszczędności, wynoszące wówczas około stu pięćdziesięciu funtów, a ponadto dwieście pięćdziesiąt funtów odprawy demobilizacyjnej, przyznana mi renta wojskowa w wysokości sześćdziesięciu funtów rocznie i sporadyczne honoraria autorskie wydawały się fortuną. Zaangażowawszy bonę i służącą, żyliśmy z Nancy, jakbyśmy mieli tysiąc funtów rocznego dochodu. Nancy spędzała większość czasu na ilustrowaniu moich wierszy, ja zaś recenzowałem książki i przygotowywałem do druku *Sentymenty wiejskie*.

Wychudły, roztrzęsiony, nie dosypiający od około czterech lat, chciałem przyjść do siebie na tyle, by móc rozpocząć studia w Oksfordzie, pobierając rządowe stypendium. Wiedziałem, że upłynie sporo czasu, nim zdrowie pozwoli mi opuścić spokojną wieś i przenieść się do miasta. Byłem pod wieloma względami kaleką: nie mogłem korzystać z telefonu, dostawałem torsji podczas jazdy koleją i cierpiałem na bezsenność, poznawszy więcej niż dwu ludzi w ciągu dnia. Wstydzilem się, że jestem ciężarem dla Nancy, lecz przysiągłem sobie w dniu demobilizacji, że nie pójdę do końca życia pod czyjekolwiek rozkazy. Pragnąłem zarabiać na chleb piórem.

Siegfried, który rozpoczął studia w Oksfordzie natychmiast po zwolnieniu z wojska, spodziewał się, że niebawem przyjadę. Jednakże po kilku semestrach objął stanowisko redaktora literackiego nowo otwartej gazety *The Daily Herald*. Zamawiał u mnie recenzje. *The Daily Herald* cieszył się podówczas złą sławą, ale potępiał gwałtownie zbrojenia i był jedynym dziennikiem, który odważył się zaprotestować przeciwko traktatowi wersalskiemu i blokadzie Rosji przez naszą flotę. Traktat pokojowy mną wstrząsnął. Wydawało się pewne, że doprowadzi do wybuchu nowej wojny, lecz nikogo to nie obchodziło. Kiedy w Paryżu podejmowano najważniejsze decyzje, zainteresowanie brytyjskiej opinii publicznej skupiało się na akcji ratunkowej po katastrofie Hawkera podczas lotu nad Atlantyką, ślubie lady Diany Manners, królowej piękności Anglii, oraz na fenomenalnym koniu imieniem Lampart, który był faworytem derby, lecz się zblaznił.

Herald psuł nam co rano humor przy śniadaniu. Czytaliśmy, że wskutek zamykania fabryk zbrojeniowych narasta w kraju bezrobocie, że zdemobilizowanym żołnierzom odmawia się powrotu na stanowiska, które zajmowali przed wojną, że mnożą się oszustwa giełdowe, redukcje i dzikie strajki. Zaczęły do mnie także docierać wieści o nędzy, w jaką popadli krewni matki w Niemczech, zwłaszcza wysłużeni urzędnicy, których emerytury zmalały po inflacji marki do kilku szylingów tygodniowo. Nancy i ja braliśmy to wszystko do serca i głosiliśmy, że jesteśmy socjalistami.

Moja rodzina, która sprzedała dom w Wimbledonie i przeniosła się na stałe do Harlech, nie bardzo wiedziała, jak mnie traktować. Jako jedyny z sześciu braci walczyłem bohatersko za ojczyznę, a rozdygotane nerwy dawały mi prawo do troskliwej opieki, ale moje poparcie dla rewolucji bolszewickiej, która obaliła skorumpowany rząd carski, było oburzające. Znów straciłem sympatię wuja Charlesa. Ojciec usiłował mnie indoktrynować i przypominał, że mój brat Philip, ongiś stronnik Burów i fenianin, wyleczył się w końcu z młodzieńczego idealizmu i został prawomyślnym obywatelem. Większość mego starszego rodzeństwa przebywała obecnie na Bliskim Wschodzie, bracia jako urzędnicy brytyjscy, siostry jako małżonki urzędników. Ojciec żywił nadzieję, że wróciwszy do zdrowia, popłynę w służbie konsularnej do Egiptu, gdzie pomogą mi koneksje rodzinne, i otrzeźwieję z „rewolucyjnego ferworu”.

Dla Nancy socjalizm był jedynie narzędziem do osiągnięcia prawnej emancypacji kobiet. Całe zło świata przypisywała dominacji i głupocie mężczyzn, a moje przeżycia frontowe uznawała za błahostkę w porównaniu z cierpieniami znoszonymi pokornie przez miliony zamężnych proletariuszek. Miłość do Nancy kazała mi szanować jej poglądy, co miało skutek o tyle dobry, iż patrzyłem na wojnę z pewnej perspektywy. Jednakże przekonanie o tępotcie i nieczułości mężczyzn stało się wkrótce taką obsesją, że zaczęła potępiać i mnie. W końcu doszło do tego, że nie mogła znieść widoku gazety w obawie, że natknie się na przerażający artykuł o potrzebie rodzenia wielu dzieci, o wrodzonej ograniczoności niewiast czy bezwstydzie bezpierśnych dziewcząt współczesnych. Do wściekłości doprowadzało ją absolutnie wszystko, co pisali o kobietach duchowni. Wstąpiliśmy do nowo założonego Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa, którego broszurki rozdawaliśmy wieśniaczkom ku zgorszeniu mojej rodziny.

Na domiar złego żadne z nas nie chodziło do kościoła w Harlech i nie chcieliśmy ochrzcić Jenny. Ojciec napisał nawet do dziadka Nancy, będącego zarazem moim wydawcą, aby skłonił chrześniaczkę, której wiary zobowiązał się strzec, do dopełnienia względem dziecka podstawowego obowiązku religijnego. Moich rodziców gorszyło także, iż Nancy pozostała przy nazwisku panieńskim i nie pozwalała się nazywać panią Graves. Tłumaczyła, że traci jako pani Graves indywidualną tożsamość. Dzieci stanowiły w owych czasach niepodzielną własność ojca, matka zaś nie miała żadnych praw rodzicielskich.

XXVII

W październiku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku pojechaliśmy w końcu do Oksfordu, a Nicholson pozwolił nam zabrać meble z Harlech. W mieście roiło się od studentów, toteż właściciele stacji, którzy podczas wojny nieomal przymierali głodem, mieli pokoje zarezerwowane na kilka semestrów z góry i żądali bajońskiego komornego. Aby pomieścić nadmiar młodzieży, Kolegium Keble wybudowało szereg baraków. W promieniu trzech mil od miasta nie było ani jednego nieumeblowanego domu do wynajęcia. Rozwiązałem problem, powołując się na chorobę i otrzymując od Kolegium Świętego Jana zgodę na zamieszkanie pięć mil pod Oksfordem, na Dzikowym Wzgórzu, gdzie wynajęliśmy oficynę w ogrodzie Johna Masefielda, któremu podobały się moje wiersze.

Na uniwersytecie panował zadziwiający spokój. Zdemobilizowani żołnierze, w odróżnieniu od swoich przedwojennych kolegów, nie mieli pociągu do awantur, tłuczenia szyb, pijaństwa, bójek z policją czy gonitw z uczelnianą służbą porządkową. Chłopcy prosto z gimnazjów także zachowywali się przyzwoicie, bo przez cztery lata stawiano im za wzór braci przelewających krew za ojczyznę i żądano nienagannego prowadzenia się pod ich nieobecność. Kłopoty wychowawcze sprawiali prawie wyłącznie maturzyści, a ponieważ w wieku siedemnastu lat szło się do batalionów kadeckich, nauczyciele trzymali gimnazja w ryzach. G. N. Clark, profesor historii w Kolegium Oriel, który zrobił w Oksfordzie dyplom tuż przed wojną, służył we Francji jako piechur i siedział w obozie jenieckim w Niemczech, powiedział mi:

- Nie rozumiem swoich studentów. Mówią tylko „Tak, panie profesorze” i „Nie, panie profesorze”. Wydają się złaknieni wiedzy i notują w kajetach jak opętani. Przed wojną nikt się tak nie zachowywał.

Dawni żołnierze, wśród których były dziesiątki kapitanów, majorów, pułkowników, a nawet dwudziestopięcioletni jednoręki brygadier, potrafili upominać się o swoje prawa. W Kolegium Świętego Jana powołaliśmy do życia radę studencką, zreformowaliśmy skandaliczny system zaopatrzenia i wysłaliśmy przedstawiciela do komisji nadzorującej kuchnię. Starsi wiekiem profesorowie, którzy drżeli podczas wojny przed inwazją (wyobrażając już sobie grabieże, pożary kolegiów oraz gwałty w ekskluzywnych willach przy traktach do Woodstock i Banbury) i którzy adorowali wojskowych, łącznie ze mną, jako arcywężnych wybawicieli, odzyskali obecnie dawną butę. Śmieszyło mnie to. Mój przewodnik duchowy pozostał jednak moim przyjacielem, choć nie oddawał mi już honorów na ulicy. Przekonał kolegium, by pozwoliło mi studiować filologię angielską zamiast klasycznej, wypłacając nadal sześćdziesiąt funtów zasiłku dla łacinników. Cieszyłem się teraz, że to tylko zasiłek, nie zaś stypendium, choć w tysiąc dziewięćset trzynastym roku sprawiło mi to zawód. Zasiłek mogli pobierać studenci żonaci, gdy tymczasem stypendyści musieli być kawalerami.

Kurs literatury angielskiej okazał się nudnawy, zwłaszcza ze względu na nacisk na poezję osiemnastowieczną. Mój opiekun, Percy Simpson, wydawca dramatów Bena Jonsona, współczuł mi i opowiadał, ile nacierniał się w szkole wskutek miłości do romantyków. Chłostany przez belfra za czytanie Shelleya, wykrzykiwał między razami: „Shelley jest piękny! Shelley jest piękny!” Jednakże ostrzegł mnie, bym pod żadnym pozorem nie krytykował neoklasycyzmu na egzaminie dyplomowym. Trudno mi było także pałać afektem do przypadków, rodzajów i czasowników ułomnych języka staroangielskiego. Nasz wykładowca twierdził bez ogródek, iż językiem tym można się interesować wyłącznie z lingwistycznego punktu widzenia i że ani jedna linijka zachowanej w nim poezji nie posiada wartości literackiej. Nie zgadzałem się z nim. Beowulf, śpiący pod kocem wraz z plutonem pijanych tanów na kwaterze w Gotlandii, mademoiselle Judyta, idąca do sztabowego namiotu Holofernesa, czy walka na bagnety i pałki w bitwie pod Burnaburghem wydawały nam się bliższe niż osiemnastowieczne salony i parki krajobrazowe. Studiował ze mną Edmund Blunden, który miał nagazowane płuca i także uzyskał zgodę na zamieszkanie na Dzikowym Wzgórzu. Wojna toczyła się dla nas nadal i przekładaliśmy wszystko na język frontu. W samym środku wykładu stawali mi nagle przed oczyma żołnierze maszerujący gościńcem z Bethune do La Bassee. Śpiewali, wzdłuż drogi zaś biegły francuskie dzieciaki, które wrzeszczały: „Panie oficer, panie oficer, pan dać wołowina!” Innym razem przechodziłem koło rejonu kompanii przy głównej ulicy Laventie. Sierżant ryczał: „Oddział baa-czność!!!”, a szeregowi Drugiego Batalionu, w szortach, z brązowymi kolanami i opalonymi twarzami bez wyrazu, zrywali się na równe nogi z połamanych schodków, na których siedzieli. Albo biwakowałem w stodole ze swoim pierwszym plutonem z Regimentu Walijskiego i śledziłem grę w napoleona przy świetle brudnawego ogarka. To znów rozmawiałem z telefonistą w schronie podziemnym w Cambrin i spojrzawszy w głąb szybu wejściowego dostrzegałem czyjeś zablocone buty, po czym następował nagły łoskot, a dym tytoniowy wypełniający pomieszczenie drgał i wirował od wstrząsu, aż wyglądał niczym marmurek na grzbiecie książki. Owe sny na jawie przypominały drugie wcielenie i ustąpiły dopiero w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku. Były to prawie zawsze

reminiscencje pierwszych czterech miesięcy na linii. Po bitwie pod Loos mechanizmy pamięci zaczęły szwankować.

Wiek osiemnasty zawdzięczał swoją niepopularność przodującej roli kultury francuskiej. Zdemobilizowani żołnierze nie znosili Francuzów w sposób wręcz maniacki. Edmund, trzęsąc się ze zdenerwowania, powtarzał: „Nigdy więcej wojny, chyba że z żabojadami! Jeśli wylądujemy we Francji, zaciągam się natychmiast!” Narastały sympatie proniemieckie. Teraz, po zwycięskim zakończeniu wojny, mogliśmy przyznać, że bosze to najlepsi żołnierze Europy. Często słyszałem, jak mówiono, że przyczyną ich klęski była jedynie blokada, a ostatnia ofensywa Haiga nie przełamała w istocie frontu, ponieważ niemieckie sekcje karabinów maszynowych osłoniły odwrót głównych sił. Niektórzy studenci posuwali się do twierdzenia, że walczyliśmy po niewłaściwej stronie, bo naszymi prawdziwymi wrogami są Francuzi.

Pod koniec pierwszego semestru złożyłem przed radą kolegium sprawozdanie z pracy. Przewodniczący odchrząknął i rzekł oziębło:

- Panie Graves, zauważyłem, że pańskie eseje z literatury angielskiej są nieco... hm, jak by to powiedzieć... emocjonalne. Zdaje się, że lubi pan niektórych pisarzy bardziej niż innych...

Na Dzikowym Wzgórzu mieszkało wielu poetów. Zbyt wielu, twierdził Edmund, a ja przytakiwałem. Stawialiśmy się bez mała ośrodkiem pielgrzymkowym, zdominowanym przez nadwornego poetę, Roberta Bridgesa. Miał przenikliwe spojrzenie, szorstkie prowokujące maniery i stale nosił kwiat w butonierce. Był jednym z pierwszych ludzi pióra, którzy podpisali manifest oksfordzki potępiający nienawiść do Niemców jako narodu. Mieszkał tam także doktor Gilbert Murray o łagodnym głosie i uduchowionym wyglądzie ścisłego wegetarianina. Prowadził propagandę na rzecz tworzącej się Ligi Narodów. Pewnego dnia chodził po swoim gabinecie dyskutując ze mną o *Poetyce* Arystotelesa, a ja spytałem nagle:

- Na jakiej zasadzie opiera się pański spacer po dywanie, doktorze? Próbuje pan omijać kwiaty czy stąpać po kwadratach?

Własna nerwica natręctw pozwalała mi zauważać przypadłości innych. Murray odwrócił się gwałtownie.

- Pan mnie pierwszy przyłapał - rzekł. - Nie, to nie kwiaty ani kwadraty, mam po prostu manię liczby siedem. Robię siedem kroków, o tak, zmieniam kierunek i robię następne siedem kroków. Potem zawracam. Byłem na konsultacji u Browne'a, profesora psychologii, ale powiedział, że to nic groźnego. Kazał mi przyjść ponownie, jeśli mnie opętają wielokrotności siódemki.

Najczęściej spotykałem się z Johnem Masefieldem, który był człowiekiem nerwowym, hojnym, uprzejmym i bardzo wrażliwym na krytykę. Przeżył podczas wojny potworne rzeczy jako sanitariusz Czerwonego Krzyża. Pisał obecnie *Liska Reynarda*. Pracował w szopie otoczonej wysokimi krzakami janowca i wychodził tylko na posiłki. Wieczorem odczytywał żonie rękopis, który razem poprawiali. Był w owym czasie u szczytu sławy i naprzykrzały mu się tuziny przybyszów z Ameryki. Pani Masefield bardzo dbała o męża. Pochodziła z Irlandii Północnej i ujęła w niezbędne karby jego szorstki gest i gościnność. Podziwialiśmy jej oszczędny sposób prowadzenia domu i to, że broni swoich praw nawet wtedy, gdy ktoś mniej zdecydowany dałby za wygraną. Oto przykład. Nasi sąsiedzi mieli wyjątkowo nierozgarniętego teriera airedale. Wyszli z nim raz na spacer, a spomiędzy janowców Masefielda wyskoczył dziki królik. Terier pognął za nim i jak zwykle spudłował. Królik, nie zdając sobie sprawy z jego przyrodzonej tępoty i ślamazarności, dał susa do tyłu i wpadł prosto w rozdziawioną paszczę, bo skonsternowany airedale stanął jak wryty. Właściciele psa, uszczęśliwieni jego błyskotliwym wyczynem łowieckim, odebrali mu królika, który okazał się młody i niedoświadczony, i wzięli do domu na pasztet. Pani Masefield śledziła całą scenę zza żywopłotu. Rzecz nie wydarzyła się na drodze publicznej, toteż ściśle biorąc królik jej się należał. Wieczorem sąsiedzi usłyszeli pukanie do drzwi.

- Prosimy, ależ prosimy, pani Masefield!

Przyszła po króliczą skórkę.

Pani Masefield stawała się rozrzutna tylko przy brydżu. Grywała po pół pensa za punkt, by się lepiej koncentrować. Była jednak dla nas miła i radziła Nancy dotrzymać mi kroku pod względem intelektualnym, jeśli nie chce stracić moich uczuć.

Innym poetą z Dzikowego Wzgórza był Robert Nichols, kolejny znerwicowany eks-żołnierz. Miał sygnet z płomienistym opalem, szeroko-skrzydły kapelusz, długie chude ramiona, a cechowało go „niewzruszone dostojeństwo żałoby” (określenie z recenzji pióra sir Edmunda Gosse'a). Służył we Francji tylko trzy tygodnie jako artylerzysta. Nie brał udziału w żadnej akcji, bo uzyskał zwolnienie wskutek neurastenii i popłynął z ramienia Ministerstwa Informacji do Ameryki wygłaszać odczyty o brytyjskiej poezji wojennej. Czytywał wiersze Siegfrieda i moje, skąd poszła legenda, że jesteśmy współczesnymi trzema muszkieterami, choć w trójkę nie spotkaliśmy się nigdy.

Owej zimy George i Ruth Mallory zaprosili mnie i Nancy na wspinaczkę. Jednakże żona miała lęk przestrzeni i spodziewała się kolejnego dziecka, a ja wnet zrozumiałem, iż minęły lata moich przygód wysokogórskich. Nie byłem już w stanie narażać życia bez potrzeby. W marcu przyszedł na świat David. Pierwszy wnuk płci męskiej niezmiernie uradował moją matkę. Moi starsi bracia mieli wyłącznie córki, a oto pojawił się dziedzic sreber i dokumentów familijnych. Po narodzinach Jenny matka pocieszała Nancy: „Może i lepiej mieć najpierw córkę, żeby nabrać wprawy...” Nancy postanowiła urodzić czworo dzieci przypominających bohaterów swoich rysunków: dziewczynkę, chłopca, dziewczynkę, chłopca, w tej kolejności. Zamierzała załatwić sprawę szybko, bo za najlepsze uważała młode małżeństwa z czworgiem dzieci w podobnym wieku. Osiągnęła dokładnie to, czego chciała, lecz zaczęła w końcu żałować, iż wstąpiła w związek małżeński. Uważała zamążpójście za ustępstwo na rzecz patriarchy i zdradę samej siebie. Pragnęła je w jakiś sposób anulować - lecz nie przez rozwód, który był równie zły - i żyć ze mną bez zobowiązań religijnych ani prawnych.

Po raz ostatni spotkałem wówczas Dicka, który wyrósł na człowieka nieprzyjemnie układnego. Studiował w Oksfordzie i zamierzał wstąpić do służby dyplomatycznej. Tak się zmienił, że wydawało się absurdem, iż przysporzył mi tylu cierpień. Zachował jednak pewne karykaturalne podobieństwo do chłopca, w którym się ongiś kochałem.

XXVIII

Kiedy poznałem pułkownika Thomasa Edwarda Lawrence'a, miał na sobie frak. Było to w lutym albo w marcu tysiąc dziewięćset dwudziestego roku podczas przyjęcia w Kolegium Dusz Wszystkich, które mianowało go profesorem na okres siedmiu lat. Oficjalny charakter stroju wieczorowego skupia uwagę na oczach, a oczy Lawrence'a natychmiast mnie zaciękały. Były uderzająco błękitne, nawet przy sztucznym świetle, i nie spotykały nigdy wzroku rozmówcy, lecz biegały nieustannie z góry na dół, jakby go taksowały. Lawrence, dyskutujący z profesorem teologii o wpływie filozofii grecko-syryjskiej na wczesne chrześcijaństwo, a zwłaszcza o roli uniwersytetu w Gedarze nad jeziorem Genezaret, zauważył, że *List świętego Jakuba* zawiera cytat z jednego z filozofów gedareńskich (jak mi się zdaje, Mnasalkusa). Później zaczął mówić o Meleagerze i innych grecko-syryjskich współautorach *Antologii greckiej*, których wiersze zamierzał wydać drukiem w przekładzie na angielski. Włączyłem się do rozmowy i wspomniałem o obrazie gwiazdy zarannej użytym przez Meleagera w niezbyt grecki sposób.

- A, to pan jest tym poetą Gravesem? - zwrócił się do mnie Lawrence.

- W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku czytałem w Egipcie pańską książkę i wydała mi się całkiem niezła.

Było to obcesowe, ale całkiem miłe. Niebawem zaczął mnie wypytywać o najmłodszą generację poetów; stwierdził, że stracił kontakt z bieżącym życiem literackim. Powiedziałem mu, co wiedziałem.

Lawrence wrócił niedawno z konferencji pokojowej w Wersalu, gdzie pełnił funkcję doradcy emira Fajsala. Dłubał teraz przy drugim rzucie *Siedmiu filarów mądrości*. Otrzymał profesurę pod warunkiem, że napisze naukową historię powstania arabskiego.

Zachodziłem doń często w przerwach między porannymi wykładami, najwcześniej o jedenastej, bo pracował nocą i kładł się spać o świcie. Chociaż sam nigdy nie pił, posyłał zawsze służącego po srebrny kufelek piwa warzonego w kolegium. Wydawało się nieszkodliwe niczym kleik, lecz odznaczało się wielką mocą. Do Oksfordu przybył raz Albert, książę Szlezwika-Holsztynu, który miał dokonać otwarcia muzeum. Spożył przed uroczystością lunch w Kolegium Dusz Wszystkich, pozwolił się zwieść łagodności miejscowego piwa i odwieziono go na dworzec kareta z zaciągniętymi firankami.

Nie znałem dokładnie działalności Lawrence'a podczas wojny, choć mój brat Philip pracował z nim w tysiąc dziewięćset piętnastym roku w wywiadzie brytyjskim w Kairze, zbierając informacje o armii tureckiej. Nie pytałem o powstanie w Hidżazie, częściowo dlatego, że zdawał się nie lubić tego tematu - Lowell Thomas akurat wygłaszał w Ameryce odczyty o „Lawrensie w Arabii” - częściowo zaś dlatego, że stała między nami milcząca umowa, by nie wspominać o wojnie. Byliśmy jej ofiarami, a spokój Oksfordu wydawał się rozkosznym snem, który może lada chwila prysnąć. Trzymałem tedy ciekawość na wodzy, mimo że na stole w bawialni leżał zawsze rękopis *Siedmiu filarów mądrości* w postaci schludnego stosu gęsto zapisanych arkuszy papieru kancelaryjnego. Lawrence wspominał niekiedy o swoich przedwojennych wykopaliskach w Mezopotamii, lecz najczęściej gawędziliśmy o poezji, zwłaszcza współczesnej.

Chciał nawiązać kontakty z pisarzami, toteż poznałem go między innymi z Siegfriedem Sassoonem, Edmundem Blundenem, Masefieldem, a później Thomasem Hardym. Otwarcie zazdrościł literatom. Czuł, że posiadł jakiś sekret, na którego odkryciu mógłby skorzystać. Swego największego idola, Charlesa Doughty'ego, poznał przez Hogartha, kustosa Ashmolean Museum, którego uważał wręcz za przybranego ojca. Sekret ludzi pióra polegał wedle Lawrence'a na mistrzowskim panowaniu nad słowem, nie zaś •specyficznym sposobie życia i myślenia. Nie byłem jeszcze na tyle dojrzały, by móc dyskutować z owym poglądem, a gdy po kilku latach zdobyłem potrzebną wiedzę, Lawrence nie dał się przekonać. Różnica między malarstwem, rzeźbą, muzyką i literaturą polegała według niego tylko na nośniku materialnym. Powiedział mi: „Kiedy spytałem Doughty'ego, dlaczego ruszył w podróż po Arabii, odparł, że chciał «wydobyć angielszczyznę z dna upadku po epoce Spencera»”. Słowa te zrobiły na Lawrensie wielkie wrażenie i przyczyniły się, jak -sądzę, do tego, że tak wściekle szlifował styl *Siedmiu filarów mądrości*.

Do Oksfordu przybył amerykański poeta Vachel Lindsay, prosty człowiek ze Środkowego Zachodu, a ja przekonałem sir Waltera Raleigha, profesora literatury angielskiej, by użyczył mu sali wykładowej na poranek autorski. Lindsay miał czytać wiersze, lecz spotkanie okazało się raczej popisem krasomówstwa i pantomimy, który bardzo się wszystkim podobał. Lindsaya, jego sędziwą matkę i mnie Lawrence zaprosił potem na lunch. Służący Lawrence'a, zgorzchniony przynależnością Lindsaya do Ligi Przeciwalkoholowej Stanu Illinois, spytał, czy może położyć przy jego nakryciu wierszyk napisany w tysiąc sześćset sześćdziesiątym pierwszym roku przez profesora kolegium. Jedna ze zwrotek brzmiała:

Boskiemu pocie, co wina nie pije,
Bo w mieszku pustka straszliwa,
Natchnienia powiem pieśń luba ożyje,
Gdy spełni kufelek piwa.

Przyjaciele prosili panią Lindsay, by nie dziwiła się głośno niczemu, co ujrzy w Oksfordzie, toteż gdy z polecenia Lawrence'a uhonorowano ją szczerozłotą zastawą stołową kolegium, uznała to za codzienny zwyczaj uniwersytecki. Lawrence przeprosił, że wiek półmisków nie jest zbyt imponujący, ale podczas wojny domowej w siedemnastym wieku kolegium stopiło wszystkie swoje kosztowności na pokrycie wydatków króla Karola, gdy obozował w Oksfordzie.

Lawrence mieszkał w ciemnym pokoju wyłożonym dębową boazerią. Umeblowanie składało się z dużego stołu, biurka i dwóch masywnych foteli klubowych nabytych w dość niezwykły sposób. Kiedy pewnego razu gościłem u niego, do pokoju wszedł nagle amerykański nafcjarz, który rzekł:

- Przybywam ze Stanów, by o coś pana zapytać, pułkowniku. Jest pan jedynym człowiekiem, który może udzielić uczciwej odpowiedzi. Czy w obecnej sytuacji politycznej oplaca się inwestować w arabską ropę?

- Nie - odparł cicho Lawrence, nie wstawisz z miejsca.

- To wszystko, co chciałem wiedzieć. Myślę, że warto było przyjechać. Dziękuję panu i do widzenia!

Nafcjarz rozejrzał się po pokoju, zauważył braki w umeblowaniu i przed powrotem do Ameryki kupił w Londynie fotele, które przesłał Lawrence'owi ze swoją wizytówką.

W mieszkaniu były oprócz tego obrazy, między innymi portret emira Fajsala pędzla Augustusa Johna nabyty przez Lawrence'a w zamian za brylant noszony jako odznaka honorowa na arabskim zawoju; książki, wśród nich Chaucer z ilustracjami Williama Morrisa; trzy dywaniki modlitewne darowane przez przywódców arabskich, jeden z bordiurą z lapis lazuli; dzwon ze stacji kolejowej Tell Shawm w Hidżazie; a na kominku zabawka sprzed czterech tysięcy lat: gliniany kawalerzysta z grobu dziecięcego w Karkemis, gdzie Lawrence prowadził przed wojną wykopaliska.

Pracowałem nad nowym tomikiem poetyckim, który odzwierciedlał moje obsesje i ukazał się później pod tytułem *Barometr na przystani*. Zgodziłem się na większość poprawek zaproponowanych przez Lawrence'a. Zachowywał się czasami jak sztubak. Wspiąłem się raz na basztę Kolegium Radcliffe, by obejrzeć panoramę miasta, i ujrzałem czerwony proporczyk Hidżazu furkoczący na szczycie Kolegium Dusz Wszystkich. Przed dwunastu laty, jako student Kolegium Jezusowego, Lawrence zasłynął z umiejętności łażenia po dachach. Opowiadał mi o swoich projektach ożywienia uniwersytetu i w ogóle Oksfordu. Najpierw zainteresował się wydeptanym trawnikiem na głównym dziedzińcu kolegium. Na jednym z zebrań ciała profesorskiego wystąpił z wnioskiem, by go zaorać, nawieźć i obsiać pszenicą, lecz propozycję odrzucono. Później wpadł na pomysł założenia tam hodowli pieczarek, które użyźniłyby glebę, i zasięgnął opinii wybitnego mikologa. Jednakże uprawa pieczarek nastroczała tyle trudności, że nim zdołano je przezwyciężyć, nadszedł rok tysiąc dziewięćset dwudziesty drugi i Lawrence wyjechał na negocjacje pokojowe na Bliskim Wschodzie jako doradca Winstona Churchilla.

Kolejny pomysł, w którego realizacji obiecałem pomóc, polegał na uprowadzeniu saren stanowiących maskotki Kolegium Magdaleny. Mieliśmy je przepędzić o świcie na niewielki dziedziniec wewnętrzny Kolegium Dusz Wszystkich i przekonać profesurę, by odpowiedziała na protesty notą, iż stado pasie się tam od niepamiętnych czasów. Spodziewaliśmy się fantastycznej zabawy, ale potrzebowaliśmy przywódcy, toteż sprawa upadła po wyjeździe Lawrence'a. Jednakże zdążył przeprowadzić udany strajk służących kolegium, rzecz bez precedensu w dziejach uniwersytetu, zakończony wynegocjowaniem lepszych warunków pracy i płacy. Zaproponował też, by ofiarować kolegium pawia o imieniu Nathaniel, noszonym przez lorda Curzona, swojego wroga i wicekanclerza uczelni.

Pewnego ranka wszedłem do gabinetu Lawrence'a, który przedstawił mnie swemu gościowi.

- Robercie, to mój przyjaciel Ezra Pound. Poznajcie się, choć nie sądzę, byście się polubili.

W obecności Pounda czułem się dziwnie nieswojo.

- Czy coś z nim nie tak? - spytałem później.

- Jest, zdaje się, pociotkiem Longfellowa, a to poważny problem dla modernisty.

Lawrence nawiązywał w owym czasie znajomości z wziętymi malarzami i rzeźbiarzami, usiłując przeniknąć także ich tajemnicę. Pozował do portretów, by porównywać rezultaty.

Widziałem niedawno dziwaczną, wręcz karykaturalną podobiznę pędzla sir Williama Orpena, który uwypuklił swoistą ulicznikowską przebiegłość rzadko dostrzeganą w charakterze Lawrence'a. Obraz ten stanowi antytezę przesłodzonego portretu Augustusa Johna, gdzie Lawrence'a otacza gloria sentymentalnego heroizmu.

Profesor Edgeworth z Kolegium Dusz Wszystkich unikał języka potocznego, uparczywie posługując się archaizmami i wyrażeniami książkowymi. Lawrence wrócił pewnego wieczoru z Londynu, a Edgeworth spotkał go przy bramie i spytał:

- Zali metropolię tuman mgielny okrył?

- Jest cokolwiek waporu, jeno treści w nim nie masz - odrzekł Lawrence bez mrugnięcia okiem.

Kiedy wstąpiliśmy raz do herbaciarni Fullera, wywołał skandal klaszcząc na kelnerkę na sposób wschodni, a któregoś wieczoru zaczął bić w swój dzwon stacyjny w oknie wychodzącym na dziedziniec kolegium.

- Wielki Boże! - zawołałem. - Przebudzisz cały Oksford!

- Przebudzenie by mu nie zaszkodziło...

Zamierzaliśmy napisać satyryczny esej o literaturze współczesnej będący parodią rządowej białej księgi.

- Musimy wpiery zdobyć i przeczytać białą księgę - powiedziałem.

Lawrence zgodził się kupić egzemplarz podczas następnego wyjazdu do

Londynu. Kiedy wszedł do księgarni rządowej i poprosił o białą księgę, sprzedawca spytał:

- Którą łaskawy pan życzy? Mamy ich setki.

- Byle jaką.

Wziąwszy obojętność Lawrence'a za wstyd i poczucie winy, sprzedawca wręczył mu raport Królewskiej Komisji Wenerologicznej.

Zażartowałem raz, że grzeje się przy kominku na osłonie paleniska, by się wydać wyższym. Gwałtownie zaprzeczył i stwierdził, że to postawni ludzie tacy jak ja muszą udowodnić przed światem, że są coś warcii. Zbliżyłem się, by dla kawału zrzucić go na podłogę, lecz stanąłem jak wryty, spostrzegłszy wyraz jego twarzy. Malował się na niej paniczny lęk przed kontaktem fizycznym ze mną.

Nie brałem udziału w życiu studenckim i rzadko odwiedzałem Kolegium Świętego Jana, chyba że po odbiór stypendium rządowego i zasiłku dla łacinników. Nie chciałem też płacić składek na klub sportowy, bo zdrowie nie pozwalało mi grać w piłkę i nie miałem czasu na kibicowanie. Większość moich przyjaciół studiowała w Balliolu i Kolegium Królowej, a sam czułem się bardziej związany z Wadhamem.

Nie zajmowałem się wówczas dziećmi, które znajdowały się w rękach Nancy i bony. Nancy nie wystarczało rysowanie i uważała, że powinna się czymś zająć, choć nie bardzo wiedziała, czym. Pewnego wieczoru w środku lata oświadczyła nagle: „Musimy natychmiast wyjechać. Duszę się na Dzikowym Wzgórzu. Wybierzmy się na wycieczkę rowerową”.

Spakowaliśmy manatki i ruszyliśmy w stronę hrabstwa Devon. Wieczorami robiło się chłodno, a ponieważ nie zabraliśmy kocy, jechaliśmy nocą i spaliśmy w dzień. Przemierzaliśmy przy księżycu równinę Salisbury, mijając Stonehenge i kilka opustoszałych obozów wojskowych o jeszcze bardziej widmowym wyglądzie. Pomieściłyby milionową armię, czyli wszystkich poległych żołnierzy Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego. Znalazłszy się koło Dorchesteru, zboczyliśmy z drogi, by odwiedzić Thomasa Hardy'ego, którego poznaliśmy niedawno w Oksfordzie, gdzie odbierał doktorat honoris causa. Mówił wówczas bełkotliwie i nie mógł się skupić, lecz tym razem tryskał dowcipem i energią.

Zachowałem notatki z naszej rozmowy. Powitał nas jako przedstawicieli generacji powojennej i stwierdził, że siedzi w Dorchesterze jak tabaka w rogu i jest z pewnością kompletnym mamutem. Chciał wiedzieć, czy sympatyzujemy z Bolszewią i czy należy wierzyć relacjom *The Morning Post* o czerwonym terrorze. Później spytał Nancy, dlaczego ostrzygła krótko włosy i zatrzymała nazwisko panieńskie. Sprawę nazwiska skomentował następująco: „Ba, to pani jest staroświecka! Znałem przed sześćdziesięciu laty małżeństwo, które postąpiło tak samo. Narzeczona nazywała się Nanny Priddle (pochodziła ze starożytnego rodu Paradelle'ów, który się spauperyzował) i też za nic na świecie nie chciała zmienić nazwiska”. Wreszcie spytał, czemu nie każe się tytułować kapitanem. Wyjaśniłem, że jestem w rezerwie. „Ależ ma pan prawo! Gdybym posiadał szarżę oficerską, na pewno bym jej używał. Chodziłbym dumny jak paw, że mnie zwą kapitanem Hardym”.

Mówił, że przeprowadza konserwację normańskiejchrzcielnicy w pobliskim kościele. Naprawiał tylko misę, a praca z lat młodości sprawiała mu wielką przyjemność. Nancy napomknęła, że nie ochrzciłiśmy dzieci. Był zaciekawiony, lecz nie zgorszony, i zauważył, że jego matka mawiała, iż chrzest nie przynosi żadnego uszczerbku i że nie chciałyby, aby dzieci wypominały jej w zaświatach jakiegokolwiek zaniedbania. „Zwykle się okazywało, że miała rację”. Twierdził, że młode pokolenie duchownych jest znacznie lepsze od starszego. Chociaż jeździł obecnie do kościoła tylko trzy razy do roku, odwiedzając każdą z trzech świątyń w okolicy, wspominał z rozrzewnieniem czasy swego dzieciństwa, gdy parafia stanowiła jedyny ośrodek wiejskiej kultury muzycznej, literackiej i artystycznej. Żałował, że zniknęły parafialne kwartety smyczkowe Wessexu, w których grywano w jego rodzinie od trzech pokoleń. Wspominał, że pierwowzór

pastora St. Claira z *Tessy d'Urberville* zaprotestował w Ministerstwie Wojny przeciwko niedzielnym popisom orkiestry dętej w koszarach w Dorchesterze, tak że do owej popularnej jednostki przestano wysyłać na służbę oficerów sztabowych.

Piliśmy herbatę w salonie, zagraconym meblami i bibelotami podobnie jak cały dom. Hardy miał feblika na punkcie pamiętek, a jego kochająca żona nie mogła się zdobyć na wyrzucenie czegokolwiek. Z filiżanką herbaty w ręku naśmiewał się z biskupów w klubie Athenaeum, przedrzeźniając ich kaznodziejski ton przy składaniu zamówień:

- Proszę herbatę chińską i kromkę chleba z masłem.
- Służę, wasza ekscelencjo.

Dygnitarzy kościelnych zdawał się uważać za wdzięczny obiekt żartów, lecz zaraz potem jął ganić sir Edmunda Gosse'a, który złożył mu niedawno wizytę i złamał zasady dobrego wychowania, naśladując Henry'ego Jamesa siorbiącego zupę. Lojalność wobec przyjaciół była zawsze pasją Hardy'ego.

Po herbacie wyszliśmy do ogrodu, gdzie poprosił mnie o pokazanie ostatnich wierszy. Przeczytawszy jeden, spytał, czy może zrobić drobną uwagę. Stwierdził, że poeci jego generacji unikali jak ognia wyświechtanego zwrotu „woń tymianku”. Czy mógłbym go wykreślić? Odpowiedziałem, że unikali owego zestawienia tak skwapliwie, iż mogę go dziś bezkarnie użyć, a wtedy wycofał swoje obiekcje.

- Czy łatwo się panu pisze? - spytał.
- To już szósty brulion. Jeszcze dwa i wiersz będzie gotów.
- Ba! - odpowiedział. - Ja robię co najwyżej trzy, no, może cztery. Boję się stracić świeżość...

Mówił, że pisywał ongiś prozę regularnie jak urzędnik, lecz poezja rodziła się zawsze spontanicznie i pewnie dlatego wyżej ją sobie ceni.

Wyrażał się lekceważąco o swoich powieściach, choć przyznał, że praca nad niektórymi rozdziałami sprawiała mu przyjemność. Kiedy spacerowaliśmy po ogrodzie, przystanął koło szklarni. Przycinał raz drzewko owocowe, gdy wtem olśniła go koncepcja nowej powieści: najlepsza fabuła, jaką kiedykolwiek wymyślił. Pojawiła się gotowa wraz z bohaterami, tłem, a nawet niektórymi partiami dialogowymi. Ale nie miał przy sobie papieru ani ołówka i chciał skończyć przycinanie przed burzą, toteż niczego nie zapisał. Kiedy usiadł wreszcie przy biurku, zorientował się nagle, że wszystko uleciało mu z pamięci.

- Niech pan zawsze nosi przy sobie notes - zakończył i dodał:
- Oczywiście nawet gdybym przypomniał dziś sobie tę historię, nie mógłbym jej opisać. Jestem już za stary na powieści. Ale często się zastanawiam, co to mogło być.

Przy kolacji chwalił z zapałem jabłecznik, który pijał od dzieciństwa i uważał za panaceum. Zasugerowałem, by skorzystał ze sposobności i zalecił go w *Liście otwartym do narodu amerykańskiego*, który u niego zamówiono.

Uskarżał się na natręctwo łowców autografów. Nie lubił nie odpowiadać na korespondencję, lecz jeśli odpisywał, nagabywano go jeszcze natarczywiej. Owego ranka zdenerwował go list jakiegoś maniaka:

Drogi Mistrzu!

Nie pojmuję, czemu u licha nie odpowiada pan na moją prośbę...

Spytał mnie o radę i wpadł w zachwyt, gdy poddałem myśl, by na listy odpowiadał fikcyjny sekretarz proponujący autograf za kilka gwinei płatnych za pokwitowaniem na rzecz jakiegoś szpitala. „Lecznicy dziecięcej w Swanage” - dokończył Hardy.

Krytyków literackich uważał za zakały nie mniej dokuczliwe niż łowcy autografów. Świat mógłby się bez nich obyć. Żałował, że za młodu słuchał ich rad i usunął z wierszy dialektyzmy pozbawione odpowiedników w angielszczyźnie literackiej. Recenzenci prześladowali go nadal. Jednemu nie spodobała się linijka: „Odchodząc małał i dałał”. Boże mój, cóż innego można było napisać?! W tym momencie Hardy zachichotał. Bojąc się ponownego oskarżenia o neologizowanie, zaglądał ostatnio parę razy do wielkiego słownika oksfordzkiego i, a jakże, znajdował poszukiwane słowo, tyle że jedyny cytowany przykład pochodził z jego własnej zapomnianej powieści! Stwierdził, że młodzieńcze lektury nie wywarły nań większego wpływu, bo nie wychował się w rodzinie o tradycjach literackich. Przyznał jednak, że gdy pracował za młodu u kamieniarza, kolega terminator pożyczał mu książki. (Gusta literackie miał z pewnością niecodzienne. Kilka lat później, kiedy Lawrence odważył się skrytykować przy nim *Iliadę* Homera, Hardy zaprotestował: „O, mnie się bardzo podoba. Jest równie dobra jak *Marmion!*” Lawrence myślał przez chwilę, że Hardy kpi.)

Wyjechaliśmy nazajutrz, wysłuchawszy przy śniadaniu kolejnej filipiki przeciwko krytykom. Hardy narzekał, że zarzucają mu pesymizm. Wiersz o kobiecie, której dom spłonął w noc poślubną, uznano za ponury.

- A to po prostu żart! - stwierdził. - Tylko tępak mógł tego nie zauważyć. Przeczytawszy tę recenzję, przejrzałem swój ostatni tom poezji / ołówkiem w rękę i oznaczyłem wiersze literami S, N i R: smutne, neutralne i radosne. Proporcje okazały się mniej więcej równe, więc zbioru nie można chyba nazwać pesymistycznym.

Twierdził, że wiersz wolny nie ma w Anglii przyszłości.

- Należy przewyższyć poprzedników, opisując stare tematy za pomocą starych form literackich.

Utrzymywał, że nie interesują go dalsze losy gotowego wiersza.

Wspominał swoją działalność podczas wojny i cieszył się, że jako przewodniczący Komitetu do Walki ze Spekulacją nauczył moresu wielu paskarzy z Dorchesteru.

- Stałem się, rzecz prosta, niepopularny - przyznał - ale za nic w świecie nie chciałem zasiadać w trybunale wojennym i posyłać na front młodych mężczyzn nie mających ochoty walczyć.

Widzieliśmy Hardy'ego po raz ostatni, choć powiedział, żebyśmy wpadali, kiedy chcemy.

Z Dorchesteru pojechaliśmy do Tiverton w hrabstwie Devon, gdzie dawna niania Nancy prowadziła sklep galanteryjny. Nancy pomogła jej zmienić wystawę i udzieliła rady w sprawie ramek do nowej partii oleodruków. Uporządkowała sklep, odkurzyła półki i stała jakiś czas za kontuarem. W rezultacie utarg wzrósł o parę szylingów tygodniowo i utrzymywał się na nowej wysokości jeszcze kilkanaście dni po naszym wyjeździe. Podsunęło to Nancy pomysł otwarcia sklepu na Dzikowym Wzgórzu, dużym osiedlu oddalonym o trzy mile od najbliższego centrum handlowego. Mogliśmy kupić używany wojskowy barak i sprzedawać w nim słodycze, artykuły spożywcze, tytoń, rondle, medykamenty i inne rzeczy, jakie widuje się w wiejskich sklepikach. Interes prowadzilibyśmy czysto i oszczędnie, zarabiając w ten sposób na życie. Obiecałem pomagać do końca wakacji.

Baraków wojskowych nie dawało się jednak kupić za rozsądną cenę (handlarze drewnem tworzyli mafię), toteż sklep zbudował wedle planu Nancy miejscowy cieśla. Jeden z sąsiadów wydzierżawił nam resztówkę pola tuż przy drodze. Budowę szybko ukończono i nabyliśmy towary. Zapowiedź otwarcia sklepu, zatytułowana *Kramik na Parnasie*, ukazała się na pierwszej stronie *The Daily Mirror*, a z Oksfordu przybyły tłumy ciekawskich. Szybko zrozumieliśmy, że musi to być albo duży magazyn ogólnospożywczy, uniezależniający Dzikowe Wzgórze od Oksfordu (oraz furgonetek dostawczych, które przywoziły liche artykuły i nie dawały możliwości wyboru), albo mała trafika ze słodyczami i tytoniem, nie konkurująca z kupcami z miasta. Postanowiliśmy rzucić im rękawicę. Należało powiększyć budynek i kupić towary za kilkaset funtów. Stałem za ladą przez kilka godzin dziennie, a Nancy zbierała po domach zamówienia. Rozpoczął się rok akademicki i powinienem jeździć do Oksfordu na wykłady. Jeszcze jedna karykatura: ubrany w zielony fartuch, z zarumienioną twarzą i zmierzwioną czupryną wręczam nadwornemu poecie paczkę tytoniu fajkowego Ptasie Oczko, odważając drugą ręką pół funta melasy dla żony ogrodnika sir Arthura Evansa.

Sklep wyrugował w końcu wszystko: zajęcia malarskie Nancy, moje studia uniwersyteckie, właściwe prowadzenie domu i wychowanie dzieci. Zatrudniliśmy chłopca do zbierania zamówień i wkrótce obsługiwaliśmy prawie całe Dzikowe Wzgórze, z wyjątkiem kilku mieszkańców. Raz w tygodniu odwiedzała nas nawet pani Masfield, która zawsze kupowała puszczkę proszku do mycia zlewów i opakowanie płatków mydlanych, płacąc gotówką z przenośnej kasetki na pieniądze. Zainteresowały mnie moralne zagadnienia handlu. Przekonaliśmy się z Nancy, że nieustanne fluktuacje cen nie skłaniają do uczciwości: nie mogliśmy się powstrzymać od obniżania rachunków ubogim wieśniakom z Wootton, którzy często do nas zachodzili, i odbijania sobie strat na miejscowych krezusach. Bez skrupułów bawiłem się w Robin Hooda. Oszustwo nigdy się nie wydało, u nasz chłopiec, który pracował czasem jako sprzedawca, mawiał, że to proste jak łuskanie grochu. Zauważyliśmy, że większość klientów kupuje herbatę nie kierując się smakiem, lecz ceną. Jeśli zabrakło akurat herbaty po dziewięć pensów za ćwierć funta, którą nabywała zawsze pani N., nie pijąca herbaty po osiem pensów, i jeśli pani N. robiła zakupy w pośpiechu, braliśmy funt herbaty siedmiopensowej o takiej samej barwie jak herbata d/iewięciopensowa i sprzedawaliśmy po dziewięć pensów. Ofiara nie spostrzegła różnicy.

Współczuliśmy domokrażcom, którzy wspinali się w pocie czoła na Dzikowe Wzgórze uginając się pod ciężarem waliz z próbkami towarów, po czym musieli odchodzić z kwitkiem. Opowiadali rozziewające historie o swoich nieszczęściach, a my często zmienialiśmy decyzję i kupowaliśmy więcej, niż należało. Wtajemniczali nas wówczas z wdzięczności w arkana handlu, radząc na przykład odkrawać zawsze trochę za dużo sera czy boczku, by powiększyć obroty. „Mało kto potrafi obliczyć cenę, nim się zdejmie towar z wagi, a prawie nikt nie zawraca sobie głowy ważeniem po powrocie do domu”.

Prowadziliśmy sklep przez pół roku. Ceny zaczęły spadać o pięć procent na tydzień, towary na naszych półkach straciły na wartości, a kilkunastu wieśniaków z Wootton poważnie się u nas zadłużyło. Później zachorowałem na gripę, Nancy zaś pokłóciła się z boną, toteż musiała się zająć dziećmi i domem!

Dokonawszy bilansu naszej działalności, postanowiliśmy ograniczyć straty sprzedając interes i towary dużej sieci sklepów detalicznych z Oksfordu, która chciała nabyć budynek i otworzyć filię. Mieliśmy nadzieję, że odzyskamy tym sposobem pierwotne wydatki, a nawet zarobimy na całej operacji. Jednakże grunt na nieszczęście nie należał do nas, a pani Masfield namówiła właściciela, by nie pozwolił przejść sklepu obcemu przedsiębiorstwu, które zniszczyłoby wiejski charakter Dzikowego Wzgórza. Innego miejsca nie było, musieliśmy przeto wyprzedać zapasy po cenach upadłościowych i znaleźć kupca na budynek. Szczęście znów nam nie dopisało, bo nie składał się z części połączonych bolcami, które można by zmontować w innym miejscu, i nadawał się jedynie na opał. W ciągu minionego półrocza złamano monopol handlarzy drewnem, ceny zaś gwałtownie spadły. Z dwustu funtów wydanych na budowę odzyskaliśmy dwadzieścia, a mieliśmy pięćset funtów długu wobec hurtowników i innych wierzycieli. Nasze sprawy wziął w swoje ręce adwokat, który spieniężył pozostałe nam walory i zmniejszył dług do trzystu funtów. Nicholson wspomógł Nancy banknotem stu funtów (przesłany w pudełku od zapalek), a resztę niespodziewanie ofiarował nam Lawrence. Dał mi cztery rozdziały *Siedmiu filarów mądrości*, które sprzedałem czasopismu amerykańskiemu, pragnącemu je wydać w odcinkach. Lawrence stawiał sobie za punkt honoru, by nawet pośrednio nie zarabiać pieniędzy na powstaniu arabskim, ale skoro mógł pomóc poecie, który popadł w tarapaty, nie widział w tym nic złego.

Poinformowaliśmy Masfieldów, że zwolnimy oficynę do końca czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku, lecz nie mieliśmy pojęcia, dokąd iść i co dalej robić. Wydawało się oczywiste, że musimy wynająć nowy dom, żyć spokojnie, samodzielnie wychowywać dzieci i zarabiać na życie pisaniem i malowaniem. Nancy, która przejęła rządy podczas mej choroby, kazała mi znaleźć dom. Zostały na to trzy tygodnie.

- Wiesz przecież, że nigdzie nie ma domów do wynajęcia - zaoponowałem.

- Ale, ale musimy gdzieś się przeprowadzić.

- No dobrze, opisz mi go ze szczegółami. Skoro i tak nic nie znajdziemy, szukajmy przynajmniej czegoś naprawdę ładnego.

- Musi mieć sześć pokoi, bieżącą wodę, widny strych i mur wokół ogrodu. Powinien stać nad rzeką we wsi ze sklepami, ale nie w samym centrum. Wieś musi leżeć pięć do sześciu mil od Oksfordu po przeciwnej stronie Dzikowego Wzgórza. Kościół nie może mieć strzelistej wieży: nie znoszą strzelistych wież. Dom ma być nie umeblowany, bo stać nas tylko na pół funta tygodniowo.

Zapisałem pozostałe szczegóły dotyczące urządzeń sanitarnych, okien, schodów, zlewów kuchennych i gleby w ogródku, przyłożyłem liniał do mapy sztabowej okolic Oksfordu i znalazłem pięć wiosek położonych nad rzekami oraz spełniających warunki co do odległości i kierunku. Po zasięgnięciu bliższych informacji okazało się, że dwie posiadają sklepy, jedna zaś kościół o strzelistej wieży.

Pojechałem do biura pośrednictwa w Oksfordzie i spytałem:

- Czy są domy do wynajęcia?

Urzędnik zaśmiał się grzecznie.

- Potrzebuję nie umeblowanego domu na skraju wioski Islip. Powinien mieć murowane ogrodzenie, sześć pokoi, bieżącą wodę, widny strych i czynsz nie przekraczający pół funta tygodniowo.

- Ach, ma pan na myśli dom na Krańcu Świata? Ale on jest na sprzedaż, nie do wynajęcia. Przez dwa lata nie znalazł się kupiec, więc może właściciel odstąpi go za pięćset funtów, czyli połowę ceny wywoławczej.

Nazajutrz pojechałem z Nancy do Islip. Rozejrzała się i rzekła:

- Owszem, dom jest dobry, choć trzeba będzie wyciąć cyprysy i zmienić szyby w oknach.

Wprowadzimy się pierwszego lipca.

- Ale co z pieniędzmi? Nie mamy ani grosza!

- Skoro potrafiliśmy znaleźć dom, z pewnością będziemy w stanie zdobyć gotówkę - odparła.

Miała rację. Moja matka wielkodusznie kupiła dom za pięćset funtów i wynajęła za pół funta tygodniowo.

XXIX

Wynajmując nam dom w Islip, matka zastrzegła w umowie, iż wolno go wykorzystywać tylko do celów mieszkalnych, nie zaś do działalności zarobkowej. Chciała się zabezpieczyć przed nowymi przedsięwzięciami handlowymi z naszej strony, lecz niepotrzebnie się martwiła, bo dostaliśmy już nauczkę. Wieś, zamieszкана przez rolników, leżała dość daleko od Oksfordu, tak że uniknęła zgałgania właściwego peryferiom miast uniwersyteckich. Policjant wiódł spokojny żywot. W ciągu czterech lat spędzonych w Islip niczego nam nie skradziono, a żaden wieśniak nie oszukał nas ani nie obraził. Zostawiłem raz nieopatrznie rower na stacyjce kolejowej. Tkwił tam dwa dni, a kiedy go odebrałem, nie dość, że nie brakowało świateł, pompki ani narzędzi, to jeszcze jakiś nieznaną dobroczyńca go wypucował.

Zimą grywałem w wioskowej drużynie futbolowej. Zdemobilizowani żołnierze wskrzesili po osiemdziesięciu latach tradycję rozgrywania sobotnich meczów piłkarskich. Miejscowy matuzalem gderał, że futbol był ongiś bardziej męski. Wskazał dwie spróchniałe wierzby i rzekł:

- Tam, mosterdziejku, były słupki. Drugie stały pół mili w górę rzeki. Stójkowy nas w końcu rozgonił, bo w ostatnim meczu zginęły trzy chłopcy. Jednego zdeptaliśmy na śmierć, a dwa się wzięły za łby i utopiły. Oj, panie, to była gra...

Futbol w wykonaniu mieszkańców Islip, aczkolwiek nie pozbawiony elementów męskich, wydał mi się dziewczęco subtelny w porównaniu z rozgrywkami w Charterhouse. Kiedy byłem środkowym napastnikiem, wygwizdywano mnie za atakowanie bramkarza wypuszczającego piłkę po strzale. Brawa rezerwowano dla lewoskrzydłowego, który zajmował się głównie artystycznym dryblingiem w środku pola. Ganiał w kółko, póki nie stracił piłki, i prawie nigdy nie zbliżał się do bramki. Klub piłkarski miał jednak charakter demokratyczny, w przeciwieństwie do klubu krykietowego. Grywałem w krykieta w pierwszym roku, lecz później zrezygnowałem, bo drużyna rzadko składała się z jedenastu najlepszych zawodników. Stali gracze musieli ustępować miejsca przyjezdnym ziemianom.

Prowadziliśmy dom zupełnie sami, nie wynajmując nawet praczki. Przygotowywałem posiłki, Nancy szła i cerowała kaftaniki dziecięce, pozostałe zajęcia wykonywaliśmy razem. W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku przyszła na świat Catherine, a w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku Sam. Przez osiem kolejnych lat, do końca tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku, żyliśmy w atmosferze ząbkowania, stłuczeń, infekcji i nie kończącego się prania pieluch. Nie miałem nic przeciwko takiej egzystencji, choć doskwierały nam kłopoty finansowe i prawie nigdy nie mogliśmy wyjechać do Londynu. „Cóż, miłość w wiejskiej chatce” - jak powtarzano proroczco na naszym weselu. Wysiłki odbiły się na zdrowiu Nancy, która ustawicznie chorowała, tak że wszystko spadało na moje barki. Próbowwała rysować, lecz gdy tylko rozłożyła przybory, rozlegał się płacz w pokoju dziecięcym. W końcu postanowiła odłożyć malowanie do chwili, gdy dzieci podrosną i pójdą do szkoły. Ja pisałem nadal, bo musiałem zarabiać na dom i nigdy nie wyrzekłbym się literatury. Pranie i sprzątanie zabierało nam większość czasu: zgromadziliśmy multum mosiężnych naczyń i ozdóbek, które wymagały polerowania, a nasze dzieci zmieniały ubrania pięć razy częściej niż dzieci sąsiadów.

Nieustannie coś mi przeszkadzało. Nauczyłem się rozróżniać główne odmiany niemowlęcego płaczu, świadczące o głodzie, niestrawności, mokrych pieluchach, owsikach, nudzie lub potrzebie zabawy, i zwracać uwagę jedynie na najważniejsze. Większość moich ówczesnych dzieł prozą zdradza warunki, w jakich powstały. Są sklecone byle jak, nie przemyślane i napisane bez dostępu do źródeł. Tylko poezja nie ucierpiała. Układając w myślach wiersz, pracowałem mechanicznie do chwili, gdy mogłem go wreszcie zanotować. W pewnym okresie stać mnie było tylko na pół godziny pisania dziennie i musiałem przelewać myśl na papier z błyskawiczną szybkością. Nie siedziałem nigdy przy biurku, gryząc ołówek. Poezja rodziła się zawsze w bólu, wśród bezustannych poprawek i niezadowolonia z siebie.

Dzieci były zdrowe i nie sprawiały kłopotów. Nancy uważała, że powinny unikać mięsa i herbaty, jeść mnóstwo owoców, chodzić wcześniej spać i leżakować po południu. Staraliśmy się unikać błędów wychowawczych, których ofiarą padliśmy jako dzieci, ale gdy poszły do wiejskiej szkółki, nie mogliśmy już chronić ich przed zinstytucjonalizowaną religią, snobizmem klasowym, uprzedzeniami politycznymi i dwuznacznymi bajkami o treści uświadamiającej. Chcieliśmy, by miały szczęśliwe dzieciństwo, Islip zaś nadawało się do tego równie dobrze jak inne miejscowości. Biegały po łąkach, bawiły się ze zwierzętami i zawierały przyjaźnie z miejscowymi dziećmi. Nie opodal płynęła rzeka i mogliśmy wypożyczać łódź. Lubily nawet naukę.

Wieśniacy tytułowali mnie kapitanem, lecz o wojnie przypominały mi tylko coroczne badania na wojskowej komisji lekarskiej, która przyznawała mi przez parę lat rentę inwalidzką ze względu na

neurastenię. Podróż pociągiem i wojskowy bilet kolejowy z wpisaną szarżą i regimentem, uprawniający do przejazdu pierwszą klasą, wywoływały zwykle nawrót nerwicy, nim stanąłem przed obliczem lekarzy.

Do drzwi naszego domu nieustannie pukali zdemobilizowani żołnierze, którzy sprzedawali sznurowadła i prosili o stare koszule albo skarpetki. Dawaliśmy im zawsze filiżankę herbaty i trochę pieniędzy. Islip leżało w połowie drogi między Chipping Norton a Oksfordem. Pewnego dnia przybył do nas bezrobotny eks-żołnierz, z zawodu operator walca parowego, lulający się z dwojgiem dzieci i niemowlęciem. Żona zmarła niedawno przy porodzie. Zrobiło nam się ich żal, Nancy zaś wpadła na pomysł adoptowania najstarszej dziewczynki, trzynastoletniej Daisy, o którą ojciec najbardziej się niepokoił. Podjęła się nauczyć Daisy prowadzenia domu, by mogła później iść na służbę. Operator walca rozplakał się z wdzięczności, a Daisy, łęga brzydula, silna jak koń i zahartowana trzema latami włóczęgi, zdawała się uszczęśliwiona z wejścia do naszej rodziny. Nancy uszyła jej nowe ubranie, wykapaliśmy ją, kupiliśmy parę butów i daliśmy własny pokój. Ojciec chciał, by wznowiła naukę, przerwana po rozpoczęciu tułaczki, lecz dyrektorka umieściła ją w najmłodszej klasie, a starsze dziewczynki ją wyśmiewały. Targała je w odwet za włosy, tłukła pięściami i nabrała nienawiści do szkoły. Wreszcie zatęskniła za włóczęgą.

- Dobrze nam się żyło - mawiała. - Wędrowaliśmy we cztery: tatko, brat, mały i ja. Mały to był dar Boży. Jakem z nim poszła do kuchni, zawszem cosik dostała. Miałam, ma się rozumie, swoje sposoby. Jak mi chciały zamknąć drzwi przed nosem, to ja nogę w próg i mówię: „To mój braciszek, sierotka...” Potem się rozglądam, czy o co nie poprosić. Jakem zobaczyła stary wózek w szopie, „oj, pani dobra, dajcie dla braciszka...” mówię i dawała. Mielimy, ma się rozumie, wózek, i to niczego, a nowy sprzedawaliśmy w drugim mieście. Łebski dziad zawszem prosi o jakąś rzecz. Nie ma co żebrać o piniendze i jedzenie. Wielem zarabiała dla tatki. Mówił, że robię lepiej od niego. Wędrowaliśmy i śpiewali *Drogą donikąd*, a jak się psuła pogoda, tośmy szły do przytułku. Dobre tam dla nas były. Zimowaliśmy w Chippy Norton. Chodziliśmy co niedziela do kina. W Chippy dawali dobre żarcie. Wszędzieśmy byli: w Walii, w Devonie, w samiuńskiej Szkocji, aleśmy zawszem wracały do Chippy.

Nancy i ja przeżyliśmy pewnego dnia wstrząs, gdy do drzwi zapukał żebrak, Daisy zaś zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, wołając:

- Jazda stąd, Williams, i nie ładuj tego świńskiego ryja do domu porządnych ludzi! Znam cię, ciaracho, ciebie i twoje żołnierskie papiery, coś je zwędził chłopu z Salisbury, i wiem, że cię szukają w Plymouth za biegiem! Zjeżdżaj, bo zawołam policjona!...

Daisy opowiedziała nam prawdziwe historie wielu żebraków, z którymi zawarliśmy przyjaźń.

- To same darmozjady i oszusty - mówiła. - Jeden tatko jest uczciwy. Włóczą się, bo policaje coś do nich mają, więc nie mogą nigdzie zagrzać miejsca. Tatko, ma się rozumie, nie lubi dziadowania, bo to dopiero od paru lat. Matula też byli porządni. Cięgiem nas ino myli. Większość tych nicponi ma wszy i wstrętne choróbka, a od przytułków ucieka, gdzie pieprz rośnie, bo tam kąpią w korbolu.

Daisy mieszkała z nami przez całą zimę. Kiedy nastala wiosna i drogi obeschły, przyszedł po nią ojciec. Mówił, że nie radzi sobie z małymi. Widzieliśmy ją wówczas ostatni raz, choć napisała później z Chipping Norton, prosząc o pieniądze.

Kiedy przeprowadziliśmy się do Islip, przestano mi wypłacać stypendium rządowe i zasiłek dla łacinników. Po zawarciu pokoju zapotrzebowanie na poezję gwałtownie zmalało i nasz całkowity dochód wynosił teraz tylko sto trzydzieści funtów rocznie, wliczając czek przysyłane przez krewnych na urodziny i święta. Mniej więcej połowę tej sumy stanowiły moje honoraria autorskie. Jak wskazywała Nancy, dawało to dwa i pół funta tygodniowo, a niektórzy komornicy z Islip, posiadający liczniejsze potomstwo, zarabiali półtora funta. Los doświadczał ich ciężiej niż nas i nie mieli się na kim oprzeć w razie nagłej choroby. Wakacje spędzaliśmy w Harlech, a matka kupowała nam bilety kolejowe i żywiła za darmo. Nancy dręczyła się myślami o okropnej sytuacji komornic.

Uważaliśmy się nadal za socjalistów i gdy w Islip założono terenową komórkę Partii Pracy, przez całą zimę organizowaliśmy u siebie zebrania. (iospodarze z Islip, choć zamożni, znani byli jako kiepscy rolnicy. Członek naszego koła, parobek nazwiskiem Wise, zaatakował raz konserwatystę wychwalającego cło ochronne nałożone przez rząd na suszone rodzynki. Mówca odparł protekcyjnie:

- Mój dobry człowieku, przecież cło na greckie rodzynki nie zaszkodzi wieśniakom z Islip!... Nie uprawiacie w tych stronach rodzynek, prawda?

- Nie, proszę pana - odpowiedział Wise. - Chłopy tu zbierają ino perz.

Namówiono mnie do kandydowania do rady parafialnej, w której zasiadałem przez rok. Szkoda, że nie notowałem sporów toczonych na zebraniach. Radnych było siedmiu, w tym trzech przedstawicieli Partii Pracy oraz trzech konserwatywnych farmerów i ziemian. Przewodniczył liberał, popierany przez nas jako uczciwy pracodawca i jedyny dziedzic w okolicy posiadający wykształcenie rolnicze. Utrzymawał

sprawiedliwie równowagę. Radni mało się nie pobili, gdy debatowano nad propozycją wystąpienia do rady okręgu z wnioskiem o budowę kolonii domów icdnorodzinnych dla zdemobilizowanych żołnierzy, którzy pragnęli się ożenić i nie mieli gdzie mieszkać. Konserwatyści storpedowali projekt, ndyż oznaczał niewielką podwyżkę podatku gruntowego.

Później wynikła kwestia boiska sportowego we wsi. Klub piłkarski nie chciał być zależny od dobrej woli zamożnego gospodarza, który wynajmował pole za symboliczną opłatą. Konserwatyści stanęli okoniem, znów w obawie wzrostu podatków, wskazując, że tuż po zakończeniu wojny wieś odrzuciła w głosowaniu plan budowy stadionu i postanowiła ufundować pomnik poległych. Labourzyści odparli, iż referendum w tej sprawie, podobnie jak wybory parlamentarne tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, zorganizowano przed powrotem zdemobilizowanych żołnierzy, tak że nie mogli oni się wypowiedzieć. Padły złośliwe aluzje pod adresem obszarników i bogatych chłopów, którzy zbijali majątki w kraju, gdy tymczasem biedota przelewała krew na froncie. Burzę zażegnał przewodniczący. Kolejna karykatura: ubrany w samodzielną marynarkę i sztruksowe spodnie siedzę w klasie szkolnej (na ścianach wiszą tym razem nie obrazki ilustrujące ohydę pijaństwa, lecz tandetne landszafty oraz pomoce naukowe do zoologii) i jako radny wioski w hrabstwie Oksford biorę udział w debacie, czy farmer Tomkins ma prawo jeździć wozem przez gminne pastwisko. Twierdzę, iż nie ma prawa, bo przewrócił zbutwiały płot.

Związki z Partią Pracy doprowadziły do zerwania stosunków z miejscowym ziemiaństwem, uważającym nas jak dotąd za swoich. Przy okazji lustracji domu matka zadała sobie trud odwiedzenia proboszcza, który później poprosił mnie, bym wygłosił przed kościołem mowę po nabożeństwie w rocznicę zawarcia rozejmu. Zaproponowałem lekturę poezji wojennej. Jednakże zamiast wierszy Ruperta Brooke'a o pięknej śmierci na polu chwały odczytałem kilka dość przykrych utworów Sassoona i Wilfrieda Owena o agonii zagazowanych żołnierzy i o trupich pośladkach sterczących z błota. Powiedziałem także, że ofiarami upadku współczesnej wieży w Syloe^[47] nie byli ludzie szczególnie cnotliwi ani występni, tylko najzwyczajsi w świecie, a ci, co przeżyli, winni dziękować Bogu za ocalenie i za wszelką cenę nie dopuścić do nowych wojen. Miejscowi bigoci, z wyjątkiem liberalnego wikarego, udawali zgorzenie, lecz zdemobilizowanym żołnierzom, których bynajmniej nie rozpieszczano, podobało się, że postawiłem ich na równi z poległymi. Byli ludźmi skromnymi: zauważyłem, że choć zgodnie z życzeniem monarchy przypięli na uroczystość pamiątkowe medale wojenne, zakryli je płaszczami.

Czołowym labourzystą Islip był William Beckley senior, posiadacz dziedzicznego tytułu sięgającego epoki Ołivera Cromwella. Nazywano go zawsze „Rybakiem” Beckleyem, bo jego przodek w linii prostej, łowiąc ryby w rzece Cherwell podczas oblężenia Oksfordu, przewiózł na drugi brzeg Cromwella i oddział armii parlamentu. Cromwell nagroził go wieczystym przywilejem połowu ryb między Islip a miejscem, gdzie stoi obecnie hotel Cherwell. W miejscowej tradycji żyła pamięć o potyczce kawalerii na moście w Islip, a wieśniak z chaty na wzgórzu pokazał mi niewielką kulę kamienną, która utkwiała wtenczas w murowanym kominie. Dzieje Beckleyów sięgały znacznie dalej niż epoka Cromwella, gdyż pracowali na rzece od niepamiętnych czasów. Rybak, powołując się na tradycję rodzinną, potrafił nawet wskazać miejsce, gdzie na dnie spoczywa barka z ładunkiem ciosu splawianego przed podbojem normańskiego na budowę Opactwa Westminsterskiego. Islip, miejsce narodzin Edwarda Wyznawcy, który nadał je opactwu, pozostawało tysiąc lat domeną Kościoła. Cios wykuwano w kamieniołomie na stoku wzgórza nad rzeką, a nasz dom stał na dawnej pochylni, którą spuszczano na wodę barki. W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku zasadzono w rzece sitowie, co uniemożliwiło zarzucanie sieci. Rybak Beckley został wówczas parobkiem. Był socjalistą i nie mógł uzyskać pracy we wsi, toteż jeździł codziennie na farmę oddaloną o kilka mil. Pozostał jednak Rybakiem, najbardziej szanowanym dzierzawcą Islip.

[47] Por. Ewangelia świętego Łukasza, XIII. 4.

XXX

Kiedy skutek afery ze sklepem i choroby nie uzyskałem w Oksfordzie stopnia bakałarza nauk wyzwolonych, rodzice przeżyli ogromny zawód. Jednakże sir Walter Raleigh, dziekan wydziału anglistyki, pozwolił mi przystąpić do egzaminu na stopień bakałarza literatury i przedłożyć rozprawę na dowolnie wybrany temat. Zgodził się także zostać moim opiekunem naukowym, pod warunkiem że nie będzie musiał się mną opiekować. Żył w wysokie mniemanie o moich wierszach i uważał, że powinniśmy się spotykać tylko na stopie towarzyskiej. Sir Walter, piszący wówczas oficjalną historię wojny powietrznej, zbierał praktyczne doświadczenia lotnicze. Armia pozwalała mu latać, ile chciał, aż wreszcie zmarł podczas wyprawy na Wschód, zaraziwszy się tyfusem. Jego śmierć tak mnie zasmuciła, że nie wystąpiłem o nowego opiekuna.

Moja praca nosiła tytuł *Pierwiastki alogiczne w poezji angielskiej*. Pisanie w wymaganym stylu akademickim sprawiło mi tyle trudu, że postanowiłem nadać rozprawie postać zwykłej książki. Miała około dziewięciu brulionów, a ostateczny rezultat okazał się niezadowolający. Usiłowałem określić naturę pierwiastka alogicznego w poezji, którą można zrozumieć w pełni, jak dowodziłem, tylko analizując utajone skojarzenia słów. Znaczenie słownikowe jest często krańcowym przeciwieństwem ukrytego. Słabość rozprawy polegała na braku wyraźnego rozróżnienia między procesami myślowymi poety a szaleńca.

Między rokiem tysiąc dziewięćset dwudziestym a dwudziestym piątym opublikowałem sześć tomików wierszy. Po *Barometrze na przystani*, który ukazał się w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, nie schlebiałem już gustom publiczności. Nie sądziłem nawet, iż tworzę dla potomnych, nie wierzyłem bowiem, że docenią mnie bardziej niż współcześni. Nigdy nie pisałem wierszy, nie czując wewnętrznej potrzeby. Chociaż adresowałem swoje utwory do inteligentnego, wrażliwego czytelnika, którego reakcje przewidywałem, nie utożsamiałem go już z żadną grupą ludzi, zwłaszcza (czerpiąc odwagę z postawy Hardy'ego) z krytykami poezji. Czytelnik był dla mnie niewiele bardziej rzeczywisty niż mikroskopijna sylwetka ludzka wyznaczająca rozmiar budowli na projekcie architektonicznym. Większa precyzja w pisaniu, widoczna w tomie *Whipperginny* naraziła mnie na zarzut, że próbuję zdobyć rozgłos i powiększyć nakłady, epatując publiczność modernistycznymi błazeństwami.

W owych latach kilkakrotnie próbowałem pozbyć się jadu wspomnień wojennych, kończąc swoją powieść, lecz ostatecznie musiałem ją zarzucić. Było mi wstyd, że zniekształcam prawdę wprowadzając fabułę, a nie miałem jeszcze odwagi, by opisywać wydarzenia historyczne bez osłonek, jak w tej książce.

Znałem większość ówczesnych poetów, między innymi Waltera de la Mare'a, Williama Henry'ego Daviesa, Thomasa Stearnsa Eliota i rodzinę Sitwellów. Daviesa lubiłem, bo pochodził z południowej Walii i bał się ciemności, a także dlatego, że pewnego razu, jak słyszałem, sporządził listę poetów, po czym po kolei wszystkich wykreślał, dochodząc do przekonania, że nie są prawdziwymi poetami, aż w końcu zostaliśmy tylko on i ja! Zazdrościł bardzo de la Mare'owi i kupił pistolet, by strzelać na strychu do jego fotografii. Ja jednak lubiłem de la Mare'a za łagodny charakter i pracę, jaką musiał włożyć w swoje wiersze. Zawsze interesowałem się warsztatem pisarskim kolegów. Spytałem raz, czy nie spędzał mu snu z powiek fragment:

Ach, nie wie nikt,
Przez jakie burzliwe stulecia
Wraca róża wędrowną...

i czy nie uznał go w końcu za niezadowolający. De la Mare odrzekł ponuro, że nie miał wyboru: musiał zachować podobieństwo brzmieniowe wyrazów „burzliwy” i „róża”, bo nie znalazł dość wyrazistego synonimu na burzliwy. W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku zgodziłem się współpracować z Eliotem, który był wtedy zabieganym urzędnikiem bankowym. Chcieliśmy napisać tom esejów o poezji współczesnej, ale plan spalił na panewce.

Osberta i Sacheverella Sitwellów widywałem wówczas rzadko. Kiedyśmy się spotykali, czułem się zawsze jak ubogi prowincjusz. Osbert przysłał mi raz w prezencie dwa jarząbki. Pochodziły z Renishaw, jego rodowej rezydencji w hrabstwie Derby, i nadeszły w torbie z karteczką: „Od kapitana Sitwella dla kapitana Gravesa z najlepszymi życzeniami”. Ani ja, ani Nancy nie mieliśmy ochoty skubać, patroszyć i piec ptaków, oddaliśmy je tedy sąsiadom. Napisałem do Osberta: „Kapitan Graves dziękuje kapitanowi Sitwellowi za kapitalne jarząbki”. Zawarliśmy jednak przyjaźń z siostrą Osberta, Edith. Znając jej zwariowane wiersze awangardowe, dziwiliśmy się, że jest spokojną, a nawet pobożną domatorką.

Odwiedziwszy nas w Islip, przesiadywała na sofie i obrębiała chusteczkę. Pisywała często do mnie i do Nancy, lecz nasza przyjaźń skończyła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku.

Nie spotykałem żadnych kolegów z wojska, z wyjątkiem Siegfrieda, a i to bardzo rzadko. Edmund Blunden objął katedrę literatury angielskiej na Uniwersytecie Tokijskim. Kiedy uporządkowano sytuację na Bliskim Wschodzie, Lawrence zaciągnął się do Królewskich Sił Powietrznych, lecz Ministerstwo Lotnictwa zwolniło go, gdy labourzystowski poseł do Izby Gmin złożył interpelację w sprawie jego służby pod przybranym nazwiskiem. Był teraz szeregowym Korpusu Tanków JKMości, gdzie czuł się fatalnie. Po zgonie sir Waltera Raleigha rozluźniły się moje więzy z uniwersytetem w Oksfordzie, kiedy zaś zmarł Rivers, a George Mallory zaginął na Evereście, rozumiałem, iż w czasie pokoju śmierć przyjaciół idzie za mną krok w krok równie nieubłaganie jak na wojnie.

Prześladował nas pech. Islip przestało być spokojną wiejską przystanią. Przylapywałem się, że wracam do wojennej strategii przedzierania się przez życie byle jak, aby zbyć, w nadziei, że coś się zmieni. Pogarszające się zdrowie Nancy uniemożliwiało jej prowadzenie domu. Nasze finanse polepszyły się dzięki stałej zapomodze jej ojca pokrywającej wydatki na nowe dzieci - mieliśmy teraz dwieście funtów rocznie - ale życie na wsi z czworgiem maluchów poniżej sześciu lat i chorą żoną stawało się powoli nie do zniesienia. Mimo wszystko mogła zająć konieczność złamania przysięgi i podjęcia pracy w szkole. Aby to jednak zrobić, musiałem uzyskać stopień uniwersytecki, toteż wykończyłem swoją pracę, którą opublikowałem pod tytułem *Szaleństwo poetyckie* i przedłożyłem komisji egzaminacyjnej w postaci wydrukowanej książki. Rozprawę ku memu zdziwieniu przyjęto i otrzymałem stopień bakałarza literatury. Nie chciałem jednak podejmować pracy w szkole powszechnej ani średniej, bo byłbym wówczas cały dzień poza domem, Nancy zaś nie zgadzała się na zaangażowanie bony. Problemy nasze wydawały się tedy nie do rozwiązania.

Później lekarz orzekł, że jeśli Nancy pragnie wrócić do zdrowia, musi spędzić zimę w Egipcie. Toteż jedyną pracą, jaka mogła mnie zadowolić, była posada nauczyciela akademickiego w Egipcie, z bardzo wysoką gażą i niewielkimi obowiązkami. Po kilku tygodniach (w sytuacjach krytycznych zawsze dopisuje mi szczęście) zaproponowano mi udział w konkursie na stanowisko profesora literatury angielskiej w nowo otwartym Królewskim Uniwersytecie Egipskim w Kairze. Dowiedziałem się później, że poleciło mnie kilka wpływowych osobistości, między innymi mój przyjaciel Arnold Bennett, pierwszy krytyk, który pochwalił moje wiersze na łamach prasy codziennej, a także Lawrence, który z czasów powstania w Hidżazie znał wysokiego komisarza Egiptu, lorda Lloyd'a. Pensja, wraz z dodatkiem na podróż, wynosiła tysiąc czterysta funtów rocznie. O listy polecające poprosiłem dwóch znajomych: sąsiada, pułkownika Johna Buchana, i obecnego hrabiego Oksfordu, Herberta Asquitha, który interesował się po ojcowsku moją karierą i często odwiedzał nas w Islip.

Profesurę otrzymałem. Pośrednie zyski z pisania wierszy bywają bez porównania większe niż bezpośrednie.

XXXI

Popłynęliśmy tedy drugą klasą do Egiptu, z boną do dzieci, z nowiutkimi kuframi podróżnymi pełnymi nowiutkich ubrań i z morrisem w ładowni. Lawrence pisał:

Egipt, położony blisko Europy, nie jest krajem barbarzyńskim (...) Nie będziesz mieszkał wśród Egipcjan. Byłby to cud, gdyby Anglik zdołał ich poznać. Urzędnicy brytyjscy żyją we własnym zamkniętym świecie, którego blichtr odgradza ich od ludu. Zimą przybywa wielu cudzoziemskich turystów, a miejscowe kobiety nie zadają się z obcymi.

Gaża wydała mi się atrakcyjna. Niedawno ją podniesiono. Pracę uznasz za ciekawą albo okropną zależnie od tego, czy ją polubisz jak Lafcadio Hearn, czy znieawidzisz jak Robert Nichols. Nawet jeśli to drugie, nic złego się nie stanie. Klimat jest zdrowy, kraj piękny, zabytki godne podziwu, obyczaje interesujące i obrzydliwe, ty zaś jesteś na tyle zrównoważony, że zwykle zniechęcenie do wykonywania codziennych obowiązków nie wtrąci cię w depresję. Pracuj solidnie, póki pobierasz gażę, i tym swobodniej korzystaj z wolnego czasu (będzie go mnóstwo). Możesz liczyć na Lloyd'a.

Podróżuj. Zwiedź Palestynę, oazy na Saharze, wybrzeże Morza Czerwonego, Synaj (bycza pustynia), bagniska Deltę i kolonię Wilfreda Jenningsa Bramly'ego na Pustyni Zachodniej. Nie zapomnij o architekturze meczetów kairskich.

Może się jednak zdarzyć, że praca ci się spodoba. Myślę, że szanse są równe. Wielkich szkód nie poniesiesz, rodzina skorzysta na ciepłym klimacie (Kair nie jest zimą ciepły), a praca nie okaże się wściekle absorbująca. Pieniądze zaś się przydadzą. Po wydatkach pierwszego półrocza powinieneś odkładać większość poborów. Polecam mrożoną kawę w kawiarni Groppiego.

Masz moje błogosławieństwo!

Kiedy byłem małym chłopcem, mój starszy brat Dick i moja starsza siostra Mollie opuścili Anglię i pojechali do Egiptu. Dick (notabl rządowy o pensji mniejszej niż moja) oraz jego małżonka przyjęli wieść o mym przyjeździe ze zrozumiałym niepokojem. Znali moje poglądy polityczne. Jednakże Mollie, do której byłem bardzo przywiązany, nie miała żadnych obaw i przesłała mi czuły list powitalny.

Siegfried pożegnał się ze mną w porcie.

- Wiesz, kto jest na pokładzie?! - spytał. - Spartaczony Obraz! Służy ciągle w pułku i płynie do Pierwszego Batalionu w Indiach! Kiedy go ostatnio widziałem, siedział na podłodze schronu, gryząc kawał wołowiny jak szczur.

Przydomek Spartaczony Obraz odnosił się do wersetu biblijnego, że człowieka stworzono na obraz i podobieństwo Boże. Nazywaliśmy tak oficera, który chodził ze mną do Cophthorne, zdał w tym samym czasie do gimnazjum, służył w Wrexham i Liverpoolu, podobnie jak ja został ranny podczas ataku Drugiego Batalionu na Wysoki Las, a teraz płynął na tym samym statku na Wschód. Nie mieliśmy ze sobą najzupełniej nic wspólnego, nie łączyła nas nawet niechęć, toteż nie pojmuję, dlaczego los tak często skazywał nas na swoje towarzystwo.

Statek zawiął do Gibraltaru, gdzie zesłaliśmy na ląd, kupiliśmy figi i objechaliśmy konno miasto. Przypomniałem sobie anulowaną depeszę Ministerstwa Wojny i stwierdziłem, że byłem cholernym głupcem wybierając Rhyll. Armator, przypadkowo obecny na pokładzie, namówił kapitana do podpłynięcia pół mili do Stromboli. Wybuch wulkanu spowił wieczorne niebo kurzawą, a lava spływała do morza z piekielnym sykiem. W Port Saidzie przyjaciel siostry pomógł nam przejść przez komorę celną. Nadal męczyła mnie choroba morska, lecz od razu poczułem, że jestem na Wschodzie, bo nasz cicerone zaczął mówić o Kiplingowskich „łozach Lichtenburga”, zastanawiając się, czy to rzeczywiście łozy, czy jakaś pokrewna roślina. W drodze do Kairu gapiiliśmy się cały czas przez okna, urzeczeni widokiem zielonych łąk w styczniu.

Bratowa odradziła nam ekskluzywną dzielnicę podmiejską Gizereh, gdzie sama mieszkała, i pomogła wynająć mieszkanie w Heliopolis, parę mil na wschód od stolicy. Koszty utrzymania okazały się bardzo wysokie, bo był właśnie sezon turystyczny, lecz udało się je zmniejszyć robiąc zakupy w brytyjskim kasynie oficerskim, gdzie przedstawiłem się jako dymisjonowany kapitan. Wbrew wszelkim ostrzeżeniom dotyczącym krajowców nasi dwaj służący, Sudańczycy, okazali się spokojni, punktualni i pełni uszanowania.

O ile wiem, ukradli nam tylko resztki baraniego udźca. Nie mogłem się przyzwyczaić, że nie zajmuję się domem ani dziećmi, a posiadanie nie ograniczonego czasu na pisanie zakrawało na cud.

Założycielem uniwersytetu był król Fuad, pragnący uchodzić za mecenasa sztuki i nauki. Dawny uniwersytet kairski miał charakter nacjonalistyczny, lecz wnet upadł, ponieważ nie wykładali na nim Europejczycy i nie otrzymywał dotacji rządowych. Początki uniwersytetu króla Fauda były wcale ambitne.

W skład uczelni wchodziły wydziały matematyczno-przyrodniczy, medyczny i humanistyczny, z pełną obsadą dobrze opłacanych profesorów, wyjątkowo tylko Egipcjan. Wydziały medyczny i przyrodniczy obsadzali przede wszystkim Anglicy, ale wykładowców wydziału humanistycznego mianowano zeszłego lata, gdy wysoki komisarz brytyjski przebywał na urlopie. Gdyby nie to, z pewnością by ich /dyskwalifikował, byli to bowiem głównie Francuzi i Belgowie. Tylko jeden z moich kolegów znał angielski, o arabskim zaś nie miał pojęcia żaden, choć spośród dwustu studentów egipskich, przeważnie synów bogatych kupców i ziemian, tylko kilkunastu posiadało francuski nieco lepiej niż dla potrzeb dokonywania zakupów w eleganckich sklepach, a wszyscy uczyli się angielskiego w gimnazjum. Oficjalną korespondencję uniwersytecką prowadzono w arabszczyźnie klasycznej, która nie zmieniła się od dnia śmierci Mahometa. Nie zdołałem zresztą dostrzec żadnych neologizmów. Wielce uczony szejk Graves, jak mnie tytułowano, zanosił listy na pocztę z prośbą o przetłumaczenie. Moich dwunastu czy trzynastu francuskich kolegów miało na koncie wspaniałe osiągnięcia akademickie, ale kilku angielskich nauczycieli gimnazjalnych podjęłoby chętnie ich obowiązki za jedną trzecią gaży i wykonywałoby je znacznie lepiej. Uniwersytet mieścił się w dawnym haremie chedywa, bogatym francuskim pałacu z mnóstwem zwierciadeł i ozdóbek.

Brytyjscy urzędnicy z Ministerstwa Oświaty prosili mnie o krzewienie na wydziale dobrego imienia Anglii. Zgodziłem się. Nie przybyłem wprawdzie do Egiptu jako ambasador Imperium, lecz drażniło mnie, że Francuzi prowadzą moim kosztem działalność polityczną. Dziekan, monsieur Gregoire, znawca poezji słowiańskiej, był człowiekiem twardym, dowcipnym i inteligentnym. Wydawał podczas wojny czasopismo podziemne w okupowanej Belgii, wskutek czego nabrał pewnej dwulicowości i przebiegłości. Beznogi profesor literatury francuskiej, bohater wojenny, traktował mnie z początku protekcyjnie. Byłem dlań młodym człowiekiem, a nie szanownym kolegą. Dowiedziawszy się jednak, że przelewałem krew za ludzkość i Francję, zaczął się do mnie odnosić jak do starego druha.

Francuzi wykładali przy pomocy tłumaczy, co prowadziło do opłakanych rezultatów. Miałem wygłaszać dwa wykłady tygodniowo. Jednakże dziekan doszedł niebawem do wniosku, że należy wyeliminować tłumaczy, udzieliwszy studentom dodatkowych lekcji francuskiego. Ograniczyło to liczbę godzin na inne zajęcia, tak że mogłem prowadzić tylko jeden wykład w tygodniu. Panowało na nim pandemonium. Studenci nie zachowywali się wrogo, tylko łatwo się ekscytowali i pragnęli pokazać, że cenią mnie, wolność, Zagulę Paszę i dobro Egiptu - wszystko za jednym zamachem. By przywrócić ciszę, musiałem drzeć się na całe gardło jak w koszarach, gdzie nauczyłem się krzyczeć wysokim tonem, który niósł bardzo daleko.

Nie było podręczników, bo biblioteka nie posiadała działu anglojęzycznego, a sprowadzenie książek z Wielkiej Brytanii zajęło francuskiemu bibliotekarzowi kilka miesięcy. Był styczeń, studenci zaś mieli zdawać w maju egzamin. Pragnęli poznać do tego czasu Szekspira, Wordswortha i Byrona. Byronem i Wordsworthem nie chciałem się zajmować, a Szekspira wolałem oszczędzić. Postanowiwszy skupić wykłady na najpierwotniejszych formach literackich, wybrałem balladę ludową jako źródło epiki i dramatu. Zamierzałem wpoić studentom kilka co prostszych terminów, ale choć uczyli się angielskiego od ośmiu lat, nie rozumieli nawet połowy tego, co mówiłem. Na przykład gdy opowiadałem o śpiewaniu ballad przy akompaniamencie harfy, nikt nie wiedział, co to jest. Wyjaśniłem, że to instrument króla Dawida, i narysowałem harfę na tablicy, a wtedy zakrzyknęli: „Aha, *anur!*” Widziałem raz na własne oczy fellachów, którzy oczyszczali z piasku tylne łapy Sfinksa, śpiewając coś na kształt ballady. Jeden dyrygował pracą jako przewodnik chóru. Jednakże studenci mieli w pogardzie ballady egipskie. Fellachowie byli dla nich tyłka leniwymi i odrażającymi zwierzętami. Istniało wielkie zapotrzebowanie na skrypty z moich wykładów, mające służyć jako podręczniki egzaminacyjne. Prosiłem kancelarię wydziału o ich powielenie, lecz profesorowie francuscy dawali uczelni tyle zleceń, że pomimo obietnic nic z tego nie wyszło. Moje wykłady przekształciły się niebawem w dyktowanie nie wydrukowanych skryptów, ale w każdym razie studenci gryzmolili pracowicie w kajetach.

Moje bufiaste spodnie w stylu oksfordzkim były nowością w Egipcie i wzbudziły powszechne zainteresowanie młodzieży, która nosiła tradycyjne spodnie zwężane w kostkach. Cała śmietanka towarzyska przywdziała wnet spodnie w stylu oksfordzkim. Rektor uczelni zaprosił mnie pewnego dnia na przyjęcie, w którym uczestniczyli dwaj studenci, synowie ministrów. Dla kawału założyłem do fraka białe jedwabne skarpetki. Prorektor, Ali ibn Omar Bej, najsympatyczniejszy dygnitarz uniwersytecki, twierdził, że widział kilka dni później na raucie rządowym owych studentów w skarpetkach z białego jedwabiu. Rozejrzawszy się po dostojnym zgromadzeniu, spostrzegli z konsternacją, iż wyprzedzili modę i są jedynymi gośćmi w białych skarpetkach. Ali ibn Omar Bej pokazał na miga, jak zawstydzeni chłopcy próbują poluzować ukradkiem podwiązki i obciągnąć spodnie.

Przez jakiś czas nie miałem nawet jednego wykładu w tygodniu, bo studenci proklamowali strajk. Był akurat ramadan, kiedy pościli od wschodu do zachodu słońca. Aby nadrobić zaległości, zjadali nocą więcej niż zwykle, co przeciążało ich organa trawienne i źle wpływało na system nerwowy. Pretekst do strajku stanowiła nadmiernie intensywna nauka francuskiego, lecz w istocie potrzebowali wolnego czasu na samodzielne przygotowanie się do egzaminów. Później profesor filologii arabskiej, niewidomy Egipcjanin cieszący się rzadką sławą jako orientalista, opublikował rozprawę o przedmahometzańskich źródłach *Koranu*. Jego wykłady wymagały znacznie większego wysiłku umysłowego niż pozostałe, toteż prawie wszyscy studenci odmówili zdawania egzaminu z filologii arabskiej z przyczyn religijnych. *Koran*, objawiony Prorokowi przez Boga, nie mógł mieć dla prawowiernego muzułmanina źródeł preislamskich.

Poznałem dobrze tylko dwóch studentów: Greka i Turka. Turek, bogaty, inteligentny i dobronuduszy dwudziestolatek, zabrał mnie dwukrotnie autem pod piramidy. Był jednym z nielicznych studentów (z wyjątkiem tuzina wychowanków francuskiego konwiktetu jezuickiego) władających biegle angielskim i francuskim. Pewnego dnia poprosił o zwolnienie z wykładu, bo brał ślub. Spytałem, czy będzie to pierwsza, czy druga część ceremonii.

- Pierwsza - odparł. - Rodzice narzeczonej to ortodoksi i zobaczę jej twarz dopiero podczas drugiej części.

Stwierdził jednak, że jego siostra chodziła z panną młodą do szkoły i mówi, że jest ładna i ma dobry charakter. Poza tym jego ojciec szanuje jej ojca. Kiedy odbyła się druga część uroczystości, Turek wyznał, że jest w siódmym niebie. Dowiedziałem się, że pan młody rzadko odtrąca narzeczoną, gdy ta unosi czarczaf, choć przysługuje mu do tego prawo, podobnie zresztą jak dziewczynie. Parze udaje się zwykle zobaczyć jeszcze przed pierwszą częścią zaślubin. Narzeczone przesyła mężczyźnie bilecik: „Jeśli chcesz wiedzieć, jak wyglądam, jutro o wpół do czwartej będę przy stoisku z kapeluszami w Maison Circuel. Jeżeli uniosę zasłonę przymierzając kapelusz, nic złego się nie stanie. Poznasz mnie po czerwonej umbrelce”.

Pytałem o prawa muzułmanek w Egipcie. Rozwód uzyskiwało się ponoć jak z bicia trząśł. Wystarczyło, by mąż oznajmił trzykrotnie w obecności świadka: „Rozwodzę się z tobą! Rozwodzę się z tobą! Rozwodzę się z tobą!” Kobieta zabierała jednak posag wraz z procentami narosłymi w trakcie małżeństwa. Wiana były z reguły duże, a rozwody stosunkowo rzadkie. Posiadanie więcej niż jednej żony uchodziło za obyczaj prostacki, chyba że mąż chciał ukarać pierwszą za złe sprawowanie. Słyszałem opowieść o Egipcjaninie, który rozjuszył się pewnego ranka na połowicę, bo podała zimną kawę.

- Rozwodzę się z tobą! Rozwodzę się z tobą! Rozwodzę się z tobą! - wybuchnął.

- Ach, mój drogi - zawołała żona - jesteśmy rozwiedzeni! Twoje słowa usłyszeli służący. Muszę wrócić do ojca z dziesięcioma tysiącami funtów i sześćdziesięcioma wielbłędami!...

Mąż przeprosił małżonkę za niepotrzebną porywcość.

- Światło moich oczu, musimy jak najszybciej się pobrać!

Kobieta przypomniała, że *Koran* zabrania ponownego małżeństwa z tą samą osobą, dopóki nie zawrze się nowego związku i nie weźmie rozwodu.

Mąż zawołał tedy sędziwego ogrodnika, który podlewał trawnik przed domem, i kazał mu poślubić swoją byłą połowicę. Małżeństwo miało być jedynie formalnością. Posłuszny sługa zrobił, czego żądano, i wrócił natychmiast do konewki.

W dwa dni później kobietę przejechała taksówka, ogrodnik zaś odziedziczył pieniądze i wielbłądy.

Greki zaprosił mnie raz na podwieczorek. Jego trzy olśniewające siostry, Pallas, Aphrodite i Artemis, podały nam w ogrodzie herbatę z europejskimi chruścikami, które nauczyły się piec w amerykańskiej szkole. Na trzecim piętrze sąsiedniego domu stał na balkonie bladolicy mężczyzna perorujący z emfazą w przestrzeń. Spytałem Pallas, o czym mówi.

- Och - zaśmiała się - niech pan nie zwraca na niego uwagi! Policja zostawia go w spokoju, bo to zwariowany milioner. Mieszkał dziesięć lat w Anglii. Opowiada ptaszkom o swoich kłopotach. Mówi, że go przypiekają prądem elektrycznym... A teraz, że własny sekretarz oskarża go o kradzież pięciu piastrów, ale to nieprawda... I że Bóg na pewno nie istnieje, boby nie pozwolił Anglikom zarekwirować fellachom wielbłądów i nie oddać po wojnie... I że wszystkie religie są w istocie takie same, a Budda jest równie dobry jak Mahomet. Doprawdy, to zupełny fiksat. Trzyma w pokoju pieska, bawi się z nim i rozmawia jak z człowiekiem!...

Pallas twierdziła, że władzę w Egipcie przejmą za dwadzieścia lat kobiety. Ruch feministyczny dopiero się narodził, a ponieważ płeć piękna to najenergiczniej sza i najinteligentniejsza część ludności, należy oczekiwać wielkich zmian. Ani ona, ani siostry nie pozwalały ojcu sobą pomiatać. Brat, studiujący literaturę jako wstęp do nauki prawa, pokazał mi swoją bibliotekę. Oprócz podręczników jurystycznych

miał Woltera, Rousseau, kilka pięprzonych powieści francuskich, Szekspira i *Jak zrobić karierę* Samuela Smilesa. Kiedy poprosił o radę na temat swoich studiów, zasugerowałem uniwersytet w Europie: wykształcenie humanistyczne zdobyte w Kairze było niewiele warte, chyba że zamierzał zostać politykiem.

Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak ogromną władzę mają w Egipcie Brytyjczycy. Kraj był nominalnie suwerenną monarchią, lecz odnosiłem wrażenie, iż oczekuje się ode mnie lojalności nie wobec króla Fuada, który mianował mnie profesorem i wypłacał pensję, tylko wobec wysokiego komisarza Wielkiej Brytanii, manifestującego ustawicznie potęgę swoich oddziałów piechoty, szwadronów kawalerii i eskadr aeroplanów. Urzędnicy angielscy nie byli w stanie pojąć dążeń niepodległościowych Egipcjan i uważali, iż odpłaca im się czarną niewdzięcznością za dobrodziejstwa wyświadczone krajowi w latach osiemdziesiątych, gdy ciężką pracą doprowadzili go do rozkwitu. Zapewniano mnie, że naród egipski nie istnieje. Miejscowi Grecy, Turcy, Syryjczycy i Ormianie byli takimi samymi cudzoziemcami jak Anglicy. Fellachów, jedynych prawdziwych Egipcjan, łupili przed okupacją brytyjską paszowie tureccy, a to nie fellachowie domagali się obecnie niepodległości. Nacjonalizm, ideologia wyrosła na gruncie powierzchownego wykształcenia zachodniego, jakie dawaliśmy klasom wyższym, stanowił jedynie oznakę rosnącego dobrobytu. Niechętnie patrzono na zmniejszanie liczby urzędników brytyjskich w ciągu ostatnich kilku lat. „Odwaliliśmy najcięższą robotę, a po naszym odejściu wszystko się zawali - zresztą już się wali. Będą nas musieli znów wezwać, nas albo Hiszpanów, a nie rozumiemy, dlaczego to oni mieliby korzystać”. Żaden Anglik nie zdawał sobie sprawy, że ciągle oglądanie mundurów brytyjskich rani dotkliwie dumę Egipcjan, może najdumniejszego narodu świata. Z drugiej strony odnosiłem wrażenie, że morale piiejscowej armii nie jest zbyt wysokie. Widziałem na własne oczy, jak jeden z oficerów, rozwścieczony lenistwem szyldwacha, otworzył mu usta i napłuł do środka.

Egipt uważał się za kraj zeuropeizowany, a zarazem próbował odebrać Turcji prymat w sferze islamu. Prowadziło to do wielu paradoksów. W dniu, gdy moi studenci rozpoczęli protest przeciwko bezbożnym poglądom profesora filologii arabskiej, seminarzyści al-Azharu, największej uczelni teologicznej Kairu, odmówili noszenia tradycyjnego stroju arabskiego złożonego z burnusa i jedwabnego zawoju, po czym przybyli na zajęcia w strojach europejskich i tarbuszach. Tarbusz był narodowym nakryciem głowy, noszonym nawet przez urzędników brytyjskich. Miałem go i ja. Trudno byłoby wymyślić coś mniej dostosowanego do klimatu. Czerwona filcowa czapka z płaskim denkiem nagrzewała się i przepacała na słońcu, a ponadto nie posiadała runda zabezpieczającego kark przed udarem.

Mój brat Dick był dla mnie nadzwyczaj miły, zresztą tak jak zawsze. Podobnie moja egzaltowana siostra Mollie, która umie wróżyć z wody i nosi za moją radą muszkę na prawym policzku. Przy torze wyścigowym mieścił się klub, do którego nie chciałem się zapisać, by nie narażać Nancy na kontakty towarzyskie z żonami urzędników brytyjskich. Kochający mąż Mollie, sędzia Preston, poczuł się tam wielce zażenowany, gdy moja siostra wyznała, że jej syn Martin (bardzo podobny do ojca) przyszedł na świat wskutek dzieworódtwa. Spytała raz o moją konfirmację. Odrzekłem, że ceremonii dopełnił biskup Zululandu, a siostra rzuciła mi się na szyję.

- Mój kochany! - wykrzyknęła. - Wiedziałam, że mamy ze sobą mnóstwo wspólnego! Mnie konfirmował biskup Zanzibaru!...

XXXII

Dokonałem w Egipcie dwóch pożytecznych rzeczy. Zamówiłem dla biblioteki wydziałowej zestaw standardowych podręczników do literatury angielskiej i przeprowadziłem egzamin dyplomowy w Wyższej Szkole Pedagogicznej, kształcącej nauczycieli angielskiego dla szkół podstawowych i średnich. Zachowałem na pamiątkę trzy eseje egzaminacyjne, pierwszy autorstwa Mahmuda ibn Muhammada ibn Mahmuda:

Środowisko jako czynnik ewolucyjny

Ewolucyje to kwintasencia. Niegdyś rozmyślano, że Skoropa Ziemska powstała katastrofą, niemniej przeto w świat wszedł znamienity filozof Darwin i rzecze: „Jak się cofamy na drabinie, gatunki coraz się bardziej od siebie różnią wszystkie. Katastrof nie ma i jak do poprzednich poprzedników wracamy, dochodzimy do coraz poprzednich, a wreszcie do Matki Natury”. Takosz człowiek prowadzi ewolucyje. To jasne z kretesem. Dziecię posiada od powicia instynkt wysysania mleka z gruczołu macierzy i wielu innych. Ale nie ma nawyki i jest słaby jak ocet siedmiu złodziei. Potym go wprowadzają do domustwa, gdzie jest wśród rodzicieli, a ciało mu oczyszcza albo plugawieje. To należy do środowiska. Myśliciele prymitywne są skłonne środowisko uważać za - w najlepszy raz - banalny szynnik w chowaniu, aczkolwiek uczeni szeykowie wierzą, iż jak się dziecię rodzi przy kobiecie złej, co powie słowo złe, pozostaje w umyśle dzieciny, póki nie odczaruje.

Środowisko dostarcza szybko zmiany. Życie górskiej kozicy uczy skakać. Dżamał ma płaskostopę i kopyto do piasku. Niektóre gatunki króń były dzikie, ale siadły na równiku i zmieniły w spokojne owieczki. Młoda żabka ma ogonek i nosek jak rybka do życia w morzu, ale ogon maleje w środowisku. Morze jest głębokie i zmienne, przeto co żyje w morzu, zmienne i tajemnicze. Jak ustawić krowę w wilgotnym i brudnym, schodnie i zdechnie. Takosz koń - koń miał u nogi pięć palców, a teraz jeden, bo musi biegać w pustyni po wodę. Klimat wpływa takosz na ciałowe zwyczaje kochanych Europejczyków w Egipcie. Dawniej były bystre, cierpliwe, silne i miały grubą skórę odporną na upał, a teraz łatwo się męczą i próżnują. Nauka głosi, że ludzi da się podlepszyć jak zwierzęta, lubo mieli zdrowe dziatki i dobre freblówki.

Drugi elaborat wyszedł spod pióra Muhammada ibn Mahmuda ibn Muhammada:

Harakter lady Makbet

Szanowny Panie Profesoże!

Krutko rzecz ujmujonc, lady Makbet być odwarzny i przedsiębiorczy, ale nie taktowny. Powiedać do Makbetu:

- Sposobność się nadaża, więc jej nie trać. Gdzie twuj męskość w okolicznościach tak spszyjajonych? Mam dziatków małych i znam miłość matki serca. Ale wiedz, prendzej bym rozżaskała niemowlęcia główkę i wyrwała mleczne zombki, co mi doją, niżli słowo dała na pružno.

- Może się nie udać - żeł Makbet.

- Nie udać? - pytać lady Makbet. - Weś się do działa, to się udać. Resztę zostań mnie. Zatrój wino sługów, których oskarżym.

- O, byś rodziła same chłopce! - muwi Makbet.

W czytelnik zbierać wrarzenie i gnief.

Jak najlepiej wykorzystać czas wolny

Czas wolny to trudu plon. Bóg Wszchemogący stwożył świat w dni sześć, a siódmego był odpoczął. Chciał nam okazać, że jest czas wolny konieczny. Ludzkość odkryła, że „od samjutkiej pracy zgłupiał pan Ignacy”. Aliści czas wolny być może niebezpieczny a źle wykorzystany, gdy rozum «ie chyci hamulec i pokieruje mądrze w innych kierunkach. Ludzie kochają często nieróbstwo. To jest wielkie marnotrastwo, co idzie do ruinaci. Wielu Egipcjan wykorzystuje czas w kawiarni tęskniąc o kobietach i śledząc je, co kazi obyczaje polucją. Martfi się, że dzień jest długi. Inni próbują odpocząć w hazardzie, co Biczem Bożym społeczeństwa i jednostki. Atoli myśmy powinni rozkoszować naturą, przepięknymi liściastymi drzewami, bujnymi polami i olbrzymimi łąkami z zielenią przetykaną miriadami różnobarwnych kwiatów. Ptaszki pieją i wiją gniazda, w meandrach kanałów pieni się z szumem woda, a szczęśliwy rolnik, trzudząc

się z dala od miejskiego gwaru, oczyszcza ludzkość z grzechu. Muzeum tesz jest pouczający. Źle trzymać kórczowo pracę i męczące studia, dobrze umysł od pajęczej sieci światowego życia uwolnić, która omotuje.

Tak, opuśmy wraz z skowronkiem łóżko, by cieszyć się od chłodnego wietrzyku skoro świta. Kiedy leniwe bogacze chrapią lub toną w rozpuście, usiąćmy pod cienistym drzewem i oddajmy się medytacji. Myśmy o Bogu, Rzece i Księżycu, ciesząc się bezbłędnym czytaniem *Elegi* Graya. A na słońca wschodzie przypomnimy poezję:

Wieś to hojny Boży dar,
Gdy nie piecze Słońca skwar.

Możemy tesz czytać książki uczciwej namientności, mądrego morała i przyzwojtego patosa. Bacon miał ci racyję: Czytanie czyni człowiekiem. Można tesz nabyć za niewielką ceną muzykalny instrument. Każde dziecię wie, iż muzyka to prawo moralne, co daje wszechświatu duszę. Moc muzyki słodka potrafi leczyć zbrodniarzów. Z mrocznych głębin morza się wynużył wielkoryb i poniuś na grzbiecie grecki muzyk, poruszony słodką harmonią zwierciadła natury. Czy my nie lepsze od wielkorybów? Jest także mnustwo kluby gimnastyczne. Czy młodziniec nie może wykorzystywać wolnego czasu na szerzenie sobie piersi? Zdrowe ciele zdrowy duch. Mimoto faktem jest fizjonomicznym, że kowalowi nie można wykorzystać czasu wolnego bijąc młotem, a żołnierzowi ćwicząc w musztsze. Kowal ma iść do Wystawy Egipskiej, a żołnierz do morza albo do jaskiniów górskich, gdzie skryje w wojnę od rozszalałych wrogów.

Milton wiedział, jak wykorzystać wolny czas. Czytał książki, grał na instrómentach i zaliczył się na poczet nieśmiertelnych. Takosz Byron, Napoleon Bunaparte, Addison i Palmerston. Człowiek jest nie szczęśliwy, mówił starorzynny filosof, ale z własnego błędu. Może szczęśliwy, kiedy wolny czas odnosi porzytek, nie haniebnie.

Postanowiłem podać się do dymisji. To samo zrobił profesor filologii klasycznej, drugi Anglik na wydziale. I beznogi profesor literatury francuskiej, który był uczciwym człowiekiem. Reszta została. Egipcjanie przyjmowali mnie gościnnie. Uczestniczyłem w wystawnym bankiecie wydanym przez Ministerstwo Oświaty w hotelu Semiramidy. Podawali do stołu wysocy Sudańczycy w czerwonych szatach, a równie wspaniałych potraw nie widziałem nawet w kinie. Utkwił mi w pamięci lodowy model Cytadeli Kairskiej z bramami i oknami wypełnionymi kawiozem, który czerpaliśmy szczerozłotą mauretańską chochlą. Słyszałem niedawno, że za przyjęcie to jeszcze nie zapłacono, choć kosztowało z pewnością tysiące funtów. Nie miałem w Egipcie wiele do roboty (w przeciwieństwie do Lawrence'a nie czułem pociągu do podróżowania po pustyni) i mogłem tylko opijać się mrożoną kawą u Groppiego, odwiedzać kina na wolnym powietrzu i siedzieć w naszym apartamencie w Heliopolis, zajmując się pracami literackimi. Mollie, mieszkająca w sąsiedztwie, często do nas zachodziła. W porze khamsinu, gorącego wichru, podczas którego temperatura przekroczyła raz czterdzieści stopni w cieniu, ukończyłem książeczkę *Lars Porsenna, czyli przyszłość dunderowania*.

W Egipcie najbardziej podobało mi się szlachetne oblicze faraona Setiego Dobrego, którego rozbandażowaną mumię widziałem w Muzeum Kairskim. Najbardziej ubawiła mnie francuska operetka w miejscowym teatrzyku, gdzie grano po arabsku. Aktorzy i aktorki, z pochodzenia Syryjczycy, musieli stać z przyczyn religijnych na przeciwległych krańcach sceny. Śpiewali tłumaczenia francuskich arii, piszcząc i trylując zgodnie z duchem muzyki orientalnej. Widownia bez przerwy gadała, zajadając orzeszki, pomarańcze, pestki słonecznika i główki sałaty.

W ostatnich dniach maja, tuż przed końcem roku akademickiego, poszedłem odwiedzić lorda Lloyda. Wkrótce potem zaprosił mnie na przyjęcie w swojej rezydencji. Przegrawszy do mnie w brydża dwadzieścia piastrow, powiedział: „Proszę odebrać pieniądze u adiutanta”. Uważałem jednak, że długi karciane powinny się płacić samemu, i nie upomniałem się o wygraną. Lloyd lubił swoją pracę bardziej niż ja. Kiedy spytał, jak znajduję Egipt, odrzekłem „całkiem, całkiem” z intonacją, która mu dała do myślenia. „Tylko całkiem, całkiem?” - zdziwił się. Więcej ze sobą nie rozmawialiśmy. Lloyd jeździł po Kairze potężnym automobilem z flagą brytyjską na masce, pędzącym z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę. Poprzedzali go motocykliści, którzy oczyszczali drogę, bo w zeszłym roku zamordowano podczas przejazdu przez miasto sir Lee Stacka, *sirdara*^[48], a zabójcom dopomógł korek uliczny. Pewnego dnia jeden ze studentów pokazał mi miejsce koło Ministerstwa Oświaty, gdzie dokonano zamachu. Zebrany tłum wzięłem początkowo za demonstrację niepodległościową, lecz przedmiotem zainteresowania gawiedzi była zupełnie naga kobieta leżąca na chodniku, śmiejąca się dziko i wymachująca ramionami: jedna z licznych wówczas ofiar haszyszu.

[48] Sirdar (*ang.-pers.*) - Brytyjczyk sprawujący funkcję głównodowodzącego armii egipskiej.

Tłum naigrawał się z narkomanki, a kilka jardów dalej gapił się w niebo policjant. Uczestniczyłem w audiencji porannej w pałacu Abidin, kairskiej rezydencji króla Fuada. Uroczystość rozpoczęła się o dziewiątej rano. Profesorów uniwersytetu spotkało wielkie wyróżnienie: weszliśmy tuż za korpusem dyplomatycznym i ministrami, a przed generalicją. Jeszcze w Anglii kupiłem na tę okazję żakiet wymagany przez protokół. Ściśle biorąc, powinien mieć wyłogi z zielonego jedwabiu, narodowej barwy Egiptu, lecz powiedziano mi, iż nie jest to konieczne. Istniała znaczna rozbieżność poglądów, jaki jest prawidłowy strój dworski. Większość moich francuskich kolegów przybyła w cylindrach, frakach i białych kamizelkach, kilku zaś w zwykłych garniturach. Wszyscy zawiesili na szyi wstęgi orderowe. Wyglądali jak przebierańcy wracający nad ranem z balu kostiumowego.

Wpisawszy się do dwóch wielkich ksiąg hotelowych, jednej należącej do króla, a drugiej do królowej, odświeżyłem się piekielnie słodkim napojem z ryżu podawanym na rozkaz monarchini, po czym wspiałem się monumentalnymi schodami z marmuru. Na co drugim stopniu stał gwardzista królewski, olbrzymi Nubijczyk z lancą w rękę. Jako wojskowy podziwiałem imponujący wzrost żołnierzy, choć drażniły mnie ich z lekka znudzone miny. Mimo to przyjęli zgrabnie postawę zasadniczą, gdy mijał ich sztab generalny armii egipskiej. Brat uprzedził mnie, iż w trakcie audiencji nie powinienem się niczemu dziwić, bo gdy król jest zdenerwowany, z jego gardła wrywa się osobliwy charkot. W dzieciństwie wystrzelał mu rodzinę skrytobójca wynajęty przez krewnych pretendujących do tronu, lecz mały Fuadek schował się pod stół i przeżył, choć został ranny. Przechodziliśmy z komnaty do komnaty. W końcu zatrzymaliśmy się przed statecznym dżentelmenem w średnim wieku, z wyglądu Turkiem, który powitał nas z uszanowaniem po francusku. Wziąłem go za marszałka dworu. Skłoniłem się, powtórzyłem po francusku słowa poprzedzającego mnie profesora i czekałem na wprowadzenie do sali tronowej. Okazało się jednak, że zmierzamy do wyjścia. Poznaliśmy już króla Fuada.

W kilka dni później poszedłem na przedstawienie teatralne dla dworu. Było to włoskie varietes. Król Fuad kształcił się w Italii, gdzie zdobył szarżę kapitana kawalerii i nabrał wielkiego zamiłowania do kultury włoskiej. Program datował się z lat siedemdziesiątych zeszłego stulecia. Skromna jasnowłosa pasterka zatańczyła skocznie w sukni do kostek, stateczny tenor zaśpiewał namiętnie o swojej ukochanej, a dobrze ułożony komik uraczył królową kilkoma żarcikami. Zacząłem bić brawo, by nagrodzić jego nieudaną próbę rozśmieszenia widowni, ale wbito we mnie zgorszone spojrzenia. Jeden z dworaków zaszeptał mi do ucha, że podczas występów przed monarchą nie wolno oklaskiwać aktorów. Jeśli Jego Królewska Wysokość się nie śmieje, publiczność musi siedzieć w zupełnej ciszy. Znów miałem na sobie strój dworski, lecz tym razem, nie chcąc być gorszy od Francuzów, przypiąłem do piersi trzy pamiątkowe medale wojenne. Żałowałem też Świętej Anny z Mieczami, która przeszła mi koło nosa. A wety! Nie podejmuję się opisać bufetu jak z opowieści Szeherazady, tak wspaniałego, że zatarł mi się w pamięci. Zabrałem w kieszeni do domu kilka wprost baśniowych słodczy.

Nasze dzieci musiały pić przegotowane mleko i przegotowaną wodę. Trzeba było nieustannie pilnować, by nie zdejmowały hełmów tropikalnych z błękitnymi osłonami na szyję. Później nabawiły się świnki i poszły do lecznicy zakaźnej, gdzie karmiono je tym wszystkim, czegoś im nigdy nie dawali, i gdzie arabskie pielęgniarki podkładały im zabawki. Wróciły chude i zabiedzone, a Sam, jeszcze niemowlę, z trwale uszkodzonymi bębenkami usznymi. Zastanawialiśmy się wręcz, czy uda nam się je dowieźć do Anglii. Bilety na statek kupiliśmy pod koniec maja, lecz nawet po sprzedaży samochodu stać nas było tylko na kabinę trzeciej klasy na małym frachtowcu włoskim z ładunkiem cebuli. Zeszliśmy na ląd w Wenecji, gdzie spędziliśmy noc. Wenecja wydała nam się rajem. Dostaliśmy na śniadanie europejskie jajka. Jaja egipskie miały rozmiary gołębic i cuchnęły czosnkiem, przysmakiem miejscowego drobiu.

W Egipcie miało miejsce wiele karykaturalnych scenek, z których się naśmiewam. Na przykład: ubrany w elegancki garnitur z żółtej gabardyny siedzę w sali rady wydziału przy długim stole nakrytym rypsem. Przede mną filiżanka kawy po turecku, korkowy hełm i usiany błędami maszynopisu francuskiego protokołu zeszłego zebrania. Przemawiając łamaną francuszczyzną do swoich francuskich i belgijskich kolegów, gniewnie popieram młodego łacinnika, który zerwał się z miejsca błady z wściekłości. W jeszcze gorszej francuszczyźnie odmawia stanowczo zapłacenia składki w wysokości pięćdziesięciu piastrów na wieniec na grób niedawno zmarłego Francuza, ponieważ nie pytano go w tej sprawie o zdanie. Oświadczam, że też nie dam ani grosza i że skoro dziekan z premedytacją wykluczył nas z poprzednich zebrań rady, na których podejmowano decyzje dotyczące naszych wykładów, profesorowie francuscy mogą się grzebać na własny koszt. Siedzimy w wysokiej, eleganckiej sali wchodzącej ongiś w skład haremu. Na ścianie wisi krzywo portret chedywa z wielką dziurą w środku, przy drugiej zaś stoi duża szklana gabłota pełna miedziaków egipskich z okresu panowania rzymskiego. Szybki są popękane, karteluski wymieszane, a numizmaty leżą bez ładu i składu. Z okna widać targ warzyw, woły, wielbłądy z paszą na grzbiecie i wieśniaczki w czerni. Wokół stołu siedzą moi zgorszeni koledzy, którzy wzruszają ramionami,

spoglądają po sobie i powtarzają: *Inoui... Inoui...*^[49] Z dziedzina dochodzą buntownicze okrzyki studenterii, szykującej się do nowego strajku.

Reszta to tylko anegdotki. Pewnego urzędniczynę spotkały dwa nieszczęścia naraz: potrafił go automobil sportowy, a kierowcą okazał się pierworodny syn ministra sprawiedliwości. Bogata panna chcąc się wydać zamieszkała za piętnaście gwinei tygodniowo u żony dygnitarza brytyjskiego. Zgodziła się pokrywać koszt wina i cygar podawanych gościom podczas kolacji, lecz spotykała tylko dygnitarzy z żonami i jęła się skarżyć, że wydatki jej się nie zwracają. Odwiedziłem pełną nietoperzy świątynię bożka przedstawianego jako bezgłowy pawian. Angielski właściciel przędzalni bawełny, w którego fabryce panowały straszliwe warunki, bronił się argumentem, że ludność Egiptu wzrasta pod panowaniem brytyjskim zbyt szybko i że mogą temu zaradzić tylko galopujące suchoty. Matka kulawego studenta wyznała mi podczas zawodów sportowych, że żałuje, iż posadziła go w niemowlęctwie na kominku i pobiegła bawić się lalkami. Miała wtedy dwanaście lat. Pewnej księżycowej nocy wróżbita zwany przez żołnierzy australijskich Kresem przepowiedział mi wiernie przyszłość w długim cieniu piramidy Cheopsa. Złożyłem wizytę Czauki Bejowi, narodowemu poecie egipskiemu, który mieszkał w orientalnym pałacyku nad Nilem i przypominał bardzo Thomasa Hardy'ego. Jego synowie, jako dobrzy Turcy, siedzieli przy nim w posłusznym milczeniu. Widziałem na bazarze żebraka z sześcioma palcami nóg. Pewien pułkownik brytyjski spodziewał się, że w Egipcie zapanuje podczas wojny głód, i sprowadził dla zysku połowę australijskiego zboża, które nie znalazło nabywców i poszło na paszę dla osłów i wielbłądów. Opowiedziałbym też chętnie o Heliopolis, starożytnym mieście-widmie, gdzie zieleniły się prześliczne pola, szumiały pochyłe palmy, chodziły w kieratach woły obracające koła wodne i stał jeden obelisk, oraz o innym Heliopolis, nowiutkim mieście-widmie na skraju pustyni, wzniesionym przez spółkę belgijską, która zbudowała nawet tor wyścigów konnych i lunapark. Tuż nad dachami latały tam nocą aeroplany Królewskich Sił Powietrznych, a znudzone połowice sfrustrowanych gryziopiórków malowały dla zabicia czasu akwarele i pisały romanse, których nigdy nie kończyły. Nasz apartament miał niewielkie patio, gdzie wybrałem się pierwszego dnia na przechadzkę wśród drzew owocowych i rozkwitłych krzewów, lecz spotkałem osiem wychudłych, parszywych kocurów drzemających na rabatach i dałem spokój przechadzkom...

Wróciliśmy tedy do Islip, ku wielkiemu rozczarowaniu rodziców, którzy żywili nadzieję, że się wreszcie ustakowałem, obejmując stanowisko odpowiednie do mych potrzeb i uzdolnień. Bratowa nie ukrywała ulgi.

Reszta opowieści, obejmująca okres od tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku do dzisiaj, jest dramatyczna, lecz nie nadaje się do druku. Zdrowie i finanse uległy poprawie, małżeństwo rozpadowi. Na scenę wkroczyły nowe postacie. Nancy i ja powiedzieliśmy sobie rzeczy, których się nie wybacza. Rozstaliśmy się szóstego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku. Zatrzymała rzecz jasna dzieci. Wyjechałem przeto za granicę, postanowiwszy nie osiedlać się z powrotem w Anglii, co wyjaśnia, dlaczego książka nosi tytuł *Wszystkiemu do widzenia*.

[49] Inoui (franc.) — niesłychane.

EPILOG

Chociaż prosi się mnie często o dalszy ciąg tej autobiografii, którą napisałem w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku w wieku trzydziestu trzech lat, odpowiadam zawsze, iż od owego czasu na szczęście nie przydarzyło mi się nic godnego uwagi. Korektę *Wszystkiemu do widzenia* otrzymałem na Majorce, gdzie popłynąłem zaraz po ukończeniu książki i gdzie mieszkam do dzisiaj.

Spokój zamąciła mi jedynie wojna domowa w Hiszpanii, kiedy wszystkich obywateli brytyjskich ewakuował okręt wojenny. Tułałem się trzy lata po Europie i Ameryce, a drugą wojnę światową spędziłem w Anglii, bo troje moich dzieci wstąpiło do sił zbrojnych (czwartemu, Samowi, uniemożliwiła to głuchota).

Jenny została korespondentką wojenną. Wkroczyła do Paryża z czołgami generała Leclerca, do Brukseli z czołgami generała Adaira i mało nie poległa pod Arnhem. Catherine, radiotelegrafistka wojsk lotniczych, poślubiła dowódcę dywizjonu Clifforda Daltona, obecnie naczelnego inżyniera Australijskiej Komisji Energii Atomowej. David wstąpił do Pierwszego Batalionu Fizylierów Królewskich z Waliey, zdziesiątkowanego podczas obrony Calais. Uczestniczył w historycznym spotkaniu Pierwszego i Drugiego Batalionu na Madagaskarze i popłynął do Indii i Birmy. W marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku poległ na półwyspie Arakan, usiłując wykurzyć Japończyków z trzech bunkrów, które wstrzymały natarcie batalionu. Wraz z sierżantem i szeregowcem zdobył pierwszy z nich, a gdy towarzysze odnieśli rany, zniszczył w pojedynkę drugi i padł trafiony kulą w głowę, próbując zdobyć trzeci. Ministerstwo Wojny odrzuciło wniosek o pośmiertne nadanie mu Krzyża Wiktorii ze względu na niefortunny finał operacji: batalion hinduski wycofał się, Japończycy odzyskali utracone pozycje, a niedobitki Fizylierów Królewskich z Waliey musiały przebiegać się z kotła.

Natychmiast po wybuchu wojny zgłosiłem się na ochotnika do piechoty, lecz uzyskałem w odpowiedzi wiadomość, iż JKMOść może mnie zatrudnić jedynie w sztabie. Wróciłem tedy do pracy nad książką o Rogerze Lambie, sierżancie Pierwszego Batalionu i uczestniku wojny siedmioletniej w Ameryce, oraz nad studium poświęconym działalności Johna Milтона w okresie rewolucji angielskiej. Dla uniknięcia nalotów zamieszkałem w południowym Devonie. W połowie wojny namawiano mnie do wstąpienia do ochotniczych sił policyjnych, ale nasz stójkowy nie chciał przesłać podania zwierzchnikom. Wybadawszy dyskretnie sprawę, dowiedziałem się, że nie podoba mu się niemieckie brzmienie mego nazwiska, że słyszano mnie rozmawiającego w obcym języku z dwoma podejrzanymi cudzoziemcami (przyjaciółmi, uchodźcami z Hiszpanii, pułkownikiem sztabowym i majorem) oraz że w moim ogródku odkryto słowa HEIL HITLER wydrapane na dyni (!). Pozostałem tedy jedynie obserwatorem przeciwlotniczym. W kilka dni później, kiedy mój rocznik wezwano na badania lekarskie, a policjant przyniósł mi bilet kolejowy trzeciej klasy wraz z rozkazem stawienia się przed komisją w Exeter, potraktowałem go z góry. Jako dymisjonowany kapitan zażądałem biletu pierwszej klasy, do czego uprawniała mnie szarża: mogłoby się przecież zdarzyć, iż znaleźlibyśmy się w tym samym przedziale, a nie uchodzi, bym zadawał się towarzysko z ludźmi jego kondycji. Cóż, czerwona latarnia paliła się nadal czerwonym światłem, błękitna zaś błękitnym.

Nancy i ja wzięliśmy w końcu rozzwód. Ożeniłem się powtórnie, mam czworo nowych dzieci, czuję się dobrze, unikam podróży i zarabiam na życie piórem. Czyż mogę dodać coś jeszcze oprócz tego, że moim najlepszym przyjacielem pozostał koszt na śmieci?

Chociaż Charterhouse cieszy się obecnie wyborną opinią i mówi się nawet, że trzeba by tam umieścić księcia Karola, ja nie posyłam tam synów - dla zasady. Jednakże kiedy pierwszy raz od tysiąc dziewięćset dwunastego roku spotkałem Vaughana-Williamsa, zwanego w szkole Wujkiem Ralphem, kawalera Orderu Zasługi, i ucieliśmy sobie miłą pogawędkę o Maksie Beerbohmie, który chodził z nim do klasy, okazało się raptem, że śpiewamy w duecie *Carmen Carthusianum* ku zdumieniu tłumu gości w restauracji w Palmie. Sam się trochę zdziwiłem. I, zaiste, trudno uwierzyć, że wychowankiem owego arcyfilistycznego gimnazjum jest nie tylko najlepszy brytyjski eseista i satyryk, lecz także najwybitniejszy kompozytor mojej epoki.

Wszystkiemu do widzenia czyta się dziś jak dzieje starożytne, a ja do tego stopnia przekroczyłem wiek, gdy posterunkowi sprawiają wrażenie gołowąsów, że młodzi wydają mi się już nadinspektorzy policji, generałowie i admirałowie. Wiele znajomych nazwisk nabrało nowych znaczeń. Na przykład złośliwy młody kapral Mike Pearson z batalionu kadetów w Oksfordzie, zarekomendowany przeze mnie w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku na oficera, stał się panem Lesterem Pearsonem, najsłynniejszym obywatelem Kanady.

Więjska Majorka, mająca ongiś pięć skromniutkich pensjonatów, uchodzi obecnie za jeden z najmodniejszych kurortów europejskich. Tuziemcy chętniej się, że latem ląduje na wyspie dziewięćdziesiąt

samolotów z turystami na dzień, a co niedziela otwiera się nowy pięciogwiazdkowy hotel. Nie chcę udawać, że mnie to cieszy. Moje dzieci, najmłodsze w wieku czterech lat, patrzą na mnie nieco dziwnie, gdy mówię, że urodziłem się za panowania praprapradziadka księcia Karola, przed wynalezieniem samolotu, kiedy za niemoralne uważano noszenie spodni i używanie szminki przez kobiety, gdy mało kto miał w domu światło elektryczne, a prawo wymagało, by przed każdym automobilem kroczył ostrzegacz z czerwoną chorągiewką. Jednakże od osiedlenia się na Balearach nie zmieniłem się zbyt pod względem duchowym ani cielesnym, choć nie mogę już czytać bez szkieł, wbiegać schodami po trzy stopnie naraz i nie zważać na dietę.

I gdyby mnie skazano na przeżycie od nowa owych straconych lat, zachowywałbym się pewnie tak samo, bo pomimo buntowniczego ducha, nieokiełznanej manii poetyckiej i przymieszki obcej krwi, niełatwo się wyzbyć protestanckiej mentalności elity Wielkiej Brytanii.